Jan Stachniuk

Chrześcijaństwo a ludzkość

WYDAWNICTWO
KOPOREŁ

Książnica Zadrugi

Jan Stachniuk

"CHRZEŚCIJAŃSTWO A LUDZKOŚĆ".

Przedmowa.

Chrześcijaństwo jest nieudaną, na szczęście, próbą odwrócenia kierunku rozwojowego ludzkości.

Tezę tę w perspektywie historii rozwija niniejsza praca Jana Stachniuka. Chrześcijaństwo zrodziło się jako produkt schorzenia człowieka i trwać będzie tak długo, jak długo panhumanizm nie przezwycięży tej choroby.

Co to jest panhumanizm? Panhumanizm to świadomość i gotowość człowieka pełnienia swej wiodącej roli w tworzycielskiej ewolucji świata. Panhumanizm to człowiecza wola i zdolność kształtowania Bytu według swoich, coraz to wspanialszych, wizji. Panhumanizm osadzony jest mocno w przyrodzoności, ona stanowi teren potęgującej się w nieskończoność mocy stwórczej człowieka.

Przeciwnie, zniszczyć w nim pęd ku przyrodzoności, odwrócić od niej, uzdatnić do pielgrzymki ku nadprzyrodzoności, oto cel założyciela chrześcijaństwa, Chrystusa. Ogłosiwszy się wysłannikiem nadprzyrodzoności, Synem Bożym, potrafił on scalić wszystkie luźno dotąd jawiące się dekadenckie wątki światopoglądowe, tj. personalizm, wszechmiłość, nihilizm, hedonizm, moralizm i spirytualizm - w jedną syntezę, podporządkowaną temu ostatniemu, czyli wierze w istnienie "tam". Objawił wierzącym, że dostać się tam może jedynie ten, kto za życia "tu" ucnotliwi się odpowiednio. Cichość, pokora, miłowanie nieprzyjaciół, niesprzeciwianie się złu to są cnoty otwierające bramy niebios. A najłatwiej i najobficiej wykwitają one u tych, którym los na tym padole płaczu nie szczędzi wszelakich utrapień, cierpienia, słowem - zła. I tu podziwiać należy genialny wynalazek Chrystusa, który wszechobecne w świecie zło uczynił siłą napędową do produkowania cnót. Chrystusowy "automat świętości", jak go nazwał Jan Stachniuk, to niewidzialny mechanizm, który z ludzkich cierpień wydobywa chrześcijańskie cnoty. Cierpienie to wartość.

Porażonym klęską wrześniową Polakom przypomniał o tym specjalnym orędziem z dnia 30 IX 1939 r. Pius XII: "Łzy dla chrześcijanina mają swą nadnaturalną wartość i słodycz". Papieżowi zawtórował biskup polowy Wojska Polskiego Gawlina. W 1940 r. jako jedno z pierwszych wydawnictw dla spragnionych słowa polskiego żołnierzy na obczyźnie ukazał się zeszyt Nauki Chrystusowej, organu szefa duszpasterstwa I Korpusu w Wielkiej Brytanii. Zeszyt ma tytuł "O cierpieniu" i jemu w całości jest poświęcony. Czytamy tam: "I dlatego Kościół z powołania swego, z natury swej cierpi. Nie jest rzeczą przygodną, że Kościół idzie drogą krzyżową; jest powołaniem Kościoła cierpieć, i dlatego Kościół bez cierpienia istnieć nie może. Owszem, im bardziej Kościół cierpi, tym doskonalej spełnia swoje zadanie. - Stąd wniosek jasny, że cierpienie należy do istoty życia chrześcijańskiego. - Kto przez łzę patrzy na świat, ten patrzy obiektywnie i ma sąd prawdziwy. Dlatego cierpienie jest najlepszą i najkrótszą drogą do religii i do Boga".

Było Vaticanum II, było aggiornamento, lecz Chrystusowy "aparat świętości", puszczony w ruch dwa tysiące lat temu, działa na pełnych obrotach do dziś, jest niezastąpiony. Encyklopedia katolicka, Lublin 1979, w tomie III stwierdza pod hasłem Cierpienie: "C. towarzyszące życiu każdego chrześcijanina nie jest pozbawione sensu. - C. jest błogosławieństwem, ponieważ zapewnia wejście do Królestwa Bożego, lepiej pozwala dostrzec dzieła Boże i zapewnia udział w przyszłej chwale. - W aspekcie transcendentnym c. złączone jest z działaniem Opatrzności Bożej w świecie i dlatego nie można go uważać za bezsensowne; trzeba by bowiem wtedy wykluczyć działanie Boga Stwórcy i Zbawcy, będącego nieskończoną miłością i mądrością".

Tak samo wypowiada się współczesny filozof katolicki: "I tak np. kiedy... podnoszą kwestię, czy istnienie cierpienia jest falsyfikatorem tezy o kochającym, miłosiernym Bogu, to odpowiedź negatywna nie musi być wyrazem apologetycznej interpretacji ad hoc, jeśli tylko wykaże się, że cierpienie to jest sensowne, np. prowadząc do pozytywnych przemian w osobowości cierpiącego, przekształcając jego skalę wartości..." (Józef Życiński, "Teizm i filozofia analityczna", t. I, Kraków 1985, s. 91).

Nadnaturalną - jak już wiemy - wartość cierpienia uczynił tematem swojej encykliki "Salvifici doloris" (1984) Jan Paweł II. Świątobliwi smakosze cierpienia w swoich wypowiedziach zdradzają czasem podtekst zgoła sadystyczny. Oto encyklika "Mediator Dei et hominum" Piusa XII z 1947 r.: "Ofiara ołtarza nie jest samym prostym przypomnieniem cierpień i śmierci Jezusa Chrystusa, ale prawdziwą i właściwą ofiarą, w której Najwyższy Kapłan czyni to, co uczynił na krzyżu, składając samego siebie jako miły dar (podkr. moje, A. W.) Wiekuistemu Ojcu".

Głęboka prawda tkwi w porzekadle: Kościół cierpi, gdy nie cierpi. "Chrześcijaństwo a ludzkość" Jana Stachniuka to rewelacja na skalę światową. Takiej teorii chrześcijaństwa, opracowanej ze stanowiska panhumanizmu, nie stworzył dotąd żaden chrystolog, żaden kulturoznawca. Zdobyć się na nią mógł jedynie umysł całkowicie nieprzystępny sugestiom krzyża i spod krzyża, umysł Polaka, a nie polakatolika. Dla tego ostatniego teoria Jana Stachniuka będzie jednym straszliwym bluźnierstwem. Wzdrygnie się z oburzeniem na każdą próbę ukazania mu podszewki, na przykład, tak drogiej mu "miłości bliźniego": "Co to znaczy 'miłość bliźniego'? Innymi słowy jest to deprecjacja wszelkich dążeń i celów ludzkich, o ile one wykraczają poza wolę wegetacji.

Hasło 'miłości bliźniego' oznacza zimny, trupi cynizm w stosunku do każdego pozytywnego dążenia człowieka. Wszelkie dążenia i porywy, moje i twoje, są śmieciem; nic nie jest ważne. Upiorna, wyziębiona starość, chichocząca nad każdym dążeniem, zamiarem, dziełem, bije z apelów o miłość bliźniego"(s. 67).

Przedstawiony w sumiennej pracy Jana Stachniuka obraz chrześcijaństwa może spotkać się z zarzutem, iż jest jednostronny. W istocie, jest taki, bo ukazuje chrześcijaństwo, jakim je widzi człowiek zdrowy, panhumanista, który wobec degeneracji człowieka nie zachowuje się biernie, ale z nią walczy. Całe życie, całe swe pisarstwo, całą swą działalność Jan Stachniuk poświęcił walce ze wspakulturą. Temu służyło wydawane w Warszawie w latach 1937-1939 czasopismo Zadruga. Ten sam cel, ta sama myśl jest osnową wszystkich ośmiu wydanych drukiem prac Jana Stachniuka.

Wymienię tu najważniejsze:

„Dzieje bez dziejów” Warszawa 1939,
„Zagadnienie totalizmu” Warszawa 1943,
„Człowieczeństwo i kultura” Poznań 1946, II wyd. Wrocław 1996,
„Walka o zasady” Warszawa 1947,
„Wspakultura” Warszawa 1948.

Całość pisarstwa Jana Stachniuka to bezcenny oręż ideologiczny, dany do ręki bojownikom o prawdziwe oblicze człowieczeństwa. Oręż ten służy w Polsce tym wszystkim, dla których natchnieniem są słowa poety:

"Krzyż przeklnę, Chrystusa godło,
gdy męką naród uwiodło.
Dla mnie żywota Prawo!"

Prawo żywota głosi narodowi Jan Stachniuk - Stoigniew, Twórca Zadrugi, ruchu odrodzenia duszy polskiej.

"Chrześcijaństwo a ludzkość" napisał Stoigniew na krótko przed swym uwięzieniem w 1949 roku. Był to rok, kiedy szczególnie wezbrała idąca ze Wschodu fala prześladowań. Maszynopis przechował prof. dr Damazy Tilgner i następnie przekazał niżej podpisanemu. Maszynopis ten, sporządzony na lichej przebitce, przepisałem do powielenia, z zachowaniem pisowni Autora.

Dodałem skorowidz osobowy. W kraju znajduje się już pewna liczba powieleń pierwszej redakcji maszynopisu z lat siedemdziesiątych. Ta pierwsza redakcja nie ma przedmowy ani skorowidza i, sporządzona na gorąco, zawiera szereg błędów.

Antoni Wacyk Wrocław, w marcu 1989 r.

Rozdział I. Problem chrześcijaństwa.

1. Zagadka istoty człowieka.

Chcemy wiedzieć, czym jest chrześcijaństwo, na czym polega jego istota. To, co o nim wiemy, nie zadowala nas. Stajemy na stanowisku, że o charakterze jakiegoś ruchu decydują najogólniejsze założenia światopoglądowe, a w pierwszym rzędzie pojmowanie istoty człowieka i jego zadań życiowych. Ażeby taką analizę przeprowadzić, musimy dać własny ogląd istoty człowieka, który będzie trwałym punktem odniesienia dla wszelkich cech i porównań. Mając jeden zasadniczy pion pojęciowy, możemy dzięki niemu oceniać inne. Dlatego też nakreślimy najpierw zarys naszego światopoglądu i miejsca, które w nim zajmuje człowiek i jego zasadnicze dążenia, zwane przez nas jego posłannictwem życiowym. To z kolei umożliwi nam wykreślenie istotnych podstaw chrześcijaństwa.

Według nas człowiek stanowi awangardę rozwijającego się świata. Właściwością człowieka jest nieograniczona w zasięgach zdolność wiązania żywiołów psychiki i natury w ten sposób, że powstaje nowy typ mocy, moc kultury, która służy do dalszej jej rozbudowy. U kresu mamy całkowite opanowanie energii ładu naturalnego świata - psychiki, natury, żywiołów społecznych - przeistoczenie go w arcydzieło kultury. Człowiek dąży do pełni życia, gdyż w tym tkwi istota szczęścia. Pełnia życia nie da się jednak uznać za coś dowolnego, nieokreślonego. Nie można się zgodzić ze zdaniem, że pełnię życia wypada przyjąć za różną dla różnych ludzi. Pełnię życia odczuwamy tym samym organem psychiki ludzkiej, która jest jedna. W dążeniu do pełni życia musi być więc coś wspólnego, jednoczącego. Ta jedność zaś istnieje jako posłannictwo człowieka na świecie. Postępowanie zgodne z linią tego posłannictwa musi wzmagać doznanie pełni życia i szczęścia, działanie zaś z tym posłannictwem niezgodne musi rodzić odczucie kosmicznego rozszczepienia, które może zestalać się w jakiś jednolity system.

Treścią istoty człowieczeństwa jest geniusz tworzycielski, ukazujący się nam jako żywiołowy napór gatunku ludzkiego na globie, skierowany na osiągnięcie kresu ostatecznego, czyli związania w nową, kulturową postać wszelkiej energii istniejącej w świecie. Humanizm zatem jest rozmachem tworzycielskim wypełniającym naszą człowieczą naturę, rozmachem zdążającym do przeistoczenia ładu naturalnego świata. Ład naturalny świata, jego odwieczne formy materii martwej i żywej, popędów i emocji w psychice ludzkiej, przedstawia się dla geniusza tworzycielskiego jako pole uprawy, chaotyczne pole żywiołów, które ma być przetworzone na nowy, kulturowy kształt. To, co dotychczas z energii ładu naturalnego zostało opanowane i przeistoczone, jest śmiesznie nikłe.

Wdrążenie się w żywioły materii poprzez opanowanie elektryczności, pary, energii atomowej jest dopiero wstępem do olbrzymiego przewrotu w strukturze bytu. Żywioły psychiki ludzkiej i biologii są takim samym polem uprawy.

Tajemnicze impulsy naszej psychiki wiążemy i zestalamy w doznawanie nowych wartości, w pobudki postępowania, których wynikiem jest poczucie wzbierającej pełni, mocy i szczęścia.

Całkowite opanowanie żywiołów naszej psychiki, podporządkowanie człowiekowi wszelkiej energii istniejącej w ładzie naturalnym świata rysuje się jako cel dążeń gatunku ludzkiego.

Odwieczna tęsknota do pełnego, wytężonego życia wypełnia duszę ludzką. Gdyby tęsknota ta opuściła nas, świat straciłby swoje piękno i wspaniałość, a życie stałoby się ubogie i bezbarwne.

Towarzyszy nam ona aż do bram śmierci. Więcej nawet: wizja śmierci wzmaga ją i pobudza. Dzięki tej tęsknocie czujemy wyraziście, że życie w każdej chwili winno być czymś więcej, niż jest.

Rysuje się ono zawsze jako zadanie do spełnienia, nie zaś jako fakt czystego przetrwania. W tym tkwi jego wartość. Spełnia się ona poprzez forsowanie procesu kultury. Chcemy ten proces wzmagać, gdyż w jego intensywności aktualizuje się nasze człowiecze zadanie. Nie jesteśmy zdolni wniknąć w wewnętrzną treść tego procesu, gdyż pozostaje ona równie tajemnicza jak i samo życie.

Ale jednocześnie wiemy, co służy życiu i kulturze, co ją wzmaga, a co ją osłabia.

U podstaw kultury znajdujemy zdolność człowieka do wiązania energii w obiektywne dzieła, które z kolei służą do dalszego potęgowania tego samego procesu. Każdy obiektywny wytwór kultury jest utrwaleniem się pewnego kierunku emocji i jego upowszechnieniem społecznym. Umożliwia to stały rozwój humanizmu. Utrwalone dzieła kultury są wiązalnikami energii twórczej świata, cegiełkami, z których człowiek buduje samego siebie, swoje wieczyste posłannictwo. Dorobek kultury jest każdorazowo zdobyciem pozycji, z której nasza wyobraźnia twórcza widzi dystans do dalszego skoku. Obiektywne wytwory są czymś organicznie jednym, gdyż zawierają w sobie związaną energię ładu naturalnego. To, co nazwaliśmy geniuszem tworzycielskim w naturze człowieka, nie jest czymś nieuchwytnym. Całą naszą osobowość biofizyczną jakby przenika wpływ organu specjalnego, kierujący wszystkich ku naszemu posłannictwu kulturowemu.

Nie mają tego organu zwierzęta. Dlatego też nazwać go można organem człowieczego posłannictwa albo organem geniuszu człowieczego. Nie jest on organem biomorfologicznym, ale służy mu cały nasz aparat fizjologiczny. Chcemy przez to powiedzieć, że doznanie naszego posłannictwa jest wynikiem przebiegu fizjologii - obiegu krwi, pracy gruczołów itp. Nieuchwytny jakiś narząd w naszym organizmie biofizycznym przemienia normalny tok procesów tej fizjologii w dyspozycje tworzycielskie. Dlatego mówimy o organie geniuszu człowieczego.

Do dyspozycji tego geniuszu człowieczego stoją następnie pierwiastkowe zdolności realizacyjne - intelekt, intuicja, wyobraźnia, ręka ludzka, zdolność do wszechstronnej pracy. Dzięki geniuszowi człowieczemu byt i życie są doznawane przez nas w specyficzny sposób.

Polega on na odczuwaniu organicznej jedności świata, rysującej się jako zespół jednorodnych sił, ewoluującej ku jakimś wyższym formom. Przyjęła się dla tego sposobu odczuwania świata nazwa panteizmu ewolucyjnego. Według tego panteizmu świat znajduje się w ciągłej ewolucji, obejmującej każdego człowieka i każdy element jego osobowości. A w ślad za tym idzie wola pełni życia, polegającej na świadomym i aktywnym udziale naszego "ja" w tej ogólnej ewolucji.

Szczęście to najwyższy wkład osobowy w tę ewolucyjną całość. Skoro chcemy wzmóc bieg ewolucji świata, musimy przytaknąć temu wszystkiemu, co nam pozwala na intensyfikację ewolucji: pragniemy wówczas narzędzi i środków przyśpieszenia biegu ewolucji na dostępnym dla nas odcinku. Jest to wola mocy. Wola mocy to dążenie do posiadania narzędzi oddziaływania na byt - władzy, wiedzy, bogactwa itd.

Napór geniuszu człowieczego w naszej świadomości odczuwamy więc jako: a) panteizm, b) wolę pełni życia i c) wolę mocy.

Napór ten dąży do stania się właściwą treścią życia ludzkiego. Kiedy to się może ziścić? Wtenczas, gdy uda się pokonać pierwotną bezwładność świata, narzucając mu intensywny rytm przeistoczeń, który nazwać by można ewolucją tworzycielską świata. Chodzi więc o to, by ją wyzwolić. Nie jest to prosta sprawa. Ewolucja tworzycielska świata nie przybrała jeszcze tempa, które odpowiadałoby intensywności chceń tętniących w piersi ludzkiej dzięki pracy organu geniuszu człowieczego.

Interesującą więc będzie rzeczą spojrzeć na nią od tej strony.

W takim ujęciu świat jest wolą kosmiczną, dążącą do osiągnięcia coraz bardziej złożonych i doskonalszych form. Spojrzawszy wstecz widzimy kolejne wcielenia tej kosmicznej woli: układy planetarne, świat minerałów, materię żywą. Co do materii martwej, wiemy, że ulega ona prawu wzrostu entropii. Znaczy to, że energia jako substancja materii nieubłaganie wydziela się w przestrzeń. Inaczej materia żywa. Ewolucja jej podąża we wręcz przeciwnym kierunku. Skupia ona energię. Każdy gatunek żywiołowo dąży do wchłonięcia przez swoje ciało największej ilości energii. Natura, powoławszy życie, usiłowała dojść do jakichś wyników rozwijając coraz sprawniejsze gatunki, dając im na pożarcie gatunki niższe. Tak więc od bakterii, roślin, poprzez gady, ryby, ptaki toczyła się ewolucja ku ssakom, u kresu której widzimy człowieka. Człowiek biologicznie należy do świata zwierząt. W podobny sposób mnoży się, odżywia, umiera. W sferze biologicznej ulega tym samym prawom.

Zastanówmy się na chwilę, co stanowi istotę tych praw. Wola nieograniczonego rozrostu biologicznego kulminuje w podświadomym pragnieniu warunków, które mu sprzyjają. Pełnia tych warunków oznacza "szczęście fizjologiczne", którym oddycha cały świat żyjący. Ale temu przeciwstawiają się twarde prawa braku przestrzeni życiowej, z którego wyrosła walka o byt, gwałcąca brutalnie szczęście fizjologiczne. Pomiędzy tymi wyłączającymi się płaszczyznami stłoczone jest życie biologiczne. Każdy twór żywy nosi w sobie tęsknotę do szczęścia fizjologicznego, z którym wiąże się wolność przejawienia się jego dążeń do rozrostu biologicznego.

Z drugiej strony niedostatek żywności, ciepła, światła, przestrzeni dławi go nieznośnym ciężarem, zaakcentowanym pożeraniem się gatunków w postaci nawarstwień drapieżców. W tym samym kręgu mieści się człowiek i w ten sam sposób odczuwa dławiące przeciwieństwo pomiędzy pociągiem do szczęścia fizjologicznego a prawami walki o byt.

Lecz człowiek to nie tylko istota biologiczna. Jest głęboko dualistyczny, gdyż posiada powołanie do budowania kultury jako nowej formy energii w świecie. To go wynosi ponad świat zwierzęcy.

Biologia ludzka posiada znamię zasadniczej odrębności. Z jej korzeni wyrasta świat popędów, emocji, stanowiących fundament człowieczeństwa. Psychika ludzka, jako swoisty żywioł emocjonalny i w nim zakotwiczony geniusz człowieczy, korzeniami swymi sięga do ciała, do komórki, do genów w plazmie rozrodczej. Tam znajdujemy grunt, z którego wyrasta posłannictwo człowiecze. Ona to powoduje docelowy charakter dążeń ludzkich. Uświadomienie sobie tego celu jest wstępnym zadaniem.

I tu rozpoczyna się kłopot. Nie weszliśmy dotychczas w fazę świadomego forsowania ewolucji tworzycielskiej świata. Jak dalece jesteśmy od tego odlegli, wynika choćby z tego, że sformułowane wyżej pojęcie człowieczeństwa, jego posłannictwa, nie ma żadnego wyrazu w praktyce historycznej. Czy było to już gdzieś - lub jest - realizowane? Nie. A wskutek tego nie potrafimy sobie uświadomić, czym naprawdę jest człowiek realizujący swoje posłannictwo. Bez wmontowania w ewolucję tworzycielską nie da się zobaczyć pełnego człowieka. Tylko na tle wyzwolonej już ewolucji tworzycielskiej świata, w fazie pełnej intensywności budowania kultury moglibyśmy ujrzeć człowieka tworzycielskiego. Ponieważ zaś ewolucja tworzycielska świata, wyjąwszy sporadyczne wyczyny bohaterskie, nie istnieje jako prawidłowa, zestalona ciągłość, nie jesteśmy w stanie widzieć pełnego człowieczeństwa.

Pełne człowieczeństwo, którego embrion widzimy w "geniuszu człowieczym", nie jest nam znane, gdyż świat nie stworzył jeszcze warunków do jego przejawienia się. Pozostaje ono czymś, do czego tęsknimy, co staramy się sobie wyobrazić na podstawie ułamkowych fragmentów. Czym by zaś ono było, ujrzelibyśmy na tle ewolucji tworzycielskiej świata, forsowanej jako świadome dzieło kultury.

Ta hipotetyczna przyszła manifestacja pełnego człowieczeństwa domaga się jednak określenia.

Dajmy jej nazwę: panhumanizm. Moglibyśmy nawet powiedzieć, że panhumanizm to właśnie ewolucja tworzycielska. Panhumanizmem jest proces rekonstrukcji ładu naturalnego świata, którego pierwsze ogniwo widzimy w biologii człowieczej, w naszym ciele, gdzie odbywa się misterium przemiany bodźców naturalnych w bodźce emocjonalne, wyrażające się w "geniuszu człowieczym". A dalej mamy uruchomienie pierwiastkowych narzędzi osobowości ludzkiej – jej intuicji, intelektu, siły mięśniowej, pracy rąk. Te zaś z kolei władają obiektywnym dorobkiem, rozbudowywanym w nieskończoność, tak jak nieskończony jest cel posłannictwa człowieczego.

Obiektywny dorobek to związane postacie energii świata. Są to narzędzia materialne, od noża czy łopaty poczynając, aż po energię atomową; narzędzia społeczne, jak prawo, druk, prasa, administracja, państwo, rynek dóbr, parlament; takimiż narzędziami są wytwory duchowe: koncepcje światopoglądowe, normy etyczne, dzieła sztuki, literatura, ideały wychowawcze. Razem jest to wielka klasa instrumentów, którą nazywać będziemy "instrumentarium". Rozbudowa instrumentarium to proces rekonstrukcji świata, o który nam chodzi, gdyż w nim obiektywizuje się nasza praca. Widzimy więc, że człowiek jest istotą złożoną, inną niż jakikolwiek żywy twór przyrody, zamknięty w kręgu biologii. Jego człony składowe, stanowiące organiczną jedność, to:

1. biologia ludzka,
2. geniusz człowieczy, inaczej - wola tworzycielska,
3. instrumentarium kultury.

Celowa spójność (jedność) tych elementów stanowi o prawdziwej treści pojęcia "człowiek panhumanizmu". Pierwotna energia biologiczna, która w świecie zwierzęco-roślinnym jest skierowana na nieograniczony rozrost biologiczny, u człowieka przeistacza się w geniusz człowieczy, czyli w wolę tworzycielską. Ta zaś prowadzi do nieograniczonego rozwoju instrumentarium jako narzędzia posłannictwa. Ten sam bodziec, tę samą ciągłość widzimy w trzech formach spełniającego się humanizmu.

Podstawą naszego pojmowania istoty człowieka jest traktowanie go jako istoty wiecznej, ciągłej przez pokolenia. Ludzkość to jeden człowiek, to jedno wielkie ciało, rozczłonkowane w czasie na pokolenia i jednostki. Ten wielki, wieczny człowiek stoi wobec swego posłannictwa - przeistoczenia świata. Tak pojmowany człowiek (człowieczeństwo) odbiega znacznie od potocznego i zmysłowego doświadczenia. A jednak nie jest to tylko abstrakcja. Tak czuje każdy zdrowy, normalny człowiek. Wejrzyjmy w rytm własnych odczuć lub też odczuć właściwych każdej bujnej, zdrowej młodości. Wyraziście brzmi tam doznanie rytmu współistnienia z wielkim światem, który rysuje się jako organizm ewoluujący ku jakiemuś wspaniałemu kresowi. Jest to ton moralnej młodości, zdrowia, panteizmu. A w ślad za tym czucie powinności kosmicznej, doznanie, że pełnia życia to udział w tej kosmicznej ewolucji, udział najowocniejszy, kulminujący w woli największego wkładu osobniczego do tego dzieła. Stąd już krok do naturalnego odruchu - pragnienia środków i narzędzi, które napór woli tworzycielskiej pozwolą przemienić w pragmatyczny czyn.

Zestrój tych odczuć jest znamieniem normalności człowieczej i zdrowia. W każdej chwili powinniśmy kontrolować, czy doznania te brzmią czysto w naszej psychice. Są one swoistym termometrem metafizycznym, pozwalającym na badanie stanu zdrowia lub schorzenia panhumanizmu.

Żyjemy w atmosferze zbliżającego się wielkiego przełomu. Nie są nim jeszcze wielkie odkrycia naukowe i wspaniały postęp techniczny XIX i XX wieku. Doceniam wielkość odkrycia energii atomowej, która w swych następstwach zmieni oblicze ludzkiego życia. Doniosłe przeobrażenia w technice organizacyjno-społecznej zaważą w równym stopniu. Ale razem wziąwszy - różne te epokowe osiągnięcia są tylko szczeblami do czegoś niepomiernie ważniejszego. Tym zaś będzie wytyczenie dróg rozwojowych ku posłannictwu człowieczemu, ku panhumanizmowi, dróg rewolucyjnie odmiennych od tych, którymi ludzkość dotychczas kroczyła. Poprzez potężne

wynalazki i odkrycia, o których wyżej mówiliśmy, szczebel po szczeblu wznosimy się do nowego pojmowania, czym jest człowiek panhumanizmu, jakie są jego zadania na globie ziemskim i jak ma spełniać on swoje posłannictwo.

Idea ta nieraz przebłyskiwała w dziejach myśli ludzkiej, ale brakło jej pokrycia w możliwościach realizacji. Stąd też łatwiej było pójść w innym, przeciwnym kierunku. I ten właśnie łatwiejszy z konieczności kierunek stał się podstawą widzenia istoty człowieka i jego zadań ogólnych. On też utwierdził się w historii. Pod jego ciężarem dziś się uginamy. Ten akurat kierunek wytyczał drogi ludzkości, oznaczał, co jest prawdą, a co fałszem, co jest dobrem, a co złem, co jest pięknem, a co brzydotą. Na tych podstawach rozwinął się swoisty ogląd bytu, który wycisnął swoje piętno na każdym polu. Pomimo upartego parcia do swego właściwego posłannictwa człowiek nie był zdolen przezwyciężyć własnej słabości, a tym samym podważyć systemu, który na jej podłożu wyrósł i się utwierdził.

Dojrzewamy do tego dopiero teraz. Gdy ideę nowego pojmowania człowieka i jego posłannictwa potraktujemy jako podstawę oceny, ukażą się nam zadziwiające perspektywy. Ujrzymy obraz dziejów ludzkich jako nieustanne ścieranie się dwóch przeciwbieżnych kierunków: jednym z nich będzie ślepy napór człowieka ku panhumanizmowi, drugim zaś ucieczka odeń, ucieczka zestalona w skończony system, przenikający całe życie historii jako świadoma koncepcja światopoglądowa.

Była ona dotąd dla nas niepostrzegalna, gdyż prawie cała nasza świadomość - pojęcia, idee, normy oceny - stała na jej usługach. Mając trwały punkt oparcia na zewnątrz niej, możemy teraz przeprowadzić dogłębną krytykę. Przewartościujemy spuściznę wieków i tysiącleci i przekonamy się, że byliśmy spętani przez demoniczne siły upadłego, zdegenerowanego sposobu pojmowania życia. Widmo to panowało nad nami od tysiącleci, gwałcąc nasze porywy ku forsowaniu człowieczego posłannictwa. Dzięki krystalizowaniu się świadomości tego właśnie posłannictwa możemy sobie pozwolić na przewartościowanie poszczególnych systemów światopoglądowych, o których dotychczas mówiło się tylko z czkawką zachwytu. Wynikiem tego będzie stwierdzenie, że są one produktem niemocy i rezygnacji człowieka z jego kosmicznej awangardowości. Otworzy to nie przeczuwane widnokręgi. Stanie przed nami postulat budowania, od fundamentów niemal, życia skierowanego na świadome realizowanie zadań wynikających z panhumanizmu. Skala przeistoczeń, które za tym idą, da się określić tylko mianem "rewolucji człowieczej".

Zakres przewartościowań, które ciągnie za sobą rewolucja człowiecza, jest ogromny.

Tworzycielskie widzenie człowieka z całą oczywistością podkreśla degeneracyjny charakter takich systemów wartości, jak buddyzm, hinduizm, islam, chrześcijaństwo. Wynika stąd, że olbrzymia większość ludzkości, żyjąca w tych systemach, a więc 1600-1800 milionów osób, czyli 80-90% ludzkości, jest spętana od wewnątrz przez zestaloną w nich kosmiczną rezygnację. Omawiałem tę kwestię szerzej w mej pracy pt. „Wspakultura". Tutaj zamierzam poświęcić się krytyce i analizie tylko jednego systemu wartości, nam najbliższego, czyli chrześcijaństwa.

Uświadomienie sobie zasad, które są fundamentem krystalizującego się wielkiego przełomu, narzuca jako szczególnie ważne zadanie - analizę istoty chrześcijaństwa. Z tego stanowiska ujrzymy rewelacyjne strony ideologii Chrystusowej. Rola, jaką spełniało chrześcijaństwo w Europie, a następnie w kręgu rasy białej, ukaże się nam w zupełnie nowym świetle. Odpadnie cały nimb wzniosłości, ujrzymy to, co jest rzeczywiście - starczą degenerację istoty człowieczej, zestaloną w bardzo zwartej konstrukcji światopoglądowej. Będziemy sumiennie analizowali podstawowe prawdy idei Chrystusowej, zestawiając je z teorią upadku człowieka. Analizy niniejszej pracy są ważne przez to, że wykażą one zgodność chrześcijaństwa z teorią opartą na zupełnie innym widzeniu i odczuwaniu bytu. Opierając się na teorii degeneracji człowieka można wyciągnąć wnioski, jakim będzie życie upadłego człowieka, nawet gdyby chrześcijaństwo nie istniało. Jeśli następnie teoretyczne wnioski pokryją się z praktyką, którą nam ilustruje styl życia chrześcijańskiego, będzie to potwierdzenie trafności teorii.

2. Człowiek, jakim go widzimy.

Wydźwignięcie się człowieka na poziom panhumanizmu ma na razie postać ciągłego, podświadomego marzenia. Człowiek taki, jakim go widzimy, jest istotą otamowaną, niekompletną, gdyż brak dlań właściwego pułapu, na którym mogłyby się przejawić jego napięte możliwości.

Kondygnacja ewolucji tworzycielskiej wciąż jeszcze znajduje się przed nami pomimo różnych prób, mniej lub bardziej udanych. Pamiętajmy więc, czym jest człowiek, jakiego widzimy.

Przyczyny tego są bardzo głębokie i - co ważniejsze - nie uświadamiane, a to powoduje, że ułomny człowiek oznacza dla nas miarę normalności.

Życie kultury jest zjawiskiem stosunkowo niedawnej daty. Dopiero w ostatnich kilku tysiącach lat zakiełkowały w różnych punktach globu ziemskiego wątłe rośliny kultury. Napotkały one wielorakie opory, co sprawiło wstrzymanie rozwoju w pierwotnym kierunku i wykolejenie się w przewlekłe choroby. Energie prące ku przeistoczeniu ładu naturalnego stały się pastwą głębokich schorzeń. Musiały stąd wyniknąć niesłychane powikłania. Jasną bowiem jest rzeczą, że wstrzymanie ewolucji tworzycielskiej musi odcisnąć stygmat choroby na wszystkim. Świat straci swoją wspaniałość, gdyż dozna kalectwa w tym, co stanowi jego piękno: w ewolucji ku formom doskonalszym, ku staniu się czymś więcej, niż jest.

Trzeba się poważnie zastanowić nad tym, co wyniknie, gdy proces kultury zostanie wstrzymany.

Nie są to tylko akademickie rozważania. Ogromne zakresy życia nas otaczającego noszą znamiona tego właśnie dotkliwego otamowania. W tym schorowanym, wykrzywionym świecie rodzimy się, dojrzewamy i umieramy, dlatego nie uderza nas jego upiorność. Trzeba pewnego wysiłku wyobraźni, by dostrzec schorzałość otaczającego nas świata. A wówczas otworzą się nam widoki na coś tak niezwykłego, że nieprędko wyjdziemy ze stanu najwyższego zdumienia.

Człowiek, jakim go widzimy, jest człowiekiem ułomnym, gdyż właściwy jego wyraz w panhumanizmie nie ma warunków do urzeczywistnienia. Taki człowiek może być nazwany człowiekiem natury. Człowiek natury jest ułomny dlatego, że w jego ciele pracuje organ geniuszu człowieczego, wytwarzając napięcie emocjonalne i kosmiczne porywy, a jednocześnie zatamowano ich prawidłowe ujście, jakim może być tylko forsowanie ewolucji tworzycielskiej świata. Można go nazwać motorem, który pracuje, ale pozbawiono go transmisji.

Człowiek natury - to stałe napięcie wewnętrzne bez prawidłowego dlań ujścia. Tajemniczy organ geniuszu człowieczego przeistacza energię biologiczną w wolę tworzycielską, z tym że dalsza transmisja na wielki świat jest urwana. Wiemy, co z tego musiało wyniknąć. Panteistyczne widzenie świata pozbawione było przekładni na pragmatyczną akcję przebudowywania świata, przemieniło się więc w skostniały panteizm, gdzie rola człowieka sprowadziła się do kontemplacyjnego podziwu nieruchomego świata. Wola pełni życia i wola mocy znalazły dla siebie zastępcze ujście w prymitywnej, łupieżczej pogoni za zwycięstwem, przewagą, za walką i przygodą. Wszystkie wojny, łupiestwa, wyprawy, walka o władzę dla samej władzy i rozkazywania, tak jak to ujmuje Nietzsche, stąd wynikły. Tysiące lat nieustannych wojen, zdzierstw, ambicji, wodzostwa itd. tu ma swoje korzenie. Znane to rzeczy. Przyzwyczailiśmy się do tego tak dalece, że eksplozyjną formę zahamowania przyjmujemy jako tzw. naturę ludzką.

Największe przeszkody w ciągłości tworzenia kultury znajdują się w naszej nieporadności i niewiedzy. Świat kultury posiada charakter docelowy. Ażeby skutecznie, docelowo działać, trzeba mieć świadomość celu i środków, świadomość o istocie naszego posłannictwa i niezliczonych etapów jego historycznej realizacji. Taką wiedzę o sobie, o istocie człowieka, dopiero usiłujemy wywalczyć.

Liczne momenty działały przeciw kulturze w epoce, gdy ludzkość sposobiła się do ważkiego kroku na drodze swego posłannictwa. Działo się to w tysiącleciu poprzedzającym naszą erę. W różnych punktach globu uformowały się ogniska biokulturowe o pewnym napięciu. Wspólnym mianownikiem tych ognisk było określenie pozytywnego światopoglądu, który charakteryzował się wolą potęgi i przetworzenia świata.

W Wedach indyjskich, w taoizmie Chin, Iliadzie Greków, w naukach Zoroastra, w stosunku do bytu Latynów, Germanów, Celtów, Słowian brzmi jeden zasadniczy ton: widzenie świata jako ewolucyjnej jedności, organicznej siły; brzmi podziw i pragnienie tej siły, wola pełni życia, czucie powinności wobec dzieła budowania mocy i kultury. To jest cecha wspólna wszystkich zdrowych ludów tej epoki.

Następny krok byłby już wprowadzeniem w problematykę intensywnego postępu kulturowego. Ten krok nie nastąpił. Wyżej opisaliśmy trudności, jakie zagradzały mu drogę. Jedynym wyjątkiem była starożytna Grecja. Tam jedynie zapłonęło przejściowo ognisko bujnej kultury. W reszcie świata wezbrana wola tworzenia uległa załamaniu. Zrodziły się stąd następstwa, pod ciężarem których ugina się ludzkość do dnia dzisiejszego.

Człowiek natury cierpiał sam: dzięki nieskoordynowaniu i eksplozywnej naturze swych instynktów, z którymi rzecz jasna nie mógł dać sobie rady. Na tym tle, po nieudaniu się prób przebicia ku panhumanizmowi, zrodziło się zwątpienie i chęć pomniejszenia cierpień. Zwrócono wtedy uwagę na pewne zagadkowe zjawisko. Niszczące, eksplozywne namiętności w człowieku natury nie zawsze występowały z jednakowym napięciem. Każdy to może stwierdzić dziś. Starość jest wolna od nich lub też ma je osłabione. Również wczesne dzieciństwo przebiega bez chaotycznych i niszczących napięć emocjonalnych. Rodziło się więc spostrzeżenie, że człowiek nie zawsze jest owładnięty przez "złe moce" w równym stopniu. Stawało się jasne, że organ geniuszu człowieczego w organizmie człowieka, wytwarzający tyle zamieszania i cierpień społecznych z powodu braku wylotów na panhumanizm - o czym oczywiście nikt nie wiedział - nie pracuje równo, stale.

Stwierdzono jakąś współzależność z popędem płciowym. Po tysiącach lat sumujących się doświadczeń rozpoczęła się zestalać pokusa ucieczki od cierpień poprzez oderwanie się od geniuszu człowieczego. Wyodrębnienie się i odsunięcie od organu posłannictwa człowieka, wpłynięcie na osłabienie jego funkcji, przypominało jednocześnie wyzwolenie się z mocy niszczących sił eksplodujących instynktów.

Tak więc człowiek natury, człowiek, jakim go znamy, stał się płaszczyzną odmarszu w dwóch kierunkach: **a)** w kierunku panhumanizmu i **b)** w kierunku wyizolowania organu, który go łączył z panhumanizmem. To drugie oznaczało ruch wstecz, ku przedczłowieczym formom istnienia. Tym właśnie kierunkiem zajmiemy się bliżej.

3. Ucieczka w labirynt kosmicznego schorzenia.

Człowiek natury, zwrócony ku mirażom tworzycielskiego, wspaniałego życia, jest tym "złym", "brutalnym", "chciwym", "okrutnym" człowiekiem, którego znamy od zarania dziejów. Ten kształt człowieczeństwa, dzięki ułomności, o której mówiliśmy, nie wydawał się czymś, co winno istnieć trwale. Trzeba było go przezwyciężyć. I oto powstała koncepcja odwrócenia się od miraży jakiegoś wspaniałego świata - panhumanizmu - i zwrócenia się wstecz, uwolnienia się od tego wszystkiego, co wynikało z funkcji organu geniuszu człowieczego. Jak to zrobić? Wyjście polegało na tym, by uderzyć w podstawę człowieka natury. Tą podstawą było spiętrzenie emocjonalne, utrzymujące w spójności elementy panhumanizmu: biologię człowieczą, wolę tworzycielską i pozytywny stosunek do instrumentarium. Energia biologiczna poprzez pracę organu posłannictwa człowieczego przemieniała się w bodźce emocjonalne, czyli zestrój woli tworzycielskiej, a ta kierowała umysł ludzki, jego tęsknoty, pragnienia, w znanym nam kierunku - panteizmu, woli pełni życia, woli mocy.

Zwrot wstecz polegałby więc na świadomym przeciwstawieniu się kierunkowi pragnień, który wyraża się w panteizmie, woli pełni życia i woli mocy. W ten sposób podważy się spójność wewnętrzną człowieka natury. Świadomie zmieniając nasze pożądania, uderzamy w geniusz człowieczy, w tok pracy jego organu, a tym samym odwracamy kierunek naporu ewolucji tworzycielskiej świata w naszym ciele. Rozpadała się tym samym podstawa, z której mógł wystartować panhumanizm. Biologia człowiecza przestawała być surowcem, z którego płynęły bodźce tworzycielskie - a jeśli tak, to odżywały w niej stare dyspozycje do szczęścia fizjologicznego, którym oddycha cały świat żyjący. Napięcia emocjonalne traciły swój odwieczny kierunek nastawiony na panteizm, pełnię życia, a świat osiągnięć obiektywnych przestawał mamić wolą mocy. Ucieczka od człowieka natury rozrywa więc spójność pomiędzy biologią człowieczą, wolą tworzycielską i instrumentarium, niszcząc tym samym więź z ewolucją tworzycielską świata.

Z chwilą gdy rozpad się rozpoczął, toczy się on nieubłaganie do końca. Zarówno sam proces rozpadu, jak i końcowe produkty tegoż rozpadu są zawsze te same. Jeśli spojrzymy na historię wielkich klęsk człowieka natury, a więc i panhumanizmu, uderzy nas zjawisko powtarzania się tych samych faz i takichże końcowych wyników. Następstwem tego musi być powtarzanie się krajobrazu powrotu, a więc odrobienie tego samego marszu i tych samych etapów. Krajobraz powrotu jest zawsze ten sam: stoczenie się w obszar wieczystego wrotu biowegetacji i dokuczliwy ból kalectwa zerwanych ścięgien istoty tworzycielskiej w każdej osobowości ludzkiej.

Tam, gdzie człowiek ostatecznie wypadł z orbity ewolucji tworzycielskiej świata, ogarnąć go musi najgłębszy rozstrój wewnętrzny i w ślad za tym idące niepojęte cierpienie. Jakieś ślepe siły napierają od wewnątrz, świat zewnętrzny zieje niepokojącą pustką, a razem kulminuje to w uczuciu szarpiącego bólu, poczuciu bezsensu istnienia, u kresu którego stoi widmo nicości. Wyrwać się z tego strasznego kręgu, uciec od bólu - ale dokąd? Zrozpaczony człowiek z najwyższym wysileniem szuka dróg tej ucieczki. Zastanówmy się chwilę - gdzie ich może i musi upatrywać. Z jedynej drogi swego posłannictwa został zepchnięty, i właśnie dlatego poszukuje nowego wyjścia. Czy może więc on dostrzec coś innego niż żałosne resztki w postaci kikuta swego nagiego istnienia biologicznego, kikuta woli tworzycielskiej i kikuta instrumentarium? Właśnie owe trzy fundamentalne fakty skupić muszą jego uwagę. Umysł człowieka upadłego nic innego równie ważnego nie dostrzeże. W ciemnościach rozpaczy to są trzy światełka orientacyjne. Innych nie ma. Ku nim też odruchowo człowiek podąża. W rezultacie wpada w straszliwy labirynt o trzech korytarzach, wikłających się coraz bardziej. W nim też ludzkość błądzi od tysiącleci. Tu się znajduje centralny węzeł ponurego dramatu ludzkości, dramatu, którego wątki rozwijają się do dzisiejszego dnia.

Po nieudanym starcie ku pełni życia człowiek się znalazł w ciemnicy męczącej niepewności, skąd usiłował wydobyć się poprzez ucieczkę w tajemniczy labirynt, oddalający go od człowieka natury jako rzekomego źródła cierpienia. Demon choroby stał się tu intymnym przewodnikiem. Oderwanie się od człowieka natury jest wejściem w labirynt schorzenia. Labirynt choroby posiada trzy zasadnicze korytarze, trzy kierunki oddalania się człowieka od swego naturalnego posłannictwa.

Pierwszym z nich jest powrót w stare łożysko wieczystego wrotu biowegetacji, czyli marsz ku pokusom szczęścia fizjologicznego.

Drugim - próba pozbycia się rozstrajającego i bolesnego chaosu we własnym wnętrzu duchowym, zrodzonego z dekompozycji woli tworzycielskiej; będzie to wysoce absorbujące zajęcie w regionach nieuchwytnych żywiołów "duchowych", skąd krok do fikcji odrębności i zasadniczej inności świata "ducha".

Trzecim wreszcie - ucieczka od kikutów instrumentarium, a więc negacja zadań, negacja narzędzi i środków, zwalczanie pokus tworzenia i władania, tych źródeł cierpienia.

Są to odwieczne tory rozpadu człowieczeństwa, na których rozkwitają odpowiadające im widzenia bytu. Wszystkie kierunki schorzałego człowieczeństwa próbują pozbyć się balastu panhumanizmu na swój sposób. Pełny rozwój choroby polega na wyizolowaniu kikutów ewolucji

tworzycielskiej świata jako czegoś obcego, koszmarnego i wrogiego. Trzy drogi prowadzące do tego celu uzupełniają się wzajemnie. Pierwsza droga, polegająca na wyzwoleniu się biologii ludzkiej z "niewoli" i "zła", jest najbardziej pierwiastkowa. Z kolei najprostsze doświadczenie poucza jednak, że w biologii ludzkiej tkwią jakieś korzenie, które łączą nas ze "złem" poprzez trwałe upodobania, żądze i namiętności. Tak powstaje droga, która poprzez negację usiłuje zerwać więzi, oddalić urok grzesznego świata, a zakorzenione w nas ścięgna namiętności i przekładnie na dzieło – zniszczyć.

Nie wszystko jednak można oderwać, zanegować i zniszczyć. Pewne elementy woli tworzycielskiej i pierwiastkowych zdolności są nieoderwalne od ciała i istnienia biologicznego. Rodzi się więc koncepcja drogi do innego, "duchowego" świata, i powiązania z nim tych resztek.

Mamy więc trzy drogi wstecznego przezwyciężenia człowieka natury, a tym samym i panhumanizmu: **a)** wyzwolenie się biowegetacji, **b)** zwrócenie się do świata fikcji i omamień ducha i **c)** niszczenie.

Rozpad humanizmu zawsze toczy się tymi torami. Mówiliśmy już o tym, że wieczystym prawem świata materii żywej jest tendencja do szczęścia fizjologicznego. Z chwilą gdy człowiek wypada z ciągu tworzenia kultury, odżywa ta tendencja ze szczególną intensywnością. Nie oznacza to, że dążenie do szczęścia fizjologicznego jest czymś zdrożnym, bynajmniej. Pełny rozwój kultury nie obejdzie się bez spełnienia jej warunków. Człowiek wyżywa się w kulturze najowocniej dopiero wówczas, gdy warunki szczęścia fizjologicznego są urzeczywistnione, gdy ciało jest nasycone, gdy potrzeby są zaspokojone itd. Człowiek odczuwający cierpienia fizyczne, głód, chłód, brak światła lub brak sprawnego serca i mięśni nie może nigdy być w pełni wydajny. Niedobory warunków optimum istnienia biofizjologicznego obniżają jego sprawność duchową i fizyczną. Całkiem inaczej w kręgu przewagi biowegetacji: szczęście fizjologiczne jest tu celem, a wszystko, co ten cel przekracza - czymś, co wnosi dysharmonię, rozstrój, a więc i cierpienie. A cóż to przekracza ramy szczęścia fizjologicznego i sięga nieskończenie dalej - jak nie to wszystko, co leży na linii ewolucji tworzycielskiej świata?

Wyzwolenie się biowegetacji dokonuje więc doniosłego przewrotu: kultura staje się naraz wrogą siłą, którą w imię szczęścia fizjologicznego, jedynego wszak odczuwanego i rozumianego, należy zwalczać. Od tego punktu rozpoczyna się ewolucja wspakulturowa.

4. Istota wspakultury.

Ewolucja ku wspakulturze oznacza zakrojoną na najszerszą skalę akcję, nastawioną na wyniszczenie geniuszu człowieczego, gdyż w ten sposób ugodzi się w podstawowe zło. Możemy tu powtórzyć nasze uwagi na ten temat. Idąc do końca labiryntem mistyki wyzwolonej biowegetacji, mistyki duchowego świata i mistyki niszczenia koszmaru "zła", docieramy do całkiem nowego doznania bytu, innego widzenia świata i życia, wręcz przeciwnego pojmowania istoty człowieka i jego roli w świecie. W całości biorąc to światopogląd wspakulturowy, gdyż na każdym polu jest pełnym przeciwieństwem kultury.

Uzasadnioną zatem będzie rzeczą stworzyć nowy termin - pojęcie, które by obejmowało wszystkie elementy schorzenia człowieczeństwa. Całość kosmicznej choroby, polegającej na perwersyjnym rozmontowaniu ewolucji tworzycielskiej świata, będziemy nazywali "wspakulturą". Wspakultura jako wynik schorzenia kultury i człowieka jest ich pełnym przeciwieństwem, tak jak przeciwieństwo zdrowia stanowi choroba, ciemności – światło.

Wspakultura znamionuje się pełnym odwróceniem wszystkich podstawowych wartości kultury. To, co w kulturze jest dobrem, we wspakulturze musi być złem. To, co dla człowieczeństwa jest prawdą, pięknem, zasługą, cnotą, zwycięstwem, dla wspakultury oznacza kłamstwo, brzydotę, grzech, klęskę; i odwrotnie. W tym odwróceniu zasadniczych kryteriów tkwi coś głęboko wstrząsającego. Tym bardziej że wspakultura z perwersyjną lubością usiłuje od tysiącleci używać tych samych nazw i terminów, aby swoją nagość ukryć i swoje robaczywe "skarby" przemycać w dobrym opakowaniu świata kultury.

Odwrócenie wartości polega na wręcz przeciwnym pojmowaniu tego, co w życiu najważniejsze i najpożądańsze. W kulturze wartościowe jest to, co udział człowieka w jej forsowaniu wzmaga.

Ważna więc musi być pełnia dynamiki i tężyzny jednostki, owocność jej czynów, dobrobyt, potęga, namiętność pozytywnych dążeń, skuteczność narzędzi działania itp. Całkiem co innego jest wartością we wspakulturze.

Nie wytężone, owocne i czynne życie jest tu otoczone aureolą piękna, lecz jego przeciwieństwo: wola wegetacji, nieczynienie, spokój, czyste trwanie. Na miejsce szczęścia rozmachu i potęgi sprawczego działania - szczęście kwietyzmu, właściwe wieczystemu wrotowi. Zamiast szczęścia stwarzania - szczęście fizjologiczne. Wszyscy dekadenci w ciągu tysiącleci przeżywają swój rozkład zawsze w ten właśnie sposób. Najpierw czują gniotący ich grzech i niepokój, następnie rozpoczynają odczuwać słodycze wolności od wszystkiego, pieścić wizje szczęścia fizjologicznego, przeciwstawiać mu "straszliwość" świata, jego odpychającą bezcelowość i brzydotę. Wiedząc, czym jest wspakultura, rozumiemy, że tak być musi. W kręgu wspakultury idealnym, doskonałym człowiekiem będzie nie ten, kto jest najbardziej wydajny kulturowo, sprawczy, lecz ten, kto się "wstrzymuje", kto się "nie sprzeciwia", kto nie działa lub też działa w zakresie minimalnym.

Przyjrzyjcie się galerii "doskonałych", "silnych", świętych buddyzmu, hinduizmu, chrześcijaństwa, mahometanizmu. Im bardziej ktoś z tych świętych jest bezczynny, im bardziej tłumił swoje uzdolnienia, w tym wyższym stopniu uważa się go za "doskonałego". Najbardziej zaawansowani są ukazywani jako szczyty człowieczeństwa, godne zapalczywego naśladownictwa.

Mamy tu najbardziej dramatyczne przeciwstawienie się ewolucji człowieka: kultura i wszystko, co z nią stoi w związku, godzi jako "zło" i "grzech" w swojskie i uchwytne dla zdegradowanego umysłu dekadenta dążenie do szczęścia i spokoju. Złem jest to wszystko, co w wolę czystego trwania godzi, dobrem - co mu sprzyja. Rychło jednak dostrzega się, że "zło" nie jest czymś zewnętrznym w stosunku do człowieka. Każdy dekadent odkrywa, że "złe" popędy, dezorganizujące namiętności i upodobania, porywy i tęsknoty, mają korzenie w nim samym, że ciągle się wyłaniają z dna jego osobowości. Stąd też gniecie go poczucie "grzechu", czyli doznawania zła wewnętrznego, czysto osobowego.

U podstaw w ten sposób przenicowanych wartości znajdziemy zasadę naczelną światopoglądu wspaktworzycielskiego: swoiste pojmowanie istoty człowieka i człowieczeństwa. W świetle tej zasady człowiek też jest zadaniem do spełnienia, ale zadanie to polega na przeprowadzeniu operacji "uszlachetniającej" poprzez amputację kultury. Wychodzi się z założenia, że człowiek uległ skażeniu i tego skażenia za pomocą odpowiedniej operacji musi się pozbyć, stając się w ten sposób "doskonałym". Operację tę, która jest niczym innym jak permanentnym wyrywaniem się z naporu ewolucji tworzycielskiej, otacza się nimbem spełniania najwyższych wartości, realizacji dobra, prawdy i piękna.

"Cnota" we wspakulturze oznacza kierunki uzdolnień i warunki osobowe, dzięki którym najskuteczniej godzi się w fundamenty kultury. W procesie kultury cnota jest czymś wprost przeciwnym temu, co pod takim słowem przemyca wspakultura. Najlepiej je wyraża przeciwieństwo pojęć: bohater i święty. Co wspólnego jest pomiędzy cnotami odkrywcy, twórcy, bojownika, wodza - a pustelnika, św. Franciszka z Asyżu, św. Szymona Słupnika?

Podobnemu odwróceniu ulega pojęcie prawdy. W kulturze o prawdziwości czegoś decyduje jego owocność i pragmatyczna skuteczność. O prawdziwości konkurujących systemów politycznych, wychowawczych, filozoficznych rozstrzyga ich wydajność, czyli stopień płodności kulturowej.

Prawdziwe jest to, co przysparza mocy i dzielności, co wydobywa i utrwala siłę działania, skuteczność narzędzia, co wzmaga wolę życia, hartuje uczucia jednostki i mas. Natomiast w kręgu

wspakultury prawdą jest to, co ją wzmaga i utrwala, a więc to, co służy utrzymaniu się choroby człowieczeństwa. Prawdą więc jest zarówno szczęście kwietyzmu, jak i nicość i marność świata.

Wszystko, co się temu przeciwstawia, a więc kultura - musi być kłamstwem, złudą i fałszem. Według powyższych założeń postęp choroby przedstawia się jako osiąganie czegoś wyższego i lepszego. Unicestwienie samej istoty człowieczeństwa opiewa się jako zwycięstwo nad czymś niższym, podlejszym. W wyniku odwrócenia wartości amputacja taka wydaje się operacją uszlachetniającą i podnoszącą człowieka na wyższy poziom. Dalszą konsekwencją wspakultury jest zubożenie życia. Skoro usiłuje się przenicować życie, odwrócić wartości i w myśl nich urządzić rzeczywistość - zblaknięcie, ubóstwo skaleczonego człowieka wystąpi wyraziście na jaw. Nazywa się to "ofiarą" z wartości niższych, materialnych, na rzecz wyższych, bo "duchowych". Mamy tu do czynienia z odwróceniem ewolucji życia, powrotem do form wstecznych.

Ogólnie biorąc jest to proces odczłowieczania człowieka, rozmontowywania w nim tego, co stanowi jego awangardowość kosmiczną. Wynikiem schorzenia będzie karykaturalne obcięcie podstawowych atrybutów człowieczeństwa. Zamiast człowieka wspakultura stawia przed nami jako swój ideał jakieś kalekie straszydło. To, co ona nazywa "człowiekiem", okazuje się właściwie eunuchem kosmicznym. Wystarczy przeanalizować ideał "doskonałego człowieka", który wspakultura usiłuje hodować dziś jeszcze. Jeżeli człowiekowi amputujemy jego wyloty na świat kultury - cóż z niego pozostanie? A ten właśnie żałosny kikut przez tysiąclecia był żarliwie propagowany i hodowany.

Zarysowaliśmy ogólne kierunki rozwoju choroby kulturowej i zasadniczą przemianę w pojmowaniu wartości najwyższych. Wejrzeliśmy w inny, podobny do złośliwego grymasu, świat wspakultury. W tym przenicowanym świecie będziemy doszukiwać się ostatecznych, najprostszych elementów, które nie ulegają dalszemu zróżnicowaniu. Nazwijmy je "pierwiastkami wspakultury". Rozpad kultury zatrzymuje się po osiągnięciu tych pierwiastków, dzięki czemu otrzymujemy "odwieczne zasady" wspakultury. Są one powszechnie znane od narodzin wspakultury, tj. od dwóch i pół tysiąca lat co najmniej. Do nich odwołuje się każdy upadły człowiek. Otacza je nimbem "szczytów człowieczeństwa", a to powoduje, że wolno postępuje krytyczne zbadanie tych pierwiastków: zimna analiza ich charakteru i treści nie została dotychczas w pełni dokonana. Dzięki temu próchno uważa się za kwintesencję dobra, prawdy, piękna itd.

Stawiamy sobie za zadanie wnikliwą analizę podstawowych pierwiastków wspakultury. Nie będzie to zbyt uciążliwe, gdyż tych pierwiastków jest zaledwie sześć. Wyłaniają się one parami z poszczególnych kierunków rozpadu kultury. Nimi też zajmiemy się w następnych rozdziałach.

5. Chrześcijaństwo jako utajona wspakultura.

Teza tej pracy głosi, że chrześcijaństwo jest formacją wspakulturową. Degeneracja społeczeństwa w swoistej szacie historycznej pod znakiem krzyża - oto istota chrześcijaństwa. Oczywiście nie jest ono jedyną chorobą panhumanizmu. Znamy kilka epidemii tego typu: buddyzm, hinduizm, islam.

Tu będziemy się zajmowali tylko chrześcijaństwem. Ten sam proces rozkładowy człowieka i humanizmu przebiegł w kilku różnych cyklach historycznych. Chcemy więc zwrócić uwagę na jedność procesu chorobowego, odsuwając na bok drugorzędne akcesoria, które z pozoru wyznaczają "odrębność" chrześcijaństwa. Będziemy analizowali chrześcijaństwo od strony prawidłowości w przebiegu cyklu wspakulturowego, gdyż takim ono jest, niczym więcej. Punktem wyjścia cyklu wspakulturowej epidemii, którą znamy jako chrześcijaństwo, staje się radykalne odwrócenie podstawowych kryteriów. Było to czynione zupełnie nieświadomie, i tak jest po dziś dzień. Stąd też żywiołowość stanowi cechę znamienną tego przebiegu. Ale co to znaczy odwrócenie kryteriów? Znaczy to, że wszystko, co należy do kręgu panhumanizmu, do ewolucji tworzycielskiej, jest złem, a wszystko, co wynika z cyklu rozwoju wspakultury - dobrem. Podobnie też będzie z prawdą i fałszem, pięknem i brzydotą. I to daje podstawę, na której rozkwitło następnie chrześcijaństwo.

Zderzają się tu dwie przeciw sobie skierowane zasady naczelne, które odtąd stale ze sobą walczą.

Kto nie pojmie, na czym polega odwrócenie tych kryteriów, nigdy nie zorientuje się w chaosie zmagań ludzkich, toczących się od wieków. Jak już pisaliśmy, wspakultura rodzi się akurat w momencie, gdy "pierworodna ułomność" człowieka daje swój pierwszy owoc, polegający na rozszczepieniu organicznej jedni panhumanizmu. To stanowisko pozwala dostrzec, że równocześnie "narodziło się" zło wspakultury. Dla samej wspakultury natomiast złem jest właśnie panhumanizm, dlatego też wierzy, że istniał kiedyś czas, gdy tej szkarady w ogóle nie było, a dopiero "grzech pierworodny" zrodził zło geniuszu tworzycielskiego w człowieku, owe niepojęte namiętności. We wszystkim mamy tu przeciwieństwa najbardziej zasadnicze, z nich wykwita coś, co się zwie światopoglądem chrześcijańskim.

Po przyjęciu takich założeń rozpoczyna się montowanie życia opartego na zasadach wspakultury.

Oznacza to odwrócenie kierunku ewolucji ogólnej. W momencie jednak konstytuowania się tego kierunku panhumanizm nie istniał jeszcze jako coś wykrystalizowanego. Nie było więc mowy o tym, by można i potrzeba było przeciwstawiać mu jasne pojęcia, określone zasady ideowe, które są bronią w walce światopoglądowej. Dzięki temu zestalanie się nowego stylu życia odbywa się bez światła jasnych systemów teoretycznych, wyjaśniających, o co się walczy i co się chce urzeczywistnić. Montowano fundamenty posługując się intuicyjnym wyczuciem, zdążając do kwestii praktycznie niezbędnych: były nimi normy codziennego życia, kwestie postępowania i zachowania się jednostki ogarniętej rozpadem wspakulturowym. Normy moralno-etyczne, dające odpowiedź na pytanie: co czynić, stanowiły ośrodek zainteresowań przeciętnego dekadenta. To sprawia, iż same założenia wspakultury pozostały utajone, pomimo że na nich opierano cały gmach.

Łańcuch ogniw, który prowadził od podstawowych zasad do praktycznie ważnych norm etycznych, organizujących codzienne życie, nie mógł więc przebiegać jako logiczny ciąg rozumowań i odpowiadających im pojęć. Podobnie jak intuicyjnie wyczuwano fundamentalne zasady, takim też intuicyjnym wywodem doprowadzono do uformowania norm moralnych i nakazów etycznych chrześcijaństwa. Inaczej mówiąc - jasne sformułowanie norm etycznych chrześcijaństwa było w tych warunkach wyczynem niepospolitym. Ktoś, kto go dokonał, musiał być w oczach zachwyconych wspakulturowców boskim objawicielem. Gdyby wspakulturowcy krzyża nie mieli wyrazistych objawień, zapewne głowiliby się bardzo długo, nim doszliby drogą intuicyjną do swoich odwiecznych prawd. Tam, gdzie "nauki" wspakultury są głoszone w skończonej już postaci, każdy dekadent słysząc je doznaje olśnienia, poznając w nich swoje utajone Kredo. Przeskoczenie przez trudności, o których mowa, i ogłoszenie wprost gotowych wyników jako "objawionej nauki", tak bardzo pasującej do stanu duchowego każdego dekadenta, powoduje, że "nauki" te noszą znamiona szyfru, dostępnego tylko dla wtajemniczonych. Klucza umysłowego do nich brak. Nauki są objawione, wiszą w powietrzu i trzeba je przyjąć lub odrzucić. Dla tych, którzy wewnętrznie nie są do nich przygotowani, pozostają one szyfrem nie do odczytania. Takim też szyfrem stanie się cały światopogląd chrześcijański. Operując szyfrem dla poświęconych, można budować różne konstrukcje, im tylko dostępne.

Tam, gdzie odradzały się pędy zdewastowanego humanizmu, jak to było w Europie w wyniku Renesansu, brakło języka dla jakiegokolwiek porozumienia się. Stopniowo więc oddzielały się od siebie sprawy wiary i filozofii, wiary i nauki, a w końcu wiary i kultury w ogóle. Sprawa powoli dojrzewała do rozwikłania. Wiara chrześcijańska, będąca wykładnikiem wspakultury, w miarę tężenia ewolucji tworzycielskiej musiała być spychana na boczne tory, gdyż intuicja trafnie wskazywała, że jest ona pełnym przeciwieństwem każdego postępu kultury. Nastąpiło tu jednak doniosłe powikłanie: chrześcijaństwo, jak i każdy zespół wspakultury, opanowawszy jakiś naród, warstwę społeczną, jest kategorią walczącą i jako taka chwyta się środków skutecznych w tej walce.

Powstało więc zagadkowe z pozoru zjawisko, że wspakultura, sama będąc jałową i wrogą postępowi kultury, jednocześnie umie w perwersyjny sposób wykorzystywać cudzy dorobek, o ile

dostrzeże jego pozytywną siłę, jako narzędzie dla swego utwierdzenia się. Poziomy szybko się wyrównywały pomimo jałowizny społeczeństw ogarniętych wspakulturą i ich nieubłaganego więdnięcia cywilizacyjnego. Perwersja wspakultury w tej dziedzinie ma wielkie znaczenie. Dzięki niej może choroba szminkować się i utajać swoją istotę. A to z kolei stabilizuje jej wpływy i zasięgi.

Trzeba przeto sięgnąć do dna rzeczy i wykazać, jak się sprawy mają w rzeczywistości.

Zdemaskowawszy chorobę wspakultury, przyśpieszymy jej sczeźnięcie, uzdrowienie ogromnych płatów energii ludzkiej, wyniszczanej przez kosmicznego upiora.

6. Drogi rozszyfrowania istoty chrześcijaństwa.

Ażeby wykazać, jak dalece chrześcijaństwo trzeba uważać za formację wspakulturową, będziemy zdążali do wyjaśnienia jego utajonych podstaw. Dzięki krystalizacji idei posłannictwa człowieczego uzyskujemy punkty oparcia dla naświetlenia jego przeciwieństwa, czyli wspakultury. Teoria wspakultury jest tylko wnioskiem dedukcyjnym z ogólnej teorii kultury i panhumanizmu.

Zobaczymy, że przesłanki, na których spoczywa wspakultura, doskonale utożsamiają się z tym, co stanowi fundament chrześcijaństwa. Zasady wspakultury, wysnute z teorii panhumanizmu, pokrywają się z intuicyjnie uformowanymi zasadami chrześcijaństwa, umacnianymi przez najwyższe autorytety w ciągu 2000 lat. Okaże się wówczas, że wypowiedzi synów bożych, doktorów Kościoła i świętych nie były wcale jakimiś majaczeniami, jak to usiłowali przedstawiać różni naiwni ateiści, zbuntowani niedowiarkowie i wrogowie krzyża.

Następnie rozsupłaniu ulegnie niezrozumiały z pozoru bełkot różnych wielkich moralistów, a wtedy ujrzymy, iż bełkot ich był tylko logicznym rozumowaniem wykwitającym z zasad wspakultury – dla nich bezspornie świętego źródła prawdy. Usuniemy trudności terminologiczne, a wówczas niezliczone rozprawy teologów nabiorą rumieńców życia. Wszystko się stanie jasne i proste. Świat wierzeń chrześcijańskich przestanie być czymś obcym i niepojętym dla ludzi zwróconych do kultury i nauki. Najważniejsze jednak to uchwycenie istoty prawd objawionych, ogarnięcie naszym umysłem tego, co stanowi ich treść. Staną się one dla nas czymś zrozumiałym i zadziwiająco logicznym. Rozwieje się tajemniczy mrok, który dotychczas otaczał objawienie, gdyż wyraźnie dostrzeżemy ciągłość, idącą od zasad fundamentalnych chrześcijaństwa, z niej zaś wydedukujemy potwierdzenie w całej rozciągłości norm moralno-etycznych krzyża. To, co dotychczas było szyfrem dla wtajemniczonych, stanie się jasnym językiem dla wszystkich. Dostępne też będą dla nas tajniki teologii moralnej, tak niesłusznie lekceważonej przez naukę współczesną.

Razem zaś dokonamy dzieła, o które tak wielu się starało na próżno: włączymy chrześcijaństwo do nauki. Być może zrobimy to nieco inaczej, niż byłoby pożądane dla zwolenników chrześcijaństwa, niemniej jednak usuniemy wiekowy przedział pomiędzy wiarą a wiedzą. Chrześcijaństwo zostanie wmontowane w takie ramy pojęciowe, które wszystkie jego wielkości udostępnią badaniu naukowemu. To, co było dotychczas niewidoczne, nieuchwytne, wskutek wprowadzenia właściwych kryteriów zyska jasność i wyrazistość. Oczywiście, dokonujemy w tej pracy dopiero inauguracji właściwego dzieła. W każdym bądź razie rozszerzamy krąg nauk humanistycznych, włączając doń jako przedmiot badania zjawę wspakultury. Tym samym i chrześcijaństwo znajdzie się pod mikroskopem. Obrońcom chrześcijaństwa pozostanie tylko negowanie tożsamości zasad wspakultury i prawd odwiecznych. Jak zobaczymy z dalszego toku niniejszej pracy, nie będzie to łatwe.

Rozdział II. Personalizm chrześcijański.

1. Personalizm jako pierwiastek wspakultury.

Pierworodna ułomność człowieka sprawia, że rozmach tworzycielski utyka w jakimś punkcie i w wyniku mamy zamarcie procesu kultury. Na wspaniałe perspektywy ewolucji tworzycielskiej zapada nieprzenikniona kurtyna. Tym samym świat staje się nagle czymś zupełnie innym. W tym

świecie, raptem skurczonym, kalekim, próbuje osierocony człowiek jakoś przetrwać, zadomowić się. Równoznaczne to jest z rozstrojem i dewastacją tego wszystkiego, cośmy opisali jako istotę panhumanizmu. Jak już mówiliśmy, poszczególne człony panhumanizmu przemienią się w izolowane kikuty, czego wyrazem będzie wyzwolenie się biologii ludzkiej z jej funkcji w ewolucji kulturowej i powrót w stare łożysko wieczystego wrotu. To zwrot w labirynt wspakultury. Nie jest on czymś tak prostym. W konsekwencji zwrot ten przynosi oderwanie się od kultury, wyrwanie się z organizmu panhumanizmu, co oznacza zniweczenie podstawowych dyspozycji tkwiących w człowieku. Wtłoczyć człowieka w takie łożysko to znaczy zerwać głębokie wiązania, stanowiące zrąb osobowości ludzkiej. Trzeba wówczas przebudować do gruntu istotę człowieka, jego wrodzone dyspozycje emocjonalne, umysłowe itd. Operacja ta wszędzie tam, gdzie wystąpiło schorzenie wspakulturowe, narzuca się jako nieubłagana konieczność. Na tym tle powstaje nowa, specyficzna świadomość.

Konsekwencje choroby w odniesieniu do biologii ludzkiej są niezmiernie prawidłowe. Ich napór z matematyczną precyzją spycha kalekiego człowieka ku jego kresowi, którym jest forma istnienia najbardziej niewinna, najspokojniejsza, najbliższa ideału szczęścia fizjologicznego. Biologia człowiecza jako nagi fakt żywego ciała, pozbawionego wylotów na dalsze cele - w sobie, w swym istnieniu szuka uzasadnienia bytu. A w tym zakresie panują stare prawa szczęścia fizjologicznego.

Prawo to najpełniej wyrażają twory żyjące rytmem "kwiatów i motyli". Pełną uroku wydaje się wówczas biologia łagodna, ustępliwa, jaką reprezentują ptaszki, rybki, baranki. Dysonansem natomiast tchnie bujna energia drapieżnych wilków i tygrysów. Wystarczy spojrzeć w historię, ażeby znaleźć niezliczone przykłady potwierdzające naszą tezę. Wszak to "biedaczyna z Asyżu" wśród tworów przyrody najbardziej upodobał sobie rybki, jagnięta i gołąbki, wygłaszając do nich natchnione kazania, wywołujące zachwyt u wszystkich dekadentów.

Dzięki pojęciom z teorii wspakultury wiemy, że są to przejawy bardzo istotnych procesów rozpadowych. W tych z pozoru niewinnych i romantycznych igraszkach przejawia się wytężony wysiłek pozbywania się zrostów biologii człowieczej z żywą aparaturą panhumanizmu. Mamy tu do czynienia z pracą wyrywania się biologii człowieczej z organizmu ewolucji tworzycielskiej świata.

Są to etapy realizowania się ciągot do błogości czystego trwania. Dominującym uczuciem jest tu pragnienie wyzwolenia się, uzyskania swobody. Swobody czego? Biologii człowieczej pozbawionej ciążących więzów panhumanizmu. Jest to pragnienie wolności negatywnej, nieświadomej, wolności od czegoś i od wszystkiego. Stan pełen nieokreślenia, pustoty i niewinności. Ktoś nazwał to stanem duchowego dzieciństwa. Są to refleksy odrywania się człowieka od kulturowej kondygnacji świata.

Stąd też osiąganie stanu zluźnienia wszelkich napięć duchowych i fizycznych, upajające doznanie pustoty, niewinności, nieodpowiedzialności, rysuje się dla świadomości wspakulturowej jako zdobywanie upragnionego "królestwa bożego, które jest w nas". Tęsknotą do tego stanu psychicznego oddychają wszyscy dekadenci w ciągu wieków, że wymienimy tylko objawienia Buddy, Chrystusa, Epikura, Mahometa, św. Franciszka, Tołstoja itd.

Kresem takiej ewolucji jest osiągnięcie stanu szczęścia fizjologicznego, umożliwionego poprzez amputację powiązań z panhumanizmem. To operacja wewnętrzna, emocjonalna, równoznaczna z odczłowieczeniem człowieka. Koroną tej operacji jest osiągnięcie stanu, w którym odczłowieczony człowiek może bez zahamowań i powikłań wewnętrznych sycić się czystym trwaniem i szczęściem fizjologicznym. Wówczas to widzi się świat w niezmiennej idyllliczności wieczystego wrotu.

Upatrywanie w równowadze ładu naturalnego - ostatecznego kształtu świata, lęk przed dynamizmem kultury, pogodzenie się z wieczystością form trwania wyznaczają zasadnicze widzenie świata, wiążące z kolei wszelkie poruszenia psychiki ludzkiej.

Jest to pełne przeciwieństwo doznań właściwych zdrowej i nie skażonej wspakulturą psychice ludzkiej. Psychika człowieka doznaje pełni szczęścia i mocy tylko w ciągłości procesu kultury, a ten polega na niezmordowanej pracy przeistaczania energii ładu naturalnego w nową postać potęgi.

Osobowość człowieka w ewolucji tworzycielskiej skupia w sobie jak w soczewce historię ludzkości zmagającej się z trudnościami swego posłannictwa. Bohaterski stosunek do bytu scala ciągłość pracy w jednię, której elementami są idee i cele, środki i narzędzia dziejowej akcji. Jest ona zawsze skierowana na wiązanie energii żywiołów w teraźniejszości za pomocą wytworów kultury, będących historycznym dziedzictwem. Całkiem inaczej odczuwa świat i życie osobowość spreparowana w sposób wyżej opisany. Nie ma tu miejsca dla patosu wytężonej pracy, budowania posłannictwa człowieczego. Dla jednostki wyrwanej z trzewi kultury są to problemy obce, a nawet groźne. Jedynym oczywistym konkretem jest dla niej fakt istnienia jej ciała i to, co jej ciało warunkuje - instytucja rodziny. Człowiek ulega tu skurczeniu do wymiarów powłoki cielesnej.

Groteskowość tych wymiarów stanowi nieuniknioną konsekwencję odcięcia się od panhumanizmu.

Trzeba zdobyć się na pewien wysiłek umysłowy, by ogarnąć istotę groteskowego kalectwa, któremu zostaje poddany człowiek. A mimo to ten śmieszny kikut czuje się ciągle "człowiekiem".

Kikut człowieczy tego pokroju jest jednym z produktów konsekwentnego rozkładu panhumanizmu.

To dno upadku, poza które wykroczyć nie można. Ponieważ dalszy rozkład jest niemożliwy, kikut staje się wielkością pierwiastkową, ostateczną. Osobowy kikut, trwając w zamarłym świecie, ma tylko jeden kierunek akcji: swoje kalekie istnienie uznać za jedyny, najwyższy cel, uzasadnienie wszelkich zabiegów. Nic innego mu nie pozostaje. Tam, gdzie ewolucja tworzycielska świata jest zahamowana od podstaw, dla bezradnego umysłu nagi fakt biologicznego istnienia narzucić się musi jako korona wszelkich dążeń. I to nazwiemy personalizmem. Istota personalizmu polega na tendencji do uformowania życia zakładającej widzenie człowieka wolnego od służby na rzecz kulturowego dzieła, człowieka zdążającego do spokoju czystego trwania, mającego za ideał niezmąconość liryki trawienia od wewnątrz i idyllicznośc zastoju na zewnątrz. Inaczej mówiąc - personalizm to wola niezmąconej wegetacji jednostki, pragnienie unikania wszystkiego, co tę wegetację mogłoby zmącić; to wolność od napięć wewnętrznych, rozsadzających równowagę "ja", to wolność od naporu sił z zewnątrz w postaci dzieł kultury i obowiązujących zadań historycznych.

Personalizm więc jest to wola czystego trwania biofizjologicznego jednostki.

W ten sposób formułuje się styl życia, u podstaw którego znajdujemy szczęście pojmowane jako stan odprężenia, statyki, czystego trwania. Jest on pełnym przeciwieństwem panhumanizmu i oznacza radykalny rozbrat z kulturą. Każdy personalista wie, że są to zasady najbardziej sobie przeciwstawne i wrogie. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę Chrystus jako objawiciel wspakultury, a więc i personalizmu: "Nikt nie może dwom panom służyć; bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował, albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi" (Mt 6, 24).

Na właściwej drodze znajdują się ci, którzy widzą świat w kategoriach personalizmu: "Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię" (Mt 5, 5).

Stąd płynie ostrzeżenie dla tych, którzy tak lub inaczej są uwikłani w sprawy marnego świata historii i zgubnych igraszek panhumanizmu: "A nie czyńcie się podobnymi temu światu, ale przemieniajcie się w odnowieniu umysłu waszego..." (św. Paweł, Do Rzymian, 12, 2).

Personalizm żyje nadzieją znalezienia upajającego szczęścia fizjologicznego na drodze wyrugowania wszystkiego, co łączy kikut człowieczy z kondygnacją kulturową. W trakcie realizowania tego ideału zderza się z wrogimi siłami, zamącającymi jego szczęście. Oczyma swej

tęsknoty widzi on stan, którego osiągnięcie będzie równoznaczne z tym szczęściem. Wierzy on, że taki stan już kiedyś istniał, i doń chciałby powrócić. "Kroniki wszystkich ludów zgodnie świadczą, że wiara w pierwotną niewinność i szczęśliwość człowieka była powszechną w rodzie ludzkim; że pierwszy wiek był wiekiem złotym: aurea prima sata est aetas" (ks. Franciszek Mikołaj Besson, Bóg-Człowiek, s. 34).

Tęsknota personalizmu rysuje ów stan w pociągających kolorach sławetnego raju: "Pierwsi rodzice nasi używali w Raju wszystkiego, co tylko istoty rozumne zadowolić może: koło nich świat poddany ich rozkazom, przed nimi życie na ziemi pełne rozkoszy i szczęśliwość wieczna, pełna niewysłowionych uciech w Niebie; ponad nimi ojciec niebieski przypatrujący się im z miłością niewysłowioną. W niebie i na ziemi panowało szczęście i wesele" (ks. Joseph Deharbe, Nauki katechizmowe, Poznań 1886, s. 137).

Oczywiście nie było tam sił burzących, z którymi personalizm styka się dziś stale, dzięki czemu nie może on osiągnąć szczęśliwości: "Pierwsi także rodzice nasi w najpierwszym udziale odebrali wolność przy niewinności obyczajów, iż żadnej w sobie do złego nie czuli pobudki, a z wielką ochotą i wszystkie dobre czynić mogli sprawy... Pierwsi rodzice po skosztowaniu owocu zakazanego oraz wypadnięciu z łaski bożej, ciężką duszy i ciała niemocą złożeni zostali, i wraz do pychy, łakomstwa, gniewu, pożądliwości i wszelkich grzechów skłonność i porywczość w sobie odczuli. A co za tym koniecznie idzie, i śmierci jako kary powinnej uznali się być winnymi, nie tylko sami, lecz i ze wszystkimi potomkami swoimi" (ks. Michał Ignacy Wichert, Nauki katechizmowe, s. 51).

Ciążenie do szczęścia fizjologicznego jest burzone z dwóch stron. Z jednej uderzają siły właściwe panhumanizmowi, zdezorganizowane impulsy woli tworzycielskiej, które w warunkach ustania procesu kultury występują jako "burzliwe instynkty", z drugiej zaś - siły tajemniczego i wrogiego świata zewnętrznego. Zdezorganizowaną aparaturę woli tworzycielskiej w swej psychice nazwał personalista produktem "grzechu pierworodnego". Zagadkowa to siła, gdy patrzymy na świat przez okulary wspakultury.

"Nauka o grzechu pierworodnym jest jedną z tych prawd religii naszej, o której niewątpliwie wierzyć powinniśmy, lecz jej dochodzić i pojmować dostatecznie nie możemy" (jw.).

Grzech pierworodny jest potęgą, którą trzeba przyjąć jako coś danego z góry, co tylko dogmat może wyjaśnić.

"Wszystkie tradycje starowieczne mówią o wielkim i fatalnym upadku. Jest to najpierwszy upadek, ów grzech pierworodny, o czym Kościół naucza jako o dogmacie, a nikt o nim wątpić nie może, ponieważ jest to fakt, którego znamiona wszędzie spotykamy, wszędzie znajdujemy ślady opłakanych nieszczęść, jakie za sobą pociągnął... Zło wyszedłszy raz ze swego źródła, roztacza swoje wylewy z niczym nie powstrzymywaną gwałtownością; ludzie, raz popadłszy w bezprawie, lecą w coraz głębszą przepaść nieprawości" (ks. F. M. Besson, op. cit., s. 37).

Oprócz wrogich sił od wewnątrz w ideały personalizmu biją siły świata zewnętrznego. Osłona przed ciosami "świata" to inny kierunek zainteresowań personalizmu. Przed tymi ciosami chroni się on w ten sposób, że stara się zredukować swoje zasięgi, skurczyć się, uczynić się najmniejszym, najpokorniejszym.

"Kto umie postępować według wewnętrznych natchnień, a na zewnętrzne rzeczy mało zważa, temu wszelkie miejsce i wszelki czas dobre... Człowiek wewnętrzny wnet może zebrać się w duchu, bo nigdy nie rozprasza się na zewnątrz. Nic mu nie zawadza, ani praca zewnętrzna, ani zatrudnienie przywiązane do czasu: lecz on stosuje się do wszystkiego co się nadarza. Kto się wewnątrz dobrze usposobi i urządzi, ten nie zważa na dziwne i przewrotne sprawy ludzkie. O tyle człowiek doznaje roztargnień i przeszkód, o ile przywiązuje się do rzeczy zewnętrznych... Nic tak nie kazi i nie wikła serca ludzkiego, jak zmysłowe zamiłowanie w stworzeniach" (Tomasz á Kempis, O naśladowaniu Chrystusa, II, 1, 7, 8). Inaczej mówiąc - uciekajmy od świata, nie wiążmy się z nim. "Nie bądźcie

podobnymi temu światu, chrońcie się przed nim. Unikając, żyje dusza, a pożądając, umiera" (św. Augustyn, Wyznania, XIII, 21).

Jasne jest przy tym, że personalizm, rozbrajając człowieka, skazuje go tym samym na pastwę losu i nie kończące się klęski. Są one nieubłaganą konsekwencją personalizmu. Stąd "bojowe" hasło personalizmu brzmi: uczynić się najmniejszym, najpokorniejszym, najustępliwszym, a najlepiej pogodzić się z lawiną cierpień i poniżeń, przyjmując je jako coś, co personaliście należy się z tytułu jego "wyższości" nad marnym światem i jego sprawami. Prowadzi to do naturalnego uczucia nędzy istnienia, lekceważenia życia, skoro ono musi organicznie kojarzyć się z poniżeniem i bólem.

"Niestety! czymże jest to życie, w którym utrapienie i nędza nigdy nie ustawają, w którym zewsząd jest pełno sideł i nieprzyjaciół. Bo skoro jedna dolegliwość lub pokusa ustępuje, wnet druga nadchodzi, a nawet gdy jeszcze z pierwszymi bój nasz nie ustał, wiele już innych niespodzianie na nas uderza. I jakże można polubić to życie napełnione tylu goryczami, tylu klęskom i nędzom podległe? Jakże nawet nazwać życiem to, w czym się wyradza tyle chorób i śmierci?" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 20, 3, 4).

Tak pesymistyczna ocena wartości życia jest uświadomieniem wynikającym z długich doświadczeń personalizmu. Na tym tle możemy zestawić ze sobą to, co jest treścią indywidualizmu, zestaloną w rozwoju cywilizacji zachodniej, z personalizmem. Są to rażące przeciwieństwa. Indywidualizm polega na ekspansji osobowości w wymierny historycznie świat, na woli władztwa i mocy, wyrażających się w rozwoju i kształtowaniu jakiegoś odcinka rzeczywistości. Organizacja wewnętrzna osobowości pod kątem jej wydajności i sprawności na zewnątrz jest tu etapem wstępnym dzieła. Gdy zestawimy to z personalizmem, który usiłuje amputować "wewnętrzne zło" po to, aby móc zredukować swój obszar zasięgów na zewnątrz i trwać w spokoju, zrozumiemy głębię przeciwieństw dwóch światów.

2. Światopogląd personalizmu.

Kikut osobowy, stanowiący podstawę personalizmu, dzięki swojej "fotogeniczności" jest osnową, na której wznosi się odpowiedni światopogląd. Każdy pierwiastek wspakultury, czerpiąc siły ze swojego twardego dna, usiłuje dać sobie właściwe widzenie świata. Obraz świata stąd wysnuty będzie specyficzny. Da on zarys struktury bytu, miejsca w nim człowieka i określi cele najwyższe personalizmu, oznaczając, co jest dobrem, a co złem. Z tym światopoglądem stykamy się stale.

Wycisnął on swoje piętno na historii ludzkości, oddziałuje dziś w każdej chwili. Trzeba to tylko dojrzeć. Trudnością w odkryciu jego zasięgów jest zrośnięcie się z innymi pierwiastkami wspakultury. Spróbujmy ten mętlik nieco rozwikłać.

Jaki musi wydawać się świat, jak postrzega się jego strukturę ze stanowiska personalizmu?

Pierwsze, co się narzuca, to logiczne stwierdzenie, że świat jako całość jest pozbawiony momentu rozwojowego. Stałość form bytu, statyka, wynika apriorycznie z odruchowych doznań personalizmu. Człowiek spreparowany przez personalizm tak, jak to już mówiliśmy, utracił zdolność odczucia, a tym bardziej przerzutu rozmachu tworzycielskiego na otaczające go żywioły ładu naturalnego. Tym samym niepojęta musi być dlań plastyczność tych żywiołów, ich życzliwa gotowość poddania się obróbce. Wręcz przeciwnie: dominuje w nim odczucie sztywności i skamieniałości świata, skąd rodzi się przekonanie o niezmienności form bytu i bezcelowości prób jego zmiany. Takie doznanie oznacza pełne przeciwieństwo czucia zdrowego człowieka. Tam, gdzie człowiek jest włączony w tok ewolucji tworzycielskiej lub usiłuje w niej pozostać, jak to się dzieje z każdą bujną młodością, świat i "ja" są tożsamością, odczuwaną w bardzo żywy sposób. Jedność "ja" i świata kulminuje w przeświadczeniu, że razem tworzą organizm rozwijający się ku jakimś wyższym, wspaniałym formom, w których bierzemy udział poprzez nasze twórcze wytężenie.

Gdyby młodość została pozbawiona tego naturalnego odczucia, straciłaby ona naraz prawie cały swój urok. Czuje ona, że natura jest jednorodna, dająca się objąć jednym prawem, a dalej – że można ją przeistoczyć w kształt dzieła kultury. Intuicja panhumanizmu widzi monizm ewolucji tworzycielskiej, zarys jedności człowieka i natury, ducha i materii, złączenie się wielości istnień w jednię, stojącą u kresu przeistoczeń. Takie odczucia są najzupełniej obce personalizmowi. Nie jest on zdolen odczuć pulsującej jedni dzieła, którym jest posłannictwo człowieka, wręcz przeciwnie: zamiast doznania stającej się jedni świata narzuca się mu przemożne odczucie rozszczepienia bytu, które zamyka w stwierdzeniu dualizmu. Koncepcja dualizmu okazuje się koniecznym wnioskiem z konstatacji, że świat jest sztywny i skamieniały. Każde doświadczenie życiowe podsuwa umysłowi personalisty stwierdzenie, że w świecie, w którym on żyje, istnieje cząstka jemu dogadzająca, obok czegoś sztywnego, wrogiego. To, co jemu dogadza, jest nikłe, chociaż tylko ono uznane zostaje za "godziwe". Reszta to świat niewspółmiernie oporny, pełen niespodzianek i obcości.

Na takim fundamencie można już zestalić wyobrażenie o istocie człowieka. Skoro świat jest stały, niezmienny, a jednocześnie dualistyczny, a więc składający się z części "godziwej" i "straszliwej", podobny będzie się wydawał człowiek. Jak już wiemy, "człowiek" personalizmu nie jest twórcą ani zdobywcą, gdyż niczego zdobywać ani tworzyć nie chce; nie jest awangardą stającego się świata, gdyż od świata się odwraca. Pragnie tylko szczęścia fizjologicznego, a to uzyskać może tylko trwając w zaciszu i statyce. Czym więc jest człowiek? Istotą dążącą do cichej radości istnienia, odczuwającą defekt demonicznego rozszczepienia bytu w sobie i poza sobą, zmierzającą poprzez stosowanie rozumu do usunięcia defektu.

Stąd wynikają naczelne cele życiowe, dające klasyfikację dobra i zła, a więc rzeczy, do których należy dążyć, i tych, których należy unikać. Dobrem warunkującym szczęście fizjologiczne jest więc upajający stan "niewinności", spokoju, beztroski, wolności od wszystkiego. To dobro wewnętrzne, do jego osiągnięcia należy dążyć. Takie dobro otwiera wylot na pustkę absolutnego spokoju, czystego trwania i szczęścia fizjologicznego. Trwać spokojnie - oto cel. Gdy więc zapytujemy personalistę, po co żyje, z zasady pada odpowiedź: po to, aby żyć - oczywiście bez kresu i bólu. Czasem ta formuła ulega niewielkiemu rozszerzeniu: po to, aby wychować dzieci, które będą czynić to samo.

Ale istnieje kłopot, i to poważny: siły zamącające drogę do dobra. Godzą one w "człowieka", oddalają wyśnione "dobro". Te siły to oczywiste zło. Znamienne przy tym, że "zło" jest niesłychanie potężne, wszędobylskie i dokuczliwe w tym stopniu, że prawie uniemożliwia zbliżenie się do "dobra". Potęga "zła" tkwi zarówno w piersi człowieka - sławetne zło wewnętrzne - jak i w rozszczepionym świecie zewnętrznym, w którym hulają dzikie, niszczące wichry.

Oczywiście do personalizmu nie może mieć przystępu świadomość, że owo "zło" są to zdezorganizowane człony aparatury panhumanizmu, z której jego kaleki "człowiek" usiłuje się wyrwać, raniąc się tym bardziej, im radykalniej to czyni.

Jedynym wytłumaczeniem musi być koncepcja jakiejś kosmicznej katastrofy w dalekim raju personalizmu. Odtąd rozpoczyna się pochód niepojętego zła.

"Pierwsi rodzice w raju upadli... Otworzyły im się oczy, aby widzieli cały ogrom nieszczęścia swojego i otchłań niezmierzoną upadku swojego. Pali ich lica i pali ich serca uczucie wstydu... W ciele zmysłowość podnosi się naprzeciw woli, ciało naprzeciw duchowi" (ks. J. Deharbe, op. cit., s. 141).

Świat stał się odtąd wrogi i niegościnny, pomimo nieskończonej dobroci Stwórcy.

"Potem zaś praca... zmieniła się w przykrą konieczność, jako pokuta za grzech. »Przeklęta będzie ziemia w dziele twoim, w pracach jeść z niej będziesz po wszystkie dni żywota twego« (Gen 3, 17). Tak samo nie będzie końca i innym przykrościom doczesnym..." (Leon XIII, encyklika Rerum novarum, Kraków 1933, s. 45).

Zgiełkliwe namiętności w sercach ludzkich, napierające gwałtownie, wraz z falą groźnych zakusów świata, oto dwa fronty świata, które godzą w dobro personalizmu. Walka z tym złem - oto naczelne zadanie. Gdyby zło zostało zwalczone, na świecie pozostałoby już tylko samo dobro, a więc i niewysłowione szczęście dla kikuta człowieczego. Na tych założeniach opiera się koncepcja strategiczna personalizmu. Zobaczymy to poniżej.

3. Etyka personalizmu.

Po ustaleniu zasad światopoglądowych, istoty "człowieka", celów najwyższych, nadto wydzieleniu dobra i zła, przed personalizmem staje wielki problem realizacyjny: jak wyrugować zło, by osiągnąć dobro bez reszty? Przed tym samym problemem staje każdy personalista w czasie i przestrzeni. Każdy z nich, dziś, za sto lat, tysiąc lat wstecz, zawsze ma do rozwiązania te same trudności. Personalista w czasie najazdów Attyli jako członek społeczności rzymskiej czy też jako chłop za czasów Karola Wielkiego, czy jako kulis w Szanghaju, niewolnik w Zanzibarze, kolejarz w Paryżu itd. zawsze pragnie "dobra", którym jest "niewinność" czystego trwania fizjologicznego.

Lecz owo wyśnione szczęście kwiatów i motyli ustawicznie burzy interwencja "zła". Trzeba więc zwycięsko się z nim rozprawić, a wtedy świat będzie domeną dobra.

Podobnie jak dobro, tak i zło dla wszystkich personalistów w czasie i przestrzeni jest jedno i to samo. Definiują oni "zło" zawsze w ten sam sposób. Wypadając z wiązań panhumanizmu, kaleki człowiek widzi uniwersalną przyczynę swego bólu, czyli "zło", zawsze jednakowo. Personalista czuje, że żywioł emocjonalny tkwi w jego ciele, w jego krwi, że pociąga go w jakimś kierunku, i trudność osiągnięcia "dobra" polega właśnie na tym, żeby od tego tajemniczego źródła bodźców się odciąć, zagłuszyć ich wołanie. A obok tego drugi front zła - niespokojny żywioł historii, czyli środowiska powstałego z nagromadzenia się oderwanych inicjatyw, pole "instrumentarium", czyli marny, zgiełkliwy świat. Gdyby się udało ugodzić w zło wewnętrzne i odizolować się od zła w świecie zewnętrznym, dobro uniwersalne zatryumfowałoby niepodzielnie. Do takich stwierdzeń dochodzi każdy personalista; lub też intuicyjnie czuje, że akcja winna się odbyć w ten sposób. To samo dotyczy personalizmu chrześcijańskiego.

Założenia, które wyłożyliśmy powyżej, w kręgu chrześcijaństwa są utajone, niewidoczne.

Natomiast problematy zwalczania zła, a więc problemy etyczne, dedukcyjnie wynikające z tych właśnie założeń, zajmują bardzo poczesne miejsce. Dopiero na podstawie łańcucha tych uniwersalnych przesłanek możemy docenić prawidłowość i precyzję etyki chrześcijańskiej. To, co było intuicyjne, dogmatyczne, staje się ponadto logiczne, prawidłowe i naukowe. Odtwarzamy ciągłość ogniw myśli chrześcijańskiej, wykazując, że zasady etyki chrześcijańskiej, a w szczególności personalizmu chrześcijańskiego mają solidne podstawy, ugruntowane we wspakulturze. Ażeby to udowodnić, będziemy posługiwać się wypowiedziami autorytetów chrześcijańskich wszystkich wieków, małych i wielkich, gdyż wszędzie mamy ten sam trzon wspakulturowy.

"Łatwość natychmiastowego pojmowania pewnych oczywistych założeń oraz pierwszych podstawowych zasad zarówno spekulatywnych jak i praktycznych - to typowy przykład sprawności naturalnych. Tego rodzaju łatwość w ujmowaniu założenia np., że całość jest większa od części, czy zasady, że dobro czynić - zła unikać należy, znamionuje wszystkich ludzi... Jeśli znowu w tej dziedzinie sprawności podstawowych skierujemy badanie na teren, naturalny wprawdzie, lecz bardziej duchowy, zauważymy (niestety) - jedną sprawność złą, którą mamy od urodzenia: jest nią grzech natury ludzkiej, czyli grzech pierworodny (Habitus corruptus)" (ks. prof. A. Borowski, Teologia moralna, Włocławek 1945, t. II, ss. 20, 21).

Szczególnie instruktywne są pisma ojców Kościoła, formułujących etykę wspakultury edycji chrześcijańskiej. Według św. Augustyna: "Grzech jest to słowo, albo czyn, albo pożądanie wbrew odwiecznemu prawu". Zaś Jan Kasjan ujmuje rzecz następująco: "Cokolwiek więc mogłoby zamącić czystość i spokój duszy naszej, tego powinniśmy unikać jako rzeczy szkodliwej, choćby się zdawało

nie wiem jak pożyteczne i konieczne. Trzymając się tego prawidła nie będziemy rozpraszali się i błąkali po błędnych rozdrożach" (Jan Kasjan, Rozmowy, I, 7).

Jak widzimy, grzech polega na pokusie wkładu "ja" w ewolucję tworzycielską świata poprzez czynne wytężenie, pragnienie odegrania jakiejś pozytywnej roli, zdobycie znaczenia, sławy, uznania. Razem to nic innego jak tylko grzech pychy. Tego rodzaju "grzechy" występują w jaskrawym świetle, gdy je zestawimy z wizją dobra personalizmu. System wartości personalizmu staje się wówczas bardzo plastyczny.

"Bo cóż innego jest pycha, jak nie miłość własnej wyższości. Przeto nawzajem możemy powiedzieć, że pokora jest pogardą własnej wyższości... Kto więc chce prawdziwie poznać siebie, potrzeba żeby wyrzuciwszy tram pychy która zakrywa światło przed oczyma... poznał siebie w samym sobie... ci którzy poznali siebie i nicość swoją muszą pogardzać tym co dotąd kochali. Mają bowiem siebie przed oczyma, sami siebie wstydzić się muszą" (św. Bernard, Pisma, IV, 14, 15).

Grzech więc przekreśla dążenie do dobra, unicestwia naczelne prawa personalizmu, objawione przez Opatrzność.

"Grzech jest powstaniem przeciwko prawodawczej mądrości Bożej, przeciwko Jego najwyższej władzy; jest wzgardą Jego sprawiedliwości, buntem przeciwko ustanowionemu przez Boga porządkowi... grzech jest... przewróceniem zasadniczego porządku w świecie, obrazą Boga" (O. Tillman Pesch, Chrześcijańska filozofia życia, Kraków 1930, t. I, s. 198).

Zwalczenie grzechu byłoby więc akcją odcięcia się od źródła zła, autonomizacją "ja" personalizmu wobec dezorganizujących namiętności i marności świata. Należy więc zwalczyć pychę i miłość świata.

"Uciekaj przed wszelkim złem i przed wszystkim co do niego podobne. Nie bądź gniewliwy" (Nauka dwunastu apostołów, III, 1).

Akcja przebiega w kręgu poruszeń emocjonalnych psychiki dekadenta. Każdorazowo dążymy do osiągnięcia pewnego stanu emocjonalnego, który oznacza zwycięstwo nad grzechem. Taka zwycięska pozycja nazwana została cnotą. W mozolnych zmaganiach wewnętrznych dążymy zawsze do pokonania grzechu, czyli do osiągnięcia stanu moralnego, który jest cnotą. Kierunek pożądalności, linia pragnień zwrócona do kultury lub wspakultury - oto pozycje grzechu lub cnoty.

"Cnota jest to uzdolnienie i stała skłonność do dobrego" (Katechizm religii katolickiej, 1945 r.).

Zdaniem św. Tomasza z Akwinu: "Cnota jest to dodatnia zdolność umysłu, dzięki której prawidłowo żyjemy, której nikt na złe nie używa, a którą Bóg w nas bez nas sprawuje".

Zwalczamy w sobie grzech jako pociąg do zła, gdy rozniecamy właściwy kierunek pożądań. To właśnie cnota. A cnotą podstawową personalizmu jest pokora, za pomocą niej przeciwstawiamy się złu lub je odpieramy. Odmianami podstawowej cnoty personalizmu są: rezygnacja, wzgarda świata i niesprzeciwianie się złu. Gdy osiągamy te cnoty, zwyciężamy zło i osiągamy dobro.

"Natura ludzka ma dwie wady, które wskutek przewrotności ludzkiej stały się dwiema śmiertelnymi ranami. Ranami tymi są: pycha, która przecenia siebie, i miłość świata, która świat przecenia. Na te rany trzeba było podać lekarstwo. Od Chrystusa winniśmy się uczyć, jak być pokornym. Pokora jest to szlachetne wyrzeczenie się siebie, które nas poddaje we wszystkim Bogu. Pokora jest prawdą, jest sprawiedliwością. Pokora prowadzi za sobą wszelką cnotę" (O. T. Pesch, op. cit., Kraków 1931, t. II, s. 36).

Dzięki pokorze zwyciężamy brzemienny grzech pychy i w ten sposób odcinamy się od gwałtownych namiętności rozsadzających nasze życie duchowe.

"Pokora jest cnotą, przez którą człowiek poznawszy siebie jakim jest istotnie, w oczach własnych nikczemnieje" (św. Bernard, Pisma, I, 2).

Koncepcja absolutnej bierności jest wielkim wynalazkiem personalizmu. Dzięki temu wynalazkowi personalista uzyskuje niezależność od falowania historii. Zdobywa on pełną wolność wewnętrzną, gdy z nieograniczoną pokorą i rezygnacją nie sprzeciwia się "złu", gdy jest posłuszny swemu władcy jako niewolnik, gdy wykonuje rozkazy tej lub innej władzy, gdy bez sprzeciwu ulega gwałtowi, gdy jest obojętny na wszystko. Jeśli potrafi zachować wobec każdego "zła" niezmącony spokój - jest wewnętrznie wolny. Najlepiej sformułował tę cnotę sam Chrystus: "A ja wam powiadam, żebyście się nie sprzeciwiali złemu; ale, jeśli cię kto uderzy w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugiego" (Mt 5, 39).

Im mniej potrafi personalista sprzeciwiać się złu, tym pewniej osiąga szczyty cnoty, tym pewniejszy spokój wewnętrzny i wolność wewnętrzna. Wówczas to opromienia go szczęście, które opiewają osławione słowa, że "królestwo Boże w nas jest".

Gdy pojmiemy, co znaczy powyższa cnota, jasny się staje szereg jej pochodnych. Otwiera się ogromny zakres wynaturzeń, złagodzonych co do radykalizmu norm, który stanowi atmosferę moralną chrześcijańskiego świata. Istnieją niezliczone stężenia nakazów etycznych, wyprowadzających się z tej samej zasady naczelnej. Nie sposób omówić je wszystkie. Bez orientowania się w podstawach personalizmu nie potrafimy się uchronić przed jego trującymi wyziewami, które przenikają życie moralne ludzkości od tysiącleci.

Niełatwo uchwycić słabe stężenie tej samej cnoty w tezie św. Augustyna, że: "Człowiek sprawiedliwy, choćby był i niewolnikiem, wolny jest" (Państwo Boże, IV, 3).

Prostsze są konkluzje wielkiego Tomasza á Kempis: "Znosić sądy ludzkie, dobrą i błogosławioną jest rzeczą, i nie ciężką sercu pokornemu, ufającemu więcej Panu jak sobie... Boga się bój, a postrachów ludzkich lękać się nie będziesz. Cóż ci może uczynić człowiek słowami i obelgami?

Sobie raczej szkodzi. Ty miej Boga przed oczyma, a na swarliwe słowa nie zważaj. A jeśli na teraz zda ci się, żeś ukrzywdzony, nie zżymaj się na to i przez niecierpliwość nie zmniejszaj zasługi swojej" (Tomasz á Kempis op. cit., III, 36, 1, 3).

Gdy za czasów św. Augustyna bandy germańskie w 410 r. zdobyły Rzym i zgwałciły wszystkie kobiety, w tej liczbie i chrześcijanki a nawet "pobożne dziewice" poświęcone Bogu, wiele z tych niewiast było mocno zakłopotanych tym przeżyciem. Stając na stanowisku cnoty pokory, św. Augustyn słusznie mógł wykazać niewłaściwość drażliwości moralnych z tego powodu.

"Wstydliwość jest cnotą umysłu, która ma za towarzysza męstwo, uspasabiając ją raczej wszystko złe wycierpieć, niż na złe zezwolić, i gdy nie zależy od woli człowieka aczkolwiek szlachetnego i skromnego, to, co się z ciałem dzieje, tylko, że na to co się z nim dzieje przyzwolić lub nie przyzwolić może, któż zdrowym obdarzony rozsądkiem będzie się uważał za pozbawionego wstydliwości, jeżeliby na ciele jego ubezwładnionym dokonaną była cudza lubieżność?..." (św. Augustyn, Państwo Boże, I, 18).

Konkluzja stąd wynikająca jest następująca: "Nic złego nie stanie się prawdziwemu chrześcijaninowi, co by nie miało mu wyjść na dobre" (Myśli św. Augustyna, s. 34). Odwrotną stroną tej maksymy jest trzask walących się murów imperium rzymskiego. Nic w tym dziwnego, gdy się uwzględni normy etyczne, upowszechniane przez chrześcijaństwo w masach narodu tej epoki historycznej.

"Miej prostotę i bądź niewinny, a będziesz jak niemowlęta, które nie znają niegodziwości, niszczącej życie ludzkie" (Hermas, „Pasterz", przykazanie 2).

"Nie sprzeciwiać się nikomu, zachowywać spokój, uważać się za gorszego od wszystkich innych ludzi, szanować starców, ćwiczyć się w sprawiedliwości, chować miłość braterską, krzywdy cierpliwie znosić, mieć cierpliwość, urazy darować, strapionych duchem pocieszać..." (tamże, przykazanie 8).

Nie każdy jest zdolen osiągnąć szczyty cnót personalizmu. Stąd też mamy niezliczone ich szczeble.

W radykalnym sformułowaniu brzmi ogólny nakaz etyczny "niesprzeciwiania się złu". Jest to norma tylko dla bardzo konsekwentnych dekadentów. Takim był Chrystus, wielu świętych, pustelników, abnegatów, a w nowszych czasach Tołstoj, Gandhi i inni. Dalej mamy hasła "obojętności", "cichości", "ustępliwej łagodności", "rezygnacji", a w końcu "skromności". Są to stopnie rozcieńczania tej samej w zasadzie cnoty, czyli kagańca na tworzycielską istotę człowieka, potraktowaną jako "zło" i "grzech".

4. Instytucje personalizmu.

W okresie ekspansji wspakultury hasła jej tchnęły radykalizmem i zdecydowaniem. W toku historycznego rozwoju wspakultura pod sztandarami krzyża zdobyła Europę, następnie jednak musiała wytrzymywać coraz żywszy nacisk wzbierającej dynamiki kultury. W pewnej chwili odżył na nowo indywidualizm, stając się motorem cywilizacji zachodniej. Czerpał on swe siły z Renesansu i Reformacji. Jak później zobaczymy, protestantyzm w swym bohaterskim okresie, pomimo ornamentacji chrześcijańskiej, nie był właściwie wspakulturą. Cywilizacja zachodnia stworzyła więc kreacje indywidualizmu, liberalizmu, demokratyzmu i kapitalizmu. Oddziaływania tych kategorii były tak potężne, że wspakultura edycji krzyża, a w jej ramach personalizm chrześcijański zostały zmuszone do obrony swych pozycji.

Dynamika cywilizacji zachodniej ogarnęła niezliczone miliony personalistów, zmuszając ich do pracy we własnym systemie. I wówczas to personalizm rozjęczał się z powodu wyrządzanej mu krzywdy. Wobec nowego zła, występującego jako nowoczesna cywilizacja, zawodziła stara technika cnót personalizmu. Cnota pokory, praktykowana przez miliony w ramach ustrojowych kapitalizmu, nie dawała żadnych wyników oprócz wzrostu tegoż zła, tj. kapitalizmu. To samo w innych dziedzinach. Wówczas zrodził się protest w postaci wołania o "sprawiedliwość". Samo pojęcie sprawiedliwości wyrosło w trakcie rozwoju kultury. Opiera się ono na stwierdzeniu, że wyzwolenie jednostki spod ucisku i gwałtu daje większy przyrost wartości społecznych, wynikających ze spontaniczności osobowego wkładu, niż sprowadzenie tejże jednostki do rzędu bezdusznego narzędzia. Personalizm też woła o "sprawiedliwość", lecz pojmuje ją całkiem inaczej.

Zgodnie z jego odczuciami każdy człowiek doznaje ciężkiej krzywdy, gdy jest zmuszony do służenia jakiemuś dziełu, gdyż jego "człowiek" chciałby przede wszystkim nie być narzędziem pracy dziejowej, upatrując swego ideału w "niewinności". Dla personalisty każdy proces kultury jest gwałtem wobec "człowieka" i niesprawiedliwością. Takie pojmowanie "sprawiedliwości" znajduje szczery oddźwięk u wszystkich personalistów. Ponieważ "zło" kultury się wzmaga, krzyk o sprawiedliwość musi być coraz głośniejszy.

Stąd rodzi się postulat wyrwania kalekiego człowieka z zasięgów "zła", a następnie uwolnienia go od niego. W imię sprawiedliwości dąży więc personalista do stworzenia odpowiednich instytucji, wykorzystując "zło" jako budulec do tych instytucji.

Najpierw więc będzie usiłował spreparować dorobek kultury duchowej. Uszereguje zatem według swych kryteriów to, co jest "prawdziwą" kulturą, a co nią nie jest. Pojęciu "kultura" nada oczywiście swój sens. Według jego kryteriów kultura jest bogactwem środków, które służą do oświecania umysłu i serca, aby tym łatwiej osiągnąć ideały personalizmu chrześcijańskiego. W dorobku duchowym "kulturą" więc będzie to wszystko, co wskazuje na zło i grzech, a następnie uzbraja cnotę do walki z nimi. W sztuce "kulturalne" będzie to, co wyraża idyllliczność, spokój, umiarkowanie, beznamiętność itd.

Postulatem sprawiedliwości jest wolność. Wymóg wolności to możliwość stworzenia otoki, w której personalista chroniłby się przed naporem polityki i historii. Otoka jest instytucją, w której personalizm może się przeciwstawić obowiązującym zadaniom historii. Opiewa się tu wolność, ale - jak i gdzie indziej - pojęcie to ma wręcz inne znaczenie niż wolność indywidualizmu. Dla indywidualizmu wolność oznacza instytucję umożliwiającą swobodne decyzje jednostki dążącej do rozbudowy swego kręgu mocy i władztwa, zdobycia majątku, stworzenia takich czy innych dzieł.

Dla personalizmu wolność to możność pogrążenia się w zastoju, ograniczenia swych zabiegów, wolność statyki i ciszy. Uzasadnienie wolności wygląda tu specyficznie. Przeciwstawia się wolność państwu, gdyż jest ono narzędziem historycznych zamierzeń.

"Człowiek bowiem starszy jest, niźli Państwo, a prawo do życia i do troski o ciało otrzymał jeszcze zanim jakiekolwiek powstało państwo" (Leon XIII, op. cit., s. 34).

Podobnie w sferze ekonomiki. Dąży się tu do zbudowania otok ekonomicznych, w których jednostka mogłaby się schronić przed dynamiką techniki produkcyjnej i jej dalekich perspektyw, obcych z gruntu umysłom personalistów. Idea otoki ekonomicznej to nic innego jak pomysł drobnej własności, a więc małych warsztatów, małych gospodarstw rolnych itp., które w myśl zamierzeń miałyby obronić personalistów przed żywiołami gospodarki kapitalistycznej i ustrojów planistycznych. W ten sposób zostałaby zahamowana dynamika rewolucji technicznej XIX i XX wieku, a tym samym i zło bezdusznego, "zmaterializowanego" świata. Tak więc podział dóbr, dystrybucjonizm, stworzyłby panowanie otok ekonomicznych personalizmu i przywrócił upragniony spokój.

"Uzasadnienie podziału dóbr materialnych i podstawę prywatnej własności... obyczaj wieków uświęcił jako instytucję najlepiej odpowiadającą naturze ludzkiej i zgodnemu i pokojowemu pożyciu ludzi" (tamże, s. 37).

W tak skonstruowanej otoce schroniłby się kaleki człowiek, troszcząc się jedynie o minimum egzystencji dla swojej rodziny i siebie.

"Prawo posiadania, które przysługuje jednostce na podstawie prawa natury, należy zastosować do człowieka będącego głową rodziny... prawo to tym większą ma siłę, im większą rodzinę dana jednostka swą opieką obejmuje" (tamże, s. 38).

Urządzenie się we wrogim i złym świecie tak, by przy minimum wytężenia można było wegetować, spełnia szczytne marzenie.

Rozdział III. Wszechmiłość chrześcijańska.

1. Geneza pierwiastka miłości chrześcijańskiej.

Utknięcie ewolucji tworzycielskiej świata jest punktem wyjścia wszystkich upiorów wspakultury.

Pierworodna ułomność człowiecza sprawiła, że nie zrodziła się idea rozwierająca perspektywy na posłannictwo człowieka i bohaterski styl życia. Wszędzie tam, gdzie nastąpiło zamarcie panhumanizmu, zrodzić się musiało coś, co wynika z rozpadu człowieczeństwa. Opisaliśmy jeden z pierwiastków rozpadu - personalizm. Ściśle doń przylega drugi, bliski mu jak bliźniak, a jednak odmienny. I on też wyrasta z odprężenia i odrodzenia się starej dyspozycji: powrotu w łożysko wieczystego wrotu biowegetacji.

Skoro dla energii idącej od korzeni biologii, od krwi, zatkany jest wylot na kulturowe posłannictwo człowieka, muszą odżyć ciągoty do szczęścia fizjologicznego. W umyśle ludzkim błyska idea pogrążenia się w żywiole biologicznym, w przepływie życia, jaki tworzy ciągłość fizjologiczna - narastania, płodzenia, rozwijania się, dojrzewania. Psychika człowieka, z

konieczności zwrócona ku temu światu, pogrąża się we wszechobejmującym żywiole trwania, traktuje to jako odkrycie uroku tajemnych bezkresów istnienia, upojenie się odczuciem współistnienia ze wszystkimi żywymi tworami natury. Dzięki skierowaniu strumienia naszych doznań w ten żywioł zdobywamy radosny skądinąd ogląd bytu, poczucie pełni, wykwitające z solidarności żyjącego ciała natury, którego cząstką jesteśmy. Radością jest uświadomienie sobie, że się żyje, wieczyście trwa w przepływie form istnienia, nie ulega się koszmarowi całkowitej śmierci, a to dzięki odradzaniu się ciągłości pokoleń. Na tym podłożu utrwala się mistyka wspólnoty wielkiego żywiołu biologii.

Akcentowanie mistyki wspólnoty biologicznej prowadzi nas w świat odmienny od tego, który znamy z personalizmu. Odczucie ogólnej solidarności istnienia usuwa przedział pomiędzy poszczególnymi jednostkami ludzkości, a z kolei i pomiędzy innymi żywymi tworami. Więzią jednoczącą wszystkie gatunki jest bijący puls życia. Jednakowo pracuje serce ludzkie, konia, psa, krowy, wszystkich ssaków; jednakie są procesy fizjologiczne ssaków, ptaków, gadów, roślin i bakterii. Wszystko jest wspólnotą biologiczną trwania, wyrastającą z konkretu "wielkiego ciała żywej duszy".

Tam, gdzie człowiek oddala się od panhumanizmu, tym bliższym konkretem staje się owo "wielkie ciało żywej natury", narzucające się jako najbardziej uchwytna dla umysłu rzeczywistość, a raczej urojenie o rzeczywistości. Ono też staje się oparciem dla refleksji szukającej uzasadnienia celów życia. Korowód pokoleń, straciwszy swój właściwy kulturowy cel, w nim szuka sensu istnienia.

Mistyka wspólnoty biologicznego trwania jest fundamentalnym doznaniem każdego dekadenta.

Doznanie to zostało nazwane słowem miłość. Sądzimy, że lepiej oddawałoby jej treść słowo "wszechmiłość". W chrześcijaństwie zajmuje ona bardzo poczesne miejsce. Cała problematyka "miłości" jest nadbudową świadomościową nad konkretem "wielkiego ciała żywej natury". Ono stanowi to twarde dno, na którym opiera się pierwiastek miłościowy chrześcijaństwa, buddyzmu, hinduizmu, islamu. Dla każdego umysłu wepchniętego w labirynt schorzenia wspakulturowego "miłość" jest czymś oczywistym, namacalnym i bezsprzecznie najważniejszym. Inaczej ten umysł czuć i widzieć nie potrafi. Dzięki temu wszechmiłościowe doznawanie problematyki bytu nie może być zachwiane. To dominująca potęga, wyciskająca swoje piętno na każdym odruchu, każdym poruszeniu emocjonalnym, każdej myśli i czynie osobowości ludzkiej, spreparowanej przez wspakulturę. A takimi wszak są miliardy jednostek przez mnogie stulecia. Olbrzymia większość ludzi z naszego otoczenia jest tknięta tym schorzeniem, co sprawia, że czuć i myśleć może tylko w kategoriach "miłości". Podkreślamy tu władczy charakter odczuć miłości, decydujących o sposobie pojmowania życia i podstawowych wartości, o kierunku ocen i myśli. Ojcem jej jest rozstrój panhumanizmu. Doznanie "miłości" staje się koniecznym następstwem tego rozstroju, oczywiście całkiem ślepym, odruchowym. Idee miłości muszą też być dalszym ciągiem tego ponurego dyktatu.

Dla "miłościowca" Chrystusowego problemy te są całkowicie ukryte i niepojęte. Pierwiastek "miłości" jest nakierowany na szczęście fizjologiczne, które - mniema - może uzyskać zwracając się do wieczystego wrotu biologii, czyli do "królestwa miłości". Każdemu, kto żyje wizją miłości, jej królestwo pojawia się tuż, tuż, na odległość wyciągniętej ręki. Upragnione i jednocześnie bliskie.

Na tym polega właśnie potęga władcza miłościowego pierwiastka wspakultury. Miliardy jednostek w labiryncie wspakultury z wyciągniętymi rękami gonią za mirażem "królestwa miłości", stale – bez zdolności refleksji nad istotą upiornego mirażu.

Hipnotyzująca potęga mirażu to jedna strona medalu. Drugą jest rzeczywistość. Polega zaś ona na tym, że wprawdzie ewolucję tworzycielską świata raził paraliż, ale kierunkowe jej są nienaruszone pomimo znieruchomienia elementów akcji. Istnieje więc w całej rozciągłości napór ku kondygnacji kulturowej świata: toczy się uparta walka gatunków na globie i wyłania najsprawniejszych; człowiek jest powołany do budowania nowego typu mocy - kultury, pomimo że

nie uporał się jeszcze z trudnościami uruchomienia swego zadania; w jego biologii zaszczepione są korzenie woli tworzycielskiej i uzdolnienia do akcji rozbudowy instrumentarium, historii.

Stwierdzamy więc ostre przeciwieństwo pomiędzy parciem "miłości" do swego ideału, pomiędzy światem wyobrażeń "królestwa miłości" - a faktycznym układem sił, czyli strukturą rzeczywistego świata. Napięcie przeciwieństw jest gwałtowne z powodu szczególnej mocy uwodzicielskiej wspakulturowych miraży "miłości". Gdyby "królestwo miłości" miało być urzeczywistnione choć w najmniejszym stopniu, musiałoby ono przewrócić do góry nogami istniejącą strukturę świata.

Ponieważ takie założenie jest bezpłodną fantazją, jako pewne przyjąć musimy, po pierwsze: szczególną bezradność wyznawców miłości na tle rzeczywistości, a po drugie: ich ślepy, fatalistyczny upór w dążeniu do swego mirażu.

Historia chrześcijaństwa i innych systemów totalnej wspakultury, a następnie formacji "miłościowych", które odrzucą ornamentację krzyża, będzie obfitować w wyżej podkreślone cechy.

Będą wspakulturowcy dążyć do królestwa miłości, w którym mają nadzieję zachłysnąć się szczęściem fizjologicznym, wbrew wszystkiemu, z uporem, który widzimy w siłach natury, bez możliwości refleksji co do złud mirażu, zapominając, że dążenie ich będzie stale kompromitować się w bolesny sposób w zetknięciu z rzeczywistością.

Dopóki nie przezwycięży się samej wspakultury, pierwiastek "miłościowy" zostanie czymś trwałym, atawistycznym w każdej psychice przez nią spreparowanej, bez względu na to, czy będzie to profesor uniwersytetu czy zabiedzony kulis, dziś czy za tysiąc lat, w szatach kapłańskich katolicyzmu czy też bezbożnictwa.

2. Światopogląd "miłości".

Wiedząc, czym jest twarde dno "miłości" chrześcijańskiej, łatwo dać zarys jej światopoglądu. Różni się on nieco od światopoglądu personalizmu. Łączy je odruchowe doznanie sztywności bytu i brak momentu rozwojowego. Wyznawca "miłości" musi postrzegać świat skostniałym i nieruchomym.

Więcej nawet: piękno i urok świata właśnie na tym polega, że jest zawsze ten sam, że nic się w nim nie zmienia. Kołowrót zjawisk najbardziej pasuje do norm "miłości". Wdzięk istnienia to ciągłe powtarzanie się urodzin i śmierci, młodości i starości, dnia i nocy, i nic ponadto.

Natomiast obce jest miłości doznanie dualizmu. Widzi ona świat raczej jako jeden organizm, jedno wielkie zbiorowe ciało. Wynika to stąd, że mistyka wielkiej wspólnoty biologicznej narzuca czucie swej masy, wypełnienie sobą przestrzeni globu, zepchnięcie w cień tych sił, które przeciwstawiają się lawinie życia. Stąd refleks przewagi swej masy i mocy. Dla intuicji miłości świat wydaje się przede wszystkim wielkim ciałem żywej natury, materia martwa odgrywa tu rolę służebną, przez co nie może się utrwalić uczucie jakiegoś innego, przeciwstawnego bytu, na którym opiera się każdy dualizm. Łatwo więc rozwija się ogląd struktury świata w kategoriach panteizmu biowegetacyjnego.

W tym pojęciu świat to żywe ciało, a składają się na nie cielesne egzystencje wszelkich gatunków.

Jedność ta zawiera w sobie ciała istot ludzkich, zwierząt, roślin, bakterii. Wszystko, co żyje, jest jednością bliską sobie, i tylko ona stanowi realną rzeczywistość. Pomiędzy komórkami tego ciała nie ma zasadniczych różnic, dlatego hierarchia bytów jest warunkowa. Nie ma jej prawie w buddyzmie i hinduizmie. Chrześcijaństwo wprowadza tu rozróżnienie wynikające z innego gruntu - duszy nieśmiertelnej, o czym będzie jeszcze mowa. Sprawia to, że "miłość", ograniczona tylko do gatunku ludzkiego, traci znamiona panteizmu biowegetacyjnego, staje się bardziej przystosowana

do niegościnnego świata. W takiej strukturze świata człowiek nie posiada wyróżniających go znamion. Jest komórką wielkiego ciała ludzkości, dążącej do rozkoszy, jaką daje sycenie się tokiem przebiegów fizjologii. Dzieje się tak wówczas, gdy człowiek jako element składowy masy biologicznej nie ma innych chceń i pragnień. Ideałem więc musi być "człowiek dobry", czyli dwunóg niczym się nie wydzielający z "wielkiego ciała", podobnego do olbrzymiego błota, w którym radosnym chórem kumkają żaby.

Dobro "miłości" zawiera się w mistyce wspólnoty biologicznej, w nieporuszonym, solidnym trwaniu. Spokojne sycenie się szczęściem fizjologicznym w atmosferze biernej życzliwości dla wszystkich, inaczej - niewinny kwietyzm społeczny, oto istota dobra. Wzajemna życzliwość, miłość, jest elementem koniecznym. Miłość trafnie uzupełnia słabe punkty personalizmu. Podział na wyodrębnione osobowości nie zawsze da się uznać za właściwy. Czy dziecko w łonie matki jest osobą? Czy niemowlę jest nią? Czy dzieci nie są przedłużeniem rodziców? Czy wszyscy nie tworzą rodziny powstałej z dalekich powiązań krwi? Ostatecznie stanowimy jedno ciało, złączone uczuciem miłości. Ono też najbardziej sprzyja doznawaniu "dobra". Tu mamy korzenie miłości bliźniego.

"Pod mianem bliźniego rozumie Boski Nauczyciel wszystkich ludzi, znanych i nieznanych, współobywateli kraju i cudzoziemców, bogatych i ubogich, przyjaciół i nieprzyjaciół. Nikt tu nie jest wyłączony; trzeba wszystkich miłować" (ks. F. M. Besson, op. cit., s. 215). Stara to melodia.

Słyszymy ją zawsze tam, gdzie człowiek wpadł w labirynt wspakultury.

"Dla każdego chrześcijańskiego przykazania można znaleźć analogię w religijnej i filozoficznej etyce dawniejszych czasów. Nawet przykazanie miłości nieprzyjaciół... nie stanowi wyjątku. Znajduje się ono już w Starym Testamencie (Przyp. 25, 21; s. 28) i u Stoików. Nowość leży w tym, że w chrześcijaństwie wszystko urasta do najwyższego ideału" (ks. dr F. Sawicki, U źródeł chrześcijańskiej myśli, Katowice 1947, s. 11).

Można postawić pytanie, które rzuca światło na te wzniosłe pienia: co się miłuje i w imię czego?

"W oczach Jezusa wszyscy ludzie są sobie braćmi nawzajem... Wobec tych słów Bożych, znikają pomiędzy nami wszystkie różnice kastowe, plemienne, narodowe, osobowe... zniknijcie czcze znaczenia osobiste! Mamidła, złudy światowe zginście! Nie ma już nic więcej tylko ludzie, albo nie ma już nic, tylko dusze ludzkie. Ubogi - to dusza ludzka. Dlatego też Pan Jezus nazywa go błogosławionym... Kaleka, koślawy, pokrzywiony, brzydki - to dusza ludzka. Dzieciątko pełzające po ziemi - to dusza ludzka... W kilku słowach wynosi i wychwala pod niebiosa Chrystus Pan niewinność i szczerotę dziecięcego wieku: 'zaniechajcie dziatek... albowiem takowych jest Królestwo Niebieskie'" (ks. F. M. Besson, op. cit., s. 219).

O to chodzi właśnie: amputować wszystko, co stanowiłoby jakąś wartość dla kultury. Siła, dzielność, talent, umiejętność, poryw, wola dokonania dzieła i jego środki - to nic nie znaczy, więcej nawet - przeszkadza. Dzięki tym dyspozycjom, zwróconym do kultury, jesteśmy twardzi, okrutni, wyrachowani, aktywni. Dlatego też, jak słusznie zauważa wyznawca "miłości": "Powyższe słowa Chrystusowe rażą nas - cóż stąd wnosić należy, jeżeli nie to, żeśmy... winowajcy, źli, egoiści sobą tylko zajęci; że mamy serca zazdrosne, chciwe, nieraz kamienne, czasem tygrysie, a rozum krótki, ciasny a hardy i pyszny" (tamże, s. 220).

Wyżej stwierdziliśmy istnienie zasadniczej rozbieżności pomiędzy mirażem, który fascynuje wyobraźnię każdego "miłościowca", a oporną rzeczywistością. Nie jest on zdolen ogarnąć przepaści pomiędzy jego chorobliwym ideałem a strukturą świata nastawioną w zupełnie innym kierunku.

Stąd też jego wyobrażenia o istocie zła są z gruntu fałszywe i zupełnie nieadekwatne w stosunku do sił podrywających u korzeni "dobro" miłości. Istotę zła widzi on tylko w formie "złości" i "nienawiści" ludzkiej, w tym, że ludzie nie są dobrzy.

"Najwięcej i najgorszych nieszczęść pochodzi z wzajemnego odnoszenia się ludzi do siebie. Otóż, gdybyśmy to odnoszenie się wzajemne zechcieli poddać całkowicie pod prawo dobroci, wówczas uległoby ono gruntownej przemianie... Jeżeli jesteśmy nieszczęśliwi, to głównie dlatego, że świat jest niedobry. A świat dlatego jest niedobry, że nam, jego mieszkańcom, brak jest dobroci" (O. Frederick William Faber, Dobroć, s. 13).

Tu tkwi splot ciekawych zagadnień; wyjaśniwszy je będziemy zdolni pojąć, czym jest miłość chrześcijańska.

Co w rzeczywistości obala ideały "królestwa miłości"? Najpierw więc ogólna kierunkowa bytu, wynikająca z ewolucji tworzycielskiej. Świat dąży do stania się czymś więcej, niż jest. W naturze wyższe gatunki żyją kosztem niższych, gwałcąc ich aspiracje do szczęścia fizjologicznego. Nazywa się to walką o byt. Okrucieństwo walki o byt, wyrosłe na podłożu szczupłości dóbr, panuje na wszystkich kondygnacjach bytu. Im wyżej, tym walka jest ostrzejsza. W otoczeniu człowieka żadne prawie zwierzęta nie umierają śmiercią naturalną. Wśród ludzi zmagają się ze sobą narody, imperia, klasy społeczne, jednostki.

Drugą siłą uderzającą w ideał liryki trawienia "miłości" są odruchy dyspozycji tworzycielskich w człowieku. Są to rozstrojone bodźce woli tworzycielskiej, występujące jako nie skoordynowane instynkty, najczęściej o charakterze łupieżczym i wybuchowym. Jest to "zło" bardzo poważne. Nie można go w żaden sposób amputować, gdyż tkwi w istocie biologicznego człowieka. Personalizm nazywa je "pychą". Ale i miłość nie da sobie z nim rady.

Człowiek pogrążony w zastoju odczuwa z zasady jako ból to wszystko, co wytrąca go z tego stanu.

Gdy ktoś dąży do czegoś, wprowadza nowe metody produkcji, buduje sprawne państwo, nowy ustrój społeczny, toczy walki polityczne, klasowe, ideowe - godzi on w człowieka żyjącego mistyką miłości i kwietyzmu. Wyznawca miłości jest zawsze ofiarą przemian, tym, który z boleścią musi dostosowywać się do niepojętego, wrogiego dynamizmu. Jego to traktuje się jako ślepe narzędzie, bezwolnego rekruta, za pomocą srogich dekretów wtrąconego w szeregi walczących grup, armii, organizacji, państw, w imię celów obcych mu i niepojętych. Jemu wkłada się do rąk precyzyjne maszyny, czasem karabin, i każe się wysilać nieludzko na rzecz drapieżnych haseł, w których za grosz nie ma "miłości".

Razem są to siły podcinające wszelką możliwość zbliżenia się do "dobra". Zmusza to "miłość" do szukania środków zaradczych. Nie mogąc się wyrzec swych ideałów i miraży, usiłuje ona zanegować rzeczywistość, zaprzeczyć, że ma przeciw sobie tak potężne siły. Czyni to zupełnie szczerze. Usiłuje ratować swój miraż.

Niepojęta jest dla miłości drapieżność zeszpecająca kwiecisty ład ustępliwej, łagodnej biowegetacji.

Nie może ona zrozumieć sensu ewolucji zdążającej do wytworzenia gatunków o wysokiej sprawności, jak to się widzi u drapieżników - wilków, tygrysów, lwów, orłów, szczupaków.

Niepojęte też musi być widzenie człowieka takim, jakim on jest naprawdę, zwróconym do mocy, ekspansji, zwycięstwa. Ten obraz napełnia miłość przerażeniem. Stąd też światopogląd miłości zawsze nawraca do swego mirażu człowieka chadzającego beznamiętnie wśród dzikich bestii, miłośnie spoglądającego na harmonijne współżycie wilka z jagnięciem, lwa z krową. "Tędy wilki i owce razem paść się będą, i lew jak wół obrok jeść będzie, a wąż ziemię, jak chleb. Nie będą pełnić nieprawości" (Iz, 65, 25).

Miliony umysłów przesyconych miłością tej harmonii uporczywie szuka dookoła siebie. Nie znajdując jej gotowej, usiłuje ją stworzyć poprzez odpowiednie podmalowanie tła poszczególnych faktów. Na tym tylko tle można pojąć uporczywe utrzymywanie się dziwacznych doktryn

przyrodniczych, nauk społecznych itd. Sięgają one do dietetyki, do norm odżywiania się, kuchni wegetariańskiej itp. I tak trwa od tysiącleci. Nie należy się też spodziewać jakichś zmian na przyszłość. Te motywy skłaniają "miłość" do tego, że pojmuje ona "zło" mocno odmiennie. W pierwszym rzędzie redukuje jego wymiary i potęgę, twierdzi, że "zło" nie jest wcale takie wielkie, walka o byt zaś - wcale nie taka ostra. Jeśli mamy nędzę, braki, ubóstwo, to tylko dlatego, że istnieje nierówny podział dóbr, zrodzony z chciwości niektórych ludzi. Złe skłonności w postępowaniu ludzi między sobą wynikają ze zwykłej niewiedzy. A przecież człowiek dobry jest na wszystko odporny. Zresztą wszystko zło pochodzi z grzechu pierworodnego, a więc zło nie jest takie groźne.

"Uczynki pobożne i miłosierne, są konieczne w tej doczesności, dopóki panuje jeszcze nierówny podział dóbr ziemskich. Bo i tutaj nikt by nie myślał o ich wykonywaniu, gdyby nie nadmiar biednych, ubogich i chorych. Sprawiła to bezbożność ludzi, mianowicie tych, którzy dobra, przeznaczone dla wszystkich przez wspólnego Stworzyciela, zajęli na swój wyłączny użytek i dzierżą je dla siebie... Póki więc taka krzywdząca nierówność włada na tym świecie, uczynki te będą potrzebne, a czyniącemu je będą przynosiły pożytek, zapewniając mu za dobrą chęć i pobożny zamiar nagrodę dziedzictwa wiecznego. Same jednak ustaną w przyszłym wieku, gdzie panować będzie równość..." (Jan Kasjan, op. cit., I, 10).

Na tej podstawie zestali się plan akcji wyrugowania zła, w wyniku czego pozostanie na placu już tylko dobro. Upojenie, spokój, wzajemna życzliwość i szczęście są bliskie.

3. Etyka miłości.

Pod presją swego mirażu upojnego szczęścia w powszechnym kwietyzmie "miłość" chrześcijańska zniekształca obraz sił godzących w jej ideały. Na placu pozostaje "zło" tylko w postaci ubóstwa zrodzonego z nierównego podziału dóbr i "zło" gwałtownych namiętności ludzkich, wynikających z upodobań człowieka w jakichś celach i zadaniach.

Ale nawet ten wymiar "zła" wydaje się intuicji "miłościowej" zbyt obszerny. Redukuje ona je do jednego zła - żądz marności świata, pragnienia osiągnięcia czegoś i zdobycia. W tym ujęciu zło pierwiastka miłościowego polega na wynaturzonej skłonności człowieka do osiągnięcia czegoś w marnym świecie zewnętrznym. Grzech pierworodny sprawia, że człowiek nieroztropnie dąży do zdobycia czegoś, do osiągnięcia jakichś celów, i to jest złem, które oddala go od upojeń mistyki trwania we wspólnocie biologicznej. Widzimy więc, że "zło" staje się problematem już tylko wewnętrznym, psychologicznym. Można więc go określić od tej strony i wówczas staje się on kwestią intencjonalną, czyli grzechem.

Ciągle trzeba mieć w pamięci intuicyjny tok myślenia "miłości". Grzech polega na uchyleniu się woli człowieka od drogi prowadzącej do dobra. Grzech pierwiastka miłościowego wyraża się w stałej pochopności człowieka do czegoś, co jest poza upojeniami królestwa miłości. Grzech ten konkretyzuje się w pierwszym rzędzie jako żądza bogactwa, użycia zmysłowego. Z kolei zaś rozwija się w postać żądzy władzy, znaczenia, sławy, sukcesu itd. Dominującym stanem uczuciowym, towarzyszącym pierwszej, jest chciwość, drugiej zaś - gniew i duma.

W takim układzie zwalczenie zła rysuje się jako akcja względnie łatwa do wykonania. Jeśli bowiem "miłość" potrafi skutecznie ugodzić w chciwość i gniew, runie podstawa grzechu, a tym samym zło zostanie wyrugowane. Załamanie się szkaradnego uczucia chciwości usunie walkę o bogactwa, o skupianie ich przez możnych tego świata, odpadnie więc nierówność w podziale dóbr, wszyscy będą mieli po równo. Zniknie tedy ubóstwo i nędza, a więc i cierpienie.

Milczącym założeniem "miłości" jest teza, że dóbr na świecie zawsze dosyć. Problemat braku środków istnienia, stanowiący bazę walki o byt, dla "miłości" jest nie do przyjęcia. Okrutne boje gatunków o miejsce pod słońcem, tytaniczne zmagania człowieka z człowiekiem i przyrodą, wyznaczające postęp techniki, industrializmu, form ustrojowych, dla "miłości" są mało ciekawe.

Ona chce rozkoszy czystego trwania, a w tym chceniu mieści się jako coś samo przez się zrozumiałego przystosowanie się materialnego środowiska do jego warunków.

Podobnie też poderwanie grzesznego uczucia gniewu usunie grunt do walki o wpływy, o władzę, o to wszystko, co stwarza nie kończący się łańcuch nienawistnych zmagań jednostek, grup, narodów, państw. Wszystko przestaje być ważne, doniosłe, warte zachodu, a tym samym odpada podstawa niepokoju, zawiści, złości.

Przejdźmy teraz do techniki zwalczania grzechu pierwiastka miłości. Skoro grzech jest wynaturzoną skłonnością do złego, zwalczyć go można poprzez świadome forsowanie w duszy ludzkiej skłonności pozytywnej, dobrej, prowadzącej we właściwym kierunku. Ta pozytywna skłonność umysłu, świadomie hodowana, jest cnotą. A czym może być cnota "miłości"? Cnotą "miłości" jest stan uczuciowy, przy którym w duszy ludzkiej nie może utrzymać się ani chciwość, ani gniew i duma. To uczucie miłości, czyli ekstatyczne doznanie szczęśliwości wolnej od wszystkiego biologii. Dekadent "miłościowy" wyobraża sobie, że już przebywa w królestwie miłości, i w tym samym momencie duszę jego rozpiera uczucie harmonii, szczęścia, najzupełniej dlań realne i rzeczywiste. Jedno mgnienie wystarczy, by znaleźć grunt pod nogami dla przeciwstawienia się grzechowi chciwości i gniewu. Ekstaza uczucia miłości daje oparcie cnocie do rugowania grzechu. Cnota miłości jest więc czystością serca, dobrocią, łagodnością, rezygnacją, pokorą itd. W zasadzie jednak jest nią doznanie zarówno mistyki wspólnoty biologicznej trwania, jak i upojenia, które temu towarzyszy.

Powyższe określenia "cnoty miłości" nie rozwiewają mglistości wokół niej. "Miłościowcy" sami nie mogą dać nam wyraźnego jej zarysu. A jednak treść "cnoty miłości" staje się bardzo przejrzysta, gdy spróbujemy opisać ją w kategoriach teorii wspakultury. Człowiek pogrążający się w bagnisku "miłości" wierzy, że szczęście to upojenie się przepływem toków fizjologicznych, a przeszkody, czyli "zło", są to napięcia emocjonalne wycelowane w inną stronę. Kwestia więc jest prosta.

Unicestwienie tych "innych" napięć kierunkowych, a więc oderwanie się biologii człowieczej od geniuszu człowieczego, czyli woli tworzycielskiej i instrumentarium kultury, oznacza zasadniczy warunek osiągnięcia szczęścia. Zadaniem więc jest ugodzenie w ogniwa, w których zachodzi proces przeistaczania się podstawowej energii biofizjologicznej organizmu w emocje woli tworzycielskiej.

Nie dopuścić do tego, by energia biofizjologiczna przemieniła się w "zło" żądz i bodźców emocjonalnych, zwracających nas do świata - oto problem.

Oderwanie się biologii ludzkiej od kondygnacji kultury następuje najpierw poprzez zahamowanie działania, a następnie poprzez rozłożenie i wessanie bodźców emocjonalnych, właściwych woli tworzycielskiej. Egzaltacja uczuć miłości jest właśnie czynem, który unicestwia te napięcia i bodźce. To trud czysto wewnętrzny, emocjonalny. Stoi przed nim każdy człowiek, który chce dokonać odwrócenia stałych napięć emocjonalnych, czyli pozbycia się zła, godzącego w dobro "miłości".

Na tym polega czyn miłości. Niełatwa to operacja. Dzięki temu mógł powstać paradoks odczucia tytanicznych wymiarów czynu, którego wykładnikiem jest zupełny bezruch i kwietyzm zewnętrzny.

Dokonuje się tu gruntownej operacji odwrócenia głębokich procesów na pograniczu biofizjologii i psychologii. Każdy dekadent poddający się tym praktykom stwierdza, że dokonuje wielkiego czynu miłości, treścią którego jest osiągnięcie trwałej bezczynności. Pogłębianie miłości nie pozwala bowiem odrodzić się dyspozycjom motorycznym, na których jest ubazowana wola tworzycielska, a więc i panhumanizm. A dalsze przeciwnaturalne znieruchomienie wewnętrzne lub egzaltacja "miłości" ma ją całkowicie unicestwić. I to jest "czyn miłości". Ciągle musimy pamiętać, że kwietyzm, bezruch, spełnia rolę narzędzia utrwalającego cnotę miłości. Ekstaza miłości to tylko dalszy ciąg tej samej co do kierunku operacji kaleczenia emocjonalnego człowieka. Stąd też

nieczynienie i kwietyzm jako "miłość" są czymś najbardziej pozytywnym, a dopiero ze stanowiska kultury ocena ich nabiera kolorytu ujemnego. Nie dziwmy się więc zachwytom nad "miłością", gdy już wiemy, czym ona jest.

"Smaczny pokarm miłości... W niej bowiem znajduje się pokój, cierpliwość, dobrotliwość, pobłażanie, wesele w duchu świętym i inne owoce cnoty, czyli mądrości. Ma i pokora udział w tej uczcie, bo karmi się chlebem boleści i poi się winem skruchy" (św. Bernard, Pisma, I, 4).

Gdy uświadomiliśmy sobie, że słowo "miłość" oznacza rozbrojenie, operację kaleczenia emocjonalnego człowieka drogą rozkładu i unicestwienia wzbierających napięć woli tworzycielskiej wewnątrz poszczególnych psychik, rozumiemy, dlaczego jest ona tak akcentowana przez wszystkich świętych i proroków krzyża.

"Doskonałości nie osiągamy zaraz, ogołociwszy się z wszystkich majętności lub porzuciwszy zaszczyty, skoro nam brak owej miłości, a która polega właśnie tylko na czystości serca. Cóż bowiem innego znaczy nie zazdrościć, nie nadymać się, nie złościć się, nie działać obłudnie, nie szukać swego, nie radować się z niesprawiedliwości, nie pamiętać urazy itd., jak składać zawsze Bogu w ofierze serce doskonałe i jak najczystsze, i ustrzec je nietknięte od wszelkich poruszeń namiętności?" (Jan Kasjan, op. cit., I, 6).

"I gdybym rozdał ubogim na pożywienie wszystką majętność moją, i gdybym wydał ciało swoje na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże" (św. Paweł, Pierwszy list do Koryntian, 13, 3).

Miłość jest metodyką amputacji wewnętrznego zła, czyli rozbrojeniem woli czynu, która stanowi korzeń wszelkiego grzechu. Dlatego "miłość" jest najważniejsza.

Niezależnie od postępów na tym głównym froncie walki z grzechem chrześcijaństwo musi walczyć z nim na poszczególnych odcinkach bardziej bliskich praktyce życiowej. Są to grzechy zrodzone z **a)** ubóstwa i **b)** gniewliwości.

Ogromne są cierpienia zrodzone z głodu, nędzy, niedostatku. Każdy wyznawca krzyża z łatwością określa źródło tego zła. Jest nim kierowanie się ludzi pobudkami innymi niż miłość. Gdzie u podstaw leży uczucie chciwości, tam, powiada się, musi się zrodzić żądza bogactw, pragnienie użycia zmysłowego, władzy, obżarstwo, łakomstwo, nieczystość. Następstwem tego będzie walka, nierówny podział dóbr, siedem grzechów głównych z jednej strony, nędza i cierpienie z drugiej.

Dla wyznawcy "miłości" wyjście stąd nader proste: usunąć to, co w jego rozumieniu jest fundamentem zła - uczucie negatywne: chciwość, złość, nienawiść. Gdy zamiast tego będziemy się kierowali uczuciem miłości, dobroci, odpadnie wszelkie zło. Gdyby udało się uczucie miłości rozpłomienić dostatecznie silnie, zło przestałoby istnieć. Nazywa się to prymatem miłości. Prymat miłości, rozumuje się, obalając uczucia negatywne, tj. nienawiść, zazdrość, chciwość itd., usuwa walkę między ludźmi i cierpienia, które z walki i z tych wrogich uczuć się rodzą. Zanegowawszy walkę o byt, źródło cierpień widzą miłościowcy tylko w walce o podział dóbr. Coś, co jest jednością strukturalną - brak warunków istnienia, czyli walkę o byt, werbalnie rozdzielili oni na dwie części. Sądzą, że gdy usuniemy walkę poprzez wyrugowanie uczuć ją rodzących, nie będzie cierpień i bólu, który rzekomo tylko z jej istnieniem jest związany. Z problematu walki o byt wyłuskano i odrzucono jako coś, co nie istnieje samą jego podstawę - brak materialnych warunków egzystencji. Pozostawiono tylko w polu uwagi pustą formę - walkę, a także uczucia jej towarzyszące. Teraz zaś z tryumfem obala się tę pustą skorupę za pomocą wspaniałego wynalazku "prymatu miłości". W tej interpretacji zając pożerany przez lisa cierpi dlatego, że lis kieruje się uczuciem chciwości i nienawiści. Gdyby przejął się "prymatem miłości", zając i lis żyliby w miłości i zgodzie.

"Bo kto posiada miłość, ten się trzyma z dala od grzechu: początkiem zaś wszelkiego złego jest chciwość" (św. Polikarp, Do Filipian, 3, 3).

Próżną jest rzeczą wykazywać nonsens miłości jako środka na brak zrodzony z zacofanej gospodarki, niedorozwoju przemysłu itd. Przy założeniach miłości wszelkie argumenty statystyki i sprawozdawczości nie mogą być brane pod uwagę w rozpatrywaniu istoty zła. Prymat miłości ma usunąć walkę, konkurencję, wyzysk, doprowadzić do równości ekonomicznej, harmonii, z którą każdy miłościowiec strukturalnie kojarzy obfitość dóbr, dosyt, słowem - szczęście. W międzyczasie stosuje się wynalazek jałmużny, która w wysokim stopniu czyni zadość normie "prymatu miłości".

Innym złem godzącym w dobro okazuje się to, że ludzie do czegoś dążą, o coś walczą, z kimś są w konflikcie. Dla "miłości" sprawa jest jasna. Wszystkie konflikty zrodziły się z postawy dążenia do czegoś, z gniewu, dumy i pychy. Usunąć to "coś" i gniew, zastępując go miłością bliźniego, a zło runie w proch. Co to znaczy "miłość bliźniego"? Innymi słowy: to deprecjacja wszelkich dążeń i celów ludzkich, o ile one wykraczają poza wolę wegetacji.

Hasło "miłości bliźniego" oznacza zimny, trupi cynizm w stosunku do każdego pozytywnego dążenia człowieka. Wszelkie dążenia i porywy, moje i twoje, są śmieciem; nic nie jest ważne.

Upiorna, wyziębiona starość, chichocząca nad każdym dążeniem, zamiarem, dziełem, bije z apelów o miłość bliźniego.

Miłość bliźniego nakazuje poniechać wszelkich czynności, gdyż wszystkie one mają jeden aspekt: sprawiają ból. Najpewniej unikamy sprawiania komuś bólu, gdy do niczego nie dążymy i gdy innym narzucamy tę samą zasadę. Chodzi więc o rozbrojenie wszelkiej woli do czegoś. Dzieje się to poprzez szereg stopni. Pierwszym stopniem rozbrajania woli dokonania czegokolwiek jest apel o unikanie osądu postępowania swego bliźniego. Czy w ogóle jest ważne, co ktoś czyni? Wszystko to tylko śmieć.

"Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni. Nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni. Odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone" (Łk, 6, 37).

Rozbrojeniu i deprecjacji winny ulec wszelkie motywy, własne i cudze. Potem dopiero może zapanować w duszy ludzkiej upragniony stan martwoty.

"Albowiem jeśli miłujecie te, którzy was miłują, jakąż łaskę macie? albowiem i grzesznicy toż właśnie czynią. A jeśli dobrze czynicie tym, którzy wam dobrze czynią, jakąż łaskę macie? albowiem toż i grzesznicy czynią" (Łk, 6, 32, 33).

Dopiero zdeprecjonowanie wszystkiego, uczynienie z człowieka biologicznej szmaty niczego nie pragnącej, do niczego nie dążącej, zrównanie z płazem wegetującym funduje cnotę miłości bliźniego. Ktoś, kto osiągnie ten szczyt - zamarcia wewnętrznego - jest już zdolny tylko do miłości bliźniego jako woli roztopienia się w przepływie czystego trwania. Nie ulega on już wówczas grzechowi gniewu i pychy, gdyż do niczego nie dążąc, z nikim nie znajdzie się w konflikcie, a więc nie do pomyślenia są tu spiętrzenia woli, łamanie trudności i związane z tym emocje. Widzi się wówczas już tylko bliźniego, a więc dwunoga wyrwanego z historii, wolnego od wszystkiego.

Jedyne uczucie, którego taki "bliźni" może doznawać, to pragnienie czystego trwania. Podkreśla się, że nawet wrogość wobec nas, z takich lub innych motywów, jest nicością. Dopiero starcze zamarcie wewnętrzne, nas i naszych wrogów, przybliża do dobra. Apel o rozbrojenie wszelkich napięć, wołanie o martwotę wewnętrzną, oto sens efektownego zwrotu: "Aleć Ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioły wasze; błogosławcie tym, którzy was przeklinają; dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści" (Mt, 5, 44).

Tę samą intencję zawierają wypowiedzi wielkich świętych. "Święci starają się czynić dobrze tym, którzy im coś złego uczynili. Św. Ambroży wyznaczył zbrodniarzowi, który godził na jego życie, taką kwotę na każdy dzień, iż mógł z niej żyć sobie wygodnie. Św. Katarzyna Sieneńska jednej kobiecie, która ją zniesławiła, usługiwała aż do śmierci" (św. Alfons Liguori, Katechizm, s. 27).

Pozorny paradoks tych wypowiedzi kryje ciągle tę samą intencję - rozbrojenia każdego poruszenia psychiki, podkreślenia, że wszystko jest nic niewarte, że stan doskonały to zamarcie emocjonalne: "Gdy ktoś zaweźmie się przeciwko nam, przeciwstawmy jego nienawiści i złości miłość i modlitwę" (Myśli św. Augustyna, s. 88).

Istnieje tylko jedna więź - nagie trwanie, druga strona trupiej martwoty emocjonalnej: "Miłość doskonałości nie będzie zupełna jeśli nie obejmiemy nią i bliźniego. A przez imię bliźnich nie tylko tych rozumieć należy, którzy są złączeni z nami przyjaźnią i pokrewieństwem, lecz wszystkich w ogóle ludzi, z którymi mamy wspólną naturę, czy to są wrogowie czy towarzysze, czy wolni, czy niewolni... wszyscy na to samo niebo patrzymy, tym samym powietrzem oddychamy, te same dnie i noce spędzamy... Wielkość łaski chrześcijańskiej dała nam głębsze powody miłowania bliźniego... i słusznie także poleca miłować nieprzyjaciół i modlić się za prześladowców" (Leon Wielki, Kazania, V, 2).

Gdy cnotę miłości bliźniego posunie się tak daleko, winno się zło całkowicie załamać. Wierzy w to wyznawca pierwiastka "miłości" chrześcijańskiej.

4. Wynalazek błędnego koła utrapień.

Podkreślaliśmy poprzednio intuicyjny upór "miłości", która w swym dążeniu do osiągnięcia dobra w zastanawiający sposób zwęża obszar "zła" i tych mocy, które jej się przeciwstawiają. Wychodzi ona z założenia, że "Bóg chciał, aby świat był szczęśliwy: dobroć pragnie tego samego... Błogosławiąc światu, przykazał mu Bóg tym samym, aby był szczęśliwy; dobroć wysila swój geniusz, aby tenże świat, który śmiał lekceważyć nakaz Boży, znów do szczęścia doprowadzić" (tamże, s. 16).

Stąd wynika stwierdzenie, że "zło" (i grzech jako skłonność doń w naturze ludzkiej) musi być czymś, co względnie łatwo może zostać przezwyciężone. Wytycza się więc drogi pewne i niezbyt trudne do przebycia.

"Szaleństwem byłoby twierdzić, że pokora jest cnotą łatwą... o dobroci zaś możemy powiedzieć tylko tyle, że jest ona do pokory drogą najłatwiejszą, a jednocześnie drogą nie tylko łatwą, lecz zupełnie pewną. A nie jest że pokora tym właśnie, czego nam brak?" (O. F. Faber, op. cit. s. 32).

Na tym tle zrozumiała staje się tendencja do ułatwiania sobie zadania. Ale to tylko częściowe wyjaśnienie. Główny motyw pomniejszania wymiarów "zła" jest zupełnie inny. Osłania on fundamenty pewnej ważnej instytucji chrześcijaństwa, która nazywa się: uszlachetniająca rola cierpienia, my zaś nazwiemy ją błędnym kołem utrapień. Jest to demonicznie genialny wynalazek.

Wniknąwszy w jego zasady można dostać zawrotu głowy: tyle w nim perwersji i okrucieństwa.

Etyka "miłości" poprzez swe narzędzia: ekstazę miłości, prymat miłości i miłość bliźniego wytycza wąskie ścieżki do przezwyciężenia grzechu i zła. Jednocześnie wiemy, że narzędzia te nie są zdolne obalić faktycznej struktury świata, czyli muszą być zasadniczo nieskuteczne. Jasne jest dla nas, że prymat miłości nie zmieni struktury walki o byt, nie usunie braku materialnych warunków istnienia, a miłość bliźniego nie potrafi odwrócić procesów fizjologicznych organizmu i wygasić pozytywnych napięć emocjonalnych, wzbierających w piersi ludzkiej. A więc naiwność? O nie! To, że każdy miłościowiec uporczywie trwa przy tych zasadach, ma głębsze znaczenie. Łatwe ścieżki etyki miłości są pomostem wyobrażeniowym pomiędzy cierpieniem, od którego dekadent chce uciec, a wizją królestwa miłości, które łatwo i pewnie jest dlań osiągalne.

Cierpienia, których on doznaje, dzięki łatwym ścieżkom etyki miłości zwracają jego wyobraźnię ku królestwu miłości jako źródłu szczęśliwości automatycznie, bez powikłań. Odrzucone i zanegowane więc być muszą wszelkie skojarzenia i ich podstawy, które tę więź mogłyby naruszyć. Nie do przyjęcia są więc teorie walki o byt, o wrodzonych dyspozycjach

emocjonalnych sięgających panhumanizmu, ani też ich echa w postaci statystyki, ekonomii, wiedzy o fizjologii, budowie świata itd.

Gdy wyobrażenia etyki miłości są dostatecznie utrwalone, rozpoczyna się drugi akt dramatu kosmicznego. Wiemy, że "miłość" dąży do rozbrojenia człowieka, a to poprzez sprowadzenie do nicości jego dyspozycji ubazowanych w panhumanizmie. Tym samym czyni go jeszcze bardziej bezbronnym w tym twardym świecie, następstwem czego jest lawina rozstroju i cierpienia, zalewająca nieszczęśnika ze wszystkich stron. Staje się on pastwą nędzy, chorób, upokorzeń, przedmiotem w ręku mniej doskonałych w miłości osobników. Trzecim aktem tego samego dramatu jest sposób reagowania "miłościowca" na tę olbrzymią, nie kończącą się falę cierpień. Reakcję tę określiliśmy w pierwszym akcie: dąży on ścieżką miłości. Im bardziej cierpi, tym bardziej łaknie królestwa miłości, tym uporczywiej gramoli się wąską, ale w jego mniemaniu jedynie pewną drogą "miłości". Jego życie psychiczne układa się w zwarty schemat.

"Wielki i zbawienny czyściec tu na ziemi odbywa człowiek cierpliwy, który przyjmując zniewagi, więcej boleje nad złością drugiego, jak nad swoją obelgą; który za nieprzyjaciół swoich chętnie się modli i z serca odpuszcza im winy, który jest skorszy do zmiłowania się niż do gniewu; który sam siebie często zwycięża i usiłuje ciało swoje zupełnie poddać duchowi" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 24, 2).

Droga postępowania rysuje się jasno. "Błogosławcie prześladujących was; błogosławcie, a nie przeklinajcie" (św. Paweł, Do Rzymian, 12, 14).

Zapomina się całkowicie o tym, że "zło" miało być łatwo pokonane, pozostaje fakt wzrastającego cierpienia, obejmującego całe istnienie, i chęć ucieczki odeń ku wyśnionemu mirażowi jedyną drogą, która istnieje dla świadomości "miłościowca" - ścieżką miłości, czyli dalszego rozbrajania się i zwiększania potoku cierpień i bezradności wobec nich.

Rodzi się fenomen równoległych proporcji: rosnącego cierpienia i rosnącego uczucia miłości jako drogi do wytęsknionego szczęścia w królestwie miłości. W ten sposób powstaje zadziwiająca instytucja "automatu utrapień", poruszanego motorem cierpienia. Jest to swoiste perpetuum mobile wspakultury. Podstawę jego tworzy oderwanie człowieka od ewolucji tworzycielskiej świata.

Pragnąc uniknąć cierpień stąd wynikających, stosuje on środki miłości, które mają go doprowadzić do stanu bezboleści w królestwie miłości. Ale stosując te środki rozbraja się i staje się pastwą tym większych cierpień. Chcąc od nich uciec, wzmaga ekstazę miłości, dzięki czemu jego bezradność w świecie powiększa się, a więc i fala cierpień się wzmaga. I tak w kółko.

W tym błędnym kole poczyna się zestalać poczucie jakiegoś tajemniczego powiązania pomiędzy miłością i cierpieniem, szczęściem i bólem. W końcu oba te byty stają się dwiema stronami tego samego zjawiska - miłości. Jedno wzmaga drugie. Są więc tym samym.

"Mąż sprawiedliwy postępuje naprzód w cierpliwości i cnocie i odnosi tryumfy właśnie z pomocą śmiertelnych pocisków wroga, wymierzonych przeciw sobie: nie unosi się pychą w szczęściu, ani nie upada na duchu w nieszczęściu, lecz kroczy zawsze ścieżką gładką, drogą królewską'" (Jan Kasjan, op. cit., VI, 9).

Ta droga królewska to tajemnica miłości i cierpienia, dająca doznanie szczęścia. Koło się zamyka.

"Umiejętność cierpienia jest połową mądrości. Największą nędzą jest nie umieć znosić żadnej nędzy... Cierpliwość chrześcijańska jest siłą, która zwycięża... Chwyta ona ciężar, który Bóg na nią włożył i nie upada pod nim, ale go dźwiga; idzie w życiu odważnie i śmiało, jak zaczęła, tak kończy swoje zadanie" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 15).

Błędne koło cierpienia działa jak perpetuum mobile, wzmagając miłość.

"Trzeba więc wytrwać w cierpliwości, a oczekiwać zmiłowania Bożego; aż ta nieprawość przeminie" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 22, 5).

Ze stanowiska błędnego koła utrapień uzyskuje się nowe widzenie: "Skoro więc Bóg chce, byśmy byli dobrymi, ponieważ jest dobrym, przeto wszystko w jego wyrokach powinno się nam podobać.

Albowiem czyż nie dziękować mu za wszystko nie znaczy to ganić go pod pewnym względem?" (Leon Wielki, op. cit., V, 3).

Otwierają się perspektywy na głębię cnoty pokory. "Przeto trzeba być poddanym nie tylko dla gniewu ale i dla sumienia... oddawajcie tedy każdemu co byście powinni: komu podatek, temu podatek, komu cło, temu cło, komu bojaźń, temu bojaźń... Nikomu nic winni nie bądźcie, tylko aby się społecznie miłowali, bo kto miłuje bliźniego, Zakon wypełnia" (św. Paweł, Do Rzymian, 13, 5-8).

Błędne koło utrapień działa tym sprawniej, im większe są naciski bólu. Czerpie ono swoją sprawność z wzrastającej fali cierpienia, którą z kolei wzmaga. Nerwem tego perpetuum mobile jest wąska ścieżyna miłości, jedyna droga wyjścia w umyśle dekadentów. Gdyby ta droga przestała wydawać się im jedynie skuteczną, załamałby się automat utrapień. Trzeba więc ją ochraniać. I tu zrozumiemy w pełni motywy pierwotnego pomniejszania wymiarów zła, negowania istnienia walki o byt itd. Idea łatwości etyki miłości odgrywa rolę wąskiego rowu, który przekopujemy od jakiegoś wielkiego jeziora do niżej położonego ujścia. Gdy tylko tym rowem będzie mógł przepłynąć mały strumyk wody, jego śladem potoczy się cała masa wód jeziora, rozszerzając przekrój własnymi siłami. Tym jeziorem są cierpienia dekadenta. Wąskim rowem - idea łatwej etyki miłości. Odtąd automat będzie żywił się siłami, które sam stwarza.

A stwarza przecież cierpienia, i to coraz większe. Wyjście stąd jedno: objąć "miłością" i tę dobroczynną siłę, która do królestwa miłości tyrańsko prowadzi: ukochać cierpienie. Im bardziej cierpimy, tym bardziej łakniemy miłości, która nas prowadzi do szczęścia w królestwie miłości.

Kochajmy utrapienia. "Ja naprawdę kocham cierpienie, lecz nie wiem czy jestem go godzien. Otóż wielu nie dostrzega mego rozdrażnienia, a ono tym zaciętszą wypowiedziało mi walkę. Potrzeba mi więc łagodności, przez którą ginie Książę tego wieku" (Ignacy Antiocheński, List do Trallesjan, 4, 2).

Stąd konsekwentny wniosek dla tych, co cierpią jako niewolnicy: "Słudzy, bądźcie poddani panom z wszelką bojaźnią, nie tylko dobrym i skromnym, ale też i przykrym. Bo jest to rzecz miła Bogu, jeśli kto z sumienności względem Boga znosi przykrości, cierpiąc niesprawiedliwie" (św. Piotr Apostoł, Pierwszy list powszechny, 2, 18, 19).

Najlepiej zaś szukać samemu cierpienia, jak to uczynił w niedościgniony sposób "Zbawiciel": "Nic zaiste nie zawstydza tak naszej pychy, nic nie niweczy skuteczniej naszego nieumiarkowanego pragnienia sławy, jak upokorzenie Syna Bożego w Najświętszym Sakramencie Ołtarza... Przez cały ciąg swego ziemskiego żywota był (Chrystus) spragniony upokorzeń, poniżeń, wzgardy, a pragnienia tego nie zdołała zaspokoić nawet męka na górze Kalwarii; umarł wołając 'pragnę'" (ks. abp Pichenot, Ewangelia Eucharystii, s. 403).

Po tym dopiero możemy pojąć genialną intuicję choroby, która potrafiła zmontować perpetuum mobile automatu utrapień w tak prosty sposób, bo tylko przekopując wąski rowek cnót miłości, przez który odtąd płyną potoki cierpień, utrzymując i wzmagając sprawność swych czynności.

Potworny wrzód wspakulturowy, czerpiący rezerwy swego wzrostu ze swego własnego schorzenia - to szczytowe osiągnięcie perwersji o wymiarach kosmicznych.

Rozdział IV. Moralizm krzyża.

1. Istota moralizmu chrześcijańskiego.

Rozstrój panhumanizmu wyzwala nie tylko odruch biologii człowieczej do pełnego uniezależnienia się, ale i wolę tworzycielską. Żywioł emocjonalny, stanowiący jej osnowę, w trakcie rozpadu panhumanizmu przemienia się w wielką ranę kosmiczną. Oczywiście człowiek nie pojmuje, co z nim się dzieje, czuje tylko, że jaźń - ośrodek doznań - zostaje rozszczepiona w jakieś powikłania u podstaw osobowości, czego wyrazem jest duchowy ból, dominujące czucie nieszczęśliwego człowieka. Lecz to odczucie mocno odmienne od tego, na którym ubazował się personalizm i wszechmiłość. Pierwiastek personalizmu i wszechmiłość wykwitają z ciągot biologii człowieczej do szczęścia fizjologicznego. Podstawą ich są namacalne konkrety żywych ciał: ciała własnego i pulsującego życia biologii wokół nas.

Zupełnie co innego, gdy podstawę odczuć stanowi rozdarty aparat psychiczny. Jest on rozdarty, gdyż pierwiastkowe napięcia żywiołu emocjonalnego nie mogą zestalić się w jakiś skończony kształt norm światopoglądowych, wyrażających panhumanizm, a tym bardziej - w plan akcji zewnętrznej. Unicestwienie tego wszystkiego daje właśnie podstawę wyjściową wspakultury.

Konkretem niezaprzeczalnym pozostaje więc tylko rozdarcie aparatu psychicznego, kikut emocjonalny, stale krwawiący. Normalne funkcje fizjologiczne organizmu ludzkiego wytwarzają, zgodnie z ewolucją tworzycielską świata, stany psychiczne znamionujące naprężenie energii emocjonalnej, która w dalszej fazie przeistoczeń staje się zjawiskiem duchowym: wolą tworzycielską. Ale w tym ogniwie przeistoczeń rozpoczyna się katastrofa wspakulturowa. Przejście od biologii w płaszczyznę kultury ulega zniszczeniu. Wynikiem jest rozdarcie, czyli kikut emocjonalny. Lecz to kikut, dla którego nie ma ucieczki w sferę miraży szczęścia fizjologicznego.

Obszarem, gdzie przebiega cały dramat, jest sfera czysto duchowa, moralna, pozostająca w luźnym związku z ciałem i tokami fizjologii.

Wszędzie tam, gdzie człowiek wypada z rytmu kultury, przejawem tego jest wzbierający rozstrój emocjonalny w obszarze "duchowym" jego osobowości. Wyraża on tylko, że coś się psuje i przemienia w kosmiczną ranę. Ból duchowy, dolegliwość moralna, oto jego znamię. Nie ma w tym nic niezwykłego. Skoro podstawowy ciąg ku tworzeniu został zahamowany, tym żywszy musi być rozstrój psychiczny, im żywotniejszy i pierwiastkowo zdrowszy jest dany osobnik. Zatamowanie przerzutu energii biologiczno-fizjologicznej na energię emocjonalną, czyli na prawidłowe bodźce woli tworzycielskiej, musi się odczuć jako podstawowe schorzenie. Przemienienie się aparatu psychicznego w ognisko "moralnego" bólu jest tu normalnym następstwem ciągu rozpadu. Jako rzecz całkiem naturalną przyjąć też musimy skupienie uwagi na tym ognisku niematerialnego bólu.

Poczucie przejmującego kalectwa wewnętrznego, upośledzenia, gniotącego brzemienia istnienia stanie się stałym przydźwiękiem doznań. Ognisko cierpienia jest raną nieuchwytną, a jednocześnie ogarniającą cały obszar życia psychicznego. Dotknięty tym schorzeniem człowiek czuje bolesne rozdwojenie swej osobowości.

"Stąd powstaje boleść, która zadaje duszy wielką mękę; jest ona wtedy rozdzieraną, szarpaną, i doświadcza duchownie takiego udręczenia, jakiego byśmy doznali cieleśnie, gdyby nasze ciało na dwoje było rozrywane. Każdy kto nie doznaje szkodliwej i niebezpiecznej pod tym względem obojętności, doświadcza tego w duchu" (św. Bernard, Pisma, homilie, I).

Rozdarcie aparatu psychicznego zmienia do gruntu strukturę życia duchowego. Dlatego też człowiek żyjący pełnią życia nie jest zdolen pojąć podstawy reakcji właściwych dla osobnika objętego dolegliwościami "moralistycznymi". Stąd wynika przeciwieństwo ocen dotyczących tego, co ważne, co jest dobrem, a co złem, a w ślad za tym i kierunek zachowań życiowych.

Najważniejsze wydaje się wygaszenie dokuczliwego bólu duszy. Stąd kierunek zabiegów na łagodzenie cierpienia, plasterkowanie rany moralnej, przylizywanie pozrywanych ścięgien emocjonalnych, dążenie do stanu bezbolesności i ukojenia. Cały ten kompleks nazywamy pierwiastkiem moralistycznym wspakultury. Ubrany w szaty chrześcijańskie, zajmuje on bardzo poczesne miejsce w nauce "Zbawiciela".

Pamiętając, że źródłem bólu jest rozdarcie aparatu psychicznego, wiemy, w jakim kierunku potoczą się zabiegi lecznicze moralizmu. Jego ból przypomina cierpienie, które sprawia poszarpane ścięgno lub zmiażdżony staw ręki bądź nogi: każdy bodziec do ruchu, przekazywany na takie ścięgno lub staw, jest przyczyną dotkliwego urazu. To samo dzieje się z aparatem psychicznym, gdzie nabrzmiewanie energii emocjonalnych i przeistaczanie się ich w bodźce woli tworzycielskiej – a więc normalne funkcje organizmu ludzkiego - stwarza nieustające urazy i cierpienia. Wyjściem z sytuacji jest zahamowanie bodźców do ruchu, jeśli chodzi o zmiażdżony staw lub ścięgno. Dla moralizmu zaś recepta brzmi: zahamować procesy narastania bodźców emocjonalnych, a to drogą znieruchomienia życia psychicznego, zamarcia wszelkich poruszeń duchowych. Zamarcie wewnętrzne jest oczywiście najtrudniejsze dla osobników mających jakieś pragnienia, porywy, namiętności. Trzeba je najpierw zlikwidować, wygasić do dna.

"Mężnie więc walczmy przeciw wzburzeniom duszy i wadom, aż je zdołamy ujarzmić i podać pod władzę rozsądku. Wojujmy, aż wytępimy namiętności i podbijemy niestały orszak myśli naszych; wypędzimy zbawienną chorągwią krzyża Pańskiego srogie zastępy mocy przeciwnych z granic piersi naszej..." (Jan Kasjan, op. cit., VII, 5).

Inaczej mówiąc, zamarcie w sobie jest łatwiejsze dla tych, którzy niczego w świecie nie pragną, którzy bardziej są bliscy trupiej oziębłości: "Pyszny i łakomy nigdy nie mają spocznienia; ubogi i pokorny w duchu żyją zawsze w obfitości spokoju. Człowiek który niezupełnie jeszcze zamarł samemu sobie, łatwo podpada pokusom, a drobnymi nawet i lichymi rzeczami zwyciężon bywa... A przetoż opierając się namiętnościom, nie zaś służąc im, prawdziwy pokój serca znajdziemy" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 6, 1, 2).

Obszar, w którym tak określona akcja musi przebiegać, jest czysto wewnętrzny, moralny. Świat materialny, a do niego nawet należą nasze ciała, stanowi raczej głębsze i dalsze tło zmagań wielkości moralnych. Osiągnięcie stanu bezboleści, jaki daje czyste serce, odbywa się bez kontaktu ze światem materialnym, zewnętrznym. Jest on raczej zawadą dla "ducha", który dąży do swych celów autonomicznych.

"Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł?" (Mt 16, 26).

Pole właściwych trudów tkwi w wymiarach czysto duchowych, wewnętrznych. Tam można osiągnąć szczęście moralne, które daje pełne zamarcie poruszeń emocjonalnych. "Oto bowiem królestwo Boże w was jest" (Łk 17, 21).

W personalizmie uzyskiwało się pogodę i szczęście w świecie poprzez zneutralizowanie jego "zła".

Moralizm osiąga szczęście poprzez usunięcie się od świata w zacisze czystego serca, przy czym obojętne się staje, co się z ciałem dzieje. Żmudna praca, zdążająca do zamarcia wewnętrznego, jest tym łatwiejsza, im bardziej usuwamy się od zakłócających wpływów świata. To praca kontemplatywna. Tylko ona potrafi wpłynąć na wielkości moralne, stanowiące substancję rozdartego aparatu psychicznego. Przeszkodą są więc wszelkie powiązania z kulturą, z ewolucją tworzycielską, nastawioną na doskonalenie instrumentarium jako szczebli reorganizacji ładu naturalnego.

"Cóż bowiem pomoże ludziom doskonalenie się w coraz lepszym wykorzystaniu bogactw, dla zdobycia całego chociażby świata, jeśli to im przyniesie szkody duchowe" (Pius XI, Quadragesimo anno, s. 127).

Należyte środki do osiągnięcia celów moralizmu daje tylko kontemplacja.

"Właściwa jej skuteczność polega na tym, że poruszając serce Boga, nie zmienia ani jednego atomu na ziemi. Im bardziej człowiek zbliża się do stanu natury nieskażonego ducha, tym bardziej zmniejsza się dla niego wartość środków doczesnych, oddanych duchowi w służbie" (Jacques Maritain, Religia i kultura, Poznań 1937, s. 56).

Inny autorytet w tej materii formułuje rzecz podobnie: "Wielce się udoskonalisz, jeśli zachowasz się wolnym od wszelkich starań doczesnych. Wielce upadniesz jeśli co doczesnego szanować będziesz.

Niech ci nie będzie nic wielkim, nic wzniosłym, nic wdzięcznym i miłym, nic pożądanym... Dusza miłująca Boga, nie dba o nic, i wszystkim pogardza" (Tomasz á Kempis, op. cit., II, 5, 3).

2. Światopogląd moralizmu.

Skupienie uwagi na problemach wynikających z bólu moralnego rozdartego aparatu psychicznego rzutuje inny zarys światopoglądu, niż to było z personalizmem i wszechmiłością. Wprawdzie mamy tu to samo doznanie zesztywnienia bytu i w ślad za nim idący dualizm, dualizm ten jednak nosi już specyficzne właściwości moralizmu. Nie ma tu już podziału na sektory: "godziwy" i "straszliwy".

Mamy natomiast rozróżnienie "ducha" i "materii". Każdy wyznawca moralizmu czuje jako coś oczywistego rozpołowienie bytu na pierwiastek duchowy i materialny. Wszak świat "ducha" jest areną jego dramatu życiowego, a poza nią znajduje się obcy, wrogi sektor, zbudowany z innej substancji, rządzący się odrębnymi prawami. Ten sektor składa się z planet, ziemi, skał, drzew, żywych ciał, a więc elementów materialnych, nie pasujących do "ducha". Powiązanie tych dwóch światów w osobowości człowieka jest wysoce nieudane, a ono właśnie układa się zawsze w schemat następujący: duch okazuje się czymś ważniejszym i wznioślejszym niż marna materia. W tej formule zawiera się określenie kierunku akcji moralizmu. Bo skoro duch jest ważniejszy niż materia, winien on dążyć do uzyskania przewagi, co wyraża maksyma o "prymacie ducha nad materią".

Wyrazisty zarys struktury świata, właściwy moralizmowi, z równą łatwością umiejscawia w nim istotę człowieka i oznacza jego cele najwyższe. Dualizm bytu rozcina organiczną jedność człowieka. W każdym człowieku wyodrębnia się więc "ducha" i materialną powłokę. W konsekwencji tego zabiegu uzyskujemy ogląd istoty człowieka właściwy moralizmowi. Człowiek jest to kaleki, cierpiący strzęp emocjonalny, czyli "duch", umiejscowiony w marnym ciele.

Pierwiastek duchowy, moralny, powiązany z niedoskonałą materią - oto istota człowieka.

Niedoskonałość materii i ciała, obciążając "ducha", sprawia cierpienie. Pozbyć się tego obciążenia zapewnić autonomię pierwiastkowi moralizmu, uzyskać prymat ducha, oto naczelne zadanie człowieka, spełnienie którego oznacza szczęście czysto wewnętrzne.

Prymat ducha nad materią zawiera w sobie przesłanki do określenia, czym jest najwyższe dobro moralizmu, będące zarazem miernikiem wszelkich wartości. To "doskonałość moralna".

Doskonałość moralna lub też jak ją nazywają niektórzy doktorowie Kościoła "czystość serca" jest zasadniczym dobrem moralizmu. Doskonałość moralna oznacza całkowite zamarcie wewnętrzne, usuwające bodźce motoryczne, które są przyczyną bólu w rozdartym aparacie psychicznym moralisty.

Pomysł doskonałości moralnej jako znieruchomienia wewnętrznego został wykoncypowany przez filozofa greckiego Pyrrona w IV wieku przed Chrystusem. Doszedł on do wniosku, że zahamowanie wszelkich poruszeń psychiki winno usunąć ból z tych poruszeń wynikający. Tym torem doszedł do ideału "jaźni apatycznej", nieczułej na jakiekolwiek bodźce wewnętrzne i zewnętrzne. Ideał ten całkowicie przeszedł pod znaki krzyża. Doskonały moralnie jest osobnik o wielkim zubożeniu życia wewnętrznego, uzyskiwanym poprzez świadome wytężenie woli w kierunku unieruchomienia rozbieżnych napięć emocjonalnych. Oczywiście muszą być najpierw pohamowane wszelkie poruszenia zewnętrzne. Wielki ojciec Kościoła Jan Kasjan opowiada, jak to pewien pustelnik kuł młotem skałę, by sobie urządzić pieczarę, i czynił to z wielką zaciekłością. I dopiero inny pobożny abnegat dostrzegł świętymi oczyma, że w tym uporczywym kuciu pomagał mu szatan, pospołu z nim dźwigając młot. Sens moralny: uwolnić się od wszelkich żądz, od woli czynienia czegokolwiek, co nie jest skierowane na dobro moralizmu. A to uzyskuje się przez usilną kontemplację i modły.

"Gdy więc duch nasz położy podwaliny wewnętrznego spokoju, uwolniwszy się od wszelkich więzów namiętności cielesnych, i gdy serce nasze skupi jak najmocniej swą uwagę koło jedynego i najwyższego Dobra, wówczas spełnimy przykazanie apostolskie: Bez przystanku się módlcie... gdy bowiem taka czystość pochłonie całą naszą świadomość umysłu, gdy znikną ziemskie zamysły i przemienimy się na wzór duchów anielskich: wówczas wszystko, cokolwiek wstąpi w duszę... stanie się najczystszą i najszczerszą modlitwą" (Jan Kasjan, op. cit., IX, 6).

Utrzymać się na drodze prowadzącej do dobra, jakim jest jaźń apatyczna, oto co wymaga nieustannej czujności. Trzeba stale celować w ten ideał, który św. Augustyn nazywa "doskonałą postacią duchową". Gdy tę doskonałą postać duchową zdobędziemy, wszystko inne jest mało ważne. Kiedy więc w swoim czasie Rzym został splądrowany przez Germanów, Rzymianie sponiewierani, wygłodzeni, sprzedani w niewolę, a kobiety, w tej liczbie i chrześcijanki, zgwałcone, św. Augustyn w obliczu ogólnego lamentu słusznie stwierdził, że nic złego się przecież nie stało, gdyż: "Dopóki zostaje świętość umysłu, nie ginie świętość ciała, choćby je nawet przemoc gnębiła" (Państwo Boże, I, 18).

Gdy się czyta „Państwo Boże", można się zdumiewać głupocie historyków, którzy nie widzą przyczyn upadku imperium rzymskiego, opiewanych w tej księdze i w setkach dzieł podobnych jako "doskonała postać duchowa".

Istota dobra da się więc sprowadzić do stanu duchowego, przy którym jest możliwa "doskonałość moralna", czyli "jaźń apatyczna". Wszystko, co temu "dobru" się sprzeciwia, musi być "złem".

Złem są zatem siły podrywające spoidła doskonałości moralnej, a więc bodźce motoryczne wypełniające psychikę ludzką, tak lub inaczej wiążące nas ze światem. Ponieważ celowy kształt tych namiętności jest zdezorganizowany już wcześniej, występuje owo zło jako chaotyczne popędy i napięcia, podważające ogólną równowagę naszego umysłu, osłabiając wolę dobra. Nie było tego przed grzechem pierworodnym.

"Wyszedł najprzód człowiek z rąk Boskich w stanie niewinności, jako dzieło ze wszech miar doskonałe, godne wszechmocnego Twórcy. Ale nieszczęśliwy w grzech upadając, dzieło tak zacne i doskonałe tak brzydko zepsuł i zelżył, iż stało się niejako zbiorem wszelkich niedoskonałości" (ks. M. I. Wichert, op. cit., s. 5).

"Dary przyrodzone zostały nadwątlone. I tak rozum zaciemniony. Co przedtem człowiek jasno i snadnie poznawał, to teraz jakoby po omacku, a zawsze pełen wątpliwości... nadto uczuł w sobie skłonność ku fałszowi, błędowi, ku kłamstwu; umiłował więcej ciemności niżeli światło. Osłabiona była wola. Przedtem tyle pochopna do wszystkiego co dobre, a teraz taka mdła, co więcej, wprost pochopna do złego" (ks. J. Deharbe, op. cit., s. 142).

Dla moralizmu zło jest widoczne w tych chaotycznych odruchach. Nie może on wyobrazić sobie, że chaos emocjonalny to rumowisko rozłożonej woli tworzycielskiej jako członu panhumanizmu. Stąd też szczerze pomstuje na "zgiełkliwe namiętności", owo smutne następstwo grzechu pierworodnego.

3. Etyka moralizmu.

Zło moralizmu jest równie uniwersalne jak zło personalizmu i wszechmiłości, gdyż z tego samego źródła wynika. Czuje się je jednak inaczej, bo od strony bólu emocjonalnego rozdartej psychiki.

Gdy sięga się myślą do wyobrażeń dobra, stwierdza się, że musiałby to być stan ataraksji, zamarcia poruszeń wewnętrznych, absolutnego spokoju. Tak było w raju.

"Pokój w człowieku niczym nie zakłócony; był takim o jaki my właśnie staramy się i pragniemy go a nigdy nie osiągamy" (ks. F. M. Besson, op. cit., s. 34).

Również: "...możliwość grzechu, zarówno śmiertelnego, jak i powszedniego, nie istniała w odniesieniu do człowieka w stanie niewinności przed grzechem pierworodnym. Na pytanie, czy człowiek w stanie niewinności mógł był popełnić grzech powszedni, Doktor Anielski odpowiada przecząco. Bo w tym stanie panowała w człowieku zupełna harmonia" (ks. prof. A. Borowski, op. cit., t. II, s. 220).

Jakże inaczej jest dzisiaj.

"Żądze ciała, pożądliwość oczu i pycha żywota ciągną do zamiłowania świata; lecz cierpienie i nędza, które słusznie idą za nimi, wzniecają nienawiść świata i rodzą tęsknotę" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 20, 4).

Pozbyć się zła, zwalczyć jego substancję w sobie, wyrugować, oto droga do dobra. Najprostsze rozumowanie prymitywnego, upadłego człowieka, dziecięcego w zasadzie umysłu, jest podstawą światopoglądową i etyczną każdego pierwiastka wspakultury. Skoro świat przypomina puszkę, w której mamy tylko dwie kule, czarną i białą, dobro i zło - to wyrzucenie kuli czarnej, czyli "zła", sprawia, że pozostaje już tylko kula biała, czyli "dobro". A wraz z nim i wymarzone szczęście, z tym dobrem strukturalnie złączone. Oto cała filozofia. To samo dzieje się w moralizmie, ten sam przebieg intuicyjnego rozumowania ma miejsce w umyśle każdego moralisty w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat, bez względu na to, czy ten moralista jest królem, niewolnikiem, naukowcem, szewcem, pisarzem, artystą, czy też tępym chłopkiem, robotnikiem lub jego zabiedzoną żoną.

Wszyscy oni czują ból, wynikły z niepojętych odruchów, które są kalekie i sprawiające cierpienie przez to, że nie mogą być czymś w pełni sprawczym i mocnym. Bezprzedmiotowość tych odruchów narzuca myśl, że są to jakieś złośliwe, izolowane od siebie demoniczne siły, kierowane przez specjalnych diabłów na utrapienie ludzkie. Tak więc natchniony Jan Kasjan, twórca atletyki moralnej chrześcijaństwa, zwraca uwagę na to zjawisko: "Wiedzieć należy, że nie każdy zły duch pobudza ludzi do każdej namiętności: raczej poszczególne wady podlegają różnym duchom. Jedne duchy mają upodobanie w nieczystości i czynach lubieżnych, inne czyhają szczególnie na bluźnierstwo, inne na gniew i gwałtowność, inne rozkoszują się smutkiem... a każdy stara się nakłonić serca ludzkie do tej wady w której sam się lubuje" (Jan Kasjan, op. cit., VII, 16).

Grzech moralizmu polega na dyspozycjach duszy ludzkiej do ulegania podszeptom poszczególnych złych duchów. Uczynić człowieka nieczułym na owe podszepty znaczy to osiągnąć sprawność moralną, która jest cnotą moralizmu. Ta Pyrronowa ataraksja w moralizmie chrześcijańskim bywa zdolnością do kontemplacyjnego doznawania bytu. Cnota kontemplacji czasem jest nazywana roztropnością lub też cichością.

W cnocie "roztropności" mieści się kanon tytanicznej pracy przezwyciężania grzechu, czyli wielki zakres atletyki moralnej. Dla człowieka zwróconego do życia nie jest łatwą rzeczą pojąć, co się kryje pod formami atletyki moralnej. A są to rzeczy niezmiernej doniosłości, gdyż wskutek wysiłków włożonych w osiąganie cnoty roztropności w ciągu dwu tysięcy lat jesteśmy tak opętani jej pajęczyną, że nie możemy pojąć istoty upadku cywilizacyjnego całych kontynentów. Widzi się wielką pracę, wytężenie, o którym się mówi z dumą, że jest wyższego gatunku, gdyż uszlachetnia duchowo, i nikomu nie przychodzi do głowy, że cały ten wysiłek zdąża do wyniszczenia podstaw, na których buduje się i rozwija każda kultura. O takiej pracy skruszenia serca mówi nieoceniony Kasjan: "Żadna cnota nie dochodzi do doskonałości bez pracy, i nie jest możliwym, by się ktoś wzniósł do pożądanej stateczności umysłu bez niezmiernego skruszenia serca. Bo człowiek rodzi się na pracę. Aby mógł się rozwinąć w męża doskonałego, w miarę wieku, mogącego objąć pełność Chrystusową, trzeba, by czuwał z coraz większą gorliwością i trudził się pilnością nieustającą" (tamże, VII, 6).

A więc pracujmy nad uszlachetnieniem naszej grzesznej psychiki, z wytężeniem uprawiajmy atletykę moralną, która oddala pokusy marnego świata i przybliża zamarcie wewnętrzne.

"Zadaniem roztropności jest uczynić z życia ludzkiego arcydzieło moralne, by właśnie to życie było w zupełności zharmonizowane z normą moralności... Dzięki cnocie moralnej władza pożądania umysłowego i zmysłowego odbiera od rozumu prawidłowy kierunek, nastawienie na dobro... Cnota moralna w oparciu o roztropność sprawia, że człowiek zamierza dążyć do dobra prawidłowego i wybiera po temu środki najstosowniejsze" (ks. prof. A. Borowski, op. cit., t. II, ss. 73, 74).

Postępując uparcie drogą kontemplacji osiągamy szczyt cnoty cichości, gdy dokonamy osłabienia i zwiotczenia popędów w naszej jaźni w tym stopniu, że wprost ich już nie będzie. Pustka wewnętrzna, jałowość, oto korona osiągnięć. To szeroko opiewane, pełne niewypowiedzianego czaru "ubóstwo duchowe". Ktoś jest ubogi duchowo, to znaczy wolny bez reszty, chemicznie wyjałowiony z lgnięcia do czegokolwiek na tym świecie. O takich to mówi z zachwytem Ewangelia: "Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie" (Mt 5, 3).

Wielu z teoretyków cnót moralizmu chrześcijańskiego, opierając się na tekście Ewangelii Marka, gdzie mowa tylko o ubóstwie, spłyca ten werset, sugerując, że chodzi tu tylko o nędzę materialną.

Historyczne działanie cnoty "ubóstwa duchowego" wybiega daleko poza wyrzekanie się dóbr ziemskich. Postulat ubóstwa duchowego wykwita ze szczególnie wysokiego natężenia pracy kontemplatywnej. Atletyka moralizmu, poprzez zastosowanie specyficznej techniki medytacji, rozmyślań, skupiania się, ślubów, ćwiczeń, potrafiła oddziałać na emocje, usypiając je i pogrążając w letargu. Ponadto wypracowane zostały metody działania pośredniego poprzez naciski na przebiegi fizjologii organizmu.

Świat naszych emocji tkwi swymi korzeniami w biofizjologii. Można więc wywoływać pewne stany psychiczne, uznawane za "wyższe", działając na fizjologię człowieka. Przykładem tej atletyki, która skutecznie zbliża do cnoty cichości, są żywoty wszystkich świętych. Moralizm stał się konikiem chrześcijaństwa. Postawa jego od dwóch tysięcy lat jest w tej materii niezmiernie natarczywa. Chce ono nas wszystkich uczynić "ubogimi duchem", a więc doprowadzić do wyjałowienia emocjonalnego, skruszenia serc, którego niedościgły wzór widzimy w maluczkich umysłem, matołkach, wyziębionej hołocie i spróchniałej, dziecinniejącej starczości.

4. Instytucje moralizmu.

O środkach atletyki moralnej, prowadzącej do tryumfu cnót kontemplacyjnych nad grzechem natury ludzkiej, od tysięcy lat rozprawiają niezliczeni dekadenci. W ciągu tysiącleci też moralizm wypracował wielce różnorodną technikę rozwijania swych cnót. Nie będziemy tu omawiać metodyki wydzielania się osobowości z potoku spraw życiowych, kontemplacyjnego formowania kierunku poruszeń psychiki, ćwiczonej w ascezie. Zwrócimy tylko uwagę na instytucje, które są niejako

nadbudową nad tym wszystkim. Są nimi instytucje odosobnienia dla dusz spragnionych doskonałości moralnej, gdzie w oddaleniu od zgiełku świata odbywa się obrzęd uszlachetniania osobowości. Są to zakony, domy boże, pustelnie itp.

"Z biegiem czasu powstały różnorodne klasztory kontemplacyjne, jak np. Sakramentki, które we dnie i w nocy mają w swej kaplicy nieustającą adorację Najśw. Sakramentu. Godzinami całymi klęczą w milczeniu u stóp Boskiej Eucharystii, słuchają natchnień Pana, przyjmują jego błogosławieństwo, oddychają niejako wonnością jego, proszą Go o łaski i zatapiają się całe w jego miłości, szczęśliwe, że są przy nim. Nie pytajcie ich na czym im mijają długie godziny adoracji; może nie umiałyby nawet odpowiedzieć; modlą się, płaczą, pragną, miłują, spełniają to co czyniła Maria: 'która siedząc u nóg Pańskich, słuchała słów jego'" (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 144).

Zasadnicza czynność związana z kontemplacją, jest więc stanem skupienia psychicznego, powodującego urwanie się kontaktu ze światem otaczającym. Chybotliwa tratwa emocjonalna zastyga w bezruchu. Nazywa się to rozmodleniem. Każdy moralista w tym skupionym rozmodleniu czuje się bliski osiągnięcia dobra, gdyż zamierają w nim wszelkie nie skoordynowane odruchy rozdartej psychiki, dzięki czemu dostępny dlań staje się stan bezbolesności, równoważny z wyśnionym, spokojnym szczęściem. Jest to dlań upragniony azyl, miejsce ucieczki od samego siebie. Dlatego też każdy z nich ów azyl rozmodlenia tak wysoko sobie ceni. Na tym tle możemy pojąć nieustający apel do modlitwy.

"Bez przystanku się módlcie" (św. Paweł, Pierwszy list do Tessaloniczan, 5, 17). Na modlenie się w każdym czasie kładą również nacisk ewangeliści Marek i Łukasz. Według Jana Kasjana: "Trzy są rzeczy, które się przyczyniają do ustalenia duszy obłędnej: czuwanie, rozmyślanie i modlitwa: do nich użyjcie pilności i wytrwałości, a one dadzą duszy siłę i stałość. Ale próżne będą wysiłki, póki nie pozbędziemy się wszystkich bez wyjątku trosk i kłopotów życia doczesnego za pomocą ciągłej i niezmordowanej pracy, ale nie w służbie chciwości, lecz w służbie świętych potrzeb..." (Rozmowy, X, 14).

Naturalnie do tych instytucji uszlachetniania grzesznej duszy nie wszyscy mogą mieć dostęp. Ktoś musi troszczyć się o to, by moraliści mieli zapewnione warunki materialne do kontemplowania.

Stąd wynika konieczność pewnego kompromisu.

"Tu na ziemi nieraz zniewoleni jesteśmy pracować jak Marta, w niebie dopiero staniemy się Mariami. Tymczasem najlepiej jest połączyć w sobie te dwa typy: być na przemian Martą i Marią..." (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 143).

Moralizm wytycza kierunek zabiegów, który opanowawszy świadomość ludzką, prowadzi do groteskowego odwrócenia kryteriów ocen bliższych i dalszych spraw. Szczególnie wyraźnie to widać tam, gdzie zderzają się ze sobą układy życia społeczno-historycznego, wyrosłe na podstawach wspakultury z jednej strony i panhumanizmu z drugiej. Uprawiający cnoty moralizmu utożsamia swoje perypetie wewnętrzne z procesem stwarzania wszelkiego dobra. Ponieważ czasem styka się z osiągnięciami kultury, których zanegować nie może - np. światło elektryczne lub kolej żelazna - więc też dochodzi do konkluzji, że jego doskonalenie się moralne w jakiś sposób wpłynęło na powstanie tych "materialnych dóbr". Doskonałość moralna przez to uzyskuje atrybut nowy - staje się "potęgą ducha". Jest przekonany, że jego moralne wiązanie rozłażącej się tratwy emocjonalnej pozostaje najdonioślejszą funkcją, bez której świat nie mógłby się rozwijać, gdyż inaczej zagubiłby busolę i pogrążyłby się w okropnych występkach, zbrodniach i "chaosie moralnym".

Oczywiście ten frywolny związek przyczynowy nie może długo istnieć, gdyż rychło dochodzi gdzieś do starcia "potentatów ducha" z "materialną siłą", w którym pierwsi doznają srogiej porażki.

Tam też powstaje rozróżnienie pod subtelnym określeniem "brutalnej siły" i "mocy duchowej".

Zazwyczaj dąży się do tego, by narzucić hierarchię, w której "moc duchowa" zastrzega sobie rolę kierowniczą, naczelne miejsce w wytyczaniu kultury duchowej, a "brutalna siła" otrzymuje funkcje wykonawcze jako podnóżek "prawdy". Taki układ powstaje tam, gdzie moralizm chrześcijański traci absolutną przewagę. Usiłuje on utrzymać się w sektorze kultury duchowej, by w ten sposób móc przeszkodzić wyzwoleniu się człowieka z mateczników moralizmu.

"Koncepcji 'kultury antropocentrycznej' przeciwstawia się koncepcję chrześcijańską, jako koncepcję kultury prawdziwie ludzkiej i humanistycznej... Taki humanizm uznając istotną hierarchię świata, stawia życie kontemplacyjne nad życie czynne i wie, że życie kontemplacyjne to najprostsza droga do miłości Pierwszej Przyczyny, w której się zawiera wszelka doskonałość" (J. Maritain, op. cit., s. 28).

Utrzymywanie się zgubnych majaków moralizmu ułatwiają uwodzicielskie właściwości jego ideałów. Ludzkość stoi dopiero na progu swego wielkiego posłannictwa, dlatego moralizm, jako wynik rozstroju humanizmu, jest czymś pospolitym. Jego ideały posiadać więc muszą szczególną atrakcyjność dzięki swej prostocie konstrukcyjnej, pozwalającej na wprzęgnięcie rozstrojonych sił emocjonalnych.

Rozdział V. Spirytualizm chrystusowy.

1. Spirytualizm jako pierwiastek wspakultury.

Bodziec tworzycielski w naturze człowieka tkwi swymi korzeniami w jego biologii. Toteż najwyraziściej go czujemy w okresie pełnych sił fizycznych, w okresie bujnej młodości. Ale bodziec ten nie może trwać długo, jeśli nie potrafi się wyrazić w sprawczym czynie, padającym na szalę ewolucji tworzycielskiej świata. Jeśli więc nie potrafi się przebić przez oporny świat, rychło przychodzi znużenie, ból, przedwczesna starość duchowa, a następnie rezygnacja, na której pasożytuje wspakultura. Tam jednak, gdzie do rozkładu jeszcze nie doszło, spiętrzenia psychiki ludzkiej zestalają się w doznawaniu życia jako pełnego uroku pola możliwej przygody kosmicznej.

Zdrowy człowiek pierwotny z jaskiń i lasów i człowiek współczesny w równym stopniu pragną pełni życia, czują tęsknotę do sprawczej mocy i produktywności. Ona to powoduje, że człowiek, aktualnie ograniczony w możliwości rozwinięcia swych uzdolnień twórczych, wyczarowuje w swej wyobraźni wizję świata, który chciałby przybliżyć. Człowiek natury stwarza więc cudowny świat bogów, odpowiadający jego tęsknocie. Człowiek nowoczesny natomiast toruje sobie drogę do tego cudownego świata poprzez wytężenie w budowaniu ciągłości kultury. Na tej drodze każde zestalenie się rozwojowych zadań w ideałach i celach otwiera, po ich osiągnięciu, nowe horyzonty.

Proces ten nigdy się nie kończy. Ciągły pęd, nieustanny ruch, oto zasada kultury.

Zupełnie inaczej czuje to psychika wspakulturowa. Nie znosi ona zmienności celów, gdyż każda zmiana jest dla niej męką. Rozwojową zmienność pochodu zadań formułuje ona jako ciężki zarzut przeciw kulturze. Nie jest zdolna dostrzec ciągłości ewolucji tworzycielskiej, gdyż widzi tylko jej puste skorupy. Popłakuje więc nad zmiennością upodobań ludzkich.

"...często człowiek zajmuje się gwałtownie rzeczą, której pożąda; lecz skoro ją otrzyma, inaczej czuje; albowiem skłonności ludzkie nie są trwałe, lecz owszem pędzą nagle z jednego w drugie" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 39, 2).

Rozdarcie panhumanizmu oznacza zamknięcie dróg ku odczuciu ewolucji tworzycielskiej świata, rozstrój woli tworzycielskiej. Bezprzedmiotowość jej naporu na rozdartą psychikę dekadenta wyrazi się w powstaniu specyficznego nastroju, który nazwać można by pantęsknotą.

Chcąc pojąć, czym jest pantęsknota, najlepiej przeprowadzić proste doświadczenie wewnętrzne: wyobraźmy sobie, że wszelkie nasze pozytywne dążenia w świecie są pozbawione

wszelkiego znaczenia i sensu. Znaczy to, że już jesteśmy poza potokiem ewolucji kulturowej, nic nas nie wiąże ze światem. Wówczas to w psychice naszej musi zakiełkować uczucie tęsknoty za "czymś".

Towarzyszyć mu będzie uczucie lęku i niepokoju z powodu upływających bezpowrotnie chwil istnienia, a jednocześnie pragnienie wyjścia z tej sytuacji. Pod naciskiem tych uczuć rozpocznie się kształtować przypuszczenie, że "gdzieś" powinno być jednak wyjście. W zależności od naporu lęku i niepokoju przypuszczenie przerodzi się w pewność. A więc "gdzieś" jest wyjście. Ale gdzie?

Zgodnie z założeniem tego wyjścia nie ma tu. A więc może być tylko tam. Kierunek tego "tam" sugeruje nam pantęsknota. Nie może ono być w "marnym", "przemijającym", "materialnym" świecie. Mieścić się więc będzie poza tym wszystkim, a więc poza tym światem. Skinienie ewolucji tworzycielskiej w naszej psychice, będąc oddarte od zestroju panhumanizmu, ma tylko jedną ucieczkę - zaświaty, tam, gdzie podążamy po indywidualnej śmierci.

W ten sposób powstaje podhalucynacyjne wrażenie świata "innego", w którym wspakulturowiec czuje się jak w azylu. Świat ten musi być odwrotnością zmysłowego bytu, a tym samym nabiera atrybutów świata "prawdziwego". Chora psychika utwierdza się w wierze, że poszukiwane "gdzieś" jest "tam" i że "tam" jest lepiej niż "tu". Skompensuje ona "tam" swoje klęski "tu".

"Tam nikt ci się nie sprzeciwi, nikt ci ani nie przeszkodzi, ani nie zawadzi, nikt się nie użali na ciebie; lecz wszystko co tylko pożądać zdołasz, będzie ci obecne i będzie zaspakajać i w nieskończone czasy nasycać wszelkie zachcenia twoje" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 49, 6).

Przeciwieństwa "tu" i "tam" muszą wyrównywać niedobory pobytu doczesnego wspakulturowca - spirytualisty. Cierpi on po to, aby uszlachetniać swoją osobowość, ale to uszlachetnianie musi być zwaloryzowane w sposób zrozumiały dla jego ziemskiej duszy. Cierpi po to, aby przybrać kształt, dzięki któremu dostanie się "tam", gdzie sobie wszystko powetuje, i to z nawiązką. Gorzej będzie z tymi, co mają się dobrze "tu".

"A wielu pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi" (Mt, 19, 30).

Widzenie "tam" jako przeciwieństwa "tu" jest wynalazkiem w sam raz pasującym do patologicznego stanu wspakulturowca. Dzięki temu odwróceniu obrazu świata uzupełnia on swoje niedobory życiowe, uzyskując element do jako tako zwartej konstrukcji logicznej, pozwalającej mu przetrwać dwadzieścia tysięcy dni jego doczesnej egzystencji. Na koncepcji zaświatów jest ugruntowany pierwiastek spirytualistyczny wspakultury chrześcijańskiej. Ma on zawsze tę samą genezę. Sposób dopasowania spirytualizmu do innych pierwiastków różni się nieco w poszczególnych zestrojach wspakultury totalnej - buddyzmie, hinduizmie i islamie.

Spirytualizm chrześcijański pozwala na zbudowanie logicznej konstrukcji, zespalającej inne pierwiastki w pewną całość. Pojmują to dobrze teoretycy chrześcijaństwa, pomimo że w ramach swej doktryny poruszają się tylko na podstawie intuicyjnych odczuć.

"Nie rozumiemy życia śmiertelnego i nie pojmujemy jego prawdziwej wartości, jeśli się nie wzniesiemy do poznania drugiego, nieśmiertelnego życia; usunąć je, a wszelki kształt i wszelkie pojęcie słuszności zniknie; owszem, cały świat stanie się wówczas zagadką, niedostępną dla człowieka. Jest więc dogmatem chrześcijaństwa, na którym cała nauka i cała budowa religii... opiera, a ponadto prawdą naturalną, że żyć prawdziwie będziemy po opuszczeniu tego świata. Nie dla tych tutaj rzeczy, kruchych i znikomych, lecz dla niebieskich i wiecznych Bóg nas stworzył, a ziemię dał nam nie na siedzibę stałego mieszkania ale na miejsce wygnania" (Leon XIII, op. cit., s. 51).

Życie doczesne utożsamione więc zostaje z miejscem wygnania. Ważne tylko to, co nas czeka "tam". Im bardziej ważne się staje to, co jest tam, tym lichsze to, co jest "tu". Odwrotność proporcji stanowi regułę. Na tej drodze dochodzi się do głębokiego odwrócenia wartości bytu. Im wyższy

stopień schorzenia spirytualistycznego, tym żywszy wstręt do każdej czynności wiążącej nas z "tym" światem. A w tym świecie mieści się kulturowe posłannictwo człowieka. Staje się ono czymś najbardziej wrogim dla spirytualizmu. Wzrastające natężenie spirytualizmu oznacza jednocześnie wzrastającą nienawiść do panhumanizmu, do tego wszystkiego, co służy ewolucji tworzycielskiej świata, co stanowi jej substancję. Spirytualizm to śmiertelny wróg kultury, to zorganizowana wola jej zniszczenia, poderwania jej fundamentów w człowieku i świecie. Bez tej woli zniszczenia panhumanizmu nie ma spirytualizmu, jak i innych pierwiastków wspakultury krzyża.

2. Światopogląd spirytualizmu chrześcijańskiego.

Podstawą światopoglądową zarówno spirytualizmu krzyża, jak i innych wspakultur totalnych jest teza, że fundament najwyższych wartości bytu mieści się poza "tym" światem. Ów prawdziwy świat musi być całkowitym przeciwieństwem doczesnego. W nim też kompensują się wszystkie braki i niedoskonałości tego. Wszystko, co się dekadentowi nie podoba "tu", jest doskonałe "tam".

Na takim podłożu rozwinięty został system "filozofii ducha", będący skrajnym dualizmem.

Powstają dwa bieguny: jeden to "duchowość", drugi - to "przemijająca materia". W konsekwencji prowadzi to do nasilenia przeciwieństw pomiędzy światem i zaświatem, ciałem i duszą, Bogiem a Szatanem itd. Dojść musi do walki pomiędzy jednym i drugim.

"Otóż ten tutaj świat i świat przyszły, to dwaj nieprzyjaciele" (Drugi list Klemensa do Koryntian, 6, 3).

W świecie grzesznej materii tkwi człowiek. Ale tylko część jego istoty pozostaje skażona. Oprócz materialnej, cielesnej powłoki jest on jeszcze elementem duchowym, który pochodzi z zaświatów.

Słowem człowiek to ciało i nieśmiertelna dusza, przypadkowo złączone dla wzajemnej udręki.

Dusza to cząstka zaświatów, Boga, Idei, która przyplątała się na materialną ziemię i musi odbyć kwarantannę, nim wróci do swego pierwotnego źródła. Śmiertelne jest ciało. Ale losy duszy związane są z tym, co człowiek czynił za życia. Musi więc przyjść koncepcja nieba, raju i piekła.

Nad tym biedził się w swoim czasie św. Justyn: "Nie mówię, że wszystkie dusze umierają. Byłby to naprawdę czysty zysk dla ludzi złych. Nie, dusze ludzi pobożnych żyją w jakimś lepszym miejscu, natomiast ludzi niesprawiedliwych i złych w gorszym i tedy czekają na czas sądu. Tak więc jedne z nich, te, które okazały się godnymi Boga, już nigdy nie umrą, inne natomiast ponoszą karę, a istnieją i cierpią tak długo, jak Bóg chce" (Dialog z Żydem Tryfonem, I, 5, 3).

Aby zaś człowiek mógł odpowiednio postępować, musi być uzbrojony: "Człowiekowi jest dana mądrość, by rozumiał Boga, i to jedynie stanowi różnicę między człowiekiem a zwierzętami..." (Laktancjusz, Epitome, XXXIV).

Ostry konflikt świata z zaświatem pozwala spirytualistom zestalić obrazy tego ostatniego. W jego centrum musi być jakiś samowładny, wszystkowiedzący Bóg, oczywiście całkowicie "duchowy".

Pomiędzy mizernym światem materii a tym Bogiem z natury rzeczy istnieje ogromny dystans.

Trzeba je w jakiś sposób ze sobą skontaktować. Ponieważ Bóg jest wszystkowiedzący, kontakt ten nie może odbywać się poza jego wiedzą. Z drugiej zaś strony człowiek czuje swoją nikczemność i słabość. Inicjatywa więc wychodzi od zaświatów, a ziemianie, udręczeni przez grzech w sobie i poza sobą, z tęsknotą na nią czekają. To wyjaśnia nam, dlaczego w pewnych okresach zjawiali się "objawiciele", "zbawiciele" i "synowie" tamtego świata, dostarczając pouczeń, jak należy się zachowywać, by "tam" się dostać. Z tej psychozy wykwitły takie postaci, jak Budda, Chrystus, Mahomet itd.

Dekadent zawsze łaknie utwierdzenia się w swoim wierzeniu, że cała koncepcja spirytualizmu nie jest podhalucynacyjnym wybrykiem jego wyobraźni. Uspokoić go może pośrednik z tamtego świata, gdy wylegitymuje się w dostatecznie przekonywający sposób. Tym zaś jest wyczyn ponadnaturalny, cud. Dekadent-spirytualista najgoręcej pragnie cudu, gdyż dzięki niemu zestala się jego pewność, że wyśniony zaświat nie jest tylko produktem jego rozstrojonej psychiki. Jego podhalucynacyjnemu stanowi psychicznemu zagraża ciągłe niebezpieczeństwo powrotu normalności, która obala fundament światopoglądowy. Im bardziej upada człowiek, tym więcej pragnie cudu. I cuda będą się działy wszędzie tam, gdzie istnieje choroba wspakultury. Czuje to każdy z dekadentów od tysiącleci.

"Umysł człowieka otoczony ciemną ciała powłoką, jest zbyt oddalony od widzenia prawdy: i tym się różni Boskość od ludzkości, że cechą ludzkości jest nieświadomość, a cechą Boskości wiedza.

Stąd potrzebne nam jest światło do rozpędzenia ciemności, którymi jest spowita myśl człowieka" (Laktancjusz, O gniewie Boga, I).

Światło objawienia jest tym potrzebniejsze, że grzech pierworodny zwrócił nas do świata. Grzech pierworodny to oczywiście rozstrojony panhumanizm. Objawienia wysnute z dobroci i litości zaświatów dla cierpiących dekadentów rozjaśnią ciemność upadku. Jako coś oczywistego i radosnego przyjmują oni wszyscy wiadomość, że "Królestwo moje nie jest z tego świata... Jam się na to narodził, i na to przyszedłem na świat, abym świadectwo dał prawdzie" (J 18, 36, 37).

Treścią "prawd" objawionych przez syna zaświatów będą cele najwyższe spirytualizmu, będą wskazówki, jak dostać się "tam". Z założeń światopoglądu spirytualistycznego wynika, że trzeba dążyć do połączenia duszy z tamtym światem, i to poprzez uporczywe zwalczanie wszystkiego, co jest doczesne, zwrócone do ewolucji tworzycielskiej na tym mizernym świecie.

"Sądzimy, że jest lepiej mieć w nienawiści sprawy tego świata, bo są małe, krótkotrwałe i skazitelne, a miłować sprawy świata tamtego" (Drugi list Klemensa do Koryntian, 6, 5, 6).

Dla spirytualisty nie ulega wątpliwości, że bez sprawiedliwości "tam" wszystko straciłoby sens, załamałby się ład moralny świata.

"Jeżeli cnota gardzi wielkimi dobrami ziemskimi, wszystkie nieszczęścia najroztropniej znosi, nawet samą śmierć z obowiązku przyjmuje, cóż będzie jej nagrodą, jeżeli nie jedynie nieśmiertelność... To bowiem jedynie jest szczęśliwe, co jest niezniszczalne, to jedynie niezniszczalne jest wieczne. Nieśmiertelność przeto jest najwyższym dobrem. Tylko ku niej jesteśmy kierowani, do jej zdobycia zrodzeni jesteśmy" (Laktancjusz, Epitome, XXX).

Osiągnąć ten cel poprzez zbawienie duszy - oto frapujące zadanie.

"Istnieje jedna myśl promienna... To myśl o cudnym, promiennymi duchami zaludnionym niebie. Choć wszędzie smutek jest i ból, to tam wieczna, niezmącona panuje radość... Nieprzeliczone rzesze dusz kąpią się w złocistych blaskach niezmąconego szczęścia bez miary, choć szczęśliwych na świecie tak mało" (O. F. W. Faber, Dobroć, s. 71).

Zbawienie duszy to klucz do nieba. "Niebo jest to miejsce, gdzie Aniołowie i Święci cieszą się wieczną szczęśliwością... Szczęście świętych w niebie polega na tym, że 1. widzą Pana Boga i cieszą się Jego miłością; 2. wiedzą, że szczęścia swego nigdy nie utracą; 3. wolni są od wszelkich cierpień. Oko nie widziało, ani ucho nie słyszało... co zgotował Bóg tym, którzy Go miłują" (Katechizm religii katolickiej, 1945 r.).

Jak już mówiliśmy, niebo nie jest czymś nam nie znanym, gdyż mamy w nim zawarte wszystkie pragnienia dekadenta, wyprane z niewygód i braków doczesności i przerzutowane "gdzieś". Ktoś to nazwał liryką trawienia bez ograniczeń. Sprawa zmartwychwstania ciał musi zająć

odpowiednie miejsce: "Ciała wszystkich ludzi zmartwychwstaną w dniu ostatecznym... dlatego zmartwychwstaną, aby wspólnie z duszami otrzymać nagrodę, lub karę wedle uczynków swoich.

Ciała dobrych jaśnieć będą chwałą na podobieństwo uwielbionego ciała Jezusa... Ciała potępionych będą wstrętne" (jw.).

Dążyć do zbawienia znaczy to zdobywać zasługi. Jest to kierunek wręcz przeciwny kulturze.

Zdobywanie waluty obiegowej "tam" odbywa się poprzez niszczenie podstaw człowieczego posłannictwa "tu". Nazywa się to "uduchowieniem", gdyż tylko dusza umyta z brukających naleciałości "tego" świata może się dostać do królestwa niebieskiego. Są to postulaty kategoryczne, nie dające się złagodzić.

"Zbawienie duszy i nakaz sumienia są świętsze niż węzły krwi, są wyższe niż rozkaz państwa. Zbawienie duszy jest jedyną ważną rzeczą, wszystko inne jest w gruncie rzeczy obojętne" (ks. dr F. Sawicki, op. cit., s. 12).

Nawet przekreślenie całej historii ludzkiej, zniszczenie wszystkich osiągnięć kultury nic tu nie zmienia. Wszystko to, co stanowi sens bytowania ludzkiego, dla spirytualizmu nie ma znaczenia.

"Wiemy bowiem, że jeśli tego naszego ziemskiego mieszkania namiot zburzony będzie, budowanie mamy od Boga, dom nie rękami urobiony, wieczny w niebiesiech" (św. Paweł, Drugi list do Koryntian, 5, 1).

Na tym tle dopiero można pojąć demoniczną rolę unicestwienia posłannictwa człowieczego w ekstatycznym okrzyku św. Bernarda: "Biada mi, że mój pobyt na ziemi tak się przedłużył. Kiedyż doznam tego uczucia, ażeby umysł upojony miłością boską zapominał o sobie... stracić bowiem niejako samego siebie, tak jakbyś nie istniał... wyrzec się samego siebie i znikczemnieć, jest raczej stanem niebieskiej błogości" (Pisma, homilie, I). Tu na ziemi wszystko jest potępienia godne, niegodziwe i złe. "Marność jest szukać bogactw znikomych... Marność jest ubiegać się za dostojeństwy i wynosić się na stan wysoki... Marność jest uważać tylko na życie obecne a nie przewidywać tego, co po nim nastąpi. Marność jest miłować to co szybko przemija, a nie śpieszyć tam gdzie wieczne wesele" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 1, 4).

Jakże trudno żarliwemu duchowi spirytualizmu znosić wszelkie więzy doczesności.

3. Etyka spirytualizmu.

Spirytualista czuje się otoczony przez istny ocean zła, jakim jest otaczająca go doczesność. Od niego chce się wybawić. Zbliżając się ku bramom śmierci, ma tylko jeden sposób: uduchowia się.

Gdy proces uduchowiania się zostanie dokonany dostatecznie konsekwentnie, spirytualista może się spodziewać, że przejdzie bez trudności przez kontrolę pośmiertną do raju. Zło jest potężne przez to, że człowiek lgnie do niego, ulegając nieodpartemu czarowi tego, co nazwaliśmy panhumanizmem. I to jest właśnie grzech. Każdy spirytualista musi nieustannie czuwać, by temu grzechowi nie ulec.

Stale musi przypominać nakazy wielkich świętych i stale je zapomina. A przecież istota grzechu jest tak wyraźna: "...czyż nie wiecie, iż przyjaźń tego świata jest nieprzyjaciółką Boga? Ktokolwiek by tedy chciał być przyjacielem tego świata, staje się nieprzyjacielem Boga" (św. Jakub, List powszechny, 4, 4).

Spirytualista stwierdza, że grzech tkwi głęboko w jego osobowości, że stale, pomimo natężonej samokontroli, dochodzi do głosu. "Jeśli więc, czego nie chcę, to czynię, już nie ja to czynię, ale grzech, który we mnie mieszka" (św. Paweł, Do Rzymian, 7, 20).

Poddanie się czarowi świata, przytaknięcie posłannictwu człowieczemu to rzecz straszna, bo godzi w podstawy wspakultury. Stąd łatwa już droga do innych występków, dalekich wprawdzie panhumanizmowi, lecz wynikających z umiłowania spraw tego świata. Jest to grzech spirytualizmu: "...dobrowolne i zupełne odwrócenie się od Boga, celu ostatecznego, a całkowite zwrócenie się do dobra przemijającego. W duszy człowieka, popełniającego grzech śmiertelny, znika najwyższa miłość Boga, a tym samym i łaska uświęcająca, pierwiastek życia nadprzyrodzonego. Stąd właśnie pochodzi nazwa grzechu, jako śmiertelnego, czyli zadającego duszy śmierć" (ks. A. Borowski, op. cit., t. II, s. 208).

Przełamanie grzechu byłoby możliwe, gdyby udało się radykalnie zdeprecjonować ciążenie człowieka do "świata". I tu dochodzimy do oryginalności etycznego systemu spirytualizmu, opierającego się na koncepcji patologicznego odwrócenia roli "tego" i "tamtego" świata. Na podstawie przekonania, że "ten" świat jest marny, przemijający, ułomny, a "tamten" wspaniały, trwały, prawdziwy, można istotnie z łatwością pognębić wszelką pochopność do marności nad marnościami. Grzech spirytualizmu łatwo pokonać, gdy w psychice człowieka uda się zaszczepić lekceważenie doczesności. Sposób zaś na to tkwi we wzbudzeniu podhalucynacyjnego czucia ważnego "tamtego" świata. Osiąga się to, gdy o kimś można powiedzieć słowami Zbawiciela: "Nie są ze świata, jak i ja nie jestem ze świata" (J 17, 16). Tacy są już wymaglowani przez utrapienia i cierpienia tak dalece, że czują świat w kategoriach psychopatycznego dualizmu. "Gdybyście byli ze świata, świat miłowałby, co jest jego; ale że nie jesteście ze świata, alem ja was wybrał ze świata, dlatego was świat nienawidzi" (J 15, 19).

Do takich pasuje wezwanie Chrystusowe: "Sprzedajcie, co macie, a dajcie jałmużnę; sprawcie sobie trzosy, które nie niszczeją, skarb niewyczerpany w niebie..." (Łk 12, 33). "Prawdziwie roztropnym jest ten, który wszystkie ziemskie rzeczy za śmiecie uważa, aby Chrystusa pozyskał" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 3, 6).

Wszystko to jest możliwe, gdy w duszy dekadenta zapłonie ogień wiary. Na niej opiera się gmach spirytualizmu. Wiara oznacza warunek utrzymania się spirytualisty w podhalucynacyjnym upojeniu pewnością, że "tam" istnieje, że "tam" jest lepiej i że on znajduje się na drodze właściwej, by "tam" się dostać. Bez wiary dekadent pogrąża się w zwątpieniu, męce wewnętrznej, traci konsekwencję osądu i postępowania. Stąd też każdy z nich, zdobywszy wiarę, chroni ją jako swój największy skarb.

Stworzyć ów podhalucynacyjny stan psychiczny - oto podstawowe zadanie spirytualizmu, sławetny "czyn" wiary. Tylko w tym stanie doznanie "prawdziwego" świata i wszystkie konsekwencje stąd płynące są do przyjęcia dla jego władz duchowych. Dlatego też spirytualizm mówi o stanie "łaski", nie wszystkim wszak dostępnej. Stan podhalucynacyjny warunkuje więc łaskę. Normalny osobnik jest na nią bardzo odporny. Jawi się ona przywilejem maluczkich umysłem, wymęczonych przez nędzę, wymaglowanych przez rozpad panhumanizmu, a więc tych, którzy przeszli już przez tryby innych pierwiastków wspakultury - przez personalizm, moralizm, wszechmiłość. Czyn wiary z kolei stabilizuje zasięgi tych pierwiastków. Jakże bliskie i swojskie stają się cnoty pokory, miłości, cichości...

"Wiara jest to cnota nadnaturalna, która nas skłania, abyśmy uznawali za prawdę to, co Pan Bóg objawił i przez Kościół św. podaje do wierzenia" (Katechizm religii katolickiej, 1945 r.). Podobnie określa cnotę wiary św. Alfons Liguori: "Wiara jest cnotą albo darem... za pomocą którego wierzymy w prawdy od Boga samego Kościołowi objawione, a nam przez Kościół podane" (Katechizm, s. 9).

Dzięki tej cnocie uzyskuje się pewnik co do czterech prawd, które stabilizują gmach całego chrześcijaństwa. Z wiary bowiem wynika, że Bóg istnieje, że istnieje nagroda i kara po śmierci, że Bóg jest w trzech osobach i że nastąpiło wcielenie "Słowa" w Chrystusie. Mamy więc szkielet pojęciowy, na którym opiera się instytucja Kościoła. Gdy więc kogoś nawiedziła "łaska" wiary, oczywiste wydaje się przykazanie: "Będziesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej... To jest największe i pierwsze przykazanie" (Mt 22, 37).

Skoro mamy kochać Boga aż tak wyłącznie, nie może się w naszym sercu mieścić szpetne uczucie przywiązania do świata i jego marności. Dominować powinno inne uczucie.

"Marność nad marnościami, i wszystko marność, oprócz kochania Boga i służenia Jemu samemu" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 1, 3).

Wynikająca z wiary prawda o wcieleniu Chrystusa daje nam możność zrozumienia boskości "Syna". A to znów wskazuje na sposoby przekroczenia progu od marnej doczesności do "prawdziwego" świata poprzez naśladowanie jego cnót. Wiara w Chrystusa jest czynnikiem przezwyciężenia ciemnoty naszego umysłu, przytłoczonego pierworodną ułomnością.

"Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie jest z was, dar to Boży jest" (św. Paweł, Do Efezjan, 2, 8).

Wierząc w boskość Chrystusa, umarliśmy dla grzechu, czyli posłannictwa człowieczego i kultury, gdyż aktem wiary wyłączamy się ze śmiertelnego i przemijającego świata i zwracamy się w labirynt wspakultury, ku jego poszczególnym kapliczkom, a między innymi w zaświaty. W ten sposób otwierają się drogi na szczęśliwość "tam".

"Szczęśliwość, upragniony cel przez zdrową naturę duchową z dwojga się składa, a mianowicie: żeby się bez żadnej przeszkody cieszyć dobrem niezmiennym, którym jest Bóg i po wtóre, żeby ani na chwilę wątpliwości nie mieć lecz pewnym być nieomylnie, że się w tym dobru najwyższym na wieki pozostanie" (św. Augustyn, Państwo Boże, XI, 13).

Dzięki cnocie nadziei oczekiwania na szczęśliwość nie mogą być zakłócone: "Nadzieja jest to cnota nadnaturalna, która nas skłania, abyśmy z ufnością oczekiwali zbawienia i tego, co nam Pan Bóg obiecał dla zasług Jezusa Chrystusa" (Katechizm religii katolickiej, 1945 r.).

Z kolei nadzieja pobudza żarliwość wiary. Dekadent oddycha z ulgą, gdy słyszy słowa "Zbawiciela": "Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iż kto słowa mego słucha, a wierzy temu, który mnie posłał, ma żywot wieczny, i nie przyjdzie na sąd, ale przeszedł ze śmierci do żywota" (J 5, 24).

Cnotę wiary wzmacnia się też innymi środkami. Skuteczna jest pogróżka, dla tych, co są chwiejni: "Kto wierzy w Syna, ma żywot wieczny; a kto nie wierzy Synowi, nie ujrzy żywota, ale gniew Boży nad nim zostaje" (J 3, 36).

Na pogrążonych w rozpaczy wspakulturowców oprócz pogróżek skutecznie działa fakt nieubłaganej śmierci. Straszną musi ona być dla jałowych istnień, wypadłych z ciągłości historii; działa jak gniotący ciężar. Ucieczka tylko jedna: dostać się "tam". Każdy z nich łamie się pod ciężarem upływających chwil życia. Posłuchajmy jęku świętego: "A więc także pewnego dnia będę musiał umrzeć i wejść do wieczności. Lecz jaka wieczność mnie oczekuje?... O Jezus, ratuj mnie... O Boże daj, abym coraz lepiej poznawał, jak szalonym jest ten, co miłuje dobra tej ziemi" (św. Alfons Liguori, Rozmyślania, s. 13).

Ale są jeszcze cuda, które najskuteczniej zwracają do wiary wątpiących. Dzięki cudom niepewność przeistacza się w błogie uczucie pewności, jasności dróg, którymi dekadent ma kroczyć. "Zważmy, najmilsi, jak Pan ustawicznie nam wskazuje zmartwychwstanie, któremu on dał początek, z martwych budząc Pana Jezusa. Patrzmy najmilsi, jak to zmartwychwstanie odbywa się czasu sposobnego: dzień i noc" (Pierwszy list Klemensa do Koryntian, 24, 1, 2). Wiara podtrzymuje nadzieję, gdy ta osłabnie przejściowo. Bóg, który dokonał cudów, nie może kłamać. Zbawienie jest pewne. "Liczne razy padają na grzesznika, a ufającego Panu ogarnia miłosierdzie. Miłosierny we wszystkim i dobrotliwy Ojciec serce ma dla tych, którzy do niego szczerym przystępują umysłem.

A więc nie miejmy wątpliwości... W tej więc ufności niech dusza nasza przylgnie do Niego, który jest w obietnicach wiary, i w wyrokach sprawiedliwy. Ten który rozkazał nie kłamać, tym mniej sam kłamać będzie, nic bowiem nie ma dla Boga niemożliwego prócz kłamstwa. Niech więc

na nowo rozgorzeje w nas wiara Jego, i zważmy, że wszystko jest dla Niego łatwe" (tamże, 23, 26, 27 i 1, 9).

Ufność też każe oczekiwać nagrody za cnoty oraz za cierpienia doznane. "Więc czeka nas zapłata, jeśli teraz wyznawać będziemy Tego, który nas zbawił. A czymże Go mamy wyznawać? Wypełnianiem słów Jego, czczeniem Go nie tylko wargami ale z całego serca" (Drugi list Klemensa do Koryntian, 3, 3, 4).

Cieszą się więc, tym bardziej że "Objawiciel" dobrotliwie ich do tego przekonuje: "Radujcie się i weselcie się, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiesiech" (Mt 5, 12).

Jest się z czego cieszyć, bo nagroda ta, ze stanowiska kupieckiego, wydaje się świetnym interesem, gdyż: "I wszelki, który by opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo synów, albo rolę dla imienia mego, stokroć tyle weźmie, i żywot wieczny odzierży" (Mt 19, 29).

W tym stanie duchowym można się utrzymać stosując dodatkowo technikę usilnej autosugestii i modłów. Szczególniej zaś uzdolnionymi do "czynu" wiary są ci wszyscy, którzy zaawansowali się w cnotach innych pierwiastków wspakultury krzyża: w pokorze, miłości i cichości. Czują się oni tak dalece "uszlachetnieni", że podhalucynacja wiary najbardziej im wydaje się bliska. Dlaczego?

"Bo Pan próżne a czyste naczynia napełnia błogosławieństwem swoim. A im kto zupełniej wyrzeka się rzeczy ziemskich, im bardziej przez pogardę samego siebie umiera sam sobie, tym prędzej łaska nawiedza, tym obficiej napełnia..." (Tomasz á Kempis, op. cit., IV, 15, 3).

4. Instytucje magii chrześcijańskiej.

Wiara jako podstawa etyki spirytualistycznej nadaje specyficzne znamię całemu chrześcijaństwu.

Konsekwencją jej bowiem jest instytucja ciągłego kontaktu z "tamtym" światem. Im dalej postąpiło schorzenie wspakultury, tym żywsza staje się potrzeba wiary dla uwikłanego w rozpad nieszczęsnego dekadenta. Opuściwszy kolebkę, każdy z nich natrafia na perwersyjnie rozmontowany świat, przy czym lwia część tego demontażu zostaje zapobiegliwie dokonana na nim samym, bo na jego istocie emocjonalnej.

Przez tysiąclecia wiara umożliwiała im wytrwanie w kosmicznym szpitalu, jakim było chrześcijańskie życie. Ale w każdej chwili pacjenci tego szpitala musieli być narkotyzowani zastrzykami z tamtego świata. Nazwiemy je magią. Spirytualizm utrzymuje się dzięki magii. Bez magii nie może istnieć chrześcijaństwo. Jak później to zobaczymy, zmniejszenie zastrzyków magii sprawiło przejście wspakultury krzyża w nową postać, która nie nosi już znaków chrześcijańskich.

Lecz o tym później.

Magia może być osobowa, rzeczowa i dogmatyczna. Magia osobowa polega na kontakcie z tamtym światem przy pomocy osób. Zazwyczaj zjawia się z tamtego świata osobnik, który objawia spragnionym wspakulturowcom prawdy spirytualizmu. Ażeby zaś zdobyć należyty autorytet, dokonuje "cudów". Tak jakoś się przyjęło, że prawdy z tamtego świata przedziwnie pasują do opisanych wyżej zasad personalizmu, wszechmiłości, moralizmu oraz nihilizmu, który przedstawimy w następnym rozdziale. Spirytualizm chrześcijański, objawiony przez pierworodnego syna samego władcy zaświatów, stanowi kopułę łączącą zalecenia powyższych zasad. Zasiliwszy grzeszny świat "łaską", nasz "objawiciel" dodatkowo poniósł śmierć, aby być w zgodzie ze starszymi objawieniami starohebrajskimi. Wielkie zasoby łaski pozostały do alimentowania następnych pokoleń. Ktoś musiał to czynić. Tak powstało zjawisko pośredników drugiej rangi.

Pośrednicy ci gospodarują powierzoną ich pieczy magią, utrzymując nastrój wiary w powierzonym im szpitalu człowieczym. W innych systemach wspakulturowych, np. w hinduizmie lub buddyzmie, główny pośrednik zjawia się periodycznie dla zasilenia "wiary" lub też fatyguje się w wyjątkowych wypadkach, gdy wiara zbytnio podupada. Główny pośrednik chrześcijański zjawił się tylko raz. Ale był oczekiwany wkrótce po swej ziemskiej śmierci, a następnie w tysiąc lat po swych pierwszych występach.

Dla właściwego gospodarowania magią pośrednicy drugiej rangi stworzyli zwartą organizację kapłańską z zadaniem penetracji wszystkich dziedzin życia. Sprawę tę omówimy szerzej w dalszym toku.

Podobny charakter nosi magia rzeczowa. Skoro istnieje "prawdziwy" świat, nie sposób zachować kontaktu bez utworzenia jego przyczółków na tym świecie. Istotnie, magiczne przyczółki "tamtego" świata znacznie się rozszerzyły na naszym padole. Najpierw były to rzeczy osobiste "objawiciela", które poprzez magiczne pomnożenie stały się dorobkiem pośredników drugiej rangi. Dziś możemy zobaczyć przedmioty magiczne, jak ołtarze z kośćmi świętych, domy boże, krzyże, monstrancje, cmentarze itp., bardzo rozbudowane. Każdy chrześcijanin w chwili udręki do nich bieży, by czerpać utajoną moc z "tamtego" świata.

Magia dogmatyczna tkwi we wspaniale rozbudowanym światopoglądzie spirytualistycznym. Całe chrześcijaństwo należy uznać za magiczne. Każde słowo, pojęcie, wyobrażenie jest nasycone magią w tym stopniu, że stykając się z nimi wpadamy w atmosferę tak czy inaczej wynikającą z powiązań z "tam".

Wszystkie odmiany magii są nastawione na tresurę umysłów w tym kierunku, by utrzymać podhalucynacyjny nastrój. Każdy dekadent ochoczo poddaje się tym sugestiom, pragnąc w ten sposób zniweczyć zło "niewiary", w jego duszy stale wzbierające. Gdy rozwój ekonomiczny, społeczny i poziom umysłowy sprawia, że jakieś społeczeństwo podnosi swoje szerokie masy z upadku, rozpoczyna się klęska "zatracania wiary". Sam spirytualizm nie jest zdolen utrzymać bez pomocy innych pierwiastków wspakultury nienaruszonej cnoty wiary. A wpływy tych słabną, gdy ich mateczniki podlegają silniejszym oddziaływaniom cywilizacji zachodniej. Taka sytuacja powstaje właśnie dziś.

Rozdział VI. Nihilizm i hedonizm w chrześcijaństwie.

1. Nihilizm jako pierwiastek chrześcijaństwa.

Stosunek do świata i życia, jaki poznaliśmy opisując personalizm, wszechmiłość, moralizm i spirytualizm, wykwita ciągle z tego samego założenia: rozstroju ewolucji tworzycielskiej.

Człowiek, zepchnięty ze szlaków swego posłannictwa w ciemny labirynt wspakultury, usiłuje się w nim jakoś urządzić. Podejmuje więc ciągłe próby stworzenia jakiejś harmonii w tym kalekim układzie, w jakim przebiega jego życie, poprzez neutralizację niepojętych i dokuczliwych szczątków panhumanizmu. Widzi on, że jakieś złośliwe garby i guzy w postaci zgiełkliwych namiętności wyłaniają się z dna jego jaźni, mącąc już, już osiągane szczęście fizjologiczne; to znów jakieś szatańskie burze historii toczą się przez świat, niszcząc zaciszny azyl dekadenta.

Wszystkie dotychczasowe próby doprowadziły do powstania kilku zwartych systemów, wyżej opisanych. Każdy z nich wynikał ze specyficzności wspakulturowego widzenia bytu, chociaż koncentrował się wokół tego samego zagadnienia podstawowego - zlikwidowania "zła", które odczuwano jako źródło cierpienia. Próbowano je więc zlikwidować za pomocą: pokory, miłości, cichości i wiary. Doświadczenie jednak narzuca wniosek, że wszystkie te sposoby nie doprowadziły do pełnych wyników. To powoduje zrodzenie się koncepcji bardzo radykalnej: wyniszczenia "zła" poprzez zdecydowaną akcję godzącą w jego podstawy. Nazwać by ją można aktywistyczną koncepcją zwalczenia "zła". Ona stanowi fundament nihilistycznego pierwiastka wspakultury, prościej - nihilizmu. Gdy już wiemy, czym jest kosmiczne zło w ujęciu wspakultury, łatwo domyślić

się, czym musi być nihilizm. Nihilizmowi przypada w chrześcijaństwie bardzo poważna rola. Usiłuje on wypełnić luki i niedobory pozostałych pierwiastków składowych.

Z dotychczasowego wykładu wiemy, że dla każdego wspakulturowca, a więc i chrześcijanina, złem jest świat jako teren ewolucji tworzycielskiej, złem więc są narzędzia jej służące, złem są napięcia emocjonalne ku niej skierowane. A więc zło tkwi wewnątrz człowieka. Dotychczasowe sposoby ugodzenia w to zło nie okazały się zbyt skuteczne. Spróbuje tego dokonać nihilizm, stosując aktywne, rzec by można bohaterskie środki zniszczenia zła. Nie chodzi tu już o hamowanie zła wewnętrznego, o zestrajanie rozbieżnych napięć we wzory "doskonałości moralnej", o pogrążenie ich w letargu, lecz o zdecydowane ich zniszczenie, pozbycie się ich bez reszty. Niszcząc żywioł energii emocjonalnej - tzw. instynkty i żądze - utrącamy zło u korzeni. Wówczas odpadną ich dalsze konsekwencje, ciągoty do świata i jego powabów, do czynu, do tego, co służy osiąganiu czegokolwiek na tle historii instrumentarium. Byłoby to nie tylko zanegowanie ewolucji tworzycielskiej, ale przede wszystkim wola dokonania operacji kaleczącej samą istotę człowieka.

Taki manewr narusza podstawowe wiązania organizmu świata. Wnikając w podstawy nihilizmu, dostrzegamy jego zdeterminowanie przez fakt rozstroju organizmu kultury. Skoro kosmiczne schorzenie przebiega według praw swego cyklu, musi się dojść do etapu niszczenia podstawowych organów, gdyż zachowanie ich w kręgu wspakultury byłoby sprzeczne z jej istotą. Nihilizm jako koncepcja świadomego kaleczenia człowieczeństwa okazuje się czymś prawidłowym. Dzięki temu możemy wyjaśnić pozorną zagadkowość nihilizmu chrześcijańskiego. Dla każdego wspakulturowca jasne jest, że "zło" tkwi w biologii ludzkiej, we krwi gatunku. Zło - czyli wola tworzycielska w swej zdezorganizowanej postaci jako żywioł emocjonalny wynika z naturalnych funkcji biofizjologii organizmu. We krwi odbywa się tajemne misterium przeistaczania się pierwotnej energii biologicznej w bodźce panhumanizmu, czyli "zła". Tam też trzeba dokonać akcji zniszczenia zła.

Każdy wspakulturowiec wie, że: "Krew nie tylko nosi w sobie choroby ciała, ale niewymownym sposobem tkwią w niej cierpienia duszy, smutki, dolegliwości, słabości duszy... I krew przenika tu nie tylko smutkami duszy i błędami i nierządem duszy, jej winami... Skoro to jest pewne, zatem patrząc na ludzkość możemy spytać: Jakaż to krew w niej płynie? I bez długich badań, na pierwszy rzut oka odpowiemy: Krew płynąca w żyłach ludzkości jest krwią zepsutą. Bo i gdzież to dąży ludzkość, zostawiona sama sobie, ku dobremu, czy ku złemu?" (ks. Louis Emile Bougaud, Credo, s. 156, 157).

Kierunek akcji nihilizmu jest tym samym wytyczony: zgnębić, storturować grzeszne ciało do tego stopnia, by złe bodźce uległy zanikowi. Podrywając normalny tok procesów biologicznych, w świadomy sposób gwałcąc przebiegi fizjologii, osłabiamy ciało, ale równolegle z tym osłabiamy tajemnicze przeistaczanie się energii tegoż ciała w bodźce emocjonalne - w wolę tworzycielską. Oto droga aktywnego ugodzenia w fundamenty "zła". Niszcząc "zło" wewnętrzne, usuwamy rozbieżność ducha i ciała. Otwiera się więc wylot na świadome i aktywne "uszlachetnianie osobowości". Wiadomo, co teraz czynić.

"Ucz się teraz umrzeć światu, ażebyś wtedy zaczął żyć z Chrystusem. Karć teraz swe ciało przykładną pokutą..." (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 23, 6).

Odtąd już wiadomo, jak można najskuteczniej ugodzić w uporczywe zło, dręczące chrześcijanina, odciągające go od świętości. Wstępną operacją jest więc zahartowanie swego postanowienia, poprzez wzgardę samego siebie.

"Nie masz gorszego i przykrzejszego nieprzyjaciela twej duszy, jak ty sam, kiedy twe ciało nie zgadza się z duchem. Potrzeba koniecznie, abyś się przejął prawdziwą wzgardą ku sobie samemu, jeśli chcesz przemóc krew i ciało swoje" (tamże, III, 13, 1).

Idąc konsekwentnie tym torem musimy dotrzeć do wzgardy i nienawiści cielesnego bytu, a następnie demonicznej woli jego zniszczenia. Wola nicości wówczas dominuje: "Mnie bowiem żyć jest Chrystus, a umrzeć zysk" (św. Paweł, „Do Filipian", 1, 21).

A inny święty tak woła w nihilistycznym patosie, w oczekiwaniu na śmierć radosną w cyrku: "Pozwólcie mi być żerem dzikich zwierząt, bo przez nie dojdę do Boga... Pieszczot wy raczej nie szczędźcie tym bestiom, by się stały grobem moim i niczego nie zostawiły z ciała mego... Błagajcie Chrystusa za mnie, abym przez te właśnie narzędzia bożą się stał ofiarą... obym już był wśród zwierząt, które na mnie czekają. Oby się prędko rzuciły na mnie... Ogień i krzyż, walka ze zwierzętami, rozczłonkowania, rozdarcie, rozproszenie kości, zmiażdżenie członków, starcie całego ciała, straszne męki szatańskie niech spadną na mnie... Nic mi po świecie całym aż po krańce jego" (św. Ignacy Antiocheński, Do Rzymian, 5, 2, 3).

Opętańcze upojenie się wolą nicości brzmi tu jak zwycięski hymn. Do czystego nihilizmu brak tu tylko apelu o samobójstwo. Przed tym krokiem chrześcijaństwo jednak się cofnęło. Natomiast znajduje się w nim pełne zalecenie wszystkiego, co prowadzi do śmierci pośrednio. Wsłuchajmy się w natchnione słowa św. Bernarda: "Prawdziwe to ze wszech miar zdanie, bracia moi, że pokuszeniem jest żywot człowieka na ziemi, bo omylnym jest to życie... Albowiem gdy wola końca grzechom położyć nie może, lepiej dla człowieka gdy konieczność tamę im kładzie. Lepiej dla tego, którego dusza ciągle umiera, że ciałem prędzej umrze; a lepiej jeszcze byłoby dla niego, żeby się nie rodził" (Pisma, homilie, V).

Założenie nihilizmu chrześcijańskiego głosi więc, że życie jest złem. Najlepiej się nie narodzić. Jak później zobaczymy, wstręt do życia każe św. Augustynowi cieszyć się myślą, że kiedyś glob ziemski opustoszeje z gatunku ludzkiego i dzieje się skończą. I tu nihilizm wzdycha z rezygnacją nad potęgą grzechu w naturze ludzi, którzy: "...radzi by raczej nieszczęść się pozbyć niż sami się usunąć" (Państwo Boże, XI, 27).

2. Światopogląd nihilizmu chrześcijańskiego.

Nihilizm chrześcijański ogniskuje się wokół kwestii radykalnego, zdecydowanego unicestwienia "zła". Posiada więc cechy w wysokiej mierze realizacyjne, instrumentalne. To sprawia, że jego własny światopogląd nie jest zbyt oryginalny. Pokrywa się on w ogólnych zarysach z innymi pierwiastkami wspakultury. A więc nie posiada on odrębnej wizji struktury świata, roli człowieka, jego celów najwyższych, kryteriów dobra. W tych sprawach do nihilizmu odnosi się to wszystko, cośmy już powiedzieli omawiając personalizm, wszechmiłość, moralizm i spirytualizm.

Oryginalność nihilizmu polega na aktywistycznej metodyce zniszczenia zła u korzenia.

Pierwszym akcentem, który tu się narzuci, jest podkreślenie wysokiego natężenia przeciwieństw pomiędzy ciałem i duszą w każdym człowieku.

"Znajduję więc to prawo, że gdy ja chcę czynić dobro, zło się mnie trzyma. Albowiem kocham się w Zakonie Bożym według wewnętrznego człowieka, lecz widzę inny zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi umysłu mojego, i czyniący mię niewolnikiem w zakonie grzechu, który jest w członkach moich. Nieszczęsny ja człowiek, kto mnie wybawi od ciała tej śmierci?" (św. Paweł, Do Rzymian, 7, 21, 24).

Pod ciężarem zła tkwiącego w ciele łamią się nihiliści chrześcijańscy, czując jego przeogromną potęgę. Stąd rozlega się wołanie o pomoc. "Błagam Cię, o najmiłosierniejszy Boże mój, zachowaj mię od zbytnich starań tego żywota, abym się nie uwikłał; zachowaj mię od wielu potrzeb ciała... zachowaj mnie od wszelkich niepokojów duszy, ażebym uciskami złamany nie upadł" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 26, 2).

Wszyscy oni czują się w niewoli zła, jakim jest ciało. "Ciało bowiem pożąda przeciwko duchowi, a duch przeciw ciału. Bo one sprzeciwiają się sobie nawzajem..." (św. Paweł, „Do Galatów", 5, 17).

Od zasięgów tego zła nic właściwie nie osłania nas w tym świecie. Ażeby nihilizm mógł skutecznie uderzyć w podstawy zła, musi on je dokładnie poznać, określić jego zasięgi i utajone korzenie.

Najwyraźniej widzi on, że: "...mądrość ciała jest nieprzyjaciółką Boga, albowiem nie jest poddana zakonowi Bożemu, bo nawet nie może. A którzy są w ciele, Bogu podobać się nie mogą" (św. Paweł, „Do Rzymian", 8, 7, 8).

Ale ciało to zbyt ogólne określenie. Wiemy już, że zło tkwi w biologii, w jej procesach, w samej krwi.

"Zepsuta natura pierwsza się wzrusza, zła krew najpierw się burzy i rzuca ku złemu, bez udziału duszy, wbrew duszy. Rozdźwięk jest tu zupełny; a tak widocznym jest to dziwne zjawisko, tak powszechnym i odwiecznym, że wszyscy od sześciu tysięcy lat wykazują je" (ks. L. E. Bougaud, „Credo", s. 158).

Z krwi i ciała wynikają wszystkie złe popędy natury ludzkiej. Wspakulturowiec widzi tylko ułomne przejawy nie zorganizowanych popędów, prymitywne ekscesy rozstroju, czyli: "A jawne są uczynki ciała, którymi są: porubstwo, nieczystość, niewstydliwość, wszeteczeństwo, bałwochwalstwo, czary, nieprzyjaźnie, swary, zawiści, gniewy, niesnaski, rozterki, sekty, zazdrości, mężobójstwa, pijaństwa, obżarstwa i tym podobne" (św. Paweł, „Do Galatów", 5, 19-21).

Gdyby mógł zobaczyć proces ewolucji tworzycielskiej świata, przeraziłby się jeszcze bardziej. Na razie dostrzega nędzę ciała i nicość życia. "Zaprawdę, życie na ziemi jest wielką nędzą... Albowiem jeść, pić, czuwać, spać, odpoczywać, pracować i innym ciała potrzebom podlegać wielką zaiste jest nędzą i zasmuceniem dla człowieka pobożnego..." (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 22, 2).

Nihilizm, dążąc do zniszczenia zła, czyli do zupełnego wyrwania człowieka ze zrostów panhumanizmu, rychło odkrywa, że zło ma swoje korzenie w energii bioseksualnej, albowiem na niej wyrasta żywioł emocjonalny. Na tysiące lat przed Freudem wspakultura odkryła, że życie emocjonalne tkwi w ewolucyjnym przeistaczaniu się pierwotnej energii seksualnej w popędy i bodźce woli tworzycielskiej. Skoro uderzamy w popędy, musimy najpierw dosięgnąć ich podstaw.

Tu mamy wyjaśnienie chorobliwego urazu wspakultury w odniesieniu do kwestii płciowych. Czuje ona trafnie, że jeśli potrafi zniekształcić, zahamować prawidłową ewolucję instynktu płciowego człowieka, to tym samym ugodzi w fundamenty "złych żądz".

W następstwie trzeba potępić samo życie, gdyż wszystko jest złem. Nihilizm chrześcijański nie decyduje się na tak radykalne konsekwencje, jakie widzimy w absolutnym nihilizmie buddyzmu.

Ten ostatni pragnie konsekwentnie zlikwidować osobowość, zniszczyć "ja", by się roztopiło w nicości nirwany. Nihilista chrześcijański tak daleko się nie posuwa. Neguje on ciało i jego podstawowe funkcje. A wówczas uderza w zasady szczęścia fizjologicznego, na którym opiera się personalizm i wszechmiłość. Odkrywamy głęboką sprzeczność, która będzie podstawą chwiejności chrześcijaństwa i przyczyną jego klęsk w nowszych czasach. Nie będzie można pogodzić akcji nihilizmu rugowania zła z grzesznego ciała poprzez srogą jego tresurę - z dążeniem personalizmu do cichego szczęścia w tym właśnie ciele. Musi się zrodzić głęboka rozterka w duszy wspakulturowca chrześcijańskiego, szarpanego przez rozbieżne dążenia.

"I jakże można polubić to życie, napełnione tylu goryczami, tylu klęskom i nędzom podległe? Jakże nawet nazywać życiem to, w czym się wyradza tyle chorób i śmierci? A jednak lubi je i wielu zatopiło w nim serce swoje. Przyganiamy często światu, że jest zwodniczy i marny; a jednak

niełatwo go porzucamy, bo żądze cielesne nazbyt w nas panują" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 20, 4).

Wydawałoby się, że po stwierdzeniu, iż życie jest bez wartości, łatwo będzie pokonać jego powaby. Wszak jasne jest, że: "Koniec życia, czy krótkie czy długie życie równym czyni... i cóż zatem zależy, kiedy więcej razy nie umiera, kto raz zakończy życie. Kto przeto niezbędnie umrzeć musi, nie tyle ma się frasować, jaką śmiercią umrze, ile raczej gdzie po śmierci się dostanie" (św. Augustyn, „Państwo Boże", I, 11).

Takie konsekwencje godzą jednak w personalizm i to czyni je niełatwymi do przyjęcia dla rozdartego wewnętrznie wspakulturowca.

3. Etyka nihilizmu chrześcijańskiego.

Skoro świat jest pełen niegodziwości, ciało zionie złymi pożądliwościami, jasne się staje, że wszędzie panuje książę grzechu, czyli szatan. Próbował on swej władzy kuszenia w stosunku do "Zbawiciela" przed tysiącami lat, oczywiście bezskutecznie. Pismo święte potwierdza, że ten świat doń należy, jak to wynika z opisu kuszenia. "I zawiódł go diabeł na górę wysoką, i ukazał mu w okamgnieniu wszystkie królestwa całego świata. I rzekł mu: Tobie dam całą tę potęgę i chwałę ich; bo mnie są oddane, a daję je, komu chcę" (Łk 4, 5, 6).

I odtąd stale już każdy wspakulturowiec znajduje się pod obstrzałem pokus. Jak stwierdza uczony teolog: "Sprawcami pokus właściwych są: skażona przez grzech pierworodny natura ludzka, świat, oraz najczęściej szatan" (ks. A. Borowski, op. cit., t. II, s. 328).

Właściwe wyjście z tej sytuacji jest tylko jedno: zwalczenie zła w aktywny sposób, tak jak tego chce nihilizm.

"Wszystko bowiem polega na wnętrzu duszy: gdyśmy z niego wypędzili szatana i nie panują w nim nałogi, to zaraz powstaje w nas królestwo Boże" (Jan Kasjan, op. cit., I, 12).

Gdy taka operacja się uda, wówczas dopiero naprawdę zdobędziemy dobro najwyższe, czyli wolność od wszystkiego, od świata, od wszelkich powiązań z nim.

Jak wykazały wnikliwe badania teologów i świętych, wszystkie siedem grzechów głównych da się wyprowadzić z jednego, tj. z "pychy". Możemy od siebie dodać, że tym grzechem są kikuty panhumanizmu widziane i odczuwane przez kaleką świadomość dekadenta. Troi się mu w oczach i dostrzega wówczas oprócz "pychy" łakomstwo, obżarstwo, zazdrość, gniew, nieczystość i lenistwo.

Właśnie od tego zasadniczego grzechu chce nas radykalnie uwolnić nihilizm, wychodząc ze słusznego założenia, że: "Dobra to bowiem rzecz oderwać się od pożądliwości świata, bo wszelka pożądliwość walczy przeciwko duchowi" (św. Polikarp, „Do Filipian", 5, 3).

Oryginalność nihilizmu polega na tym, że stosuje skuteczny sposób zwalczania grzechu. Sposobem tym jest zgwałcenie i storturowanie ciała ludzkiego, osłabienie organizmu, podcięcie żywotności fizycznej. Na tej drodze osiąga się osłabienie popędów, odruchów, z których wykwita "zło" chrześcijaństwa. Zdusić w sobie głos krwi, naturalne aspiracje zdrowej psychiki ubazowanej w tęgim ciele, osłabić wiązania z panhumanizmem, jeszcze bardziej rozstroić odruchy woli tworzycielskiej: znaczy to dla nihilizmu chrześcijańskiego udoskonalić, uszlachetnić swą duszę.

Zadanie, które sobie stawia nihilizm chrześcijański, nosi charakter niszczycielskiej akcji chirurgicznej, nakierowanej na przemienienie człowieka w kosmicznego eunucha.

A jednak istota człowiecza pozbawiona organów, dzięki którym wzbierają w niej stale "zgiełkliwe i grzeszne" namiętności, wyrwana z ewolucji tworzycielskiej świata, jest ideałem wszystkich "świętych", "potężnych duchem", "oświeconych" i "herosów cnoty". Spójrzmy na ołtarze.

Kogo się tam czci i podziwia, za jakie wyczyny i osiągnięcia? Ujrzymy tam postacie obrazujące wycieńczenie fizyczne, wymorzone głodem, bezsennością, biczowaniem ciała, straszydła powstałe z uporczywego łamania higieny, fizjologii.

W tym kierunku się rozwijając nihilizm stworzył bardzo bogaty repertuar środków realizacyjnych.

Są nimi - sławetna asceza, umartwienia i ćwiczenia mające na celu udoskonalanie ducha. Wzgarda świata, nieczynienie, to dopiero wstęp. Czynienie wbrew swoim naturalnym odruchom, wbrew sobie, miłowanie wrogów, wzgarda dla przyjaciół, podrywanie życia to dalszy etap. A dalej mamy upodobanie przeciwności, klęsk, samoudrękę; z kolei niepojęte dla zdrowego człowieka traktowanie wrogości ze "słodyczą", "krzepiące" uczucie nędzy, uległości i wygnania. Na takim podłożu rozwija się chęć do ucieczki na puszczę, wgramolenia się na jakiś słup, gdzie o chłodzie i głodzie uzacnia się "duszę". Złamane, wycieńczone, schorowane ciało to atrybut wszystkich "świętych", "doskonałych" i "mocarzy ducha". Stosuje się tu głód, perwersje w odżywianiu (św. Franciszek z Asyżu lubował się w dosypywaniu popiołu do potraw), biczowanie się, włosiennicę i wszelkie inne gnębienie ciała. System tych środków nazywamy "łożem Prokrusta".

Ze stanowiska wspakultury jest ono otoczone nimbem świętości i nazywa się "umiłowaniem utrapień". Można to określić jako cnotę "ofiary", właściwą nihilizmowi. Dzięki dyspozycjom do ofiary nihilizm skutecznie zwalcza grzech, wyzwalając człowieka z niewoli zła. Jednym z przejawów cnoty ofiary i pokuty jest przewrażliwienie na punkcie płciowości. Lęk i wrogość wobec "nieczystości" stwarza wykrzywienie podświadomych wartościowań życia i skutecznie zwraca człowieka ku matecznikom wspakultury. Na tej bowiem podstawie rozrasta się kompleks wzgardy siebie, kompleks niższości prowadzący do cnoty ofiary, skąd już prosta droga do stosowania "łoża Prokrusta". Wskutek tego każdy dekadent-nihilista znajduje szczególne upodobanie w pokucie za popełnioną winę, którą jest to, że ma ciało, że żyje, że spełnia funkcje podtrzymujące jego życie cielesne, że obdarzono go instynktem płciowym itd. Pokuta więc polegać musi na kompensowaniu tej winy, a pierwszy szczebel pokuty stanowi umiłowanie upokorzeń i poniżeń. Każdy wybitny dekadent znany jest ze smakoszostwa w upokorzeniach i umartwieniach. Nie darmo Chrystus przyjął z upodobaniem najbardziej hańbiącą śmierć, na szubienicy świata antycznego - krzyżu, co przez wieki wywoływało ekstazy zachwytu u jego wyznawców. Nie wolno dopuścić do łagodnego traktowania ciała, gdyż ono szybko się uzuchwala.

"Niech stary nasz człowiek... ukrzyżowany będzie: niech ciało grzechu zniszczone zostanie; nie służmy więc grzechowi, martwiąc członki nasze, które są na ziemi... cierp więc z Chrystusem duszo chrześcijańska" (św. Bernard, „Pisma, homilie”, I).

Jasne jest, że grzeszne ciało niechętnie się poddaje tym zabiegom uszlachetniającym. Trzeba je zatem zmusić do uległości. "Ucz się posłusznym być, prochu. Ucz się korzyć, ziemio i glino, i uniżać się pod stopy wszystkich. Ucz się łamać wolę twoją i podać się na wszelką uległość. Powstań przeciw sobie, i nie dopuszczaj, ażeby duma w Tobie żyć miała; lecz uczyń się tak uległym i małym, ażeby wszyscy po tobie chodzić i jako błoto na rozdrożu deptać cię mogli" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 13, 23).

A co to znaczy pokuta za grzechy, ilustrują nam żywoty wielkich pokutników i świętych. Weźmy dla przykładu pokutę znakomitego Orygenesa: "Życie wiódł najwstrzemięźliwsze, bądź to ćwicząc się w postach, bądź to skracając czas na sen przeznaczony, a i tak najchętniej nie kładł się do spoczynku na posłanie, ale na gołą ziemię. Przede wszystkim należało, zdaniem jego, zachowywać słowa Zbawicielowe, zapisane w Ewangelii, a zalecające nie mieć dwóch ubrań, ani obuwia, i nie troszczyć się o przyszłość. Co więcej, z ochotą, przewyższającą młody wiek swój, wytrzymywał zimno i zupełne ogołocenie, tak że ubóstwo swe do ostatecznych doprowadził granic. W tych, co go otaczali, budził podziw najwyższy" (Euzebiusz, „Historia kościelna”, VI, 3).

Ale to nie jest jeszcze wysoka technika. Pokuta św. Katarzyny z Sieny była trochę radykalniejsza. Piotr Skarga, dla zbudowania i zachęcenia potomnych do pokuty, napisał księgę o

żywotach świętych jako "żywą Ewangelię na co dzień", gdzie o św. Katarzynie tak oto pisze w zachwyceniu:

"Żelaznego na gołym ciele pasa używała. Trzykroć się na dzień żelaznym łańcuszkiem, na wzór św. Dominika biczowała, tak, że krew z ramion ściekała na nogi... Chcąc jednak matka nieco jej przerwać on ostry żywot, wzięła ją z sobą do cieplic; lecz ona tam w gorącą bardzo wodę siarczystą, czego nie widziała matka, kładła się i więcej ucierpiała, aniżeli od wszystkiego biczowania..." (Piotr Skarga, „Żywoty świętych").

A i to jeszcze nie jest najwyższy szczebel skruchy. Św. Ignacy Antiocheński wprost pragnie nicości. "Mnie, który chce należeć do Boga, nie wydawajcie światu, ani zwódźcie mnie ciałem. Dajcie mi czyste wchłonąć światło; gdy go dostąpię, tedy będę człowiekiem. Pozwólcie mi być naśladowcą męki Boga mojego... Książę tego wieku chce mnie porwać i zepsuć mój umysł, zwrócony do Boga... Piszę do was pełen życia, ale pożądam śmierci... nie chcę już dłużej życia ludzkiego..." („Do Rzymian", 6, 7)

Aż do końca istnienia człowieka na globie wytyczona jest droga ofiary. Nic się tu nie zmieni, gdyż grzech wieczysty ciała pozostaje bez zmian, na zawsze. Trzeba więc zawsze karać ciało pokutą, jak mówi katechizm.

"Kto przez posty i umartwienia roztropnie martwi ciało swoje, aby duchowi podbił i posłuszne uczynił, takowy wszelką cnotę czyni chwalebną..." (ks. M. I. Wichert, op. cit., s. 310).

Gdyby nihilizm był jedynym pierwiastkiem wspakultury, nadałby on pokucie tak ostre formy, że ciało zostałoby całkowicie zniszczone. Ale istnieje jeszcze personalizm, łaknący szczęścia fizjologicznego w tym właśnie wyklinanym ciele. Trzeba więc je zachować. Jeśli żyć trzeba, to należy jeść, zdobywać środki pożywienia, troszczyć się o nie. Gdzież tu jest granica troski o życie godziwe? Granicę tę określa "objawiciel" w następujący sposób: "Dlatego powiadam wam: nie troszczcie się o żywot wasz, co byście jedli, albo co byście pili, ani o ciało wasze, czym byście odziewali" (Mt 6, 25).

Jak już mówiliśmy, nihilizm trafnie wyczuwa, że źródłem zła i pokus jest przeistaczanie się pierwotnej energii bioseksualnej w bodźce emocjonalne woli tworzycielskiej. Ażeby ugodzić w te przeistoczenia, usiłuje poderwać wyjściową formę energii - zabić popęd płciowy. Gdyby się to udało, zło byłoby utrącone od podstaw. Dlatego też każdy nihilista ze szczególną lubością traktuje te formy istnienia, gdzie brak znamion wyraźnej płciowości i tego, co z niej wynika – żywiołu emocjonalnego. Piękne dlań jest wszystko to, co jeszcze nie dojrzało, nie rozwinęło się, a więc w pierwszym rzędzie dzieci: "Zaprawdę powiadam wam: Jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie się jako dziatki, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego" (Mt 18, 3).

Na dnie tego z pozoru tak naturalnego upodobania leży nienawiść do płci, z której wyrasta wszelkie zło. Szczytnym dążeniem nihilizmu jest zniszczyć to zło, wyrwać z korzeniami, a drogą ku temu staje zwykła kastracja, tak szeroko stosowana w swoim czasie. Tam, gdzie duch "pokuty" ogarnie umysły, idea kastracji narzuca się ze szczególną natarczywością. Nic dziwnego: wszak w ten prosty sposób unicestwia się podstawę zła. Zdaje się, że pierwszeństwo w sformułowaniu tej idei przypada braminizmowi. Ale i w chrześcijaństwie pomysł ten zajmuje poczesne miejsce. Widocznie jednak natężenie nihilizmu chrześcijańskiego nie jest zbyt wysokie, skoro o zaleceniach Chrystusa w tej materii niezbyt głośno. Dlatego zapewne słyszy się tyle żalów gorliwców nad upadkiem obyczajów.

Chrystus zajął w tej materii stanowisko całkiem konsekwentne, napotykając małoduszność swoich uczniów.

"Rzekli mu uczniowie: Jeślić taka jest sprawa męża z żoną, tedy nie jest dobrze żenić się? A on im odrzekł: Nie wszyscy pojmują tej rzeczy, ale tylko ci, którym to dano. Albowiem są rzezańcy, którzy się tak z żywota matki narodzili; są też rzezańcy, którzy od ludzi są urzezani; są też rzezańcy,

którzy się sami urzezali dla królestwa niebieskiego. Kto może pojąć, niechaj pojmuje" (Mt 19, 10-12).

Nie jest rozstrzygnięta kwestia, czy sam Chrystus, propagując autokastrację, dokonał jej w stosunku do siebie. Inaczej mówiąc, nie wiemy, czy Chrystus był eunuchem, chociaż na podstawie jego wypowiedzi można przypuszczać, że jako człowiek-bóg chyba się nie zawahał przed uchwyceniem za nóż celem wzorowego pognębienia szatańskiego kusiciela. Oczywiście, musiał się liczyć ze słabością ludzi, którym niełatwo zdobyć się na taką "doskonałość". Trudności tej natury spowodowały, że chrześcijaństwo porzuciło apel Chrystusa o kastrację i poszło na kompromis, który znamy jako chorobliwy uraz na punkcie "czystości". Już św. Hieronim interpretował omawiany apel Chrystusa jako zalecenie celibatu i "niewinności", uzasadniając wyższość "czystości" nad małżeństwem, które było złem koniecznym. Każdy dekadent Chrystusowy czuje w sobie przyczajonego szatana w postaci żądzy, od której idą drogi do powabów wielkiego życia.

Jakiś niepojęty dlań węzeł splata bujność ciała z burzliwymi namiętnościami, włączającymi nas w potok przeistoczeń bytu. Wizja "czystości" jest dlań azylem, w którym nie będzie już pokus tworzycielskiego świata. "Cnota czystości podnosi nas, zbliża do Pana, czyni nas podobnymi aniołom i sprawia, że żyjemy życiem duchowym: podczas gdy człowiek oddany nieczystości jest zmysłowy aż do głębi ducha swego, człowiek czysty staje się duchowym nawet co do ciała swego - jest to mozolny powrót do stanu pierwotnej niewinności" (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 433).

Na tym podłożu zestala się uporczywe zmaganie z wszędobylskim grzechem "nieczystości" i ciągłe dążenie do pozbycia się pokus. Walka z nimi urasta do rzędu spraw najważniejszych, przybierając wymiary zupełnie groteskowe. Miliony nihilistów w każdym pokoleniu zwalcza pokusy, dąży do "czystości", wykrzywiając kierunek procesów życiowych i atmosferę ogólną. Nie zdajemy sobie sprawy, jak dalece sugestie tych zboczeńców przepoiły oceny i kryteria społeczne na wszystkich polach. Nieświadomie ulegamy ich natarczywym maniom prześladowczym, problematyce, która dla nich tylko jest ważna.

4. Instytucje cierpienia w nihilizmie.

Radykalne zdławienie popędów - oto podstawa etyki nihilizmu. Wymaga to jednak poważnego wkładu sił, by rozmach ofiary i "pokuty" mógł przełamać opór natury ludzkiej. Trzeba więc zmusić siebie do przyjęcia następstw pokuty, czyli cierpienia.

"Nie możemy zatem słuchać ciała ani krwi, ale wznieść się mamy ponad rzeczy poziome, zdeptać wszystko, co przyrodzone, ludzkie. Natura nie uczyniła nas chrześcijanami (podkr. moje, J. S.), nie ona też uczyni nas świętymi i sprawiedliwymi: nie mamy trwać w stanie niższym, wyłącznie ludzkim, ale powołani zostaliśmy do stanu wyższego... Wskutek grzechu pierworodnego pozbawieni zostaliśmy darów ponad przyrodą... a przyrodzone nasze władze skażone zostały; nic więc dziwnego, że jesteśmy zniewoleni wyzuć się z tej natury. Jakże często zapominamy jednak o tym. Ludziom wystarcza, gdy kto zbyt jawnie nie przekracza prawa przyrodzonego... Tak, to dosyć, aby być uczciwym człowiekiem, ale uczciwy człowiek może być bardzo złym chrześcijaninem" (tamże, s. 373).

Praktyki pokuty ciągną więc za sobą cierpienia. Chcąc zwalczyć zło, nie wolno się wahać w wyborze środków, o ile one są skuteczne i godzą w sidła szatańskie.

"...nam, przeciw ponętom diabła zasłona postów dana, przy pomocy której, za wolą Bożą, wszystkie pokusy zwyciężyć możemy..." (Leon Wielki, op. cit., XXII, 9).

Post jest narzędziem zwalczania grzechów obżarstwa. "Z nieumiarkowania w jedzeniu wyrasta nieczystość, z nieczystości łakomstwo, z łakomstwa gniew, z gniewu smutek, ze smutku opieszałość. Dlatego też przeciw wszystkim sześciu trzeba walczyć jednakowym sposobem, a bój przeciw każdej przywarze rozpoczynać zawsze od jej poprzedniczki" (Jan Kasjan, op. cit., V, 10).

W walce tej człowiek, łamiąc swoje przywary, musi to okupywać ciągłym bólem i utrapieniami. W tych cierpieniach trzeba wytrwać.

"...Potrzeba łaski... aby zwyciężyć naturę, skłonną do złego od młodości swojej. Albowiem przez upadek pierwszego człowieka, Adama, zmaza grzechowa spadła na cały rodzaj ludzki; a natura ludzka tak dalece skażoną została, że samo nazwisko natury, którą Ty dobrą i prawą utworzyłeś, bierze się teraz za wady i ułomności skażonej natury, dlatego, że jej poruszenia, zostawione samym sobie, ku złemu ciągną" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 55, 2).

Z jakim trudem osiąga się "czystość", ilustruje reakcja pobożnego ojca Pawła, opisana przez Kasjana: "W samotności pustynnej i w milczeniu doszedł ojciec Paweł do takiej czystości serca, że nie tylko nigdy nie spojrzał w twarz niewiasty, ale nawet na szatach niewieścich nigdy nie spoczęło oko jego. Gdy pewnego razu w towarzystwie ojca Archelbejusza, mieszkającego w tej samej pustyni, podążał do celi któregoś ze starszych ojców, spotkali przypadkiem niewiastę. Tak się przeraził tym spotkaniem ojciec Paweł, że poniechawszy tych pobożnych odwiedzin, zaczął uciekać do swego klasztoru z takim pośpiechem, że nikt by przed lwem lub okrutnym jakim smokiem tak nie pierzchał" (Jan Kasjan, op. cit., VII, 26).

Do tego samego dążył ojciec Sereneus, błagając Boga o to, by wyzwolił go od pokus żądzy, z którą walczył wiele lat na pustyni. "Aż pewnej nocy ujrzał w widzeniu anioła, który przystąpiwszy do niego, otworzył jego wnętrzności, wyjął i wyrzucił z jego ciała jakiś gruczoł ognisty... Oto, rzekł, wycięty jest drażniciel ciała twego. Wiedz, że dziś otrzymałeś stałą czystość ciała, o którą wiernie prosiłeś" (tamże, VII, 2).

Ile wysiłku trzeba włożyć w zwalczenie podstawowego grzechu, ilustruje nam obraz stopni "czystości", z których najwyższy oznacza zabicie popędów, a więc i osiągnięcie doskonałości - czyli całkowite oderwanie się od zrostów panhumanizmu. "Pierwszy więc stopień czystości polega na tym, by zakonnik na jawie nie ulegał pokusie cielesnej; drugi, by jego umysł nie zatrzymywał się przy myślach lubieżnych; trzeci, by go widok niewiasty ani lekko nie poruszył do pożądliwości; czwarty, by na jawie nie zaznał ani zwyczajnego poruszenia ciała; piąty, by nigdy, gdy tok jakiejś rozmowy lub koniecznego czytania wspomni przypadkiem o spłodzeniu człowieka, ani najlżejsze upodobanie w rozkoszy nie zraniło jego duszy; szósty stopień czystości polega na tym, by nawet we śnie nie łudziły go nęcące postacie niewieście" (tamże, XII, 7).

Jak dokuczliwe jest zło, wynika to choćby z tego, że myśli nieczyste pojawiały się u pobożnych mężów w trakcie oddawania moczu. I te okazje do grzechu trzeba więc było otamować i wyłączyć.

"Aby więc z zakonem dla duszy zgadzał się także zakon dla ciała, trzeba się również powściągać w nadmiernym piciu wody. Owa wilgoć codzienna powinna spływać gnuśniej z członków wysuszonych, aby owo poruszenie ciała, które uważacie za nieuniknione, stało się nie tylko rzadkim, ale także spokojnym i słabym" (tamże, XII, 11).

Lecz to wszystko jest nieustannym gwałtem zadawanym ciału, któremu trzeba iść naprzeciw. "Natura nasza odpycha instynktownie wszelki smutek, cierpienie - nie zostaliśmy bowiem do niego stworzeni; nasz wstręt do wszelkich krzyżów, nasza wrażliwość w cierpieniu, nie tylko nie odejmują nam zasługi, ale nawet ją powiększają, byle tylko w sercu naszym górowała rezygnacja i poddanie się Bogu. Gdybyś był obojętny na wszystko, gdybyś nie odczuwał cierpień fizycznych i moralnych, gdzież byłaby twoja zasługa?" (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 418).

Cierpienie dla nihilisty jest czymś pożądanym, upragnionym, radośnie witanym, gdyż świadczy, że proces jego "uszlachetniania" znajduje się na dobrej drodze. Podążanie ku cierpieniu dowodzi, że pokuta odbywa się prawidłowo, że tym samym niszczy się zło, czyli przeszkodę stojącą na drodze do wspakultury. Nihilizm wita cierpienie, gdyż ono nieomylnie sygnalizuje, że jego postępowanie rozdziera wiązania panhumanizmu i kultury. Nihilizm rodzi cierpienie i na nim żeruje. Natężenie cierpienia jest linią orientacyjną rozwoju i wzmagania się wspakultury. Na tym tylko podłożu możemy pojąć orgiastyczne umiłowanie cierpienia, właściwe chrześcijaństwu - jego

teorię cierpienia jako drogi do cnoty i uszlachetniania osobowości. Nihilizm operuje ogólną maksymą: cierpienie uszlachetnia. Tak istotnie jest, gdy uszlachetnianie pojmujemy jako osiąganie ideałów wspakultury. Cecha znamienna nihilizmu to świadome, aktywne dążenie do cierpienia, gdyż stanowi ono drugą stronę cnoty pokuty i umiłowania umartwień. Różni się takie cierpienie od biernego poddania się potokowi utrapień, które pociąga za sobą wszechmiłość. Ale oba te wynaturzenia współpracują ze sobą na pewnej wyższej płaszczyźnie, o której będzie jeszcze mowa.

Instynkt wspakultury trafnie wyczuł powiązanie pomiędzy rozstrojem panhumanizmu a wzbierającym bólem i na tym ugruntował swoją naukę o istocie i zbawczej roli cierpienia.

5. Pierwiastek hedonistyczny w chrześcijaństwie.

Domaga się omówienia jeszcze jeden pierwiastek wspakultury, który nazwiemy hedonizmem.

Wyłania się on zazwyczaj jednocześnie z nihilizmem i jest jakby jego braciszkiem. Punkt wyjścia mają wspólny - oba wykwitają z negacji instrumentarium, z tym że nihilizm ogarnięty jest szałem niszczenia, który obejmuje i to wszystko, co z instrumentarium pozostaje w związku, hedonizm natomiast ogranicza się do zmiany w sposobie użycia obiektywnego dorobku kulturowego. Zmiana ta polega na użyciu całego dorobku ludzkości do konsumpcji. Według hedonizmu człowiek jest powołany do spożywania - i to wszystko.

Oprócz woli czystej wegetacji nawet w najbardziej ospałym dekadencie istnieje instynkt zabawowy, chęć pewnego ruchu fizycznego i umysłowego, ale tylko w granicach bezpośredniego zadowolenia, które ten ruch daje. Nawet dokładnie wymaglowany przez wspakulturę, chciałby on czasem dobrze zjeść, wypić, potańczyć, pływać kajakiem, przeżyć wzruszenia artystyczne koncertu, dramatu, zaznajomić się z nową teorią naukową, polityczną itd., by w końcu pogrążyć się w odprężeniu i niezmąconym spokoju.

Ale środki służące temu wszystkiemu ktoś musiał stworzyć ciężką pracą, której cele na pewno nie leżały w tym, by ktoś inny mógł w pasożytniczy sposób "używać", "sycić się wrażeniami" itd. Dla hedonisty motywy inne niż bezodpowiedzialny utylitaryzm są zupełnie niezrozumiałe. Nie jest on zdolen pojąć historii, zmagań i walk, gdyż bodźce, które je stwarzają, są mu wraz z całą kulturą obce. On pojmuje tylko użycie, wytworną konsumpcję. Świat to stół zastawiony daniami, do którego on się zgłasza. Kto i na co ten stół zastawił - to jest dlań dalekie. A myśl, że uczta, która dlań wszystkim, to w ciągłości tworzenia kultury tylko jedno z ogniw, zupełnie doń nie dociera. W procesach kultury zdolności człowieka, wytwory w postaci państwa, narzędzi pracy, komunikacji, bogactw, nauki, sztuki itp. są środkami dalszego przeistaczania i wiązania energii ładu naturalnego.

Dla hedonizmu są one tylko środkami użycia. Następuje odwrócenie ról biologii i kultury. Biologia nie jest już fundamentem, na którym wznosi się gmach posłannictwa kulturowego człowieka, lecz dzieje się wręcz coś przeciwnego: dorobek kultury służy użyciu dla "człowieka" hedonizmu.

W chrześcijaństwie hedonizm został wessany przez spirytualizm. Wszystkie aspiracje hedonizmu zostały przerzutowane "tam". Spowodowało to pozorny zanik hedonizmu. Występowanie go w chrześcijaństwie jest mocno zatuszowane. Wszyscy pragną użycia, ale z konieczności pragnienia swoje lokują "tam". Na tym polega wiedza i mądrość chrześcijańska, która obiecuje sobie stokrotne powetowanie umartwień doczesnych.

"Wiedza świętych polega na umiejętności doznawania bólów w czasie, ażeby za to w wieczności obfitować w rozkosze" („Myśli św. Bernarda”, s. 82).

Mogli więc cierpieć srogie nawet katusze, wierząc, że tym więcej użyją sobie "tam".

Św. Gordiusz "...Sam jeszcze katy one pobudzał mówiąc: targajcie, sieczcie, jak chcecie, mojej mi nadziei nie wydrzecie. Im więcej mąk mieć będę, tym większą zapłatę wezmę. Nieszczęścia

świeckie wiecznego mi szczęścia i rozkoszy przyczynią; rany te czasu zmartwychwstania będą mi ozdobą moją; ta wzgarda świecka i doczesna, sławą mi się wieczną nagrodzi" (P. Skarga, op. cit., s. 14).

Tymi nadziejami żył każdy dobry chrześcijanin. A cóż mówić o świętych? Posłuchajmy, co mówi św. Justyn: "Pewien mąż imieniem Jan, jeden z apostołów Chrystusowych, prorokował w Apokalipsie, którą oglądał, że ci co uwierzą w naszego Chrystusa, tysiąc lat spędzą w Jerozolimie, i że potem nastąpi powszechne, jednym słowem wiekuiste, równoczesne wszystkich zmartwychwstanie" („Dialog..., II", 84, 4).

Niepospolite używanie "tam" zapowiada św. Bernard. Tam dopiero nurzać się on będzie w uciechach bez końca i rozkoszach bez dna. To ci będzie uczta.

"Cierpienie po kropli pijemy, po chwili zapominamy o nim; w odpłacie za nie z rozkoszy źródła pić będziemy: napływ życia, strumień wesela, potok chwały, potok pokoju, upoi nas. Strumień ów przepływać będzie, ale nie upływać i nie unikać. Strumieniem nazywa się nie dlatego, że upływa, lecz że bez końca napływa" (św. Bernard, „Pisma, homilie", V).

Wiara w Chrystusa, jego boskość, miała dać nader błogie owoce, bo upojenie się szczęściem całkiem ziemskim, hedonistycznym, przy jego boku "tam".

"Jeśli się Jemu w tym życiu podobać będziemy, otrzymamy również życie przyszłe, tak jak nam przyrzekł, że nas z martwych wzbudzi, i jeśli życie nasze będzie godne Jezusa, że z nim razem królować będziemy, o ile tylko mamy wiarę" (św. Polikarp, „Do Filipian", 5, 2).

Ponury nihilista św. Tomasz á Kempis taki oto świetlisty obraz widzi w przyszłym życiu: "Wtedy ciało umartwiane więcej radować się będzie, jak gdyby zawsze samymi rozkoszami karmione było. Wtedy licha odzież błyszczeć będzie, a zgaśnie strój świetny. Wtedy więcej pomoże wytrwała cierpliwość, aniżeli potęga całego świata" („O naśladowaniu Chrystusa", I, 24, 5, 6)

Pierwiastek hedonizmu przejawi się w pełni dopiero wówczas, gdy wyrwie się spod przewagi spirytualizmu. Wtenczas się dopiero okaże, czego chce wspakulturowiec, który straciwszy wiarę w niebiańską nagrodę, zechce dać upust swoim pragnieniom hedonistycznym. Odpadnie tylko ornament chrześcijański, a sama wspakultura przybierze inną nieco postać. Ano, zobaczymy.

Rozdział VII. Przełomowy wynalazek Jezusa Chrystusa.

1. Intuicyjna konspiracja wspakultury.

W poprzednich rozdziałach podkreślaliśmy rozpadową, wspakulturową istotę chrześcijaństwa.

Dążąc do położenia akcentu na tej zasadniczej właściwości rozpatrywaliśmy każdy pierwiastek wspakultury z osobna, skupiając światła na jego genezie, na prawidłowościach jego wyłaniania się z rozpadu panhumanizmu, a następnie dopiero wykazując, jak się on przybrał w szaty chrześcijańskie, starając się uchodzić za nowo narodzone i pierworodne dziecię krzyża. Taka metoda była konieczna ze względu na cele wykładu, ale jednocześnie oddalała od poznania tego, czym jest struktura chrześcijaństwa w rzeczywistości. Nie stanowi ono bowiem tylko sumy odpowiednio przybranych w terminy "objawienia" pierwiastków wspakultury, lecz ich organiczną syntezę. Na czym polega ta ich organiczna synteza i jak do niej doszło, opiszemy w tym rozdziale.

Zwróciliśmy już uwagę na to, że każdy pierwiastek chrześcijaństwa jest prawidłowym wynikiem rozpadu panhumanizmu, a raczej jego niedorozwojem. Droga rozpadu panhumanizmu pozostaje zawsze ta sama. W ciągu tysiącleci, wczoraj, dziś i jutro, rozkład człowieka i staczanie się w labirynt wspakultury przebiega zawsze tak samo i zawsze te same problemy znajduje on na początku i u kresu. Problemy te opisaliśmy już jako pierwiastki personalizmu, wszechmiłości,

moralizmu, spirytualizmu, nihilizmu i hedonizmu. Oczywiście natężenie i kolejność każdego z nich mogą być różne dla każdej psychiki. To stwarza najzupełniej nieuzasadnioną złudę wielkości i bogactwa wątków przebiegającej dekadencji. Z tego powodu, być może, dotychczas nie mogła powstać ogólna teoria, sprowadzająca do wspólnego mianownika wspakultury pracowite wysiłki niezliczonych dekadentów wszystkich czasów. Wiedząc, czym jest wspakultura, możemy zorientować się bez trudu w niezliczonych systemach filozoficznych, koncepcjach artystycznych, politycznych i literackich, które co generację płodzą wspakulturowcy we wszystkich punktach globu.

Człowiek upadły lub upadający stacza się zawsze po tej samej pochyłości, nim znajdzie się na dnie wspakultury, gdzie zawsze i wszędzie stanie wobec tych samych szczątków panhumanizmu. Gdy zdobędziemy się na pewien wysiłek wyobraźni, uprzytomnimy sobie, że kres dekadencji nie może być inny. Zawsze staje się wobec tych samych konkretów: **a)** nagiego istnienia indywidualnego, **b)** masy biologicznej żywych ciał - jako produktu wyrwania się biologii człowieczej z jej roli w kulturze, **c)** cierpienia rozdartego aparatu psychicznego, **d)** tęsknoty oddartej woli tworzycielskiej, **e)** niepojętego zła instrumentarium i **f)** pokusy użycia wytworów kultury do bezodpowiedzialnej konsumpcji.

Nic innego nie może uchwycić umysł człowieka, który stracił swe powiązanie z celami tworzenia.

Każdy taki konkret rzutuje swój światopogląd, a w jego ramach oznacza dobro i zło, prawdę i fałsz, piękno i brzydotę. Gdy przyjdzie do realizacji tego dobra poprzez wyrugowanie zła, powstaje system norm etycznych, odpowiadające im dyspozycje wolowe, które są cnotami. Tak więc w ramach chrześcijaństwa zarysują się cnoty: pokory, miłości, cichości, wiary i pokuty. Widzimy więc, że razem są to wyniki jednego wielkiego procesu rozpadu tworzycielskiej istoty człowieka. W rezultacie wszystkie pierwiastki wspakultury, stanowiące podstawowe jednostki chrześcijaństwa, są połączone głęboką więzią powinowactwa. Ale to nie wszystko. Istnieje jeszcze inne pokrewieństwo między nimi. Tym jest wzajemna współzależność. Każdy pierwiastek wspakultury otwiera perspektywy dla swych pozostałych braci. Weźmy dla przykładu moralizm. Widzimy w nim otwarte drzwi na resztę pierwiastków, chęć osiągnięcia "doskonałości moralnej" każe nam zwalczać zło, które stawia opór. Gdy chcemy to uczynić konsekwentnie, jesteśmy już w moralizmie. Ale proste pytanie: po co? zwraca nas do spirytualizmu. Troska o harmonię wewnętrzną, jeśli ona jest etapem do upajania się szczęściem fizjologicznym, spycha nas ku personalizmowi i wszechmiłości.

W kapliczce spirytualizmu znajdujemy miejsce spotkań dla wszystkich pierwiastków. Chcemy zbawienia? Dla kogo? Dla duszy. Jak to osiągnąć? Doskonaląc ją. A więc moralizm. Ażeby jednak umyć się z brudów materii i grzechu, należy sięgnąć do środków nihilizmu itd. Weźmy personalizm. Jego powiązanie z wszechmiłością i hedonizmem jest oczywiste. Krok dalej, i wyziera nasz stary znajomy: moralizm. Chcąc szczycić się szczęściem fizjologicznym, nie można zadowolić się pokorą i miłością. Trzeba uharmonizować "jaźń", by ustał ból w rozdartym aparacie psychicznym. Czy możliwy jest personalizm bez lęku o kres istnienia, śmierć? Znana to rzecz, że indywidua nastawione na osobnicze szczęście fizjologiczne są szczególnie nieodporne na punkcie wizji śmierci, i że na takich z lubością polują kapłani, jak to wiemy z niezliczonych opowieści.

Wszędzie więc to samo, wszystkie pierwiastki wspakultury czują się wzajemnie łokciami, są sobie bliskie, wynikliwe z siebie.

Zestawmy to z faktem braku jednoczącej teorii o istocie schorzenia wspakulturowego.

Otrzymujemy wówczas coś bardzo interesującego. A więc po pierwsze: istota wspakultury jest utajona, niepojęta dla umysłu z powodu braku pojęć ją wyjaśniających. A po drugie: jest ona czymś organicznie jednolitym i zwartym. Dzięki temu stajemy wobec czegoś mocno zagadkowego. Ktoś, kto został tknięty schorzeniem wspakulturowym, choćby tylko w drobnym ułamku, tym samym wchodził w tajemniczy labirynt wspakultury, w którym orientowało go intuicyjne czucie organicznej jedni dziwnego świata. Jeśli ktoś odczuł wartości personalizmu, tym samym dostępne dlań były

wszystkie dalsze pierwiastki wspakultury, chociaż nie miał on żadnego zwartego systemu pojęć, wyobrażeń, kryteriów. Toteż wszyscy wspakulturowcy posługiwali się od tysiącleci i posługują się stale niedomówieniami, które dla nich tylko są zrozumiałe.

Bez analizy z rozdziałów poprzednich takie słowa, jak cnota, dobro, prawda, doskonałość, pokora, miłość, cichość, pokuta brzmią zupełnie inaczej i niezrozumiale dla człowieka, który dekadentem nie jest. Możemy więc powiedzieć, że wspakultura posiada swój szyfr, mocno zamaskowany w terminach i słowach mających zgoła inne znaczenie dla ludzi zwróconych do kultury. Dzięki posługiwaniu się swym szyfrem wszyscy wspakulturowcy rozumieją się w lot: z półsłówek, mętnych sformułowań. Istnieje coś, co by nazwać można sprzysiężeniem wspakulturowców.

Należeć do niego mógł każdy, kto zdolny był do odczucia choć jednego pierwiastka wspakultury, gdyż wówczas, na podstawie organicznej jedności schorzenia, wchodził w intuicyjny kontakt z całym światem wspakultury. Dla wyznawców wspakultury teoria co do jej istoty nie była potrzebna.

Rozumieli się oni w lot na podstawie swego szyfru. Intuicyjna konspiracja wspakultury była więc czymś zdeterminowanym i niejako naturalnym.

Wskutek intuicyjnej konspiracji mogła wspakultura trwać bez obawy, że jakieś prądy umysłowe, ruchy światopoglądowe, polityczne, zdarzenia historyczne dosięgną jej mateczników. Wszystko, co się dzieje na zewnątrz, na tle historii i społeczeństwa, nie dociera do psychiki skażonej, nie porusza jej odruchowych centrów. Tak było, tak też jest dziś. Wspakulturowiec może żyć w środowisku wyznającym pewne idee, dążenia, może znać te idee, studiować je w szkole, postępować według ich norm, potrafi je wyrecytować, należeć do partii politycznej tej lub innej, ale to wszystko traktuje tylko jako zewnętrzny ubiór. Istotne prawdy, ukryte w szyfrze, są prafilozofią, praideami, prakryteriami, nie ubranymi w słowa i pojęcia, lecz decydują o tym, jak on naprawdę przeżywa swoje zewnętrzne, deklaratywne poglądy i normy postępowania. Na tym też tle wyjaśnić możemy zagadkę, dlaczego każdy prąd umysłowy, ruch ideowo-polityczny, pomimo pozornej jedności naczelnych pojęć, po pewnym czasie rozszczepia się na frakcje zaciekle ze sobą walczące o interpretację zasad, i tego, co z tych zasad wynika. Gdzie powstają frakcje, rozłamy, nie szukajmy wyjaśnień w tym, co się mówi, lecz badajmy nieświadomą infiltrację konspiracji wspakulturowej.

Intuicyjna konspiracja wspakultury jest zjawiskiem prastarym, sięgającym powstania homo sapiens. Lecz pomimo swego sędziwego wieku nie mogła wyjść z konspiracji przez czas dłuższy.

Uderzające, że dopiero w ostatnich trzech tysiącach lat potrafiła ujawnić się na zewnątrz.

Żywiołowy tok procesów gnilnych miał to do siebie, że wzajemnie się one neutralizowały, powodując słabą dynamikę wspakultury jako całości. Moglibyśmy powiedzieć, że siła przebijania się wspakultury na zewnątrz, na powierzchnię historii, była nikła. Nie potrafiła pokonać wewnętrznej niespójności poszczególnych pierwiastków, co powodowało rozbieżny kierunek jej parcia i ostatecznie słabość dynamiki zewnętrznej. Była więc jakby skazana na trwanie w podziemiach psychiki człowieczej, w intuicyjnej konspiracji.

Co było tego przyczyną? Przyczyną tą była rozbieżność i sprzeczność dążeń poszczególnych pierwiastków. Weźmy personalizm: jest on nastawiony na szczęście fizjologiczne - to jego dobro najwyższe. Za pomocą cnoty pokory chce on zwalczyć "zło", aby pogrążyć się w szczęściu cichego trwania. Ale w zestawieniu ze spirytualizmem rozpoczyna się kłopot. Cnotą jest dążyć "tam" uduchowiając się stale. Ciche szczęście "tu" musi być poniechane. Mało tego, ażeby zło wyniszczyć gruntownie, spirytualizm zaleca odpowiednie maltretowanie grzesznego ciała, zbyt wiążącego z doczesnością. Tu już konflikt zupełny. To samo dotyczy wszechmiłości. A więc mamy zdecydowane przeciwieństwo kierunków osiągania dobra. Jeszcze bardziej występują przeciwieństwa pomiędzy nihilizmem a personalizmem i wszechmiłością. Nihilizm słusznie uważa, że radykalnie wytępi zło panhumanizmu, gdy podetnie działalność nieuchwytnego organu, stwarzającego "geniusz

człowieczy". Ponieważ jednak tym organem jest właściwie cały organizm biologiczny człowieka, wobec tego cel się osiąga, gdy radykalnie osłabia się i torturuje ciało ludzkie. Tym samym jednak obala się podstawę cichego szczęścia fizjologicznego. Nie da się pogodzić upojeń personalizmu i wszechmiłości z postulatami nihilizmu.

Również moralizm, skierowany na apatię, zamarcie wewnętrzne, nie da się pogodzić z brutalnością nihilizmu, dążącego do amputacji źródła "zła". Sprzeczne więc są dążenia realizacyjne poszczególnych cnót. Personalizm i wszechmiłość mają przeciw sobie spirytualizm i nihilizm. Ten ostatni przeciwstawia się oprócz tego moralizmowi. Uogólniając możemy więc stwierdzić głębokie przeciwieństwa, rozdzierające rodzeństwo zrodzone przez macierz wspakulturową. Owe przeciwieństwa są przyczyną słabości wspakultury, nieefektywności jej parcia na powierzchnię historii. Wyjaśnia to nam, dlaczego wspakultura stale pozostaje w intuicyjnej konspiracji.

Możemy więc sformułować ważną tezę. Brzmi ona następująco: Żywiołowy proces rozwojowy wspakultury z powodu wewnętrznych przeciwieństw nie pozwala jej na zdobycie siły potrzebnej do pokonania oporów, które stawia normalny tok życia. Człowiek natury taki, jakim go widzimy, pomimo swej ułomności stworzył pewien styl normalnego życia - umysłowego, społecznego, materialnego. Tendencje wspakulturowe zrodziły się z odruchu ucieczki przed cierpieniem, które z tym stylem jest organicznie związane. Ale jednocześnie tendencje te z powodu przeciwieństw wewnętrznych nie mogły wyjść poza intuicyjne sprzysiężenie, pozostając utajonym buntem w podziemiach psychiki ludzkiej. Stan ten trwał zapewne już bardzo długo. Zjawienie się Chrystusa jest tu przełomowym momentem.

2. Wynalazek Jezusa Chrystusa.

Intuicyjna konspiracja wspakultury była więc instytucją starą i zapowiadało się, że taką pozostanie.

Jej niemoc, wyrażająca się w niemożności wyjścia z podziemi chorej psychiki na powierzchnię historyczną, była zwiększana jeszcze przez wybujałe ambicje poszczególnych pierwiastków wspakultury. Każdy z nich okazywał tendencje do owładnięcia człowiekiem, narzucenia mu swego systemu światopoglądowego i etycznego. Oczywiście wywoływał tym kontrakcję swych braci.

Samo "zło", czyli panhumanizm, było mniej więcej wspólne dla wszystkich. W "cnotach" natomiast występowały największe różnice.

Wszystkie te trudności zostały pokonane przez Jezusa Chrystusa. Dokonał on tego w ten sposób, że uhierarchizował pierwiastki wspakultury na podstawie spirytualizmu. W tej hierarchii udało się mu zneutralizować przeciwieństwa pierwiastków i dać syntezę wspakultury. Wchłonęła ona poszczególne pierwiastki tak dalece, że znikły odrębne systemy personalizmu, moralizmu, nihilizmu itd. Powstała jedna synteza wspakulturowa, którą będziemy nazywać totalną. Od powstania totalnej wspakultury krzyża zamazały się linie odgraniczające poszczególne pierwiastki, które opisywaliśmy w poprzednich rozdziałach. Wszystkie wątki choroby tak zostały zestalone w jedną całość, że pewne ścieśnienie i pokrzywdzenie aspiracji pojedynczych pierwiastków zostało z nadwyżką opłacone zyskiem w postaci niezmiernego wzrostu dynamiki i ciężaru gatunkowego wspakultury jako całości w życiu ludzkim. Wspakultura totalna krzyża stała się przebojową potęgą w świecie dążeń ludzkich, potęgą, która rychło dała znać o sobie.

Dzięki Chrystusowi podświadomy napór wspakulturowych mas świata antycznego znalazł się tuż przed spełnieniem swych tęsknot. Dążenia niezliczonych dekadentów, gubiących się w przeciwieństwach wewnętrznych, mają nagle odpowiedź na dręczące ich pytanie: co czynić? Dla wszystkich wspakulturowców taka wieść jest zawsze czymś oszałamiająco radosnym. Ażeby pojąć, dlaczego synteza wspakulturowa, którą objawia Jezus, stanowi dla nich oszałamiającą i radosną rewolucję, trzeba sobie uprzytomnić, że schorzenie wspakulturowe to fakt psychologiczny, wewnętrzny, pozbawiony światła teorii i pojęć, które można upowszechnić. W każdym dekadencie zachodzą te same ciemne procesy błądzenia po krużgankach labiryntu wspakultury: każdy z nich po

omacku brnie w świecie ponurych czarów przez dziwne korytarze, które myśmy nazwali personalizmem, wszechmiłością, moralizmem, nihilizmem, spirytualizmem, hedonizmem; w każdej z tych straszliwych cel w bólu musi rozróżnić dobro i zło, grzech i cnotę, prawdę i fałsz, i to wtenczas, gdy nie ma żadnego światła, które mogłoby mu ułatwić orientację. Ten świat to jego koszmar na jawie, koszmar, którego kresu on nie widzi. Wszystko w nim ciemne i straszne. I oto nagle ktoś zbrojny w niepospolitą intuicję przenika na wylot labirynt wspakultury i przebiegając lotem olbrzymi ciąg przesłanek, ogłasza końcowy wynik - normy etyczne wspakultury totalnej krzyża.

Umęczony wspakulturowiec jest olśniony; o panhumanizmie nie wie on nic w swojej pierwotnej ułomności, która rozdziera podstawy tego panhumanizmu i sprawia, że znamy tylko człowieka natury, a więc istotę ułomną, o tendencji do szczęścia fizjologicznego biologii człowieczej, wyzwalającej się od służby na rzecz kultury, otrzymuje natomiast normy postępowania prawidłowo wydedukowane z łańcucha ciemnych przesłanek. Demoniczna intuicja prześwietla wszystkie uwarunkowania ciągu wspakulturowego i daje trafną odpowiedź, co ma każdy dekadent czynić w swym codziennym życiu, jeśli ma uzyskać formalną harmonię wewnętrzną. Objawia się mu, że celem najwyższym jest dążyć w zaświaty drogą uduchowiania się; to zaś oznacza "doskonałość moralną"; uzyska ją przez spalenie w sobie grzechu wewnętrznego; miłość i pokora pozwolą mu nabrać cierpliwości do tych praktyk uzacniających. Punktem zaczepienia jest wiara w Chrystusa.

Wszystko staje się nagle jasne i proste, genialnie proste.

Chrystus zdecydowanie wysunął pierwiastek spirytualistyczny, a następnie moralistyczny na czoło zestroju wspakulturowego, który przybrał jego miano. Co do drugiego miejsca w tej hierarchii nie mamy odeń wyrazistej wskazówki. Następcy jego jednak, zgadując myśli "objawiciela", ustawili tu nihilizm, przesuwając personalizm i wszechmiłość na ostatnie miejsce. W ciągu wieków odbywały się próby zmiany tej hierarchii. I tak św. Franciszek z Asyżu pokusił się o przesunięcie personalizmu i wszechmiłości na drugie miejsce, tuż po spirytualizmie-moralizmie. Próba jednak się nie udała. Po okresie wahnięć intuicja masowa przechyliła się do tradycyjnego zestroju.

Dominację spirytualizmu ustalił Chrystus w sposób niedwuznaczny w swych podstawowych wypowiedziach, które dobrze zostały zrozumiane: "Będziesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej" (Mt 22, 37).

Ale wierzyć w Boga znaczy wierzyć w "tam". A wierzyć w "tam" to oznacza wierzyć w jakiś znak "objawienia", pochodzący z innego świata, a więc, konsekwentnie, przyjąć wiarę w boskość objawiciela. Dlatego też cały spirytualizm Chrystusowy opiera się na jego autorytecie. W ten sposób wspakultura została utożsamiona z Chrystusem.

"Na początku było Słowo... W nim był żywot, a żywot był światłością ludzi... A Słowo ciałem się stało... Jan świadectwo daje o nim... Ujrzał Jan Jezusa idącego do siebie i rzekł: Oto Baranek Boży..." (J 1, 1-30).

Chrystus stał się wcieleniem wszystkich dążeń schorzeń wspakultury. Jej podświadome, intuicyjne parcie ku wypłynięciu i zestaleniu się we władczy system, który ma zatryumfować nad człowiekiem, najlepiej wyraża św. Justyn. Logos - to wspakultura w stadium intuicyjnej konspiracji.

Dopiero Chrystus wyzwala ją z tego stanu, ukazując jej pełne możliwości, otwierając dla zahamowanych ambicji wielki świat. Logos - Słowo Boże, które w swej pełni przejawia się w Chrystusie, jest rozsiane jak nasienie wśród ludzi. Dzięki temu cały rodzaj ludzki uczestniczy w Chrystusie, bo "słowo" zasiew swój w całej zaszczepiło ludzkości. Wskutek tego w naturze ludzkiej złożona została możliwość rozeznania dobrego i złego, wszyscy, co jeszcze przed Chrystusem żyli zgodnie z owym Słowem, w którym mieli cząstkę swoją, to w istocie swej chrześcijanie, chociaż na zewnątrz uchodzili za ateuszy. Za takich chrześcijan uważa Justyn wśród Greków Sokratesa, Heraklidesa i im podobnych, a wśród "barbarzyńców" zaś Abrahama, Ananiasza, Eliasza i wielu

innych. Jednakże "...tylko ci, którzy uznają naukę Chrystusową... w całej pełni znają i oglądają Słowo Boże" (św. Justyn, „Apologia"; Wstęp).

U podstaw Chrystusowego spirytualizmu mamy wzgardę życia. Stąd wynika nakaz dążenia "tam".

Życie nie ma wartości, ale pocieszeniem jest, że trwa krótko. Należy je wykorzystać do przygotowania kosmicznego odwrotu. Pierwszym etapem musi być oderwanie się emocjonalne od tego świata, zwrócenie się w zaświaty, obejrzenie się za tym, który jest objawicielem, pasterzem i pośrednikiem. Z kolei drugie wyrzeczenie się: zgwałcenie w sobie impulsów geniuszu człowieczego, zwracającego nas do utęsknionej pełni życia w "tym" jednak świecie. I na ostatek trzecie wyrzeczenie - wyzbycie się woli mocy, potęgi, bogactwa, środków i narzędzi do dzieł na "tym" świecie. Za Chrystusem podążają do nieba jego wyznawcy.

"Wszelki tedy, który mnie wyzna przed ludźmi, wyznam go ja też przed Ojcem moim, który jest w niebiesiech" (Mt 10, 32). Ale dostać się "tam" może tylko dusza nieśmiertelna, która jest "tu" zbrukana ciężarem grzechu pierworodnego. Trzeba ją udoskonalić. I w ten sposób funduje się miejsce moralizmowi. Żmudna to jednak operacja. Zło świata zbyt przylgnęło do duszy. Konieczne są środki radykalne. Męka Chrystusa wskazuje je. Będzie to już nihilizm. Funduje go święty Paweł.

"Przetoż tedy jako przez jednego upadek na wszystkich ludzi przyszła wina ku potępieniu; tak też przez jednego usprawiedliwienie na wszystkich ludzi" (Do Rzymian, 5, 18). "To wiedząc, że stary nasz człowiek pospołu z nim jest ukrzyżowany, aby ciało grzechu było zniszczone, żebyśmy już więcej nie służyli grzechowi... Jeśliśmy tedy z Chrystusem umarli, wierzymy, iż też z nim żyć będziemy" (tamże, 6, 6-8). "Tak też i wy rozumiejcie żeście wy umarłymi grzechowi, aleście żywymi w Bogu, w Chrystusie... Niechże tedy nie króluje grzech w śmiertelnym ciele waszym, żebyście mu posłusznymi byli w pożądliwościach jego" (tamże, 6, 11, 12).

Po tym hymnie na cześć pokuty wiadomo, co będzie z personalizmem i wszechmiłością. Staną się one podnóżkiem nihilizmu, dzięki czemu ich struktura mocno się zmieni i zajmą one dalsze miejsca w syntezie Chrystusowej.

W takim uhierarchizowaniu pierwiastków wszystkie one zespalają się w syntezę totalną krzyża.

Dzięki temu łatwo już stworzyć jedno pojęcie dobra, zła, a dalej grzechu i cnoty. Razem czyni to epokowy wynalazek, sprawiający, iż słabe i niknące strumyki ropy gnilnej spływają w jedno łożysko, stając się prawdziwą rzeką. Odtąd jasne jest, że rzeka ta nie da się już utrzymać w podziemiach, że wypłynie na powierzchnię i zatopi wielkie obszary historii.

Swym wynalazkiem Chrystus dokonał uformowania nowej siły, która wystąpi na widownię dziejową ludzkości. Ale osobliwa to siła: jest skoncentrowaną chorobą, "niedomogiem" człowieczym, który z utajonego ropnia dzięki wynalazkowi Chrystusa stanie się potęgą dążącą do tego, by wszystko, co istnieje ludzkiego, przemieniło się w pole dla wyłącznej hodowli choroby.

Gdyby ten wynalazek nie został dokonany, wspakultura nadal pozostałaby intuicyjnym sprzysiężeniem, nie dającą się wypowiedzieć tęsknicą cierpiących dekadentów. Teraz jednak ropnie duchowe stają się jednym potężnym wrzodem, który wytwarza swoją własną świadomość, swój jeden światopogląd, i dochodzi do stwierdzenia, że człowiek jest przeznaczony na to, by wrzód miał na czym się rozwijać, czerpać soki życiowe, by je przetwarzać następnie w ciągle płynący strumień ropy. Wynalazek Chrystusa polega na koncepcji zestrajającej w nowy sposób tęsknoty i pragnienia chorego człowieka. Chce on znaleźć spokój i wewnętrzną harmonię, zaś wynalazek Chrystusowy ma to mu umożliwić. Wynalazek Chrystusa to system pojęć, wyobrażeń i norm moralnych, które kierują poruszeniami chorej psychiki człowieka tak, że osiąga on stan "świętości", bardzo przezeń upragniony.

Wynalazek Chrystusowy daje możność planowego, masowego i łatwego produkowania standardowego typu wspakulturowca, czyli chrześcijanina. Mamy tu podobieństwo do wynalezienia jakiejś kultury bakcyli, która z niezwykłą sprawnością przemienia każdy roztwór duchowy w ocet wspakultury. Dopóki tych bakcyli nie odkryto, wspakulturowy ocet był czymś przypadkowym, rzadkim i o słabym natężeniu. Teraz można go uzyskiwać z łatwością, świadomie, kiedy się zechce i w żądanych ilościach.

3. Automat świętości.

Jak wiemy, akcja zdążająca do wyrugowania "zła" - a dla wspakultury złem jest właśnie geniusz człowieczy - ugrzęzła w sprzeczności kierunków, którą przezwyciężył dopiero Chrystus przez swój wynalazek. Chcąc oderwać się od geniuszu człowieczego, wytyczył on drogę w zaświaty poprzez wyrzeczenie się "tego" świata, wyrzeczenie się namiętności i wyrzeczenie się dóbr i bogactw.

Każdy, kto przyjmie naukę o trzech wyrzeczeniach, zdąża do takiego uformowania swego "ja" duchowego, że właściwie przezwycięża pokusy geniuszu człowieczego, a tym samym oddala się od "zła", czyli ewolucji tworzycielskiej świata. To było przełomowe znaczenie wynalazku "objawiciela".

Ale to nie wszystko. Istnieje jeszcze jeden przymiot wynalazku, nie mniej ważny. Otóż zwrot ku wspakulturze, ku ucieczce od geniuszu człowieczego, jeśli ma prowadzić do końca, do ideału świętości, musi mieć określone natężenie. Im to natężenie jest wyższe, tym konsekwentniej ktoś dąży do zbawienia, czyli odrywa się od ewolucji tworzycielskiej świata. Doniosłość wynalazku Chrystusowego polega na tym, że jako siłę motoryczną do swej nauki potrafił włączyć to, co zwalcza - czyli zło. To, co jest grzechem i złem, okazuje się jednocześnie siłą napędową ideałów Chrystusowych. Znaczy to, że im bardziej panoszy się zło, grzech w świecie i w człowieku, tym bardziej prosperuje nauka "zbawiciela". Totalna wspakultura krzyża jest podobna do fabryki nastawionej na przerabianie grzesznego, bo obciążonego geniuszem człowieczym człowieka na szlachetny, "święty" produkt. Ten "święty" produkt to istota człowiecza już doskonała, bez "zła", czyli bez tego wszystkiego, co jest związane z geniuszem człowieczym. Podstawowe zagadnienie, które tu chcemy wyjaśnić, polega na określeniu sił motorycznych, które tę fabrykę będą utrzymywały w stałym ruchu, w ciągłej pracy przebóstwiania rodzących się w grzechu pierworodnym rojnych pokoleń. Mamy następujące pytanie: gdzie są siły motoryczne chrześcijaństwa? Wszak chrześcijaństwo trwa już dwa tysiące lat, jest najtrwalszą instytucją, z czego jest dumne, pytanie więc o siły motoryczne, które ją utrzymują przy życiu, winno rozświetlić nam sedno sprawy.

I tu dochodzimy do rzeczy zadziwiającej. Okazuje się, że chrześcijaństwo potrafiło skonstruować mechanizm poruszany przez siły, które ono samo zwalcza jako szkaradne zło. To, co ono uważa za swoje przeciwieństwo, a więc zło panhumanizmu, zło ewolucji tworzycielskiej świata, grzech pychy, zostaje właśnie siłą motoryczną fabryki uszlachetniającej i przebóstwiającej grzeszny surowiec ludzki. Marzenie fantastów o perpetuum mobile jest od dwóch tysięcy lat realizowane przez chrześcijaństwo. Uczyniło ono tym perpetuum mobile wynalazek Chrystusa, rugujący zło z grzesznych ludzi za pomocą tegoż zła. Inaczej mówiąc, za pomocą zła wytwarza dobro. Korzysta się tu z ogromnej potęgi "zła" w świecie w ten sposób, że jego dynamikę zaprzęga się do poruszania maszynerii Chrystusowej, która przepuszcza surowiec ludzki przez system magli, dzięki czemu "zło" zostaje zeń wyciśnięte i otrzymujemy świętych, błogosławionych, a w każdym razie "zbawionych".

Jest to epokowy wynalazek, który moglibyśmy nazwać aparatem świętości. Opiszemy teraz ten przedziwny aparat. Jeden z jego fragmentów omawialiśmy już jako błędne koło utrapień wszechmiłości.

a) Zwróćmy się myślą do personalizmu i wszechmiłości. Pierwszym i podstawowym odruchem każdego wspakulturowca jest zwrot ku pokusom szczęścia fizjologicznego. Chce on opuścić niepojętą już dlań płaszczyznę posłannictwa człowieczego, które widzi jako "zło", i pogrążyć się w cichym szczęściu wegetacyjnego trwania. Ale wówczas odczuwa nagle liczne, dotkliwe ciosy

nań spadające. Stara się więc być małym, pokornym. Ale i to nie pomaga. Im bardziej się cofa, tym więcej utrapień. Zło świata godzi weń ze wszystkich stron. Wówczas przechodzi do ofensywy i chce ugodzić "zło" bronią miłości. Usiłuje więc uchwytne dla niego przyczyny nędzy, głodu czy też walkę o podział dóbr rozbroić miłością; dalej - miłuje swoich wrogów, akcentując w ten sposób, że wszelkie pobudki do czegoś, a więc i wrogość do siebie uważa za nicość, gdyż niczego sam nie chce, do niczego nie dąży i poprzez bezruch apeluje do wszystkich. W tej sytuacji "zło" świata wali się nań lawiną: nędza, głód, brak, opuszczenie to są konsekwencje miłości. Opisywaliśmy powstawanie automatu utrapień, który ma dwie strony: miłość i cierpienie. Im wyższa cnota, tym większe cierpienie. Zło sprawia cierpienie, a pośrednio potęguje cnotę miłości. A więc zło rodzi cnotę? Tak - odpowiadają wszyscy pobożni mężowie. Utrapienia prowadzą do cnoty. "Ubóstwo, prześladowania i krzywdy... są nader pożyteczne i potrzebne. Spójrzmy tylko na przykład Świętych.

Nie unikali oni nigdy takich przykrości, a owszem szukali ich po bohatersku, albo przynajmniej mężnie je znosili. Śpiewa przecież błogosławiony Apostoł 'Dlatego podobam sobie w słabościach, w potwarzach, w niedostatkach, w uciskach dla Chrystusa: bo gdy niedomagam tedy mocny jestem...' Choroby nieraz są pożyteczne. Widzimy to z przykładu ubogiego Łazarza, pokrytego ranami; żadnej innej cnoty nie wspomina u niego Pismo; jedynie swą cierpliwością, z jaką znosił ubóstwo i chorobę, zasłużył on sobie na szczęśliwość..." (Jan Kasjan, op. cit., VI, 3).

Konkluzja jest taka: "Utrapień doczesnych za zło uważać nie możemy; w wielu bowiem wypadkach wychodzą nam na dobre i stają się przyczyną radości wiekuistej" (tamże, VI, 6).

Gdy to sobie uświadomimy, otwierają się wspaniałe perspektywy na postęp moralny, który opisaliśmy, omawiając "automat utrapień".

"Cierpienie dla chrześcijan jest szkołą i to szkołą najlepszą... Podobnie robi i Bóg dobrotliwy: duszę, którą chce uświęcić, rzuca w piec dolegliwości i dopóty ją udręcza plagami cierpień, dopóki nie uczyni z niej tego co mieć chce... Bóg tyle zsyła na nas ciężarów, ile nam potrzeba" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 161).

Im więcej cierpień, tym większy pęd do cnoty miłości. Istnieje tu współzależność bardzo głęboka.

Im bardziej wspakulturowiec cierpi, z tym większą zapalczywością dąży do osłonięcia się przed tym cierpieniem bronią, na jaką go stać: miłością i pokorą. Oczywiście, staje się tym bardziej wydanym na łup. Gdy kogoś potrafi rozbroić miłością, wymierza mu tym samym najskuteczniejszy cios. Gdy tak ugodzi swego nieprzyjaciela, zabija to, co jest istotne w nim. Trzeba to zrozumieć, gdyż tu tkwi klucz do "miłości". Jeśli przeciw mnie walczy wróg ożywiony jakąś ideą, np. zwolennik komunizmu lub imperium amerykańskiego, to najskuteczniejszym ciosem weń byłoby, gdybym potrafił zniszczyć jądro jego przekonań i wiary w wartość jego ideału. Do tego właśnie dąży złowieszcza broń miłości. Rozbraja ona ognisko woli i przekonania. Doskonale to czują twórcy "perpetuum mobile świętości". Mówi przeto św. Paweł: "Jeśli tedy łaknie nieprzyjaciel twój, nakarm go; jeśli pragnie, napój go; bo to czyniąc, węgle rozpalone zgarniesz na głowę jego" (Do Rzymian, 12, 20; podkr. moje, J. S.).

Jak dotychczas, widzimy zło w postaci walki o byt, chciwości, gniewu, namiętności, dążeń do sławy, potęgi itd., które uderzyło w wyznawcę Chrystusa falą dotkliwych cierpień. Przed nimi usiłował on bronić się za pomocą cnoty pokory i miłości. Wobec ciągłej fali udręk cnoty te hartowały się i wzmagały coraz bardziej. Wniosek stąd następujący: pierwotne zło rodzi i wzmaga cnoty.

b) Bierne poddawanie się cierpieniom, tak znamienne dla personalizmu i wszechmiłości, w miarę coraz większego rozniecania się cnoty "miłości" otwiera w pewnej chwili widoki na nowe doznania. Dzieje się to właśnie wtedy, gdy w duszy wyznawcy układa się odruchowy wniosek, że cnota "miłości" - wraz z miłością bliźniego, miłością nieprzyjaciół, prymatem dobroci itd. - nie jest zdolna pokonać źródła cierpień ani też ich zmniejszyć. To niejako wniosek końcowy. Nie ma odeń

powrotu do punktu wyjścia i stwierdzenia, że cnota miłości jest niepotrzebna. Wręcz przeciwnie: cnotę miłości trzeba jeszcze bardziej rozwinąć. Na razie stwierdza się potęgę cierpienia.

"Boleść i cierpienie stanowią zatem dolę ludzką, a choćby wszystkich doświadczali i próbowali ludzie środków, żadna siła i żadna teoria nie potrafią wyrugować tych przykrości do szczętu z życia ludzkiego" (Leon XIII, op. cit., s. 45).

Wyjście stąd polega na otwarciu nowych perspektyw dla cnoty miłości. Istotnie, staje się ona bliską moralizmowi i spirytualizmowi. Miłość nabiera cech "cichości" i wiary w szczęście "tam". "Każdy z nas, choćby nie wiem w jakich był utrapieniach ciała, skoro wie nie tylko na zasadzie jakiegoś niepewnego domniemania, lecz z całą pewnością i przekonaniem nieomylnym, że bez końca mieć będzie wolne od wszelkich już cierpień... uczestnictwo chwały na łonie Bożym, to szczęśliwszy jest niż ów w raju człowiek, co wśród owej szczęśliwości rajskiej, nie był świadom przyszłego upadku swego" (św. Augustyn, „Państwo Boże", XII, 12).

Cierpienia przy odpowiednio wysokim natężeniu nabierają nowej treści: przygotowują do pobytu "tam". "Cierpliwość jest nam potrzebna: Uczy nas tego Pismo św. słowy: W cierpliwości posiądziecie dusze wasze. Ulegając gwałtownemu poruszeniu gniewu, mówisz: 'Już nie panuję nad sobą'. A zatem panuje nad tobą ktoś inny, stary człowiek, a poza nim kryje się szatan. Twoje codzienne cierpienia, brak zdrowia, przeciwności ze strony ludzi, wewnętrzne doświadczenia, oschłość, pokusy którymi dręczony jesteś - to skarby, zbieraj je na żywot wieczny" (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 419).

Ból i miłość zespolone razem przeistaczają się w narzędzie do osiągania wyższego dobra. Tym torem dochodzimy do spirytualizmu i jego przeciwstawiania "tu" i "tam" we wszystkim.

c) Gdy się już stanęło na stanowisku zbierania zasług niebieskich, jasno widać, że należy zdobyć się na ofiarę i pokutę, aby się oczyścić z resztek naleciałości grzechowych. Oznacza to nie tylko bierne przyjmowanie utrapień, ale i świadome pójście im naprzeciw, aby przyśpieszyć i pogłębić doskonalenie się moralne. Jesteśmy już w kręgu pokuty i ofiary. Ona ma wypalić w nas zło do reszty.

Mamy tu ciągle ten sam kierunek przerzutu pierwotnego bodźca: pierwotne zło wyraziło się w cierpieniu, które zrodziło miłość. Potęgująca się miłość przeszła w umiłowanie źródła - Boga, by się następnie rozniecić w pragnienie zniszczenia tego wszystkiego, co zagradza drogę do zbawienia.

Dopiero teraz rozkwita dobrowolnie przyjęta ofiara udręki. Tępienie grzechu wewnętrznego musi się łączyć z bólem.

"Nic Bogu milszego, nic tobie zbawienniejszego na tym świecie jak chętnie cierpieć dla Chrystusa... Gdyby bowiem było co lepszego i pożyteczniejszego zbawieniu ludzkiemu, jak cierpieć, niechybnie Chrystus byłby nam to okazał słowem i przykładem" (Tomasz á Kempis, op. cit., II, 2, 14, 15).

Zastanówmy się przez chwilę nad tym wszystkim, a oczywiste się staje, że istotnie cała fabryka, przerabiająca grzesznych ludzi na "zbawionych" i "świętych", jest utrzymywana dzięki sile motorycznej "zła". W końcowym wyniku opętany grzechem człowiek ulega tak dokładnemu wymaglowaniu przez obrabiarkę błędnego koła, że "świętość" staje się mu bardzo bliską. Gdy taki grzesznik przejdzie przez magiel personalizmu i wszechmiłości, a następnie z własnego rozpędu zapłonie tęsknotą do zaświatów i rozpocznie oczyszczającą pokutę, w wyniku której dojrzy świt "nadziei" - aureola świętości musi opromienić jego postać. Zło stwarza świętość.

Opisaliśmy mechanikę "automatu świętości". Jak to widzimy, funkcjonuje on dzięki złu. Zło na świecie i w człowieku możemy inaczej określić jako siły zdezorganizowanej ewolucji tworzycielskiej, które są pociągnięte do pracy na rzecz utwierdzania się wspakultury i utrzymują w ruchu totalną syntezę krzyża. W tym ujęciu łatwo zrozumieć tolerowanie zła na świecie przez

"Stwórcę świata". Zło jest potrzebne do produkowania świętości. Znajdujemy tu odpowiedź na tak naturalne pytanie: "Dlaczego ów prawdziwy Bóg dopuszcza te rzeczy? Dlaczego raczej nie usunie złych, albo nie zniszczy? Dlaczego od początku dał władzę demonowi by był i psuł i rozpraszał wszystko?... Zapytuję, czy cnota jest dobrą rzeczą czy złą? Jeżeli cnota jest dobrą, to z drugiej strony występek jest złym, jeżeli występek dlatego jest złym, ponieważ zwalcza cnotę, a cnota dlatego jest dobrą, ponieważ zwalcza występek, przeto cnota nie może istnieć bez występku... W najwyższej przeto roztropności Bóg złożył treść cnoty w złu; które dlatego stworzył, by nam dać sposobność do walki, a zwycięzców w niej uwieńczyć nagrodą nieśmiertelności" (Laktancjusz, „Epitome", XXIX).

Zło więc jest siłą motoryczną dobra. Ze względu na automat świętości, który spełnia w chrześcijaństwie tak doniosłą rolę, nie ma mowy o tym, by wolno było przeciwdziałać jego siłom motorycznym, utrapieniom i pokusom. Dlaczego? Bowiem: "...Przyczyna tych utrapień może być trojaka: albo Bóg chce wypróbować naszą cnotę albo chce nas oczyścić z naleciałości grzechowych albo karze nas za przewinienia" (Jan Kasjan, op. cit., VI, 11).

W tym aspekcie zło jako siła napędowa ku świętości traci autonomię samoistnego bytu, staje się podnóżkiem dla "dobra" najwyższego. Złe duchy, łącznie z samym szatanem, spełniają szlachetną rolę w automacie świętości. "...Bo nie mogą złe duchy zdziałać tego, na co pozwolenia nie mają; a otrzymują pozwolenie za wysokim a sprawiedliwym wyrokiem Boga najwyższego, stosownie do winy tych ludzi, którym się sprawiedliwie należy, iżby przez demonów byli albo tylko trapieni, albo nawet pokonani i zwiedzeni" (św. Augustyn, „Państwo Boże", VII, 35).

4. Ustalenie się doktryny chrześcijaństwa.

Historia wspakultury narzuca myśl, że ekspansja jej była kierowana przez jakąś utajoną, genialną inteligencję. Instynkt choroby jest bowiem przedziwny. Wyłanianie się odczuć wspakulturowych w poszczególnych psychikach indywidualnych z wolna przeistacza się w tendencję do scalenia poszczególnych pierwiastków w zestroje totalne, które następnie atakują organa świadomości społecznej i tradycji duchowej i opanowują je całkowicie. Dzięki temu wspakultura może unicestwić ideoświadomość panhumanizmu na tysiące lat.

Dążąc do uzyskania najsprawniejszej formy, zdolnej do opanowania duchowej tradycji ludzkości, wspakultura zespala wszystkie pierwiastki pod jednym mianownikiem. Tak się stało z buddyzmem, wskutek czego rozbroił on Chiny na tysiące lat, bo aż do naszych czasów. To samo z hinduizmem w Indiach. U nas tego dzieła usiłowało dokonać chrześcijaństwo. W wyniku procesu scalania wątków choroby poszczególne pierwiastki, wchodząc w wyższą syntezę, tracą swój pierwotny autonomiczny kształt i przybierają postać nieco zmienioną. Wmontowanie ich w syntezę sprawia, że tracimy zarysy każdego pierwiastka, a widzimy jednolitą z pozoru bryłę. Znika tu już nie tylko odrębność pojmowania dobra, zła, jak to mówiliśmy poprzednio, ale i grzech, cnota staje się usyntetyzowana.

Chrześcijańską hierarchię pierwiastków trafnie wyraża Leon Wielki, ujmując je w szereg: modlitwa, post, jałmużna. Modlitwa to dominacja spirytualizmu i moralizmu, post odpowiada nihilizmowi, jałmużna zaś wyraża wszechmiłość i personalizm. Mówi papież: "Trzy są rzeczy, odnoszące się wprost do czynności religijnych, a mianowicie: modlitwa, post i jałmużna, dla których spełnienia każdy czas jest odpowiedni... Modlitwa bowiem sprowadza przebłaganie Boga, post gasi pożądliwość ciała, jałmużna odpuszcza grzechy... Zachowanie tych trzech rzeczy - najmilsi - mieści w sobie skutki wszystkich cnót" (Leon Wielki, op. cit., V, 4).

Modlitwa, post i jałmużna służą do zwalczania tego samego zła. "Prawdziwym złem jest to, co się nie zgadza z wolą Bożą, czyli grzech... grzech jest to świadome i dobrowolne przekroczenie przykazania Boskiego lub kościelnego... To co nas pobudza i skłania do grzechu nazywamy pokusą; pokusa nie jest grzechem, grzech popełnia dopiero ten, kto ulega pokusie, zamiast jej się oprzeć. Pokusy pochodzą: **1.** z naszych złych skłonności, **2.** od świata czyli złych ludzi, **3.** od czarta" („Katechizm religii katolickiej", 1945 r.).

Zobaczmy teraz, jakie miejsca zajmują poszczególne pierwiastki wspakultury w totalnej syntezie krzyża.

a) Spirytualizm. Podstawą chrześcijaństwa jest dominacja spirytualizmu. Wszystkie dalsze pierwiastki orientują się na niego. Wiara w "tam" dominuje nad resztą. "Cała chrześcijańska nauka zasadza się na Bogu, tak, iż kto w tym artykule wprzód ufundowany nie będzie mocno i gruntownie: iż Bóg jest - w żadnych innych częściach wiary dostatecznie utwierdzonym być nie może" (ks. M. I. Wichert, op. cit., s. 14).

Cnotą, za pomocą której zwyciężamy grzech przeciwko spirytualizmowi, jest wiara. Rozniecać więc trzeba wiarę w Chrystusa, gdyż bez niej tracimy busolę w tym nędznym i grzesznym świecie.

"Bo wszystko, co się narodziło z Boga, zwycięża świat; a to jest zwycięstwo, które zwycięża świat: wiara nasza. Któż jest, co zwycięża świat, jeśli nie ten, kto wierzy, że Jezus jest Synem Bożym?" (św. Jan, „Pierwszy list powszechny", 4, 5).

Napięcie wiary stanowi dla każdego spirytualisty skarb najwyższy, gdyż w stanie podhalucynacyjnym jest pewny siebie, nie mają doń dostępu wątpliwości i stąd czerpie słodycz przyszłych stokrotnych zysków i rozkoszy. Radość płynąca z przyszłych uciech okazuje się tym większa, że nastąpi ciał zmartwychwstanie i używanie bez końca. Pełne wiekuiste szczęście "tam" trudno sobie wyobrazić bez ciała. "Szczęście i błogosławieństwo, którego Święci w niebie doznają, zupełne by być nie mogło, gdyby na wieki od ciał swych odłączonymi być mieli... Ciała tedy wszystkich ludzi, choć i najdawniej umarłych, w proch obrócone, ogniem spalone, po powietrzu rozsypane, wszystkie w dzień sądu ostatecznego powstaną całe i zupełne... Tak bowiem Paweł święty pytającemu się, jako umarli zmartwychwstaną, odpowiedział: 'ciało które wsiane było skazitelne, powstanie nieskazitelne...'" (ks. M. I. Wichert, op. cit., ss. 180, 181).

Myśli o ciał zmartwychwstaniu uporczywie trzyma się każdy wspakulturowiec. Nie może on sobie wyobrazić innego szczęścia, jak tylko hedonistyczne, zmysłowe uciechy, oczywiście odpowiednio spetryfikowane, wieczne. Wystarczy przypomnieć wizje raju dusz pobożnych od dwóch tysięcy lat.

Oczywiście musi być piekło.

"Po zmartwychwstaniu ludzi nastąpi sąd powszechny jako ostateczny... Na sądzie ostatecznym powie Jezus do dobrych: pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, posiądźcie królestwo, przygotowane wam od założenia świata... Do złych zaś odezwie się: idźcie ode mnie, przeklęci w ogień wieczny" („Katechizm religii katolickiej", 1945 r.). Grzesznicy przeciw wspakulturze będą cierpieć.

Sprawiedliwi zaś tylko tęsknią i liczą chwile uciążliwego pobytu "tu". Odpada też skrupuł, że nędzne, uduchowione, a więc wycieńczone ciało, które dekadent Chrystusowy "tu" posiada, niezbyt będzie pasowało do wspaniałości raju. Ta niedogodność zostanie usunięta drogą zdecydowanej kompensacji.

"...Bóg, cudowny i niewysłowiony Mistrz, z całości tego, z czego ciało nasze było złożone, z cudowną i niewypowiedzianą szybkością je odnowi, i nic to znaczyć nie będzie przy przywróceniu człowieka do jego pierwotnej całości, czy włosy wrócą do włosów, a paznokcie do paznokci, czy to, co z nich zginęło, obróci się w ciało i czy do innych części ciała zostanie przyłączone, gdyż Mistrza Opatrzność troszczyć się będzie, aby co niedorzecznego się nie stało" (św. Augustyn, „Podręcznik dla Wawrzyńca", LXXXVIII).

"...Będzie bowiem ciało wtedy nie tylko różne od tego, jakie jest teraz choćby w najczerstwiejszym zdrowiu, lecz nawet od tego różne, jakie mieli pierwsi ludzie przed grzechem" (św. Augustyn, „Państwo Boże", XIII, 20).

Wszechmogący zrobi to ku największemu zadowoleniu "sprawiedliwych". Moglibyśmy mnożyć w nieskończoność wypowiedzi spirytualistów krzyża, w obfitości napłodzone przez dwa tysiące lat, a potwierdzające wspakulturowy charakter ich wyznań, nadziei i dążeń.

b) Moralizm. Pierwiastek moralistyczny w totalnej syntezie krzyża całkowicie podlega spirytualizmowi. Samo przez się zrozumiałe, że po śmierci ciała zostaje coś, co jest niematerialne, dusza, która ciąży do niebios. Ona też staje się przedmiotem obróbki, polegającej na udoskonaleniu moralnym. Cnota cichości, właściwa moralizmowi, ma więc pomagać cnocie wiary w uporaniu się z trudnościami i pokusami materialnego świata. Błogosławieństwo dla ubogich duchem wskazuje kierunek zabiegów. Podporządkowanie się zadaniom zbawienia ukazuje szczebel wyższy udoskonalenia moralnego. Jest nim wyzbycie się powiązań z grzeszną materią. Prymat ducha sprawia, że w pewnej chwili moralista czuje, że nie należy właściwie do tego świata. O takich mówi Chrystus: "Nie są ze świata, jak i ja nie jestem ze świata" (J 17, 16). Dążąc do cnoty cichości musimy się wyzbyć powiązań ze światem. "Niech ci nie będzie nic wielkim, nic wzniosłym, nic wdzięcznym i miłym, nic pożądanym... uważaj za marną wszelką pociechę, która by ci od jakiego bądź stworzenia przyjść miała" (Tomasz á Kempis, op. cit., II, 5, 3).

Gdy takiej operacji wstępnej dokonamy, łatwiej będzie zdobyć się na zamarcie wewnętrzne, znieruchomienie emocjonalne, skąd otwierają się widoki na wyższe powołanie moralizmu chrześcijańskiego. Zasady moralizmu, podobnie jak każdego pierwiastka wspakultury, są odwieczne, to znaczy nigdy się nie zmieniają. Takimi były w czasach apostolskich, takimi są dziś i takimi będą zawsze. Przed tym samym więc problemem stoi każdy moralista w czasie i przestrzeni, jak to widzimy z poniższego cytatu z dzieła z XX wieku: "Jaką drogą wnijść do królestwa tego? Wyrzec się wszystkich rzeczy stworzonych, ubogim być, a ubogim w duchu, do niczego się nie wiązać. Nikt nie osiągnie ziemi niebieskiej, jeno pokorny i cichy, i ten, który inszej woli nie ma, prócz woli Ojca niebieskiego. Pociechy Boskie zachowane są dla tych, którzy płaczą i nasycenie duszy dla tych, których dręczy łaknienie i pragnienie sprawiedliwości... na to aby człowiek mógł być nazwany od Boga synem Ojca w niebiesiech, potrzeba, by był pokój czyniącym, by chronił się przemocy wszelkiej i gwałtu, by uśmierzał nienawiści, łagodził spory i przyczyniał się do panowania braterstwa między ludźmi..." (ks. W. O. Didon, „Jezus Chrystus", Warszawa 1891, t. I, s. 407).

c) Nihilizm. Wmontowany w chrześcijaństwo, nihilizm traci możliwość rozpętania furii niszczycielskiej, gdyż służy tylko wytępieniu grzechu z natury ludzkiej, aby otworzyć drogi do niebios. W pierwszym rzędzie zostanie odcięta możność samobójstwa dla tych nihilistów, którzy w przeświadczeniu, że życie nie ma wartości, chcieliby je radykalnie skrócić.

"Bóg nas bowiem wprowadził do mieszkania tego ciała; on sam dał czasowe w nim mieszkanie, byśmy tu przebywali, jak długo on zechce. Niegodziwością przeto jest chcieć bez rozkazu Bożego stąd wychodzić... On wie w jaki sposób rozwiązać swe dzieło" (Laktancjusz, „Epitome", XXXIX).

Jest to jednocześnie dyskretny ukłon w stronę personalizmu. Ale wrogość wobec świata pozostaje bez zmian. Z niej wynikają dyspozycje ascetyczne, które jako "pokuta" mają złe pożądliwości unicestwić. "Nie miłujcie świata, ani tych rzeczy, które są na świecie; kto miłuje świat, nie masz w nim miłości Ojcowskiej. Albowiem wszystko co jest na świecie, jako pożądliwość ciała, i pożądliwość oczu, i pycha żywota, toć nie jest z Ojca, ale jest ze świata. Świat przemija i pożądliwość jego; ale kto czyni wolę Bożą, trwa na wieki" (św. Jan, „Pierwszy list powszechny", 2, 15, 17).

Trafna jest refleksja, poprzez nihilizm zwrócona "tam": "Marność jest iść za żądzami ciała; i to pożądać za co potem ciężko karanym być trzeba" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 1, 4).

Każdy wspakulturowiec czuje w sobie potężne zło wewnętrzne, zło panhumanizmu, zło, które odgradza go od wyśnionej niewinności, cichości, uduchowienia. "Już tedy teraz nie ja to czynię, ale grzech we mnie mieszkający, gdyż wiem, że nie mieszka we mnie (to jest w moim ciele) dobre; albowiem chęć jest we mnie, ale wykonać to, co jest dobre, nie znajduje. Bo nie czynię dobrego, którego chcę; ale złe, którego nie chcę, to czynię" (św. Paweł, „Do Rzymian", 7, 17-19).

Ażeby uzyskać wieczność "tam", koniecznie trzeba ten grzech wytępić. "...Trzeba zacząć mężnie: przyłóż siekierę do korzenia, abyś wyrwał i zniszczył skrytą i nieporządną skłonność ku sobie samemu i ku wszelkiemu osobistemu dobru. Od tej wady, iż człowiek zbyt nieporządnie kocha samego siebie, zależy prawie wszystko, co zwyciężyć i wykorzenić trzeba; tę więc wadę, to główne zło zwyciężywszy i podbiwszy, nastanie w duszy pokój wielki i ciągła pogoda" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 53, 3).

Bez osiągnięcia stanu wolności od zła, bez skutecznej pokuty, godzącej w jego substancję, znikają perspektywy na zbawienie duszy. Wizja śmierci musi wówczas przygniatać każdego wspakulturowca nieznośnym brzemieniem.

"Św. Augustyn nazwał myśl o wieczności: wielką myślą. Ta myśl skłoniła tylu pustelników do życia na pustyni, tyle dusz zakonnych do zamknięcia się w klasztorze, tylu męczenników do zakończenia życia w cierpieniach" (św. Alfons Liguori, „Rozmyślania", s. 16).

Świadomie zaplanowana pokuta była akcją chirurgiczną amputacji zła. Dzięki niej wyłonił się cały korowód niesamowitych straszydeł, które jako "świętych" czci i podziwia chory świat.

d) Wszechmiłość. Aspiracje wszechmiłości zostały, wraz z personalizmem, podporządkowane spirytualizmowi krzyża. Wyłoniła się sprzeczność następująca: oba pierwiastki, o których mowa, wychodząc od konkretu biologii człowieczej, są nastawione na osiągnięcie szczęścia fizjologicznego. Wiemy, jak złudne są nadzieje osiągnięcia go środkami, które są tu stosowane. A poza tym ich "dobro" jest sprzeczne ze spirytualizmem. Jak już mówiliśmy, wyjście zostało utorowane w ten sposób, że cierpienie, na które jest wystawione istnienie rozbrojonej biologii, uznano za właściwy bodziec ku cnocie "miłości". Cierpisz? Chcesz uniknąć cierpienia? Uprawiaj cnotę miłości. Co? Cnota miłości nie daje szczęścia, nie może zwalczyć zła? A wobec tego miłość należy wzmóc tak, by sięgała pułapu pokuty. Inaczej mówiąc, miłość staje się korytarzem, przez który zdąża się do nihilizmu: jest niejako jego niższym szczeblem. Ale wówczas należy się pogodzić z cierpieniem, ba - witać je i pożądać go, gdyż jako bodziec do cnoty miłości otwiera dalsze, "wyższe" wyloty.

Cierpienie staje się znakiem "łaski Pańskiej", gdyż dzięki niemu rodzi się skwapliwie chęć osiągania cnót, które prowadzą do szczytu, w "prawdziwy" świat. A cnotą wprowadzającą w ten labirynt będzie właśnie "miłość". Cudowne więc jest zrządzenie Boga. "Synu mój, nie lekce sobie poważaj kaźni Pańskiej, a nie trać serca gdy od niego bywasz karany. Albowiem kogo Pan miłuje, tego karze, a smaga każdego, kogo za syna przyjmuje. Jeśli znosicie karanie, Bóg się wam ofiaruje jako synom... A jeśli jesteście bez karania, którego wszyscy są uczestnikami, tedyście bękartami, a nie synami" (św. Paweł, „Do Żydów", 12, 5-8).

Chrześcijańska nauka o cierpieniu jest arcydziełem kazuistyki. Każdy wspakulturowiec w pierwszym odruchu chce uciec od cierpienia. Daje się więc mu do rąk broń do zwalczenia źródeł "zła", czyli rozbrojenia tych sił, które cierpienie sprawiają. Zdrowy rozsądek wykazuje jasno, że to niemożliwe. Miłością nie obali się szczupłości warunków egzystencji na globie. Ale osiąga się jedno: rozbraja się siebie, i to tak dalece, że pozostaje już tylko ucieczka ku pełnej rezygnacji – a więc w moralizm, nihilizm i w końcu w zaświaty. Na nic się nie zdaje próba rozbrojenia wszelkich dążeń za pomocą "dobroci" i "miłości nieprzyjaciół". Ale pozostaje trwały wynik emocjonalny - rozbrojenie siebie, które jest wysoką cnotą miłości. Ona stanowi skarb, gdyż wprawdzie nie daje zamierzonego wyniku, ale otwiera drogi do czegoś, co jeszcze ważniejsze - do dalszych pierwiastków wspakultury. Dlatego tak się ją ceni.

"I choćbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogim, i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym gorzał, a miłości bym nie miał: nic mi to nie pomoże" (św. Paweł, „Pierwszy list do Koryntian", 12, 3).

Drugą stroną cnoty miłości jest wzbierające cierpienie. Kochając cnotę, trzeba takim samym uczuciem darzyć i to, co do niej strukturalnie przylega - utrapienie żywota. A stąd wynika: "Ale żeby miłość bliźniego była zupełnie sprawiedliwą, powinna mieć pierwszą przyczynę w Bogu. Bo inaczej, jak można czystą miłością kochać bliźniego, nie kochając go w Bogu?" (św. Bernard, „Pisma, homilie", V).

To samo dotyczy utrapień. "Bóg zezwala aby nas cierpienia dotykały, ponieważ to do zdrowia naszej duszy jest konieczne... Chrystus rozwiązuje całkowicie i zupełnie zagadkę cierpienia, dając mu nadprzyrodzone znaczenie... Życie chrześcijanina jest pełne cierpień. Paweł Apostoł mówi o codziennym umieraniu... I cieszy się ten wielki Apostoł z tego. Już z samych cierpień Chrystusa stało się jawnym, że najdotkliwsze razy spadają na ludzi szczególnie ukochanych przez Boga, i to dlatego właśnie że są ukochani... Zrozumiałą jest rzeczą, że dusze wyższe nieustannie prosiły Boga o krzyż, i cierpienie, że w cierpieniu... widziały dowód miłości Boga ku sobie" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 160).

Dopiero ukochanie cierpień zamyka krąg i czyni wszystko jasnym i prawidłowym.

e) Personalizm. Pozycja personalizmu jest podobna do wszechmiłości. Działanie cnoty pokory w totalnej syntezie krzyża zatraca swoje pierwotne znaczenie jako środek zwalczania cierpienia, lecz otwiera korytarz na spirytualizm. I tu cierpienie zmienia się w pożądaną siłę napędową ku dobru najwyższemu. "Bóg się pysznym sprzeciwia, ale pokornym łaskę daje. Poddajcie się tedy Bogu, a dajcie odpór diabłu, a uciecze od Was" (św. Jakub, „List powszechny", 4, 7, 8).

Pokora staje się cierpliwością, otwierającą drogę do cnót wyższych. Nie ma więc czym się przejmować na tym świecie. "Uniżajcie się tedy przed mocną ręką Bożą, aby was wywyższył czasu swego; wszystko staranie wasze wrzuciwszy nań, gdyż on ma pieczę o was" (św. Piotr Apostoł, „Pierwszy list powszechny", 5, 6, 7).

Widocznie wszystko na świecie ma swój sens, i to tym bardziej, im pokorniejsi jesteśmy. "...przecież cierpliwość Boga wzywa do pokuty grzeszników, jak również Jego chłosta w cierpliwości udoskonala cnotliwych... Bo cnotliwy ani doczesnym dobrem się rozhardza ani pod przeciwnościami upada; dla występnego zaś niepomyślność dlatego jest karą, bo go pomyślność zepsuła. Często jednak w podziale szczęścia i nieszczęścia Bóg wyraźnie mądrość swoją objawia.

Bo gdyby teraz wszelki grzech widocznie karał, mniemano by, że nic do ostatecznego sądu nie odkłada; gdyby zaś żadnego grzechu nie karał jawnie, nie wierzono by w Opatrzność" (św. Augustyn, „Państwo Boże", I, 8).

Pogódźmy się więc z cierpieniem, gdyż widocznie to tkwi w zamiarach Opatrzności i posiada głębsze znaczenie. Dzięki cierpieniu pracuje owocnie "automat świętości".

Rozdział VIII. Idea Kościoła.

1. Idea marszu ludzkości od przyrodzoności do nadprzyrodzoności.

Wynalazek Chrystusowy w formie "automatu świętości" zasadniczo zmieniał równowagę sił dwa tysiące lat temu. Potęga, którą wyzwalał "automat świętości", była bardziej rewolucjonizująca niż wynalazek maszyny parowej lub odkrycie energii atomowej. Dla niezliczonych milionów jednostek tkwiących w intuicyjnej konspiracji wspakultury nagle zjawiało się olśnienie Chrystusowe, które ukazywało świat ludzki jako coś, co winno podlegać prawom pandekadentyzmu. Inny porządek, biegunowo przeciwny, winien odtąd panować na świecie. To, co było utajone w bolejących sercach maluczkich, może teraz ukazać się na powierzchni historii i narzucić swoje normy jako prawa obowiązujące. "Zło" władające światem nie potrafi teraz przeciwstawić się wspakulturze, zbrojnej w potężny wynalazek, dzięki któremu może ona przemieniać miliony jednostek w swoich fanatycznych wyznawców i bojowników. Podstawą

władania zła na świecie było według wspakultury to, że człowiek został obciążony chorobą krwi, chorobą wywodzącą się z upadku człowieka w grzech pierworodny. To było jasne dla każdego dekadenta. Prosta obserwacja człowieka, jakiego on widział, narzucała wniosek, że istota zła tkwi w człowieku.

"Dokąd idzie ludzkość pozostawiona samej sobie, swej naturalnej skłonności? Niestety, wszelka wątpliwość tu niemożliwa: dąży ona ku złemu" (ks. L. E. Bougaud, „Credo", s. 157).

Lecz teraz, dzięki potędze automatu świętości, wspakulturowiec krzyża widzi, że "zło" to może być przezwyciężone i rugowane z człowieka, człowiek sam może się uwalniać spod jego panowania.

Wszędzie tam, gdzie dociera "dobra nowina", dekadenci wpadają w ekstatyczne podniecenie.

Skończyła się udręka milczenia w podziemiach intuicyjnej konspiracji i wspakulturowa "prawda" tryumfalnie ukazuje się na arenie historii. Wynalazek Chrystusowy ustokrotnia jej dynamikę, nadaje jej postępom lawinowy charakter.

Już w pierwszych chwilach upojenia wzbierającą mocą błyska idea kosmicznego zadania wspakulturowego. To koncepcja przepuszczenia całej ludzkości przez tryby automatu świętości.

Założenie wygląda prosto: **a)** ludzkość jest "chora" na grzech pierworodny i z tego powodu cierpi, **b)** wynalazek Chrystusowy usunie tę chorobę, i to tym sprawniej, im wyższe ma ona natężenie.

Chrześcijaństwo to akcja przeistoczenia rodzącej się w grzechu i trwającej w nim ludzkości w zbawionych poprzez przeróbkę w automacie świętości. Innymi słowy - chodzi o sprzysiężenie przeciw posłannictwu człowieka.

Gdy od tej strony spojrzymy na chrześcijaństwo, zdumiejemy się konsekwencji montowania kosmicznego sprzysiężenia. Zrodzenie się i rozwijanie chrześcijaństwa nosi znamiona planowej akcji, kierowanej przez jakąś demoniczną inteligencję. Dzieje chrześcijaństwa są w takim aspekcie czymś niezmiernie prawidłowym. Dopiero gdzieś w późnym średniowieczu demon kierujący tym sprzysiężeniem traci nieomylność posunięć i akcja doznaje pierwszych niepowodzeń.

Pierwsza faza spisku przeciw ludzkości, polegająca na koncentracji sił choroby poprzez zespolenie wszystkich pierwiastków wspakultury w totalną syntezę krzyża, przebiega z zadziwiającą precyzją.

Jakiś genialny sufler kieruje postępkami i wypowiedziami Chrystusa, św. Pawła, apostołów, ojców Kościoła. Dopiero ocena tych wypowiedzi pod kątem ich stosowalności do dzieła zniszczenia posłannictwa kulturowego ludzkości ukazuje ich właściwe znaczenie. Każda wypowiedź zdradza utajony cel spisku. Gdy ktoś decyduje się brać udział w tym sprzysiężeniu, musi rzecz jasna wyrzec się wszystkiego, co go wiąże z normalnym życiem. Tu już trzeba się zdobyć na odwrócenie wszelkich wartości.

"Jeśli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki i żony i dzieci i braci i sióstr, jeszcze też i duszy swojej, nie może być uczniem moim" (Łk 14, 26).

Każdy wyznawca krzyża ma podświadome wyczucie, że akcja, którą chce przeprowadzić, jest istotnie najgłębszą rewolucją, jaką można sobie wyobrazić. Słusznie wyczuwa, że od tego, czy uda się przeforsowanie nowej wiary lub też nie, zależą losy ludzkości. Nie wątpi również w pomoc swego "Boga", który w najwyższej mierze jest zainteresowany w tym, by unicestwić ewolucję tworzycielską świata, czyli obalić władanie Antychrysta. Dla św. Justyna pozostawienie Antychrysta przy władztwie nad światem oznacza właściwie koniec świata.

"Bóg powstrzymuje upadek i zagładę wszechświata i czeka z wyniszczeniem złych aniołów, demonów i ludzi, bo ma wzgląd na wschodzące chrześcijańskie nasienie i w nim widzi przyczynę zachowania świata. Inaczej bowiem... spadłby sądny ogień i pochłonąłby wszystko, jak ongi potop" („Apologia", II, 5, 6, 2). Posłannictwo człowiecze jest grzechem, który musi być zniszczony.

Wszystko to zostanie rzucone pod stopy wspakultury krzyża. Obiecuje to Bóg Chrystusowi.

"Żądaj ode mnie, a dam ci pogan jako dziedzictwo twoje, a ziemi kresy jako własność twoją... siądź po prawicy mojej, a położę twych wrogów podnóżkiem stóp twoich... Którzy tedy są nieprzyjaciółmi? Ludzie źli i ci którzy sprzeciwiają się woli Bożej" („Pierwszy list Klemensa do Koryntian", 36, 4, 6).

Wyniszczyć podstawy ewolucji tworzycielskiej znaczy to zrealizować cnoty poszczególnych pierwiastków. Gdy postępujemy w cnotach pokory i miłości, oznacza to wyrywanie biologii człowieczej z jej roli w kulturze. Cichość i wiara to wygaszenie i rozłożenie woli tworzycielskiej.

Pokuta i ofiara to ugodzenie w biologiczne korzenie wszelkich porywów ku tworzycielstwu. Tymi drogami zdąża się do "państwa bożego", w którym nie będzie już "zła" panhumanizmu. Wszak jasne jest, że: "Nie może mieć Państwo Boże prawideł religijnych wspólnych z państwem ziemskim, i w rzeczach tych musi się z nim koniecznie różnić" (św. Augustyn, „Państwo Boże", XIX, 17).

Takie państwo wytępi do korzeni "zło" panhumanizmu, stawiając wręcz przeciwny cel - świętość. A świętość to nic innego jak istota ludzka, która przez odpowiednią tresurę zostaje pozbawiona resztek wiadomego zła. Widzimy przerażającą prawdę: istotny cel stanowi dokonanie najbardziej wstecznej, niszczącej, antynaturalnej rewolucji kosmicznej, rozmontowanie organów, dzięki którym świat dąży do stania się czymś więcej, niż jest. Cel ten samo chrześcijaństwo najtrafniej określa: złamanie władzy Antychrysta nad światem. Dotarcie do prawdy teraz okazuje się łatwe. Wniknijmy tylko, czym jest Antychryst w rozumieniu krzyża, co znaczy jego władztwo nad światem. Uważny czytelnik niniejszych uwag od dawna już zapewne dokonał właściwego przewartościowania i postawił znak równości pomiędzy panhumanizmem i Antychrystem!

Tak, Antychryst to nasze człowieczeństwo, to panhumanizm, to ewolucja tworzycielska świata, to proces kulturowy. Być może ktoś, czytając te słowa, doznaje uczucia grozy i niesmaku. W ten sposób tylko potwierdza się prawda o celach chrześcijaństwa, którą wyjaśniamy. Dla chrześcijanina bowiem Antychryst to ewolucja tworzycielska świata, którą on chce zdemontować do reszty. I w tym kierunku wytężał się dwa tysiące lat, fundując nader sprawne instytucje realizacyjne. Dla nas natomiast wartości układają się wręcz przeciwnie. Antychryst to nasze tworzycielskie "ja", nasze posłannictwo. Ażeby je utwierdzić i przeforsować, musimy zniszczyć największe zło – wspakulturę, czyli chrześcijanizm. Gdy więc słyszymy hasło mistrza ascezy, że "...celem naszego powołania jest królestwo niebieskie, ale zadaniem czyli bezpośrednim zamiarem - czystość serca, bez której do celu owego nikt dojść nie zdoła" (Jan Kasjan, op. cit., I, 3) - to wiemy z pewnością, że kierunek naszej akcji będzie wręcz przeciwny. Nie królestwo niebieskie, lecz twarda powinność w ramach historii, nie "czystość serca", lecz pieczołowita ochrona woli tworzycielskiej – geniuszu człowieczego w naszej osobowości. Oto zadanie prawdziwie człowiecze. Stając w obozie "Antychrysta", w obozie panhumanizmu, musimy się przeciwstawić temu, co występuje w roli jego przeciwieństwa. Słowo "chrześcijanizm" wywołuje w nas to samo uczucie grozy i wstrętu, jakiego doznaje wspakulturowiec krzyża w zetknięciu z pojęciem "Antychryst". Skoro więc "Chrystianizm jest rozwojem społeczeństwa Jezusowego w czasie i przestrzeni" (Karl Adam, „Jezus Chrystus", s. 26) - to już tym samym jesteśmy śmiertelnymi wrogami "Jezusowego człowieczeństwa" jako oczywistego zła i dekadencji.

Przełamujemy hipnozę tysiącletnich rządów chrześcijańskiego pandekadentyzmu, ogłaszamy się bojownikami tworzycielskiej istoty człowieczeństwa, którą wspakultura krzyża nazwała Antychrystem. Pod jego sztandarem skupiać będziemy szeregi dla rozprawy ze straszliwym złem, które jeszcze włada na świecie w sercach ludzkich, złem wspakultury krzyża.

Jakże niewinnie brzmi zawołanie o wyniszczenie istoty tworzycielskiej człowieczeństwa w szyfrze Chrystusowym, gdzie potworność zamiaru nazywa się "zbawieniem duszy". "Naśladować dzieła boskie i współpracować, o ile to jest w naszej mocy z Jezusem Chrystusem nad zbawieniem dusz - otoż, mówi św. Dyonizy Areopagita, posłannictwo więcej niż ludzkie, posłannictwo to jest całkiem Boskie. Ze wszystkich spraw Bożych, najwięcej ubóstwionym jest współdziałanie z Bogiem ku zbawieniu dusz" (ks. Jos Mach, „Skarb kapłana", Kraków 1886, t. II, s. 1).

Zbawić dusze od człowieczeństwa znaczy to zwrócić je do świętości. Temu zadaniu poświęcony jest Kościół. "Powołaniem Kościoła jest stworzyć społeczeństwo świętych" (Pierre Batiffol, „Badania z zakresu historii i teologii pozytywnej", Warszawa 1911, s. 49).

Gdy rozumiemy, co ten szyfr oznacza i co jest stawką w tych zmaganiach, trudno się oprzeć uczuciu kosmicznej grozy. Przez tysiące lat, na oczach całej ludzkości, z bezczelnym, naiwnym cynizmem montowano akcję wyniszczenia jej podstaw, i nikomu do głowy nie przychodziło, jak potworną zbrodnię popełniano; systematycznie, przez wieki.

Ponura akcja została zaszyfrowana jako dążenie "od przyrodzoności do nadprzyrodzoności".

Oczywiście przyrodzoność to grzeszna materia, to obciążony i upadły człowiek, jęczący na tym łez padole. Ból jego ma uzasadnienie: krew w nim płynąca jest chora. "Zbadajmy główne, potrójne poruszenie tej zepsutej krwi: najpierw uderza ona do głowy i przyprowadza człowieka do bezrozumnych uniesień; następnie spływa do wnętrzności i pogrąża człowieka w ohydnych pożądliwościach; a że w tym podwójnym ruchu napotyka Boga, Jego prawo, wre cała i wybucha straszliwym buntem. Oto potrójne uderzenie upadłego serca ludzkiego, potrójne wrzenie tego, co nazywamy krwią zepsutą... Dowiedzione jest, że rodzimy się z pychą" (ks. L. E. Bougaud, „Credo", s. 161).

Dążąc do nadprzyrodzoności poprzez naukę Chrystusową przezwyciężamy "ohydę" zepsutej krwi i jej pokus. W ten sposób biologia człowiecza wraca w stare łożysko, otwierając drzwi do personalizmu i wszechmiłości. Mamy tu do czynienia z atawistycznym odruchem wieczystego wrotu biowegetacji, polegającym na pragnieniu oderwania się od panhumanizmu. W tym kierunku zwraca się tęsknota każdego wspakulturowca. Oczyma wyobraźni widzi on upajające słodycze wolności od wszystkiego, ba - wyobraża sobie ten stan jako utraconą niewinność raju. Doń chce wrócić. Musiał istnieć raj, w którym nie było sił burzących jego szczęście fizjologiczne, nie było tam ani panhumanizmu, ani woli tworzycielskiej, ani walki o byt, ani nieprzyjaźni, ani chorób, ani śmierci. Szczęście dwunoga w raju można uznać za zupełne.

Taki obraz wywiera nieodparty czar na umysł tknięty rozkładem. Marsz od przyrodzoności do nadprzyrodzoności wydaje się otoczony nimbem osiągania celów szlachetnych i wzniosłych. Gdy patrzymy na to wszystko, ogarnąć nas musi zdumienie. Z niemałym trudem potrafimy pojąć stopień aberracji, w której znajdują się umysły całych narodów, i to narodów, które już dawno poniechały pięcia się po drabinie prowadzącej od przyrodzoności do nadprzyrodzoności. Dziwną wydaje się hipnoza, w której tkwią setki milionów.

A że tkwią w niej, to można wywnioskować choćby z tego, że uporczywa propaganda akcji Krzyża, o której mowa, nie wywołuje zgorszenia publicznego. Czy nie wywołałaby poruszenia opinii publicznej akcja jakiejś sekty, gdyby głosiła ona piękno i zbawienność poddania się zakażeniu chorobą padaczki lub syfilisu? A przecież forsowanie chrześcijaństwa jest bardziej radykalną operacją i wywołującą głębsze przemiany niż syfilis lub padaczka. Daleko widać jeszcze do przełamania tysiącletniej hipnozy.

2. Instytucja Kościoła jako zastosowanie praktyczne automatu świętości.

Wiemy teraz, jakie są prawdziwe cele chrześcijaństwa i jakim narzędziem posługuje się ono, aby je osiągnąć. Ale to jeszcze nie wszystko. Ażeby a) uruchomić fabrykę "automatu świętości" i b) nastawić ją na unicestwienie panhumanizmu w każdym człowieku, potrzeba uruchomić cały szereg innych narzędzi. W ten sposób powstanie instytucja Kościoła. Każda wspakultura totalna, a więc

chrześcijaństwo, buddyzm, hinduizm i islam, zrodziła się pod naporem konieczności utrwalenia swego schorzenia na żywym pniu ludzkości. Drogą do tego jest instytucja, poprzez którą usiłuje się spełnić warunki niezbędne do wdrążenia się choroby w ciało historii. Ile wspakultur totalnych, tyle instytucji kościołów. Ażeby dany kościół mógł z ideału przemienić się w ciało rzeczywistości, musi się dlań wyrąbać miejsce na świecie, życie milionów rozkrzyżować na szkielecie jego odwiecznych prawd, uchronić przed naporem prób zestalenia się ewolucji tworzycielskiej świata. W tym ujęciu kościół uznajemy za znacznie ogólniejszą kategorię niż to, co potocznie znamy jako Kościół katolicki. Kościół jako instytucja jest organizacją sił kosmicznej choroby, dążącą do utrwalenia w świecie obiektywnych stosunków danej odmiany wspakultury totalnej. Taką instytucję stanowi kościół chrześcijański, szczególnie zaś Kościół katolicki.

Zmagania panhumanizmu i wspakultury krzyża przebiegały na dwóch płaszczyznach. Jedną z nich była ideoświadomość historyczna, drugą - ciemny żywioł krwi. W pierwszej płaszczyźnie chrześcijaństwo odniosło całkowite zwycięstwo. Panhumanizm, być może trafnie nazwany Antychrystem, został zepchnięty z areny historii, a jego imię uczyniono przezwiskiem. Znikła ideoświadomość ewolucji tworzycielskiej świata, wskutek czego obraz bytu należało uznać za ułomny. Pierwsze kroki ku jej odtworzeniu zmieniają kontury radykalnie, i to tak, że patrząc na z pozoru tak dobrze znane, sędziwe chrześcijaństwo, nie możemy wyjść z podziwu nad tym fenomenem. Ale to dopiero początek rewelacji. Druga płaszczyzna zmagań, po zniszczeniu ideoświadomości panhumanizmu, okazała się jedyną płaszczyzną walki. Tu się wytworzyła instytucja Kościoła. Instytucja powołana do przepuszczenia surowca ludzkiego przez maszynerię "automatu świętości". W tym się zawiera wszystko. Wypośrodkowanie prawdziwego celu, zatajonego w szyfrze pod określeniem "zbawienia dusz", zobowiązuje do jego realizacji. "Żyjemy na tym świecie na to, abyśmy Pana Boga znali, chwalili, i jemu służyli, a przez to osiągnęli szczęście wieczne" („Katechizm religii katolickiej”, 1945 r.).

Mamy więc przed sobą zarysy tytanicznej akcji. Setki milionów każdego pokolenia, ten obciążony grzechem surowiec ludzki, trzeba uszlachetnić w zautomatyzowanej fabryce świętości. Chodzi więc o to, by surowiec ludzki doprowadzić do fabryki. Wymaga to jednak spełnienia kilku warunków.

Pierwszym jest to, że akcja ta, obliczona na kontynuowanie, musi mieć natchnionych, oświeconych kierowników i aparat organizacyjny, który na wieki wieków funkcje swe będzie pełnić. Drugim warunkiem musi być piecza nad "automatem świętości", wymagająca specjalnej umiejętności.

Trzecim jest przygotowanie materiału ludzkiego do tego, by nadawał się do przeróbki w "automacie świętości". Czwartym zaś byłaby troska o podstawowy surowiec ludzki, o jego zdobycie i utrzymanie. Przyjrzyjmy się tym warunkom.

Ażeby akcję "uświęcania" ludzi przeprowadzać stale i w ten sposób poprawiać naturę samą, rugując z każdej jednostki "zmazę" powołania człowieczego, trzeba mieć zastępy natchnionych kierowników i organizację. Będą to kapłani i organizacja Kościoła. Są oni kwalifikowanym personelem fabryki, wtajemniczonym w najwyższe cele i zadania Kościoła. Do nich też kierują się słowa fundatora całego przedsięwzięcia: "Wy jesteście światłość świata... Ani zapalają świecy i stawiają ją pod korzec, ale na świecznik..." (Mt 5, 14, 15).

Kwalifikowany personel instytucji pełni rolę kontynuatora zamierzeń Chrystusa.

"Kościół jest zastępcą Oblubieńca swego; jego zadaniem - dzieło jego prowadzić dalej, zbawiać ludzi aż do końca świata... A więc zadaniem Kościoła jest uświęcać ludzi. To jest nasz cel na ziemi, byśmy świętymi byli, bośmy na to stworzeni od Boga..." (ks. J. Deharbe, op. cit., s. 267).

Piecza nad automatem świętości to funkcja specjalna i niesłychanie subtelna. Pomimo że automat świętości został zaplanowany i stworzony przez samego Chrystusa, pozostało jednak zadanie udoskonalenia go w szczegółach i dokonywanie poprawek związanych z jego

funkcjonowaniem w czasie. Wymaga to umiejętności i wiedzy równej tej, którą posiadał sam "objawiciel", a więc czucia istoty wspakultury i jej powiązań, co zdobyć i utrzymać niełatwo. Muszą to być wspakulturowcy szczególnie wyćwiczeni, by byli zdolni poprawić dzieło mistrza. Taką komórkę, hodującą najwyższą specjalizację, trzeba utrzymywać w stałym rozpłomienieniu. Zadanie to spełnią zakony kontemplacyjne i poszczególni święci jako oderwane wypadki wybujałości wspakulturowej.

Przygotowanie materiału ludzkiego do tego, by najbardziej pasował do uchwytów automatu świętości, to funkcja świecka, zewnętrzna Kościoła. Człowiek musi być przysposobiony do jego obróbki, doprowadzony do stanu półfabrykatu. Wtenczas dopiero automat świętości przerabia go bez zacięć na "szlachetny" produkt końcowy, którym jest kaleka człowieczy, już pozbawiony strzępów panhumanizmu. Ażeby taki półfabrykat uzyskać, Kościół rozwija ogromną akcję wychowawczą. Półfabrykat to osobnik już dojrzały, w którego psychice może się rozpocząć robota Chrystusowa. Najpierw musi każdy umysł zejść ze szlaków swego posłannictwa człowieczego przez usilną hipnozę i uporczywe sugestie, że: "Nie masz szczęścia innego, jeno to, którego źródłem jest uczestnictwo w królestwie niebieskim. Ktokolwiek szuka go gdzie indziej, w bogactwach, w rozkoszach i sytości ziemskiej, w uznaniu i chwale u ludzi - ten jest w błędzie; sam sobie gotuje gorzkie rozczarowanie, głód duszy, płacz i zgrzytanie zębów" (ks. W. O. Didon, op. cit., t. I, s. 406).

Dobrze jest doprowadzić umysł każdego człowieka do niejasnego nawet przeświadczenia, że: "Trzeba pierwej oderwać się od dóbr doczesnych, zanim śmierć od nich oderwie. Jakaż głupota gubić duszę przez jakieś przywiązanie do tej ziemi, którą wkrótce opuścimy" (św. Alfons Liguori, Rozmyślania, s. 23).

Uogólniając zadania instytucji Kościoła, stwierdzamy zasadniczą celowość jego funkcji, które dla większości ludzi są czymś tajemniczym i magicznym. Celowość tę dojrzymy, gdy opisane wyżej elementy będziemy oglądać w praktycznym powiązaniu i porządku. Najpierw więc będzie:

a) stan kapłański jako kwalifikowany personel,
b) organizacja kosmicznego przedsięwzięcia akcji,
c) troska o podstawowy surowiec ludzki, o "grzeszne dusze",
d) przetwarzanie surowca "grzesznych dusz" na półfabrykat chrześcijaństwa,
e) właściwa akcja chrześcijaństwa - przeróbka półfabrykatu na "świętość" w "automacie świętości", czyli amputacja panhumanizmu.

Dopiero w tym aspekcie dojrzymy, czym jest chrześcijaństwo, do czego dąży i jak swój cel realizuje.

3. Niż cywilizacyjny.

Nieubłaganym następstwem akcji chrześcijaństwa musi być zanik i upadek cywilizacji. Takie to proste, że nie potrzebowalibyśmy nawet o tym wzmiankować, gdyby nie daleko idąca hipnoza, sprawiająca to, że tylko bardzo niewielu ludzi potrafi powiązać przyczynę ze skutkiem, czyli chrześcijaństwo z ogólnym upadkiem cywilizacyjnym. Rozwój cywilizacji zachodniej sprawił, że codzienne życie jest przesiąknięte pragmatyzmem, dążeniem do sukcesu, zwycięstwa, zdobyciem mocy w takiej czy innej postaci. Temu prądowi trudno się przeciwstawić wprost. Dlatego też wspakultura chrześcijańska i cywilizacja zachodnia nieskładnie przemieszały się ze sobą. Nic zatem niezwykłego, że ktoś dąży do zdobycia pieniędzy, znaczenia, zrobienia kariery, a jednocześnie uważa się za katolika, który te rzeczy ma za utrapienie ducha, pychę żywota itd.

W perspektywie historycznej jednostka osiągająca cnoty chrześcijaństwa mogła to mierzyć swoimi stratami w sferze cywilizacji. Święty był to człowiek, który wycofał się z pracy cywilizacyjnej, a wiązanie z kulturą zdławił w sobie jako grzeszne namiętności. Oczywiście musiał znajdować się na dnie nędzy, żyjąc z jałmużny, który to tryb życia otoczony jest nimbem doskonałości. Tym bardziej się to stosuje do społeczeństw i narodów. Niż cywilizacyjny, upadek, nędza, prymitywizm są miarą postępu moralnego danego środowiska. Im większe ubóstwo, upadek, wycieńczenie fizyczne, tym większy wzlot duchowy, gdyż wzgarda świata w swoich trzech wyrzeczeniach, które stanowią

podstawę chrześcijaństwa, nie może iść w parze z własnym przeciwieństwem. Społeczeństwo, w którym kwitną cnoty Chrystusowe, to jest takie, gdzie:

a) poszczególne jednostki wyrzekają się bogactw, gdyż dążą do ubóstwa i nędzy,
b) nie mają żadnych upodobań i dążeń, gdyż tępią wszelkie namiętności,
c) za nic wszystko mają, gdyż sposobią się do zaświatów.

Gdy więc na globie ziemskim mamy kraje zaniedbane, pogrążone w nędzy i degeneracji, nie szukajmy jakichś innych przyczyn tego stanu poza ich dążeniami do "skarbów" moralnych. Upadek cywilizacji większości narodów uważa się za dowód ich "postępu" duchowego. Kto tego nie rozumie, nie może pojąć, czym jest chrześcijaństwo i pokrewne epidemie wspakultury: buddyzm, hinduizm, islam. Zabawnie też wyglądają następnie dociekania wspakulturowców nad przyczynami nędzy i upadku - Polski, Hiszpanii, Włoch, Indii, Chin. Gdyby oni byli tylko w swoim towarzystwie, to właściwie nie mówiliby o upadku, lecz o wyższości moralnej najbardziej wyniszczonych społeczeństw. Lecz twardy dyktat epoki siły i cywilizacji, w którą wkraczamy, powoduje konieczność takich właśnie mistyfikacji.

W naszych czasach coraz trudniej uprawiać doskonałość moralną i świętość, gdyż brutalny materializm korzysta z okazji i podporządkowuje sobie takie społeczeństwa, które są zbytnio zaawansowane na drodze cnót Chrystusowych. Ale i w takiej sytuacji "postęp" na drodze "ducha" się opłaca. Gdy takie społeczeństwo pada pastwą narodów "zmaterializowanych", zwiększa się okazja do udoskonalenia duchowego z powodu cierpień, które stają się udziałem uduchowionych. I tylko ludzie, którzy zatracili zmysł dla "odwiecznych" wartości krzyża, mogą popełniać taki błąd, że rozpoczynają oceniać chrześcijaństwo od strony jego wydajności cywilizacyjnej. Gdy jakaś grupa społeczna lub naród idzie drogą chrześcijańską, to świadomie wybiera drogę ubóstwa, rezygnacji z postępu materialnego, technicznego, społecznego i duchowego. Z tego stanowiska słusznej nagany udziela J. Maritain tym, którzy idąc za chrześcijaństwem, chcieliby jednocześnie iść za Antychrystem, czyli w stronę wręcz przeciwną.

"Kościół i katolicyzm to rzeczy w istocie swej nadprzyrodzone, stojące poza zagadnieniami kultury, mające jeden cel - życie wieczne... Traktowanie katolicyzmu tak, jakby był społeczeństwem ziemskim, czy ziemską cywilizacją i wymaganie dla niego i dla prawdy Bożej takich tryumfów, jakie spotykamy w rozwoju cywilizacji ziemskiej, jest koniec końców błędem" (J. Maritain, op. cit., ss. 42, 43).

Upadek i nędza z takiego kierunku obranej ewolucji są z kolei siłą napędową tym większego się uświęcania. Tu tkwi paradoks tym kurczowszego trwania mas przy Kościele, im w większej są nędzy, degeneracji i upadku.

Zupełnie inną natomiast jest sprawa, że społeczeństwa katolickie muszą utrzymywać się na pewnym poziomie sprawności, jeśli chcą przetrwać. Muszą więc chwytać się środków cywilizacji strony przeciwnej. Dzięki temu następuje pozorne i szybkie wyrównywanie się poziomów. Ale to ma zupełnie inne znaczenie, niż się przypuszcza. Omówimy to w dalszym toku wykładu.

4. Uformowanie pełnej doktryny krzyża.

Czy wspakulturowiec, pozostawiony samemu sobie, mógłby przejść wszystkie szczeble intuicyjnej wiedzy? Oczywiście nie. Gniłby w mękach przez tysiąclecia. Na tym tle możemy pojąć zachwyt każdego z nich, gdy spotyka się z formułą objawienia. Jest ono dlań gotową odpowiedzią, przygotowaną przez niepojętą maszynę z niezliczonych danych, z którymi nie mógł dać sobie rady nawet w przybliżeniu. Ma więc z jednej strony odpowiedź na milczące pytania, odpowiedź, która wprowadza ład w jego dotąd rozwichrzone dążenia wspakulturowe, z drugiej zaś – tajemniczą postać "objawiciela". Na tych dwóch kolumnach oprze się rozwój doktryny krzyża, którą zapoczątkują apostołowie.

"Przy układzie nauki apostolskiej największą usługę bez wątpienia oddają ewangelie. Choć one nie zawierają jasno wszystkich prawd, objawionych apostołom, to wszakże zamykają główną ich istotę" (ks. Constant Fouard, Święty Piotr, s. 231).

Wykorzystując te dwa punkty, które wyłoniły się ponad powierzchnię ciemnych wód niewiedzy, może chrześcijaństwo odciąć się od już przestarzałego Starego Testamentu i montować własną doktrynę. Zjawiają się nowe ogromne problemy, które trzeba rozwikłać zgodnie z naczelnymi hasłami. Pole zagadnień ciągle się rozszerza, skąd wynika konieczność rozbudowy ram pojęciowych doktryny. "Przykazania ewangeliczne, najmilsi bracia, niczym innym nie są, jak Boskimi pouczeniami, podwalinami budującej się nadziei, umocnieniem krzepiącej wiary... wskazówkami dla obrania drogi, ochroną przyszłego zbawienia" (św. Cyprian, „O modlitwie Pańskiej", 1).

Ale to mało. Rodzą się kwestie wymagające szczegółowych odpowiedzi. Ogólny zrąb, zawarty w ewangeliach, nie wystarcza. Masy żarliwców w pędzie do zbawienia duszy opuszczają świat, udają się do Egiptu, napełniają pustynie i puszcze, aby uzacniać dusze, kuszone przez grzeszne ciała.

Uprawiają cnoty, gnębią zmysłowość, lecz często gubią drogę, gdyż ta nie jest oznaczona w szczegółach. Stąd wołanie o wnikliwe wskazówki. Posłuchajmy rozważań na ten temat w klasztorach egipskich, jak to opisuje Jan Kasjan: "W stronach Tebaidy, gdzie przebywał błogosławiony Antoni, zebrali się u niego starsi, szukając postępu w doskonałości... Długo dociekano, która cnota albo jakie ćwiczenie mogłoby zabezpieczyć na zawsze zakonnika od sideł i złudzeń szatańskich i prowadzić go prostą drogą i pewnym krokiem do szczytu doskonałości...

Jedni upatrywali taką siłę w postach i czuwaniach, ponieważ duch przez nie wycieńczony dochodzi do czystości serca i ciała i łatwiej łączy się z Bogiem; drudzy żądali pogardy dóbr wszystkich, aby duch, ogołocony z nich zupełnie, i nie zatrzymywany żadnymi pętami, lekko już zdążał do Boga; inni uważali za konieczne życie pustelnicze, tj. oddalenie się od świata i ciszę pustyni, w której każdy może poufalej rozmawiać z Bogiem i wyłącznie jemu się oddawać; niektórzy wskazywali na uczynki ludzkości, czyli miłość bliźniego, gdyż Pan przyobiecał za nie w Ewangelii w szczególniejszy sposób królestwo niebieskie... Tak oni przypisywali różnym cnotom otwarcia pewniejszego przystępu do Boga... Aż wreszcie odezwał się błogosławiony Antoni: Wszystko to, coście rzekli jest wprawdzie potrzebne i pożyteczne dla łaknących Boga... Ale niezliczone upadki i doświadczenia wielu nie pozwalają nam, byśmy tym środkom główne przypisywali znaczenie. Byli bowiem częstokroć tacy, co najostrzejszym oddawali się postom i czuwaniom, wzbudzali podziw śmiałością samotności pustynnej, a z majętności wyzuli się tak zupełnie, że nie pozostawiali dla siebie ani na jeden dzień żywności... byli tacy co z zupełnym poświęceniem pełnili uczynki miłosierdzia... a jednak widzieliśmy ich oszukanych tak nagle, że nie zdołali odpowiednio dokończyć rozpoczętego dzieła... Otóż obfitowały w nich wprawdzie uczynki cnót wyżej wymienionych, tylko jednej im brakło, rozsądku, a ten brak nie dozwolił i tamtym cnotom, by trwały aż do końca. Wszak to ona uczy zakonnika omijać oba krańce i kroczyć zawsze drogą królewską... O tej to roztropności mówi Ewangelia, że ona jest okiem i światłem ciała... wszak nikt nie wątpi, że gdy rozsądek nasz mija się z prawdą, i błąka się po nocy nieświadomości, wtenczas także myśli i uczynki nasze... tonąć muszą w tym większych ciemnościach grzechów" (Jan Kasjan, op. cit., II, 2). "Bez łaski rozpoznawania, żadna cnota do doskonałości dojść ani w niej trwać nie może..." (tamże, II, 4).

Ale oprócz łaski rozpoznawania potrzebny jest autorytet rozstrzygający, a będący dalszym ciągiem "objawienia". Należało rozbudować system pojęciowy obejmujący całość życia, wydedukować z "objawienia" normy sięgające do każdej sytuacji życiowej, każdej myśli i czynu, poddając je ocenie cnoty moralnej.

"Cnota moralna jest potrzebą poddawania pożądań woli i afektów zmysłowych kierownictwu rozumu. Z tego względu powstaje ważny problem, czy czasem życie moralnie dobre nie zależy od wiedzy. Już Sokrates podjął go i rozwiązał intelektualistycznie: cnota to wiedza! Kiedy Sokrates utrzymywał, że cnota jest wiedzą, myślał przynajmniej o wiedzy ludzkiej, o wiedzy samego

człowieka, nawet duszy; dla ówczesnych intelektualistów po prostu wiedza była cnotą" (ks. prof. A. Borowski, op. cit., t. II, s. 75).

Praca rozwijania doktryny oprócz treści "objawienia" posługiwała się postacią Chrystusa, jak rozciągliwą gumą, do sztukowania wszystkich luk, które trzeba było pokryć. Na tym właśnie polega szyfr wspakultury krzyża. Do uzupełnienia tego szyfru pociągnięto dorobek wspakulturowców ze szkoły sokratycznej. Na większą skalę rozpoczął to robić św. Augustyn. Podstawą była formuła: credimus ut cognoscamus. Wierzymy i dlatego chcemy poznać rozumem. Odtąd się rozpoczął wieczysty problem teologii: wiara czy rozum, co jest pierwsze, jeśli chodzi o zdobycie wiary i utrzymanie się w totalnej wspakulturze krzyża. Do tego zadania użyty został, odkryty na nowo przy pomocy Arabów, Arystoteles. Wszyscy scholastycy "wzmacniali" wiarę. Temu dążeniu służył gorliwie Piotr Lombardus, "mistrz sentencji", jak i "doctor universalis" Albertus Magnus. Umysł został wyłączony ze swej roli tworzycielskiej i wciągnięty do potwierdzania prawd wspakultury w hierarchii Chrystusowego zestroju. Że taka jest funkcja rozumu, zapalczywie udowadniał wielki Abelard. Zdaniem Tomasza z Akwinu rozum i wiara to dwie formy tego samego poznania; rozum to pomocnik "objawienia".

Pamiętajmy jednak o podstawie: hierarchii pierwiastków wspakultury, którą zadekretował Chrystus.

Istniały tu poważne niedomówienia i luzy, a poza tym hierarchia pierwiastków nie dla wszystkich wydawała się do przyjęcia. Dla przykładu tylko podamy, że manichejczycy forsowali nihilizm na czoło zestroju, podważając całe chrześcijaństwo. Ogromne pole otwierało się także przed niedopasowanymi odruchami różnych pierwiastków. Dzisiejsze lekceważenie dla tzw. sekciarstwa i herezji jest wyrazem niepojmowania istoty rzeczy. Walki herezji były zestalaniem struktury i hierarchii pierwiastków wspakultury. Trudny był problem, jak wmontować Chrystusa jako pośrednie ogniwo w spirytualizm, by nie naruszyć powiązań i hierarchii pierwiastków. Ariusz zaprzeczał, że Logos, czyli Syn Boży, był tej samej natury co "Ojciec przedwieczny". Nestoriusz rozdzielił Jezusa na dwie osoby, Eutyches złączył znów je razem - Ojciec absorbował bez reszty naturę ludzką Chrystusa. Monoteleci zgadzali się na dwie osoby, ale przyjmowali jedną wolę, gdy natomiast adopcjanie wracali do Nestoriusza. I ostatecznie, zdaniem Socyna, Chrystus jest tylko objawicielem prawa wspakultury, ale nie "zbawicielem". Wytężona praca trwa więc wieki. Można podziwiać konsekwentny upór tej pracy, odbywającej się ciągle po omacku, intuicyjnie, bez właściwej teorii, i posługującej się ciągle tym samym szyfrem, ogromnie utrudniającym formowanie zestaleń. Już w 325 r. na Soborze Nicejskim ustanawia się "credo", skład apostolski, i ogłasza się boskość Chrystusa. Na Soborze Efeskim w 431 r. Marię uznano za matkę Boga itd.

Rozwój trwa ciągle. Na Soborze Trydenckim ustanawia się siedem sakramentów, a w 1870 r. Sobór Watykański przyjmuje dogmat o nieomylności papieża.

Doktryna obejmująca całość życia została wykończona w zasadniczych zarysach przez św. Tomasza z Akwinu. Ten "doctor angelicus" pokonał główne trudności, między innymi pogłębił św. Augustyna, który już odrzucał pierwotny dualizm światopoglądowy, dowodząc, że zło jest narzędziem Boga, gdyż bez jego wszechmogącej woli nie mogłoby zaistnieć, podobnie jak szatan.

"Nie stwarzałby Bóg nie tylko żadnego anioła, lecz i człowieka takiego, o którym by wiedział z góry, że będzie złym, gdyby równocześnie nie wiedział z góry, że złych użyje on też do dobrych rzeczy" (św. Augustyn, „Państwo Boże", XI, 18).

Szatan musiał się stać podkomendnym "opatrzności", gdyż inaczej podważałoby to spirytualizm jako kamień węgielny. Stąd droga do wyjaśnienia zła, które otrzymywało nową postać, wprawdzie sprzeczną z doznaniem każdego wspakulturowca, ale za to zgodną z syntezą chrześcijańską wspakultury.

"Trudność wytłumaczenia początku zła, istniejącego na świecie, zrodziła system dualizmu. Już św. Augustyn udowodnił w pismach przeciw manichejczykom, że zło nie jest odrębnym bytem

pozytywnym... zdaniem św. Tomasza z Akwinu dualiści dlatego przyjęli osobną przyczynę zła, gdyż uważali zło za całkowite zaprzeczenie dobra, i jego pełne przeciwieństwo; pojmowali przeto dobro i zło jako dwie różne natury. Tymczasem zło jest tylko brakiem doskonałości należnej istocie czyli naturze jestestwa... Grzechem własnym jest czynność przeciwna prawu moralnemu" (ks. prof. A. Borowski, op. cit., t. II, ss. 172, 173).

Zło i grzech stopniowo się unifikują. Nie ma już zła w ujęciu personalizmu, nihilizmu, moralizmu itd., jest jedno zło syntetyczne i jeden grzech.

"Św. Tomasz z Akwinu wprost twierdzi: 'właściwej przyczyny grzechu szukać należy w zwróceniu się człowieka do dobra przemijającego; z tego względu każdy czyn grzeszny pochodzi z nieporządnego pragnienia jakiegoś dobra doczesnego. Że zaś ktoś pragnie jakiegoś dobra doczesnego wbrew porządkowi od Boga ustanowionemu pochodzi stąd, iż nieporządnie siebie miłuje... Jak przeto w życiu duchowym nadprzyrodzonym punktem środkowym, do którego wszystko się odnosi jest Bóg, tak podobnie życie grzeszne posiada swe centrum, do którego wszystko zmierza: miłość własną. Z tej miłości właśnie wynika, że człowiek pragnąc dla siebie dobra, szuka go w stworzeniach, wbrew ustalonemu porządkowi naturalnemu'" (tamże, ss. 304, 305).

I tak na wszystkich szczeblach wypośrodkowuje się nurt myśli chrześcijańskiej. Nie wie ona nic o swoich prawdziwych założeniach - panhumanizmie, o ewolucji tworzycielskiej świata, o geniuszu człowieczym, o człowieku natury i o rozpadzie, z którego narodził się ciąg ku pierwiastkom wspakultury, o właściwym każdemu z nich ujęciu dobra, zła, o intuicyjnym toku dociekań, które wypłynęły na powierzchnię naraz jako bezsprzeczny fakt prawd "objawienia". Od razu operuje wynikami tego objawienia, stwarzając "teologię" i rozbudowując ją we wszystko obejmujący system. System teologii posługuje się szyfrem intuicji wspakulturowej, a luki tego systemu, godzące w rozum, musi zatykać dogmatami. Dogmatów tych jest wiele. Podstawowy zaś stanowi samo objawienie.

"Cały postęp dogmatyczny wiary, cały ten rozkwit prawd objawionych, który najnowsza teologia nazywa 'evolutio homogenea dogmatum', nie jest niczym innym, jak coraz głębszym przemyśleniem i coraz ściślejszym sformułowaniem, przez ten żywy organizm, jakim jest Kościół, odwiecznych danych Objawienia. Praca pojedynczych teologów jest tu bardzo cenna, a jednak nie decydująca - ona dostarcza niejako cegieł. Decydującą rolę ma żywe magisterium, budujące dalej z tych cegieł i wzwyż i w głąb przepiękny gmach wiary i teologii katolickiej" (ks. Jacek Woroniecki, „U podstaw kultury katolickiej”, Poznań 1935, s. 24).

Do budowania tego systemu użyto wszelkich materiałów, o ile tylko one nie naruszały struktury budowli.

"Kościół... takiego systemu szukał, który by nie był dziełem tego lub innego filozofa, ale wynikiem doświadczenia i zastanowienia całego narodu ludzkiego w długim szeregu pokoleń. Powoli, w ciągu wieków, wyciągał on to wszystko, co było trwałego w poszczególnych systemach... w stoicyzmie, platonizmie, i neoplatonizmie... tak powstała filozofia chrześcijańska" (tamże, s. 26).

Dzieło stworzone przez wspakulturę krzyża jest imponujące. Do dziś nie ma ono godnego przeciwnika. Bunt przeciw niej, zapoczątkowany w XVII wieku, ciągle jeszcze daleki pozostaje od wykrystalizowania się w pełną antytezę wspakultury. Nowoczesna cywilizacja ciągle jeszcze nie zdobyła się na pełną koncepcję światopoglądową, która mogłaby wyrugować wspakulturę krzyża.

Istniejące próby przewartościowań nie dotykają zagadnień naczelnych. Przykładem może być szkoła pragmatyczna filozofii, wyrażająca istotę nowoczesności, a której twórca W. James, usiłując wytłumaczyć istotę chrześcijaństwa, chwyta się wybiegu rozprawiając o "etyce kobiecej" – której rzekomo ludzkość uległa w przeszłości - i o "etyce męskiej", którą formułuje pragmatyzm.

Bezradność wobec krzyża to świadectwo wątłości, połowiczności myśli nowoczesnej. Musi ona dopiero dochodzić swych zasad i rzutować swoje widzenie świata.

Rozdział IX. Organizacja Kościoła.

1. Nadrzędny organ akcji dziejowej chrześcijaństwa.

Przejaw całkowitego niezrozumienia istoty chrześcijaństwa to lekceważący, a często kpiący stosunek do tzw. scholastyki, czyli dokładności w trzymaniu się pewnych symboli i pojęć właściwych doktrynie krzyża. Scholastyczna pedanteria teologów wcale nie jest taka śmieszna, za jaką uchodzi. Ażeby zasadniczy cel chrześcijaństwa zrealizować - forsować marsz od przyrodzoności do nadprzyrodzoności, trzeba mieć dokładną świadomość celu i jego warunków. A o utrzymanie takiej czystości pojęć i wyobrażeń niełatwo w tym świecie, podmurowanym grzechem i złem. Czystość doktryny chrześcijańskiej tym trudniej zachować, że zasady jej spoczywają na objawieniu, które nie jest kompletne, a dojście umysłu do jego prawd możliwe tylko na drodze intuicji wspakulturowej, którą to drogę usiłujemy dopiero wzmocnić w niniejszej pracy wywodami logicznymi, naukowymi.

Niezmiernie więc trudne zadanie ciąży na naczelnym organie, który ma realizować zamierzenia chrześcijaństwa: dbać on musi jednocześnie o skarby nauki Chrystusowej, podmywanej falami złego świata, i posługując się tą nauką przeistaczać świat, ciągnąć obciążoną grzechem ludzkość ku zaświatom. Naczelny organ kierowniczy chrześcijaństwa musi zatem posiadać wyjątkowe właściwości. Toteż będzie reprezentował wolę zaświatów na tym padole, głosił naukę pochodzenia zaziemskiego, i jednocześnie realizował jej nakazy, rozszerzając przyczółek "prawdy" w obszarze ziemi. Technicznym już tylko zagadnieniem jest przeróbka grzesznego surowca ludzkiego, polegająca na dostarczeniu go po odpowiedniej poprawce na taśmy zautomatyzowanej fabryki "świętości". Uchwycić surowiec, przesortować, ustandaryzować, przystosować do puszczenia w tryby fabryki - oznacza nadać mu cechy półfabrykatu. To zadanie organizacyjne, i w trakcie jego spełniania powstała organizacja Kościoła. Tym właśnie zajmiemy się w niniejszym rozdziale. Sama przeróbka grzesznego człowieka w "automacie świętości" jest problemem mistyki chrześcijańskiej, którą omówimy w następnym rozdziale. Przeto całokształt zadań i organizacji chrześcijaństwa sprowadzamy do: **a)** organizacji Kościoła jako zrzeszenia wiernych i **b)** mistyki uświęcającej krzyża.

Dla wielu może się wydawać to wszystko zbyt uproszczonym i odbiegającym od "głębi" i "wzniosłości" istoty chrześcijaństwa. Wystarczy jednak zastanowić się nad tym, do czego dąży chrześcijaństwo, za pomocą czego chce swe cele osiągnąć i jak to chce zrobić - aby wątpliwości znikły.

Pomyślmy, co się kryje w określeniu zadań Kościoła podanym przez katechizm. "Jezus ustanowił Kościół, aby wszystkich ludzi prowadził do nieba i rozszerzał Królestwo Boże na ziemi... Kościół prowadzi ludzi do nieba w ten sposób, że: **1.** głosi i wyjaśnia naukę Jezusa; **2.** składa ofiarę Mszy św., modli się za wszystkich ludzi i udziela sakramentów św.; **3.** zachęca do życia cnotliwego, wydaje prawa i przykazania a nieposłusznych upomina i karze" („Katechizm religii katolickiej", 1945 r.).

Sam Chrystus doskonale wiedział o wymiarach swej rewolucji i jej radykalizmie. Wszak chodziło o zwrócenie człowieczeństwa wstecz, o tamowanie pędu natury ludzkiej ku swemu kulturowemu posłannictwu, wytrzebienie awangardowych sił tego świata. Rozpalał wielki, niszczący pożar. Mógł więc powiedzieć ze słusznym uzasadnieniem: "Nie mniemajcie, żem przyszedł dawać pokój na ziemię; nie przyszedłem dawać pokoju ale miecz. Bom przyszedł abym rozerwanie uczynił między synem a ojcem jego, między córką i matką... A kto nie bierze krzyża swego i nie idzie za mną, nie jest mię godzien" (Mt 10, 34-38).

Wyniszczenie panhumanizmu to istotne zadanie, które musi doprowadzić do zupełnej przemiany człowieka, do przewrotu w jego istocie. Będzie to nowy, odmienny człowiek, inny niż ten,

który się rodzi z dyspozycjami do kulturowego posłannictwa, a z braku środowiska historycznego, forsującego ten kierunek, przemieniający się w naczynie chaotycznych i zgiełkliwych namiętności.

Zniszczywszy i amputowawszy owo zło, wyrwawszy człowieka z wiązań ewolucji tworzycielskiej świata, osiągniemy naprawdę coś nowego i rewelacyjnego. Tak rzecz ujmuje każdy chrześcijanin.

"Życie chrześcijańskie wymaga zupełnej przemiany, całkowitego odnowienia. Powinniśmy w sobie wszystko odmienić i nawrócić... Należy wyzuć się ze starego człowieka a przyoblec się w nowego... Stać się drugim Jezusem, abyśmy z apostołem mogli powiedzieć: Już nie ja żyję, ale Chrystus we mnie..." (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 377).

Chodzi o rzecz wielką, przełomową: odwrócić naturalny bieg ewolucji natury w jej awangardowym zestaleniu - w człowieku, zgwałcić procesy biologii i fizjologii tak, by człowiek zasadniczo inaczej czuł, widział życie i świat, niż to jest przy zwykłym obiegu krwi, pracy gruczołów wewnętrznych; musi czuć i widzieć świat tak, jakby był chronicznie chory. Musi przejść operację psychiatryczną, aż stanie się dlań do przyjęcia idea, że "Mądrość tego świata głupstwem jest u Boga... I zasię: Pan zna myśli mądrych, iż są marnością" (św. Paweł, „Pierwszy list do Koryntian", 3, 19, 20).

Wówczas też z aprobatą najżywszą przyjmie twierdzenie, że: "Duchowe odrodzenie się świata jest piękniejszym dziełem, niż jego pierwsze materialne stworzenie, chociaż jedno nie mogło się obyć bez drugiego. Uczynić cud słowem zdaje się rzeczą doskonalszą niż użyć pośrednictwa materii" (O. F. W. Faber, „Przenajświętszy Sakrament", s. 22).

Oczywiście "duchowe" odrodzenie świata znaczy tu prymat wspakultury. A wówczas wszystko staje się proste dla "odnowionego" umysłu. "Błogosławiona prostota, która omija przepaściste ścieżki trudnych zagadnień, a idzie równą i pewną drogą przykazań Bożych... Bóg wymaga po tobie wiary i czystego życia, nie zaś górnego pojęcia i zgłębiania tajemnic Jego. Poddaj się Bogu, uniż twój umysł przed wiarą, a dane będzie ci światło" (Tomasz á Kempis, op. cit., IV, 18, 2).

Ale dość cytat, chociaż moglibyśmy je mnożyć w nieskończoność. Znamy już cele rewolucji chrześcijańskiej i narzędzie realizacji. Do przeprowadzenia tej rewolucji trzeba jeszcze ludzi, którzy będą "uświęcani". A to jest wielkie zagadnienie. Ludzie ci to miliony zaludniające kontynenty, odradzające się co pokolenie, zajęte swymi sprawami, opętane przez "zło". Trzeba ich spreparować tak, by nadawali się masowo do przepuszczenia przez automat świętości. Ażeby taką akcję przeprowadzić i wykonywać ją stale przez wieki, trzeba wypracować odpowiednie narzędzia i instytucje. Dlatego niezbędni będą oświeceni i natchnieni kierownicy, aparat władz nad materiałem ludzkim, oświecenie umysłów i serc. Dopiero w wyniku tego wysiłku pokolenia będą gotowe do poddania się końcowej operacji - uświęcenia i zbawienia w trybach mistyki Chrystusowej.

2. Stan kapłański.

Problematykę Kościoła łatwo ogarnąć myślowo, gdy się pamięta o jego podstawowych zasadach.

Trzeba więc mieć ciągle na myśli prawdziwy cel chrześcijaństwa, podstawowe narzędzia i sposób ich wykorzystania, o czym mówiliśmy wyżej. By wykorzystać automat świętości, trzeba zdobyć surowiec ludzki, odpowiednio przerobić go na półfabrykat, i to się nazywa wychowaniem moralnym i uświęceniem; ostatnia faza to właściwa praca automatu świętości, dająca "zbawienie".

Ażeby jedno i drugie zrealizować, konieczny jest wysoko kwalifikowany personel. Będą to kapłani.

Wysokie są prerogatywy kapłaństwa. Zdaniem św. Ignacego: "Kapłaństwo jest szczytem wszelkich dóbr, jakimi Bóg obdarzył ziemię, tak dalece, że ten kto pogardza kapłanem, pogardza

Bogiem samym". Olśniewająco musiała działać idea przerobienia gatunku człowieczego na globie na coś zupełnie innego niż to, co stwarzała natura. Ponieważ dzieło to miało być realizowane stale, musiał być ustanowiony ciąg następców, kapłanów, wyposażonych w specjalne pełnomocnictwa. W związku z tym Jezus objawia o swym Kościele następujące dogmaty: władzę, nieomylność i wieczność Kościoła.

"A ja tobie powiadam, żeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go" (Mt 16, 18). "A oto ja jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata" (Mt 28, 20).

Dla tak tytanicznego zadania otworem stoi cały świat ludzki, jak to głosi nakaz: "Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody..."

Personel wykonujący dzieło odczłowieczania człowieka, będąc przekonany, że czyni coś szlachetnego, musi być zawsze przejęty olbrzymiością operacji.

"Dowiedzmy się o tym od samego Boga przemawiającego usty św. Jana Chryzostoma: Stworzyłem niebo i ziemię, lecz tobie (o kapłanie) daję moc przemianowania tej lichej i nędznej ziemi w niebo jaśniejące światłością. Ja zapaliłem gwiazdy na firmamencie, zapalajże i ty świetniejsze jeszcze nad nie. Ty nie możesz stworzyć człowieka, lecz masz władzę uczynić go sprawiedliwym i przyjemnym Bogu. Patrz więc jako cię miłuję, gdy ci daję moc czynienia dzieł wyższych nad te, jakie ja dopełniłem przy stworzeniu świata" (ks. J. Mach, op. cit., t. II, s. 3). Ekstaza, w którą wpadają kapłani, jest zrozumiała, gdyż równie doniosłego zabiegu, sięgającego tak głęboko do podstawowych zwojów nerwowych ewolucji tworzycielskiej świata, nigdy jeszcze ludzkość nie przedsięwzięła. Czują oni, że weszli w główny nurt życia na globie, zbrojni w narzędzia zdolne zmienić bieg tego nurtu.

"O! święty stanie... przez który człowiek staje się równy aniołom, miły Bogu, straszny szatanom i godny naśladowania i szacunku u wszystkich wiernych!" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 10, 6).

Każdy z nich czuje ogrom władzy, otrzymanej z rąk wynalazcy i twórcy mechanizmu mającego przeistaczać gatunek ludzki. "I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; a cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech" (Mt 16, 19). Stąd wypływa podniesiony nastrój ducha.

"Gdyby Bóg sam, szanowni kapłani, był na waszym miejscu, nie mógłby spełniać urzędu wznioślejszego nad ten, jaki wam jest powierzony o zbawienie dusz" (ks. J. Mach, op. cit., t. II, s. 2).

Orientując się w całości tych problemów, zdajemy sobie sprawę z tego, że upojenie swoją funkcją, które przebija z powyższych słów, jest w pewnym stopniu uzasadnione, gdyż funkcja to doniosła, chociaż niszczycielska. Na powstanie kapłaństwa w pierwszym rzędzie wpłynęły potrzeby nauczania nauki Chrystusowej. Ci, co nauczają, muszą mieć autorytet. Stąd też: "Kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi mną gardzi; a kto mną gardzi, gardzi onym, który mnie posłał" (Łk 10, 16). "Kto szanuje biskupa, tego Bóg szanuje; kto czyni cokolwiek bez wiedzy biskupa, ten służy diabłu" (św. Ignacy Antiocheński, Do Smyrneńczyków, 9, 1). Jest to uzasadnione tym, że: "Mamy pomoc nieustającą Kapłana wszechmocnego i wiekuistego, który... Boskość na ludzkie niziny sprowadził... Albowiem, chociaż wielu pasterzom zlecił staranie nad swymi owieczkami, to jednak sam nie zaniechał pieczy nad trzodą swoją... On jest pierwszym i wiekuistym przewodnikiem, od niego otrzymaliśmy urząd apostolski, trwający bez przerwy" (Leon Wielki, op. cit., I, 2).

Tylko osoby dążące do wyższej doskonałości mogą objąć pieczę nad wynalazkiem Chrystusa, nad mechanizmem, który automatycznie dokonuje rewolucji w duszach ludzkich. Tylko uparta praca nad sobą może doprowadzić człowieka do tego, że stoczy się na samo dno wspakultury, skąd dopiero otwierają się perspektywy na tajemnicę "objawienia". Tylko tacy konsekwentni schorzalcy mogą stanowić personel doglądający subtelnych mechanizmów "automatu świętości". Hodowaniem tych "doskonałych" zajmowały się zakony.

"Istnienie stanu zakonnego jest jednym z największych dobrodziejstw jakie zawdzięczamy Chrystusowi... Każdy chrześcijanin czuje się pobudzonym i pokrzepionym, gdy pomyśli o tylu zakonnikach i zakonnicach, ponoszących dla miłości Jezusa największe ofiary..." (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 241).

Za kapłanami trzeba iść bez szemrania, gdyż droga przez nich wskazywana jest drogą do zbawienia.

"Pysznym się Bóg sprzeciwia. Starajmy się tedy o to, by biskupowi nie stawiać oporu, bo mamy być posłuszni Bogu... Każdego bowiem, którego Pan domu posyła, by rządził w jego imieniu, tak należy przyjąć jak tego, który go posłał. Rzecz więc jasna, że na biskupa tak trzeba patrzeć jak na samego Pana" (św. Ignacy Antiocheński, „Do Efezjan", 6, 1).

Stan kapłański wynikł z potrzeby realizacji celów wspakultury, z jej naczelnego dążenia. Wielką naiwnością więc jest odwracanie tej kolejności, tak jak to czynią spłycone umysły, które zakładają, że to kapłani wymyślili doktrynę krzyża i jej funkcje, aby uzasadnić swoje istnienie.

3. Zrzeszenie dążących do zbawienia.

Kościół jest zrzeszeniem dążących do zbawienia duszy. Przypomina korytarz szpitala duchowego, na którym się tłoczą zatroskani wspakulturowcy, aby poddać się operacji wycięcia gruczołów "grzechu", czyli - geniuszu człowieczego. Taka operacja stanowi podstawowy warunek osiągnięcia "doskonałości" moralnej, od której zależy dostanie się "tam". Przed dokonaniem wynalazku Chrystusowego nie można było uruchomić Kościoła, czyli "ambulatorium duchowego", i masy, zamknięte w podziemiach intuicyjnego spisku, cierpiały okrutnie. Rzekł więc "wszechmogący":

"Człowieka, odkąd zgrzeszył, napastuje potok niepohamowany, walący o niego swoje wody; człowiek musiał wycierpieć trudy i udręki; udręki których sprawcą był on sam, udręki, których sprawcą był czart, udręki wreszcie których sprawcą był świat. Wszyscy się topili w tym odmęcie i żaden mimo wysokiej sprawiedliwości osobistej nie mógł dostąpić życia wiekuistego. I oto ja wam dałem most Syna swego przez który będziecie mogli przejść nie topiąc się w potoku. Ten potok to morze burzliwe mrocznego życia na ziemi" („Myśli św. Katarzyny ze Sieny", ss. 61, 62).

Kościół stworzył nadzieję umęczonym niewiedzą wspakulturowcom, wskazał dokąd i w jaki sposób mają dążyć. "Jezus Chrystus swoim testamentem nadał wszystkim ludziom, ubogim, niewolnikom, możnowładcom i panom, przywilej, tytuł, który robi ich współobywatelami państwa wiekuistego, członkami ciała mistycznego i duchowego, dziedzicami przyszłego królestwa Bożego. Ojczyzna ta, większa niż cały ród ludzki, a jest nią kościół święty, powszechny... Ta Ojczyzna nigdzie nie ma granic; niezmierzona jej przestrzeń, ponieważ rozciąga się od Nieba, aż do ciemnic czyśćca, i znów od czyśćca do ziemi... Do tej ojczyzny bez granic przybywają co dzień bez ustanku nowi sprawiedliwi; na ziemi przez rodzenie się, do czyśćca przez śmierć, do Nieba przez przyjęcie wybranych" (ks. Besson, op. cit., s. 329).

Jednym z podstawowych elementów tej fabryki przetwórczej, czyli Kościoła, jest surowiec ludzki.

Więc też dzieje Kościoła są walką o dobry, zatem "grzeszny" surowiec ludzki. Wejście na teren tej fabryki duchowej, odwracającej kierunek żywiołowego ciążenia natury, pieczętuje chrzest. Oznacza on, że odtąd jesteśmy zwróceni już w innym kierunku niż cały "grzeszny" świat, gdyż rozpoczyna się w nas życie Boże. "Chrzest jest to pierwszy i najpotrzebniejszy sakrament w którym człowiek... otrzymuje życie nadnaturalne 'dziecka Bożego'. Chrzest jest pierwszym sakramentem, ponieważ rozpoczyna w nas życie Boże" („Katechizm religii katolickiej", 1945 r.).

Chrzest rozpoczyna w nas życie Boże w tym rozumieniu, że rozpoczyna proces podcinania organów wytwarzających ohydne zło - geniusz człowieczy. Wyrzekamy się więc tego zła, czyli

upatrywania w tym świecie pola naszego posłannictwa człowieczego, zwracamy się natomiast do wspakultury i jej nakazów. "Na chrzcie św. złożyliśmy następujące przyrzeczenia: 1. wyrzekliśmy się złego ducha, jego pychy i wszelkich spraw jego, 2. przyrzekliśmy uznawać za prawdę wszystko czego naucza Kościół święty, 3. przyrzekliśmy żyć według wiary św. aż do śmierci" (jw.).

Można odgadnąć, co się kryje poza tymi z pozoru tak oklepanymi wyrażeniami. Dobrze to odczuwa pobożny kapłan, doceniający powagę sakramentu św.

"Nie ma w świętym urzędzie kapłańskim słodszej powinności, nad powinność dopełnienia Chrztu świętego. Uczynić w jednej chwili z naczynia wstrętnego Bogu, naczynie Jego wybrane, z niewolnika czarta dziecię Boga, księcia, dziedzica królestwa niebieskiego, cóż to za szczęście!" (ks. J. Mach, op. cit., t. II, s. 225).

Znak chrztu to oznaczenie zasięgów terenu wziętego pod uprawę winnic Pańskich. Odradzający się surowiec tych winnic będzie odtąd przerabiany w wytwórni Chrystusowej na wieki wieków. Dalszą cechą materiału ludzkiego, hodowanego w tych winnicach, musi być utwierdzenie w umysłach jednostek przeświadczenia o absolutnej nadrzędności "zbawienia" nad wszelkimi innymi celami przyrodzonymi. Echa tego nakazu słyszymy dziś nawet u najbardziej awangardowych społeczeństw, które mimo wszystko nie są zdolne wyzwolić się spod hipnozy wspakultury. Brzmi on: każdy człowiek ma nadrzędne obowiązki względem boga, czyli swego celu ostatecznego. Skoro istnieją nadrzędne obowiązki wobec boga, wszystkie inne zadania są czymś niższym. Czy tylko niższym? A może wprost są marnością? Oczywiście, "nadrzędne" obowiązki człowieka pociągają za sobą całą litanię konsekwencji, które dobrze znamy. Jedną z nich jest posłuszeństwo normom wspakultury, posłuszeństwo Kościołowi - matce naszej, a więc temu wszystkiemu, co opisujemy w niniejszej pracy, a między innymi posłuszeństwo kapłanom jako tym, którzy nas prowadzą do spełnienia "nadrzędnego" obowiązku. Święty Ignacy tak to ujmuje: "Wszyscy bowiem, którzy należą do Boga i do Jezusa, stają przy biskupie; i wszyscy, którzy pokutują i wracają do jedności z Kościołem, również należeć będą do Boga, aby żyć życiem Jezusa. Nie błądźcie, Bracia moi! Kto idzie za sprawcą rozdwojenia, nie odziedziczy królestwa Bożego..." („Do Filadelfian", 3, 2, 3).

Idąc od przyrodzoności ku nadprzyrodzoności, będziemy myśleli o rzeczach najważniejszych, czyli ostatecznych. A jakie one są według katechizmu? - śmierć, sąd, niebo, piekło. A myśląc tak, usilnie podrywamy nasze powiązanie z ewolucją tworzycielską świata. Słusznie też mówi św. Alfons Liguori: "Temu, kto rozważa, wszystko marnym się wydaje. Temu, kto myśli o śmierci, wszystkie dobra tego świata jasno się okazują, jak są nędzne i przemijające. Ten, kto nad tym się zastanawia, iż niedługo ziemię opuści, serca swego do niej przywiązać nie zdoła" („Rozmyślania", s. 22). Dążąc do nadprzyrodzoności, musimy przezwyciężać przyrodzoność. To jasne. Ale co te słowa znaczą, pojmujemy, gdy operujemy kryteriami panhumanizmu.

4. Rząd dusz.

Wszyscy znamy zjawisko, którym jest wynikliwość psychiki ludzkiej z danego środowiska społeczno-historycznego. Przeciętny człowiek, jego poglądy, przekonania, wierzenia, dążenia są takie, jakie środowisko, w którym się wychował. Dziecko urodzone i wychowane w Niemczech będzie Niemcem, wychowane w Polsce będzie Polakiem itd. Środowisko kształtuje świat duchowy jednostki. To, co jednostka uważa za swoje "ja", jest więc odbitką ciągłości historycznej danego środowiska. Gdy się zmienia struktura wychowawcza środowiska, odpowiedniej zmianie ulegają następne pokolenia. Nasi przodkowie byli zdecydowanymi poganami, gdyż treści wychowawcze środowiska były takimi. Gdy w sposób rewolucyjny przekształcono środowisko, odbitki jego w następnych pokoleniach z obrońców naturalizmu pogańskiego przeistoczyły się w bojowników cywilizacji Chrystusowej.

Środowisko jest fabryką psychiki społecznej. Zobaczmy, jaką strukturę ma ta fabryka, jak formuje ona świat duchowy milionów jaźni i, co jest ważne, jak ją można przebudować, gdy się uzna to za pożądane.

Mechanizm środowiska składa się z trzech zasadniczych obrabiarek. Pierwszą taką obrabiarką jest coś, co nazwiemy ideomatrycą obiektywną. Tak określamy obiektywne urządzenia formujące psychikę każdego dojrzewającego pokolenia. Te urządzenia są to z grubsza cztery aparaty. Są nimi:

a) aparat norm światopoglądowo-etycznych,
b) aparat wychowania,
c) aparat świadomości grupowo-historycznej,
d) aparat języka i symboli artystycznych.

Każda grupa historyczna, a więc w pierwszym rzędzie naród, chcąc zachować swoją ciągłość, zestala zasady swych dążeń historycznych i oddaje je pieczy specjalnych organów, które mają te zasady wdrążać w umysły nadążających pokoleń. Zazwyczaj łączą się te organy z instytucjami kultu religijnego. Przykładem są bóstwa pogańskie, które wyrażały naczelne dążenia grupy. Aparat wychowania, operując obiektywnymi zestaleniami, jest nastawiony na urabianie młodego pokolenia poprzez narzucanie mu zasad światopoglądowo-etycznych, które kultywuje poprzednio omawiany organ, a następnie wyrabia w młodym pokoleniu sprawności, dzięki którym będzie ono mogło zająć w swoim czasie pełnoprawną pozycję w społeczności dojrzałej.

Aparat świadomości grupowo-historycznej operuje ideowyobrażeniem: czym jest grupa, do czego dążyła/dąży i jakie są jej cele historyczne. Tym ideowyobrażeniem nasyca się umysły młodego pokolenia, a zgodnie z nim postępuje dojrzałe.

Aparat języka i symboli artystycznych zawiera w sobie trzon, który omawialiśmy wyżej, z tym że mieści się on w samym narzędziu, którym się operuje codziennie - w stylu języka, w pamięci utrwalonej w pieśniach, przysłowiach, w utworach literackich, architekturze, muzyce itd.

Drugą obrabiarką jest ideomatryca psychologiczna. W przeciwieństwie do ideomatrycy obiektywnej nie posiada ona zestalonych wzorów w nakazach, podręcznikach szkolnych, pracach historyczno-politycznych, książkach literatury pięknej. Jej wzorem pozostaje psychika już uformowanego człowieka dojrzałego lub dojrzewającego, a więc jego oceny, przekonania, poglądy na dobro i zło, przyzwoitość i godziwość itd. Taki człowiek jako żywy twór i norma ocenia wszystko, co się wokół niego dzieje. Stwierdza więc, że to i to jest godziwe lub nie, słuszne lub błędne, szlachetne lub podłe. Ideomatryca psychologiczna stabilizuje i uzupełnia ideomatrycę obiektywną. Operuje ona odpowiednimi aparatami. Są nimi:

a) aparat opinii moralno-publicznej,
b) aparat kręgu rodzicielskiego i rówieśników,
c) aparat opinii ideowo-społecznej,
d) aparat kręgu publiczności czytelników i krytyków.

O ile ideomatryca obiektywna działa wprost na dojrzewający umysł, tyrańsko zmuszając do przyjęcia swych norm i wzorów, to ideomatryca psychologiczna operuje autorytetem i szeregiem sankcji, zmuszając do stosowania jej zaleceń. Są to sankcje - satyryczna, moralna, wyłączająca (ostracyzm etyczny) i prawna. Razem dają potężne narzędzie zachowania ciągłości grupy.

Ideomatryca psychologiczna nosi cechy stabilizujące, konserwatywne: możemy nagle zmienić treść aparatów ideomatrycy obiektywnej, wprowadzając inne normy etyczne, inne zasady nauczania, inny pogląd na historyczne zadania grupy - lecz nie można zmienić ideomatrycy psychologicznej, gdyż już uformowany profil duchowy człowieka pozostaje bez zmian do końca życia.

Trzecią obrabiarką są instytucje społeczno-materialne, a więc struktura społeczna, państwowa, urządzenia produkcyjne i stosunki wytwórcze. Będą to więc takie instytucje, jak rycerstwo, feudalizm, industrializm, kapitalizm, socjalizm itd.

Wspakultura może się zainstalować w każdym układzie stosunków. Ale po pewnym czasie musi zaniknąć lub zblaknąć to wszystko, co z nią niezgodne: upadnie rozmach techniczny, naukowy, dynamika społeczna, pozostaną puste formy, w których wspakulturowcy dążą do swych "nadrzędnych" celów. Ważne jednak jest to, że wspakultura, wiedziona instynktem choroby, zawsze dąży do opanowania ideomatrycy obiektywnej i psychologicznej. Opanowanie ich zapewnia bowiem rząd dusz.

Jedno więc z pierwszych zadań Kościoła chrześcijańskiego polega zawsze na owładnięciu aparatami ideomatrycy obiektywnej i psychologicznej. Dzieje się to w ten sposób, że nie naruszając ciągu życia zbiorowego, który doprowadził do wyłonienia się tych aparatów, zaszczepia się w centralnych zwojach nerwowych każdego z nich treści wspakultury chrześcijańskiej. Aparat norm światopoglądowo-moralnych otrzymuje treści wyłącznie chrześcijańskie. Tak samo, jeśli chodzi o ogólne ideały wychowawcze, świadomość historyczną grupy, język i symbole artystyczne. Po zaciętej, niszczącej walce, która jest nieobliczalną w swych następstwach rewolucją wspakulturową, opanowuje się ideomatrycę psychologiczną. I oto środowisko znalazło się we władzy wspakultury krzyża. Ktoś, kto o tym mechanizmie nie wie, może się następnie dziwować, że od pewnej przełomowej daty miliony osobników każdego pokolenia są czysto chrześcijańskie, wspakulturowe w treści swych dążeń. Z zewnątrz niewiele się dostrzega, gdyż same aparaty działają bez zmian.

Są to z pozoru pokolenia tego samego narodu, a w samej rzeczy mogą to już być tylko wspakulturowcy krzyża danego narodu. O głębi przewrotu świadczy szybki zanik prężności cywilizacyjnej, upadek, nędza, degeneracja idąca w parze z powszechnym zadowoleniem i dumą z powodu osiągnięć "duchowych". Taki rozwój mieliśmy po rewolucji krzyża w świecie antycznym, po ekspansji krzyża w Europie wśród świeżych i prymitywnych ludów pogańskich, a następnie jako reakcję katolicką XVI i XVII wieku, która wygasiła Hiszpanię, Włochy, Portugalię, Irlandię, Polskę itd. Władztwo nad ideomatrycą jest kamieniem węgielnym polityki Kościoła. "Religijne kształcenie młodzieży zawsze było uważane za najpewniejszy i najszlachetniejszy środek do poprawienia i do trwałego zaszczepienia cnoty. W samej rzeczy na dobrym oświeceniu dzieci, społeczeństwo ludzkie i religia zasadzają całe swe nadzieje" (ks. J. Mach, op. cit., t. II, s. 251).

Mamy tu wyjaśnienie mechaniki ciągłości charakteru narodowego. W zależności od tego, czym jest dana ideomatryca obiektywna i psychologiczna, takim jest przeciętny człowiek danego środowiska.

Gdy nie wiemy nic o strukturze fabryki psychiki społecznej, dziwimy się, że w takiej Hiszpanii lub Włoszech ciągle się odradza w masach podobna mizerota. Zrozumiałe, że jeśli się nie zmieni treści ideomatrycy, nie pokona się oporu bezwładności, którą ona stwarza - nie zmieni się typ umysłowości, którą ona automatycznie produkuje. Wie o tym doskonale Kościół.

Nim jednak doszedł on do swej obecnej perfekcji we władaniu ideomatrycą, musiał dokonać wielu doświadczeń. Należy do nich odkrycie, że każda psychika musi być zgwałcona, złamana, jeśli ma się poddać wspakulturze, występującej w szatach "narodowej" literatury, "narodowej" świadomości historycznej itd. Człowiek dojrzewa jako potencjalny twórca, obdarzony organami wytwarzającymi w nim geniusz człowieczy. Do tych dyspozycji są dostosowane wszystkie aparaty ideomatrycy.

Kukułcze jajo wspakultury dąży jednak do tego, by, zachowując pozory, amputować właśnie geniusz człowieczy. Hodowany osobnik, nawet przyjmując ideały wspakultury, podświadomie rozumie je jako coś, co pokrywa się z jego odruchem panhumanistycznym. Dlatego też wspakultura krzyża wie, że samo wychowanie to nie wszystko. Znajomość zasad wspakultury nie wystarcza, gdyż grzech tkwi we krwi. "Roztropność udoskonalając rozum czuwa nad prawidłowym określeniem się władz pożądawczych. Jednakże ona nie wystarcza, zwłaszcza w stosunku do władz zmysłowych, gdyż trzeba niejako przeobrazić samo ich 'wnętrze', by na nich wycisnąć zamierzenia prawe i skłonności, zgodne z celami - dobrami zamierzonymi" (ks. A. Borowski, op. cit., t. II, s. 74).

5. Perwersyjny instrumentalizm.

Chrystus, stawiając swój cel, zakładał, że należy go osiągać bez żadnego kompromisu. Stąd błogosławieństwa, zawierające obrazowe określenie cnót poszczególnych pierwiastków wspakultury: pokora, miłość, cichość, wiara, ofiara. Konsekwencje tych cnót prowadzą do tego, co osiągnęli niezliczeni święci: pustelnie, halucynacje, wycieńczone, storturowane ciało, ubóstwo, życie z jałmużny. Od tej krańcowości musiało chrześcijaństwo zrobić ustępstwo dla laików. Mogli oni zdobywać środki pożywienia i odżywiać się w granicach zachowania zdolności do pracy, żenić się i płodzić dzieci, unikać udręk ciała podrywających zdrowie, budować domy, żyć społecznie itd.

Granice praw przyrodzonego życia uległy tu rozszerzeniu, osiągając pewien pułap, który ustalił się w średniowieczu, nim teoretycznie został sformułowany przez św. Tomasza z Akwinu.

Ale już sam Chrystus poczynił pewne wyjątki od swego Zakonu. Wprawdzie wołał on: "Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj co masz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie; a przyjdź, pójdź za mną" (Mt 19, 21). Wprawdzie jego następcy głosili to samo, jednak nie można było zawsze stosować maksymy, że o nic dbać nie należy.

Dobrotliwy, słodki i pokorny Chrystus, który kazał nie sprzeciwiać się złu, robił wyjątki, i to zasadnicze. Tam, gdzie chodziło o sprawy wiary, chwytał się "marnych", "przemijających" środków i stosował je z uczuciami, które wcale nie należą do "miłości". Gdy ujrzał kupców handlujących w domu modlitwy, wybuchnął uczuciem wcale nie słodkim. "A uczyniwszy bicz z powrózków, wszystkie wygnał z kościoła... pieniądze rozsypał i stoły poprzewracał" (J 2, 15).

Mamy tu przebłysk pewnej zasady, która tak by się dała opisać: wszystko okazuje się marnością, wszystkiego należy poniechać i wszystkim gardzić, wyjąwszy sytuację, gdy te marności mogą być użyte do utwierdzenia "prawdy". Gniew jest złem, bicz i miecz narzędziem zła, ale jeśli gniewem, mieczem i biczem oczyścimy z przeszkód drogę do Kościoła, to gniew, bicz i miecz i wszystko, co jest marne, staje się zalecenia godnym. To zasada, którą nazwiemy "perwersyjnym instrumentalizmem wspakultury". Polega ona na założeniu, że zło użyte do wzmocnienia prawdy nie jest złem. W bardziej ostrożnym sformułowaniu brzmi ona tak: "Cokolwiek jest na świecie jest trojakie: dobre, złe lub obojętne... otóż w rzeczach czysto ludzkich powinniśmy niczego innego nie uważać za dobro główne, jeno cnotę. Odwrotnie niczego nie można nazwać złem, jeno - grzech, bo on jedynie dzieli nas od dobrego Boga, a łączy ze złym szatanem. Obojętnym zaś jest to, co według zamiaru i woli używającego może się stać złem i dobrem, np.: bogactwa, władza, cześć u ludzi, siła cielesna, zdrowie, piękność, życie samo albo śmierć, ubóstwo, słabość ciała, krzywdy i inne tym podobne rzeczy, które według tego, jak ich ktoś używa i w jakim celu, mogą służyć do dobrego lub do złego" (Jan Kasjan, op. cit., VI, 3).

Ponieważ zło wypełnia świat, trzeba z nim walczyć, godzić w jego fundamenty. A złem jest świat dokonań ludzkich, kultura - osiągnięcia filozoficzne, techniczne, społeczne, gospodarcze itd. Trzeba dążyć do zniszczenia tego wszystkiego, jako marności świata. Ale jak? Najprościej użyć już gotowych wytworów, obiektywnie istniejących osiągnięć, do ugodzenia w podstawy zła, czyli w ludzi, którzy te wytwory cywilizacji produkują. Brać gotowe wytwory i uderzać w ogniska twórczości. Podstawa tej perwersji jest prosta. Wspakultura, osiągając swój ideał, podcina zło, czyli kulturę. Ale gdzieś poza jej zasięgami ktoś tworzy, buduje, pisze książki, rozwija naukę, sztukę, technikę, bogactwo. Wobec tej obiektywnej siły wyjałowiony, uświęcony "święty" wspakulturowiec stoi bezbronny. Jeśli chce utrzymać swój Kościół, czyli kontynuować to samo, co doprowadza go do upadku i słabizny, musi chwytać się "bogatych" środków, gdyż inaczej zostanie starty wraz z swymi skarbami. Ale pozostaje ta sama dyspozycja naczelna: "bogate środki" - to zło. Zniszczyć je można znów tylko bogatymi środkami. Jakież przerażenie ogarnia pobożnego męża, gdy stwierdza, że jego cnota unicestwia możliwość uprawiania cnoty, gdyż butne zło kultury likwiduje społeczeństwo zbyt "przebóstwione", jak to było w swoim czasie z Polską, Indiami itd.

Dobrem jest to, co służy prawdzie - powiedział pewien ojciec Kościoła. Gdy pod te pojęcia podstawimy właściwą treść, brzmi ta maksyma następująco: dobrem jest to, co pozwala zwalczać

panhumanizm, ewolucję tworzycielską świata. Ale i wytworów tej ewolucji, o ile już są, można użyć do niszczenia podstaw kultury, chociaż jako całość stanowi ona ohydne szataństwo. Wszędzie mamy zasadę perwersyjnego instrumentalizmu wspakultury. "Augustyn nie pragnie zupełnego zerwania stosunku człowieka ze światem zmysłowym. Żąda on aby człowiek nie starał się o to co zmysłowe jedynie dla samej rzeczy, lecz ze względu na rozumny cel, któremu te rzeczy mają służyć... Domaga się, aby życie nie tylko w całości swej, ale każdą czynność z osobna wiązano bezpośrednio z Bogiem, jako ostatecznym celem życia" (ks. dr F. Sawicki, op. cit., s. 57).

Ale co to znaczy cel ostateczny? Gdy uprzytomnimy go sobie, wiemy, do czego wszystko podąża.

"Wszystko zwracać się winno ku Bogu jako pierwszemu i ostatecznemu celowi wszelkiego działania - wszystkie dobra stworzone uważać należy tylko za środki, a używać ich wolno tylko o tyle, o ile do ostatecznego celu prowadzą" (Pius XI, op. cit., s. 135, podkr. moje, J. S.).

I znów to samo pytanie: na czym polega cel ostateczny, jak nie na tym, by osiągnąć świętość, czyli wygaszenie geniuszu człowieczego, a więc siły wszystko stwarzającej. Gdy o tym wiemy, możemy zrozumieć historię chrześcijaństwa. Św. Augustyn "ochrzcił" Platona, ale Akademia Platońska jako ognisko myśli została przez chrześcijan rozpędzona w 529 r. Wojownicze plemiona germańskie były grzeszne w swej pogoni za zdobyczą, zwycięstwem, ze swym kultem siły, dzielności, żądne krwi przelewu, przygody - ale jako ramię świeckie uniwersalnej monarchii Karola Wielkiego budowały wielkość Kościoła w średniowieczu, tępiąc pogan, heretyków, wdrążając ewangelię w masy ludów Europy. Grzeszne siły, należące do przyrodzoności, budowały most do nadprzyrodzoności; gdyby go zbudowały całkowicie, zostałyby zniszczone bez reszty - doprowadziłyby do samobójstwa. Wszystkie ludy dążą do zachowania ciągłości swego rozwoju, stwarzając instytucje tradycji. Instytucjami tymi są ideomatryca obiektywna i psychologiczna. Otóż chrześcijaństwo na tych zdrowych dążnościach rozbudowy instrumentarium kultury dokonuje przedziwnej perwersji: każdej z tych instytucji zaszczepia swoją świadomość, tak że soki życiowe dopływające z nich stają się siłami pognębienia swych własnych tendencji do rozwoju i mocy.

Weźmy jako przykład świadomość historyczną tak spreparowanej grupy. Naród widzi siebie zawsze jako coś, co się rozwija, krzepnie i buduje moc kultury. Wspakultura krzyża pod każde z tych pojęć podkłada swoją treść, i wówczas ten naród cieszy się, widząc w perspektywie historycznej, że hodował świętych, że upowszechniał wiarę, że pognębiał materializm itd., i nigdy nie może dociec, dlaczego stracił znaczenie polityczne, dlaczego skarlał lub utracił niepodległość, jednocześnie dźwigając się tak wysoko, prześcigając inne narody w "postępie". Mamy tu klasyczny przykład wyłączających się kryteriów naczelnych. Technika tego rodzaju perwersyjnego instrumentalizmu jest więc prosta. Wynika ona z odwrócenia kryteriów dobra i zła. Gdy udaje się jakiś naród otumanić, tym samym sprawa zostaje przesądzona. Wychowuje się wspakulturowca, który nie wie, że jego pojmowanie dobra i zła jest przeciwieństwem tego, co on podświadomie uważa za wartość - kultury i mocy.

Perwersyjny instrumentalizm może się rozwinąć tak dalece, że w końcu zacznie podważać samo chrześcijaństwo. Bo i do czego dojść może, gdy celom ostatecznym rozpocznie służyć postęp przemysłu, technika, dynamika państwa? "Cywilizacja i kultura należą w swej istocie do zakresu dóbr doczesnych, innymi słowy są to wartości ziemskie przemijające... Wartości te, będąc pośrednim celem dążeń ludzkich, powinny być podporządkowane celowi ostatecznemu, czyli życiu wiecznemu" (J. Maritain, op. cit., s. 14).

Ta sama nuta brzmi w stwierdzeniu, że: "Pierwszym celem chrystianizmu nie jest popieranie postępu przemysłu lecz przypominanie człowiekowi jego obowiązków... Wszystko, nawet rzecz najbardziej ziemska, powinna służyć chrześcijaninowi jako środek do zjednoczenia się z wolą Bożą" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 221).

W ciągu wieków Kościół używał tej broni z wielkim mistrzostwem. Posługując się perwersyjnym instrumentalizmem, potrafił skutecznie przyśpieszyć rozkład imperium rzymskiego i

w ten sposób uchwycić rządy w Rzymie. Narzuciwszy się jako pasterz młodym i zdrowym ludom germańskim, ich grzesznymi rękami stworzył ład średniowieczny. Lecz metoda ta posiadała swoje niebezpieczeństwa. Nadużyto jej i to spowodowało odrodzenie się w części samowiedzy panhumanizmu, na czym wyrosła nowoczesna cywilizacja. Miało to dalsze, niezmiernie doniosłe następstwa, które omówimy gdzie indziej.

Rozdział X. Mistyka chrześcijańska.

1. Uzacnianie przez błędne koło utrapień.

Geniusz choroby najwyraziściej zajaśniał w pomyśle Chrystusa, gdy zło buszujące w świecie, którego księciem jest szatan, włączył do "automatu świętości" jako główną siłę napędową. Potoki zła toczą się przez grzeszny świat, toczą się od niezliczonych wieków, aż oto Chrystus konstruuje przedziwną turbinę, która przyjmując zło, jego niezmierzoną potęgę, nagle rozpoczyna ją przeistaczać w dobro, i to dobro w najprzedniejszym gatunku. Jak już mówiliśmy, dla personalizmu i wszechmiłości złem jest to, co godzi w ułomnego człowieka, tęskniącego do szczęścia fizjologicznego. Zło to znajduje się wewnątrz i na zewnątrz. Przed tym złem próbował personalista osłonić się pokorą, wszechmiłościowiec miłością, i nic z tego nie wychodziło. Dopiero w Chrystusowym automacie otworzyły się zupełnie inne widoki. Pomysł Chrystusa polega na stworzeniu dalszej transmisji dla tego samego bodźca. O ile przedtem napór zła wywoływał, poprzez reakcję, odruch u wspakulturowca, wyrażający się w "pokorze" i "miłości" i na tym kończąc się wpadał w ślepą uliczkę, to teraz następowała kolejna transmisja "pokory" i "miłości" na cnotę nadziei, a ta prowadziła do szczytu, jakim była cnota wiary.

Zło panoszące się w świecie i w każdej jednostce człowiek upadły najpierw odczuwa jako cierpienie i ból. Ten sam bodziec jednak w systemie transmisyjnym "automatu świętości" zmienia swój charakter i poprzez kilka transformacji staje się wyśnioną łaską - cnotą wiary! Gdy takiego odkrycia już dokonano, jasno widać, że zło jest ukrytą formą dobra, a zarazem narzędziem w ręku Boskim. Nie można więc zła unikać ani potępiać, gdy za jego pomocą, zdaniem Jana Kasjana - "albo Bóg chce wypróbować naszą cnotę, albo chce nas oczyścić z naleciałości grzechowych, albo karze nas za przewinienia" („Rozmowy”, VI, 11).

Zło, pokusy i utrapienia są więc przemyślaną akcją Wszechmogącego i jako takie spełniają bardzo pożyteczną, wprost zbawienną rolę. A ponieważ rzeczy "złe", które przeistacza się w "automacie świętości" w dobro, są przeogromne, z ufnością można zwracać się ku Bogu. Niezmierzone, pieniące się potoki i wodospady zła, napełniające hukiem ten świat, są rezerwami dobra! Tylko przetrzymać operację transformacji wyjściowej jego postaci, bardzo zresztą nieprzyjemnej, w wyższą, a wszystko będzie dobrze! Tłumaczy więc św. Augustyn cierpliwie nieukom istotę odkrycia: "Niektórzy heretycy nie dostrzegają... że śmiertelny nasz pierwiastek, tak nędzny i niedołężny, już na skutek sprawiedliwej kary cierpieć musi od różnych nie sprzyjających mu rzeczy... Nie zwracają zaś oni uwagi na to, jak te rzeczy na swoich stanowiskach, i każde w swojej naturze dzielnie spełniają, co do nich należy i w jakim porządku harmonijnym są rozłożone... Wszak przecież i trucizny nawet... stosownie użyte zmieniają się w zbawienne leki" („Państwo Boże”, XI, 22).

Inny święty uzasadnia to podobnie: "Tak dalece nam wszystko dopomaga ku dobremu, że do tego policzyć należy to wszystko, co niczym jest, jako to: cierpienia, choroby, śmierć, a nawet grzech...

Bo w istocie, czyż grzechy nie dopomagają, ku dobremu, temu, który skutkiem ich staje się pokorniejszym, gorliwszym, pilniejszym, bojaźliwszym i ostrożniejszym?" (św. Bernard, „Pisma, homilie”, V).

Wspaniały jest wynalazek Chrystusa, a jednak trzeba go ciągle wyjaśniać zaślepionym "zmysłowością" umysłom: "Chrystus wybawiając nas od przekleństw grzechu, nie odjął nam

ziemskiej niedoli, lecz pozostawił ją jako środek, któregośmy winni używać do naszego zbawienia. Przykrości życia winny nas skutecznie uczynić uległymi Bogu" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 14).

Nie inaczej nieomylny w tych sprawach papież Leon XIII: "Jezus Chrystus wcale nie zniszczył swym 'obfitym odkupieniem' różnych dolegliwości, które prawie wypełniają życie śmiertelne, ale je zmienił w pobudki do cnoty i przedmiot zasług, tak, iż nikt z śmiertelnych nie może zyskać wiecznych nagród, o ile nie postępuje krwawymi śladami Jezusa..." („Rerum novarum", s. 51).

Jeśli tedy zło i utrapienia są siłami napędowymi chrześcijaństwa, jeśli one prowadzą do najwyższych cnót i najwyższego dobra, trzeba witać utrapienia, otwierać im bramy naszego życia, pić je najchciwiej. Tym samym na potępienie zasługują ci, którzy od zbawczego koła utrapień zdecydowanie i skutecznie się odsuwają - ci, którzy nie cierpią głodu, chłodu, niewygód, słowem - niezależni materialnie, bogaci, dzielni, zaradni, ufni w swoje siły. "Biada wam, którzyście nasyceni, albowiem łaknąć będziecie. Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, bo się smucić i płakać będziecie" (Łk 6, 25, 26).

Jeśli zło i utrapienia są podobne do tytanicznego wodospadu, jakiejś kosmicznej Niagary, to wynalazek Chrystusowy jest turbiną wodną, która całą tę potęgę wód przeistacza w dobro. Im więcej wody - czyli zła, utrapień i pokus, tym większe osiągnięcia Chrystusowych turbin. Ale turbiny te - to Chrystusowe dusze. Pracują one wydajnie, gdy we właściwy sposób przyjmują nacisk zła i przerzucają na dalsze transmisje. Absolutna pokora jest tu warunkiem koniecznym. Gdyby na upokorzenia i przemoc odpowiedziała taka dusza przemocą, automat Chrystusowy rozleciałby się w drzazgi.

"Ubóstwo, pokora, łzy strapienia, ucisk duszy tęskniącej za sprawiedliwością, wspaniałomyślne zrzeczenie się praw swoich... zamiłowanie pokoju, cichość nie dopuszczająca ani myśli nawet odpierania przemocy przemocą, znoszenie prześladowania - oto droga do Królestwa wiodąca" (ks. W. O. Didon, op. cit., t. I, s. 407).

Zablokowanie drogi, która prowadzi do panhumanizmu - oto zadanie pokory. Wystarczy sobie pomyśleć chwilę, jak będzie się zachowywać, do czego będzie dążyć człowiek spętany pokorą, aby zgadnąć właściwą konstrukcję turbiny Chrystusowej. Jeśli wszystkie moje naturalne odruchy motoryczne są skneblowane, zostaje tylko jeden tor reakcji: miłość. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy związani sznurem i ktoś nas niezmordowanie bije kijem. Gdy brak możliwości czynnej obrony, zostaje nam tylko sposób jeden - rozbrojenie psychiki bijącego. Gdy przypomnimy sobie, co znaczy "miłość bliźniego", "miłość nieprzyjaciół", "prymat miłości" w stosunkach międzyludzkich, zrozumiemy prawidłowość tego odruchu. Dzięki pokorze otamowaliśmy możliwość zdrowych, moralnych reakcji, a pierwotny bodziec - zło - poprzez fazę udręki przybiera prawidłową postać "miłości".

Dlatego też "...wszelkie karanie, gdy przytomne jest, nie zda się być wesołe, ale smutne; lecz potem owoc sprawiedliwości spokojny przynosi tym, którzy są przez nie wyćwiczeni" (św. Paweł, „Do Żydów", 12, 11).

Metamorfoza zła w cnotę miłości nie może być pojęta przez człowieka, który patrzy na świat przez pryzmat geniuszu człowieczego. Nie nadaje się on też jeszcze do przeróbki w "automacie świętości". "Cielesny człowiek nie pojmuje tych rzeczy, które są Ducha Bożego; albowiem mu są głupstwem i nie może ich poznać, przeto, iż duchownie bywają rozsądzone. Aleć duchowny rozsądza wszystko, lecz sam od nikogo nie bywa rozsądzony" (św. Paweł, „Pierwszy list do Koryntian", 2, 14, 15).

Przy wsparciu pokory transmisja odebranych bodźców przebiega prawidłowo. Zło przeistacza się w dobro. Oczywiście, poprzez kilka faz, które opiszemy. Ale wówczas ludzkość, bezbronna wobec fali cierpień bijących nieprzerwanie, staje się istnym transformatorem. Do cierpiących mas zwraca się promienny radością objawiony wynalazca: "Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a Ja was ochłodzę. Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się ode mnie, żem

jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym. Albowiem jarzmo moje słodkie jest, a brzemię moje lekkie" (Mt 11, 28-30).

Wyznawca krzyża staje się żywym transformatorem, poprzez ból i udrękę przemieniającym pierwotne bodźce zła w skarby cnoty. To usposabia do optymizmu. "Dlatego nie słabiejemy; ale choć się też nasz zewnętrzny człowiek kazi, wszakże on wewnętrzny odnawia się ode dnia do dnia.

Albowiem ten króciuchny i lekki ucisk nasz nader znacznej chwały wieczną wagę nam sprawuje..." (św. Paweł, „Drugi list do Koryntian", IV, 16, 17).

Chrystusowy transformator, o ile jest należycie izolowany pokorą, każdą udrękę na dobro przetworzy. Gdy Rzym został splądrowany przez Gotów w 410 r. i nastąpiła dotkliwa klęska głodu, św. Augustyn tak oto poganom i niedowiarkom wyjaśniał: "Wielu, a nawet i chrześcijan, mówią jeszcze nasi przeciwnicy, długo trwający głód udręczył. I to wierni przez pobożną cierpliwość na swój pożytek obrócili. Bo głód jak wszelka inna choroba ciała, tych których zamorzył, od dolegliwości tego życia wybawił; tych zaś których nie zamorzył nauczył więcej pościć" („Państwo Boże", I, 10).

Absolutna pokora odgrywa bardzo ważną rolę w transformatorze Chrystusowym. Po zdobyciu Rzymu przez Gotów wszystkie warte grzechu kobiety były systematycznie gwałcone przez wojska zwycięskich barbarzyńców. Dla pobożnych niewiast chrześcijańskich, a w szczególności tych, które poświęciły swoją cnotę Chrystusowi jako "czyste" dziewice, nadeszły ciężkie chwile. Wiele z nich, aby uniknąć hańby, chciało skończyć samobójstwem. Św. Augustyn jednak, jako pasterz owczarni, twierdził zdecydowanie, że winna i tu obowiązywać cnota pokory. Z pokorą poddać się zgwałceniu - oto jego zawołanie. Wystrzegać się trzeba czego innego: nie przyzwolić na lubieżną rozkosz. Ale i to nie takie straszne, gdy się temu świadomie sprzeciwia do ostatka. Ważna jest intencja moralna, nie zaś to, co przemoc z ciałem chrześcijanek czyni. Nawet jeśli ostatecznie cudza lubieżność pobudzi własną. "Jako żywo, nie pozwoli lubieżności ciała swojego, cudzą lubieżnością nieconej, umysł, Bogu raczej niż lubieżności ciała posłuszny... Ale gdyby nieprawość tak wzięła górę... nie lepszeż cudzołóstwo wątpliwe i przyszłe nad zabójstwo obecne i pewne? To powiedziałem jedynie dla tych osób, które mniemają, że dla uniknięcia nie już cudzego lecz własnego grzechu, to jest aby zapobiec lubieżności swojej, którą by cudza wzniecić mogła lubieżność, życie swoje odebrać należy... Ale dusza chrześcijańska nie skłoni się do ohydnego zezwolenia na rozkosze cielesne. A jeżeli owa krnąbrna pożądliwość wbrew prawu naszej woli, własnym niejako prawem, nawet w członkach już obumierających jeszcze się odzywa, daleko bardziej nie może to być winą w ciele nie zezwalającego, jak w ciele śpiącego też winą nie jest" (tamże, I, 25).

Upadek Rzymu, wymordowanie części mieszkańców, sprzedaż w niewolę mężczyzn, zgwałcenie kobiet: czy to jest coś ważnego dla chrześcijanina? Czy to nie raczej okazja do zdobycia nowych cnót? Jeśli chodzi o lęk przed grzechem "nieczystości" (wobec gwałcenia chrześcijanek), to: "Lękać się trzeba i wystrzegać, aby ciało lubieżności nieprzyjaciela poddane, ponętą rozkoszy nie przeciągnęło umysłu ku zezwoleniu na grzech" (jw.).

W oczach znamienitego ojca katolicyzmu sprawa jest jasna: "I cóż w onym nieszczęściu ucierpieli chrześcijanie, co by im na korzyść nie wyszło? Oto zastanawiając się nad grzechami, dla których gniew Boży tak wielkimi klęskami ziemię napełnił, uznaję, że choć są od zbrodni i bezbożności dalecy, nie tyle jednak od wszelkich przewinień wolni, aby i na doczesne udręczenia nie zasłużyli" (św. Augustyn, tamże, I, 9).

Pomimo że to wszystko wypisano wołowymi literami, pomimo że wszyscy te opracowania znają od półtora tysiąca lat, aberracja umysłów spowodowana przez potężną hipnozę jest tak przemożna, że mogły powstać niezliczone prace uczonych matołków-historyków, wyjaśniających nader przemyślnie "przyczyny" upadku świata antycznego. Wystarczy spytać pierwszego z brzegu inteligenta - bez różnicy narodowości - o przyczyny upadku cywilizacji antycznej, aby usłyszeć stek horrendalnych nonsensów, które są oczywiste dla każdego, kto widzi i rozumie, co się działo w Rzymie św. Augustynów, św. Cyprianów i plejady "potężnych duchem" niszczycieli "zła", którzy

posiedli rząd dusz całego społeczeństwa. Wykorzystując prawo transmisji, które wyżej omówiliśmy jako coś prawidłowego, znajdujemy przeistoczenie się pierwotnego bodźca w uczucie "miłości".

Pamiętajmy, że związany pokorą dekadent chce jednak osłonić się przed ciosami, które nań spadają.

Rozbroić swego dręczyciela może on tylko "miłością", a więc sugestią, że motyw złości, który nim rządzi, jest najzupełniej pusty. Gdy więc ktoś nas bije, przeklina, dręczy, wobec więzów pokory mamy tylko jedną broń - uderzyć w same pobudki wroga, błogosławić mu, modlić się zań itd.

"Błogosławcie tym, co was przeklinają, a módlcie się za tych, którzy was potwarzają. I kto cię uderzy w policzek, nadstaw mu i drugi..." (Łk 6, 28, 29).

Każdy dekadent doskonale czuje istotę tego powiązania, ugruntowanego na głębokim znawstwie odruchów ludzkiej psychiki.

Wynalazek Chrystusa zostaje przeniesiony z miłości do następnej, wyższej fazy. Jest to nadzieja.

Wyjaśnialiśmy już, iż chrześcijanin, stosując uczucie miłości, rozbraja przede wszystkim siebie, dzięki czemu wzrasta jego bezbronność i jako jej druga strona - coraz wyższe udręki, nędze, dolegliwości. U pewnego kresu przed umęczonym umysłem otwiera się głębszy sens tych krzyży - zapłata "tam".

"Chrześcijaństwo jest przeniknięte myślą, że każde doświadczenie jest zesłane przez dobrotliwą Opatrzność i że każde cierpienie znoszone cierpliwie ma znaczenie dla wieczności, gdy prowadzi w górę do Boga. Myśl o tym błogosławieństwie cierpienia pozwala chrześcijaninowi nie tylko znosić największe ciężary z cichym poddaniem, ale nawet z wewnętrzną radością" (ks. dr F. Sawicki, op. cit., s. 10).

Konsekwencje nadziei są więc do przewidzenia. Im większe utrapienie i miłość, tym jaśniejsze nadzieje na kompensatę. "Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni" (Mt 5, 6).

Prościej to brzmi następująco: Niech się więc nie smuci człowiek bogobojny, jeśli teraz jest nieszczęśliwy; szczęśliwe go czekają czasy; tam u góry... "Ale i to niech nie mąci umysłu naszego, że widzimy ludzi niesprawiedliwych w bogactwie, a w ubóstwie sługi Boże. Miejmy więc wiarę, Bracia i Siostry! Bóg żywy, na próbną nas wystawia walkę, i ćwiczmy się w tym życiu, by w przyszłym wieniec zdobyć..." („Drugi list Klemensa do Koryntian", 19, 20).

Pod dalszym naciskiem bodziec już występujący jako "nadzieja" przeistacza się w cnotę najwyższą - w pewność, którą daje wiara. Potwierdza się prawda słów św. Pawła: "A wiemy, że tym, którzy miłują Boga, wszystko dopomaga ku dobremu, tym, którzy powołani są według postanowienia świętości" („Do Rzymian", 8, 28).

Przez kilka faz pośrednich, które opisywaliśmy, przez utrapienie, przez cnotę miłości, przez cnotę nadziei, dosięga transmisja swego szczytu - wiary. Na jej osiągnięcie nastawiony jest automat świętości. "Wiara jest cnotą! Jest to siła nadprzyrodzona, każąca nam z miłości, mimo wszelkiej ciemności, łączyć się z Bogiem... cały orszak cnót ją otacza, a gdzie one znikają, tam i Wierze grozi zaginienie. Na tym doświadczeniu i na tej zasadzie oparto sposób kształcenia wiary, hodowania jej" (ks. E. L. Bougaud, „Życie chrześcijańskie", s. 26).

Szereg cnót, które były szczeblami do jej osiągnięcia, to nic innego jak fazy przejściowe pierwotnego impulsu - zła. Rozumiemy więc, dlaczego cierpienie sprawiane przez zło otacza w chrześcijaństwie aureola wzniosłości. Dlaczego: "Cierpiący nie powinien szemrać, lecz z

wdzięcznością spoglądać ku Bogu, który mu tu na ziemi cierpieć każe przez krótką chwilkę, ażeby mu dać kiedyś potem radość wieczną" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 14).

Jasne więc jest, że: "Kiedy już dojdziesz do tego, że utrapienie staje się słodkim i dla Chrystusa je polubisz, wtedy bądź pewny, że dobrze się dzieje z tobą, bo raj na ziemi znalazłeś. Dopóki zaś przykro ci jest cierpieć, i przed cierpieniem uciekasz, dopóty źle się z tobą dzieje..." (Tomasz á Kempis, op. cit., II, 12, 11).

Podziwu jest godna koncepcja Chrystusowa, która potrafiła z niedoli ułomnego człowieka stworzyć tak precyzyjny system transmisji.

2. Pokuta i ofiara jako transmisja wewnętrzna.

Pobieżny opis transmisji zewnętrznej ukazał nam przedziwne tajemnice wynalazku Chrystusowego, gdzie wichry zła, szalejące w tym świecie, dmuchają w wiatraki "automatu świętości", czego skutkiem jest przemielanie tegoż zła, poprzez fazy utrapień, miłości, nadziei, na wspaniałą mąkę wiary. Aparat ludzki, w którym ta zdumiewająca transformacja się odbywa, może spełniać swoje funkcje tylko dzięki otamowaniu naturalnych odruchów wewnętrznych. Tylko dlatego, że te odruchy zostały zahamowane za pomocą pokory, mogła owocnie pracować transmisja zewnętrzna.

Ale to tylko część zadań, które pokora umożliwia. Istnieje jeszcze coś, co nazwiemy "transmisją wewnętrzną". Jak już zapewne czytelnik się orientuje, chodzi o służebną rolę pierwiastka nihilistycznego.

Skuteczność jego pracy opiera się na otamowaniu zła wewnętrznego. Podobnie jak transmisja zewnętrzna przeistacza napór zła w świecie zewnętrznym w cnotę wiary, taką też rolę spełnia transmisja wewnętrzna w stosunku do zła wewnętrznego, czyli tzw. grzesznych namiętności - "owego smutnego następstwa grzechu pierworodnego". Cel transmisji ten sam - ugruntować wiarę.

Punkt oparcia transmisji wewnętrznej i zewnętrznej ten sam: pokora; rozdzielić dwa nurty zła od siebie tak, by napierały na dusze ludzkie oddzielnie, niezależnie od siebie - oto jej zadanie.

Wtenczas dopiero obie transmisje działają bez zarzutu. Linia pokory, rozgraniczająca dwa nurty - zło zewnętrzne i zło wewnętrzne, musi być szczególnie ostro pilnowana; nic nie może podważyć pokory. Takie pokusy jak reakcja czynna, np. u Rzymianek, które decydowały się nie dać gwałcić, jest niedopuszczalna. Takie zdrożne pokusy "...należy nam wprost zwalczać z największą stanowczością woli, iżbyśmy sobie na najdrobniejsze ustępstwo nie pozwolili" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 98).

U podstaw transmisji wewnętrznej mamy cnotę pokory i ofiary, wykwitające z założeń nihilizmu.

Nihilizm jako autonomiczny pierwiastek, tj. tam, gdzie nie został jeszcze wpleciony w hierarchię totalnego zestroju wspakultury, jest skierowany na zdecydowane wytępienie zła, aż do jego korzeni.

W ujęciu teorii wspakultury cel ten polega na amputacji geniuszu człowieczego, na wyrwaniu z korzeniami organu, który stwarza w człowieku natury eksplozyjną formę energii emocjonalnej, czyli tzw. namiętności i instynkty. Do tego dąży nihilizm, gdy jest niejako "sam". Każdy dekadent odczuwa szczególny urok akcji przeprowadzonej radykalnie, która miałaby gruntownie wyczyścić człowieka ze zła geniuszu człowieczego w tej zdezorganizowanej postaci, w jakiej widzimy go u człowieka natury z braku podstawowych warunków panhumanizmu. Amputacja taka to w pierwszym rzędzie unicestwienie popędu płciowego jako wyjściowej formy energii bioemocjonalnej, a następnie storturowanie i złamanie pełni biologicznej ciała. Chrystus zdecydowanie zalecał autokastrację; w ten sposób zło utrącano radykalnie. Wielu też wyznawców tak postępowało, że

Orygenesa tylko wymienimy. Każdy dekadent, czując rozdwojenie swej osobowości, pragnie się pozbyć diabelstwa geniuszu człowieczego, aby w ten sposób uzyskać upragnioną czystość skruszonego serca. Do głębi przejęty woła św. Paweł z rozpaczą: "Przetoż tedy, ja sam umysłem służę Zakonowi Bożemu, lecz ciałem zakonowi grzechu" („Do Rzymian", 7, 25).

Dekadent czuje niewysłowiony czar wizji wolności od zła wewnętrznego: "...Pragnę przylgnąć do rzeczy niebieskich, lecz rzeczy ziemskie i nieposkromione namiętności odrywają mnie od nich i na dół strącają. Umysł mój chce zapanować nad wszystkimi rzeczami, a ciało w ich poddaństwie niewolniczo mnie więzi... Gdy duch mój wzlatuje ku niebu, ciało po ziemi się czołga" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 48, 4).

Trzeba się więc skupiać do boju z królestwem czartowskim w nas: "Jako bowiem poddajemy się królestwu czartowskiemu, pobłażając namiętnościom, tak samo królestwo Boże posiądziemy, przez wykonywanie cnót, czystość serca i wiedzę duchową" (Jan Kasjan, op. cit., I, 14).

A czart jest podstępny, ciągle się podkłada w postaci żądzy lubieżnej. "Póki więc czujemy, że nas niepokoją poruszenia ciała, wiedzmy, żeśmy jeszcze nie doszli do szczytu czystości, lecz stoimy na stopniu pożądliwości, która jest ułomna" (tamże, XII, 10).

W praktyce codziennej wszystkie owe poduszczenia szatańskie zostały sprowadzone do siedmiu grzechów głównych. Katechizm katolicki je wymienia: pycha, łakomstwo, nieczystość, zazdrość, obżarstwo, gniew, lenistwo. Z nich wyprowadza się wszystkie grzechy inne: "Grzechy główne są przyczyną wszystkich innych grzechów: są źródłem z którego wszystko zło wypływa. Gdybyśmy te grzechy mogli usunąć ze świata, skończyłoby się wszelkie grzeszenie" (ks. J. Deharbe, op. cit., t. II, s. 407).

Chrześcijaństwo stworzyło doskonałe wzory amputacji tego zła. Posłuchajmy natchnionego peanu na cześć św. Symeona Słupnika Starszego, który stworzył cały kierunek ascetyczny tzw. stylitów:

"A gdy inni poszcząc trzeciego dnia jedli, on sam raz tylko w tydzień jadł, i uplotłszy sobie gruby łańcuch z palmowego liścia, ściągnął mocno swoje lędźwie, tak, iż rany na ciele się poczyniły, z których gdy jeden towarzysz płynącą krew obaczył pytał: skąd ta krew? on milczał... I sfukał go starszy, upominając i prosząc by tego okrucieństwa nad sobą nie czynił, posłuchał w tym, iż łańcuch on zdjął; ale żeby rany one leczyć dał, na to go nikt namówić nie mógł... A rozmnażając sobie cnót świętych bogactwa umyślił przykładem Mojżesza i Eliasza post czterdziestodniowy, nic nie jedząc pościć... Prosił tedy niejakiego Bassa... aby go zamurować na dni czterdzieści kazał, nic ku jedzeniu nie dając... Od onego czasu... przez dwadzieścia ośm lat co rok tak pościł w wielki post, nie jedząc, ani pijąc przez dni czterdzieści... potem na wierzch jednej góry wstąpił i tam łańcuchem się żelaznym... za nogę przykuwał... około żelaza u nóg była skóra kosmata aby ciała żelazo nie żarło: w tej skórze pluskiew się wiele namnożyło, których on mogąc zbyć, nie chciał... słup sobie wysoko postawił, na którym we dnie i nocy przemieszkiwał, komórkę sobie na nim na dwa łokcie wybudowawszy, w której przez trzydzieści lat przetrwał... Ustawicznie się modlił, we dnie i w nocy, najwięcej stojąc... Jedną nogę staniem tak zepsował, iż z niej ropa ustawicznie płynęła, a on ból modlitwy mu nie psował..." itd., itp. (P. Skarga, op. cit.).

Jednak amputacji w pełni nie da się przeprowadzić. Byłoby to możliwe, gdyby się zdecydowano na wygaśnięcie gatunku ludzkiego na globie. Planeta ziemska krążyłaby w przestrzeni bez człowieka, a więc bez swojej awangardowej formy ewolucyjnej. Byłoby to wspaniałe zakończenie dziejów, mówi św. Augustyn, ale cóż, kiedy człowiek na to zdecydować się nie chce. Pod presją tego faktu powstaje wynalazek Chrystusowy, który obok transmisji zewnętrznej stworzył transmisję wewnętrzną. I tu też grzech pierworodny, a raczej jego napięcie, staje się motorem ku dobru – ku cnocie wiary. Sposób przerzutu jest taki sam jak i w transmisji zewnętrznej: najpierw więc mamy eksplozyjne zło "namiętności"; zatamowanie zła, wyrażające się w cierpieniu wewnętrznym; ciągłe wzmaganie tego bólu, tak by następnie transformował się w cnotę miłości

"pierwszej przyczyny", nadzieję, a w końcu wiarę. Mechanika transformacji pierwotnego bodźca jest nieco odmienna niż w transmisji zewnętrznej. Spróbujmy to krótko opisać.

W automacie świętości nihilistyczna pokuta nie dąży już wprost do amputacji geniuszu człowieczego, lecz chce jego napięcia przeistoczyć w siłę napędową ku dobru. Ażeby eksplozyjną formę "namiętności" do tego zmusić, otamowuje się je w kotle duszy ludzkiej, by wieczyście cisnęły na tłoki maszyn transmisyjnych. Uzyskuje się to bardzo prosto: przeciwstawia się sobie zło i aspiracje pokuty, lecz tak, by ani jedna, ani druga strona nie uzyskała przewagi. Stała równowaga daje więc to, o co chodzi: nieustanne zmaganie się dwóch sprzecznych tendencji. Jedną stroną tej walki będzie permanentne cierpienie otamowanych sił, drugą funkcjonowanie transmisji. I tu się stosuje formuła: cierpienie uszlachetnia. "I zaprawdę, jest poniekąd pożyteczna ta walka, wrodzona nam zrządzeniem Bożym, bo nas wzywa i pobudza do stanu lepszego" (Jan Kasjan, op. cit., IV, 7).

Tenże autorytet tak ujmuje kształtowanie się pomysłu tej transmisji: "U Apostoła czytamy, że taka pożyteczna walka jest wrodzona członkom naszym: 'albowiem ciało pożąda przeciwko duchowi, a duch przeciwko ciału; bo się one sprzeciwiają nawzajem, abyście nie czynili czego chcecie'. Mamy więc tu i walkę, która za zrządzeniem Pańskim wrosła poniekąd do wnętrzności naszych... A gdy coś od urodzenia zrośnięte jest z każdym z nas, czyż nie miałoby to pochodzić z woli Bożej? Bóg zaś zapewne nie chciał nam szkodzić, lecz mieć pieczę o nas. Przyczynę zaś tej wojny między ciałem a duchem podaje Apostoł taką: Abyście nie czynili czego chcecie. Sam Bóg zarządził byśmy nie mogli wykonywać wszystkiego co chcemy: jeślibyśmy więc wykonywali takie uczynki, cóż by to być mogło, jeśli nie coś szkodliwego?" (tamże). Mamy tu zarysowaną mechanikę walki "ciała" z "duchem", z której rodzi się dobro i szczytne cnoty.

"Musimy rozumieć przez 'ciało' nie człowieka, tj. jednostkę ludzką, lecz skłonności, i złe pragnienia ciała, a podobnie 'duch' nie oznacza jakiejś rzeczy samoistnej, lecz dobre i duchowe pragnienie duszy... ponieważ jedne i drugie tj. pragnienie ciała i ducha w jednym mieszczą się człowieku, więc codzienna odbywa się w nas walka. Bo pożądliwość ciała... ma upodobanie w rozkoszach połączonych z doczesnym zadowoleniem. Tym rozkoszom sprzeciwia się pożądliwość ducha, pragnąca tak wyłącznie trwać przy zajęciach duchownych, że rada by usunąć nawet konieczne potrzeby ciała i pozbyć się wszelkiego o ułomność jego starania. Ciało rozkoszuje się w rozpuście i chuciach zmysłowych: duch nawet na przyrodzone potrzeby nie chce zezwolić. Ciało pragnie snu do syta, pokarmu do woli; tamten zaś lubuje się w postach i czuwaniach, że nie chce dopuścić nawet tyle snu i pokarmu, ile do utrzymania życia jest konieczne... Ciało szuka kąpieli i piękności... duch kocha się w szpetności, w brudach" (tamże, IV, 11).

Z walki tych wyłączających się tendencji powstaje transmisja, o której mowa. Ażeby ta walka istniała stale, nie można dopuścić do zwycięstwa ducha, tj. do tego, by cnota pokory zechciała udusić całkowicie "zło". Trzeba więc otaczać pewną opieką korzeń zła - ciało, a nawet tak groźne źródło nieprawości, jakie stanowi popęd płciowy. W takim układzie nie wolno zatem niszczyć motoru transmisji. Przez autonomiczny nihilizm propagowana kastracja jest już tym samym nie do przyjęcia. "Pycha z powodu czystości ciała byłaby zgubniejsza, niż wszelkie zbrodnie... toteż spostrzegamy tę oziębłość ducha zwyczajnie u rzezańców. Albowiem będąc wolnymi od owej konieczności cielesnej, mniemają oni, że im nie potrzeba trudzić się o powściągliwość ani korzyć się w skrusze; żyją w gnuśnej beztrosce..." (tamże, IV, 16, 17).

Jak widzimy, zło wewnętrzne spełnia bardzo pożyteczne zadanie, ochraniajmy przeto i ciało przed wybujałościami pokuty, ale oczywiście z zachowaniem wszelkich ostrożności. "Wszystkich potrzeb ciała zaniechać się nie godzi, albowiem życie utrzymać należy; lecz prawo święte zabrania szukać rzeczy zbytecznych... albowiem inaczej ciało uzuchwala się i powstaje przeciw duchowi" (Tomasz á Kempis, III, 26, 4).

Transmisja wewnętrzna będzie zdolna do prawidłowej pracy, gdy stworzy się odpowiednio wysokie napięcie w kotle psychiki ludzkiej. Trzeba więc jednocześnie otamować namiętności, aby nie miały ujścia, z drugiej zaś strony to otamowanie nie może być zbyt ścisłe, gdyż może zadusić źródło energii - właśnie owo zło. Poniechać więc należy kastracji, ostrej udręki ciała, która by mogła

doprowadzić do uwiądu "zła" itd. Ale to ma i drugą stronę: "Przyjemności i radości tego świata na równi sobie cenimy z jego dobrami i zaszczytami; jest to pożądliwość może najniebezpieczniejsza.

Przyjąć chętnym sercem, z poddaniem, ubóstwo, a nawet skazać się na nie dobrowolnie jest już rzeczą trudną; ale przyjmować, a nawet szukać boleści, cierpień, łez, to w wyższej jeszcze mierze przechodzi siły naszej natury, która we wszystkim szuka własnego zadowolenia" (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 276).

Właściwą linią postępowania jest więc tylko jedno: umiłowanie cierpienia, troska o to, by to cierpienie utrzymać, nie dopuścić do jego zaniku. Cierpienie oznacza, że bodźce namiętności są żywe i wywierają nacisk na naszą psychikę, a jednocześnie - że są zgwałcone i otamowane. Stąd ból wewnętrzny.

"Tak się więc zmagają ze sobą obie przeciwne pożądliwości, a wola duszy, nie chcąca się ani oddać zupełnie chuciom cielesnym, ani mozolić nad cnotą, zyskuje w ten sposób słuszną miarę... A gdy taka walka pożyteczna roznieca się w nas dnia każdego, dochodzimy mimo woli do owej zbawiennej rzeczy, której (pierwotnie) nie chcemy: oto nie myślimy już o zdobyciu czystości serca w nieczynności i bezpiecznym spokoju, lecz walczymy o nie w ciągłym znoju i w skruszeniu serca; nieskazitelność ciała zaczynamy strzec postem surowym, głodem, pragnieniem, nieustanną modlitwą..." (Jan Kasjan, op. cit., IV, 12).

Napięcie cierpienia to wskazówka na manometrze kotłów transmisji wewnętrznej. Gdy wskazówka opada, znaczy to, że dopływ energii się zmniejsza. Nie wolno do tego dopuścić. A wzmagać cierpienie znaczy to utrzymywać w równowadze napór zła i odpowiednio napiętą wolę pokuty. O tym, że dobrze czynimy, świadczy wskazówka na manometrze - wzrost cierpienia.

Dobry technik automatu świętości - to smakosz i znawca cierpienia. Kto tego nie rozumie, nie jest już właściwie chrześcijaninem. Niepojęta bowiem dlań staje się następna faza ewolucji cierpienia, która poprzez cierpliwość przeistacza się w miłość i poprzez nadzieję dąży ku szczytom, gdzie jaśnieje wiara.

Moglibyśmy tu jeszcze dodać, że oprócz transmisji zewnętrznej i wewnętrznej istnieje jeszcze przekładnia moralizmu, skierowana jak i obie poprzednie na spirytualizm. To transmisja mniej skomplikowana, przeistaczająca ból rozstrojonej i rozdartej jaźni w szlachetny kruszec wiary.

Znając mechanikę transmisji zewnętrznej i wewnętrznej, łatwo już sobie wyobrazić przekładnię moralizmu i dostrzec jej zarysy w świecie wiary Chrystusowej.

3. Magia Chrystusowa.

Kikut człowieczy, czyli wyznawca totalnej wspakultury krzyża, gdy już znajduje się na warsztacie "automatu świętości", jest istotą najbardziej pożałowania godną. Opisaliśmy, jak go obrabiają poszczególne mechanizmy, podając coraz wyżej w fazach przetwórczości. W trakcie tej produkcji nieszczęsny dekadent czuje, że w każdej chwili może się załamać, nie wytrzymując tempa przerzutu energii zła, która w jego osobowości poprzez ból transformuje się w "dobro".

Jednocześnie gniecie go poczucie winy, że taki zeń nędzny, brudny surowiec, że tyle trzeba nad nim się trudzić , nim "zło" z niego zostanie wymłócone i wytrawione. Stopień jego zabrudzenia i nasycenia grzechem (zrośnięcie się ze złem) powoduje, że praca "automatu świętości" jest mocno obciążona. Współczynnik oporu i ograniczonej wydajności mechanizmów transmisji wzrasta jeszcze przez to, że chrześcijanin w każdej chwili może nie wytrzymać operacji, załamać się i wypaść z trybów "automatu świętości". Każdy dobry chrześcijanin czuje te trudności i dlatego też w duszy jego ustawicznie wzbiera poczucie nędzy, słabości, nikczemności własnej i pogardy dla siebie. Im bardziej się czuje słabym i upadłym, tym większy podziw znajduje u swoich braci.

Istotnie, surowiec ludzki w automacie świętości czuje swoją kruchość, i to jest w zupełności uzasadnione. Przejść przez poszczególne prasy automatu i nie być uszkodzonym, zmiażdżonym, to sztuka nie dla wszystkich. Dlatego też każdy dekadent krzyża w męce transformowania swej istoty zwraca swe oczy ku Chrystusowi, błagając o pomoc. Pomoc "stamtąd" musi przyjść, gdyż inaczej dekadent nie wytrzyma męki "uszlachetniania". Świat "prawdziwy" musi interweniować, wspomagając wyznawcę udręczonego męką transformacji. Chociaż on wie, że cierpieć musi, gdyż:

"A którzy są Chrystusowi, ciało swe ukrzyżowali z namiętnościami i pożądliwościami" (św. Paweł, „Do Galatów", 5, 24); wie, że uzasadnienie tego cierpienia jest arcypoważne: "Albowiem nie mamy tu miasta trwałego, ale onego przyszłego szukamy" (św. Paweł, „Do Żydów", 13, 14) - to jednak bez pomocy zaświatów, bez pociechy, nie wytrzyma mąk przeistaczania się i uświęcania.

"Im więcej człowiek grzeszył, tym większe brzemię win leży na dnie jego duszy; a im więcej Bóg każe mu za nie cierpieniami odpokutować, tym więcej potrzebuje on pociechy" (ks. L. E. Bougaud, „Życie chrześcijańskie", s. 123).

Wyznawca krzyża łaknie więc lekarstwa na zbolałą duszę, gdyż to jest warunek dobrnięcia do końca przeróbki w automacie świętości. Rzecz jasna, że zbiorowe tęsknoty muszą wytworzyć instytucję, która je będzie zaspokajać. Tą instytucją jest "ciało mistyczne Chrystusa", "ciało ciągle krwawiące" i "obmywające z grzechów" - "Najświętszy Sakrament" - ciągle odnawiające się w eucharystii, mszy świętej. Stamtąd promieniuje łaska, która wlewa lekarstwo i moc wytrwania w dusze znajdujące się na warsztacie automatu świętości.

"Najświętszy Sakrament jest zbawieniem duszy i ciała i lekarstwem przeciwko wszelkiej niemocy ducha; on leczy złości moje, on hamuje namiętności moje, on zmniejsza i zwycięża pokusy moje; on większą łaskę wlewa; on cnotę pomnaża, wiarę umacnia, nadzieję pokrzepia..." (Tomasz á Kempis, op. cit., IV, 4, 2).

Obolały, bliski załamania dekadent ma więc tuż obok siebie, niemal dotykając zmysłowo, cząstkę zaświatów, specjalnie zainstalowaną przez bóstwo dla niego, dla pobudzenia w nim woli wytrwania. Chrystus nie tylko naucza i daje przykład, ale zaszczyca swych wyznawców osobistą obecnością i zachętą w trakcie ich codziennych zajęć w noszeniu "krzyży". Najświętsza ofiara ołtarza to nie tylko symbol: "Jest to prawda według Soboru Trydenckiego, że Najświętsza Ofiara Ołtarza nie różni się od Ofiary Kalwaryjskiej, tylko sposobem, w jaki się dopełnia. Na krzyżu ta czcigodna ofiara była poświęcona z wylaniem krwi, a na ołtarzu podczas Mszy św. ofiaruje się bezkrwawo. Na krzyżu Jezus sam przez się siebie ofiarował, tutaj zaś ofiaruje się za pośrednictwem kapłana. A pomimo to pod wielu względami zdaje się, że Msza św. ma znakomitszą wyższość niż Ofiara Kalwaryjska" (ks. J. Mach, op. cit., t. I, s. 290).

Każdy wyznawca Chrystusowy odbywając swoją drogę krzyżową wie, że: "...w kościołach przebywa dniem i nocą żywy Pan Jezus, Pan nasz i Bóg. Ukrył się w Najśw. Sakramencie pod postacią chleba, abyśmy bez bojaźni do Niego przychodzili. Aby uczcić Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, odwiedzamy Go, uwielbiamy (adoracja), bierzemy udział we Mszy św. i błogosławieństwie Najśw. Sakramentu" („Katechizm religii katolickiej", 1945 r.).

W duszę bolejącą musi wstąpić otucha, gdy widzi tyle o nią troski bóstwa. "Msza święta jest to nieustająca ofiara Nowego Zakonu, w której przez ręce kapłana ofiaruje siebie Jezus Chrystus swemu Ojcu Niebieskiemu pod postaciami chleba i wina, aby oddać Bogu cześć najwyższą, a ludziom wyjednać miłosierdzie. Jezus ofiarując się we Mszy św. nie cierpi wprawdzie i nie umiera, lecz schodząc pod marne, nikłe, maleńkie postacie chleba i wina, pozostaje nieruchomy i bezwładny, rezygnując nie tylko z należnego blasku i majestatu Syna Bożego, lecz nawet z postaci ludzkiej, upokarza się, odziera się z chwały mu należnej i przez to ponosi rzeczywistą ofiarę. A więc sam Chrystus, Syn Boży... jest tym, który odprawia Najśw. Ofiarę. I stąd płynie nieskończona dostojność i nieograniczona skuteczność Mszy św. Kapłan jest tylko widzialnym narzędziem i zastępcą Chrystusa" (ks. dr Kazimierz Thullie, „Życie chrześcijanina", s. 53).

Ogromna jest doniosłość przenajświętszego sakramentu. Nie jest on tylko widomym znakiem i pomocą zaświatów dla zmagań dekadenta z trudnościami udoskonalenia jego duszy, ale także dowodem braku gniewu i świadectwem łaskawości nieprzebranej. "Jeśli pomimo tylu swych zbrodni świat nasz dotąd jeszcze istnieje, jeśli gniew Boży jeszcze się na niego nie wylał, to jedynie dzięki sakramentalnej obecności Pana Jezusa... Pan Jezus, utajony w Najśw. Sakramencie, zamieszkał wśród nas, stał się naszym współziomkiem, sąsiadem może, aby nie przerywać modlitwy rozpoczętej w Betlejem" (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 442).

Narzuca się pytanie, w jaki sposób Najświętszy Sakrament pomaga pokonać trudności związane z transmisją zła na dobro. Na pierwszym miejscu moglibyśmy wymienić sakramenty, wśród nich zaś szczególną wagę posiada sakrament pokuty: "Jest to sakrament, w którym przez rozgrzeszenie kapłańskie odpuszczają się grzechy po chrzcie świętym popełnione, to jest skruszonemu, spowiadającemu się... Od świętych doktorów Kościoła chrztem drugim, czyli pracowitym nazwany, dlatego, że kiedy pierwszej łaski na chrzcie dostąpiliśmy bez żadnej naszej pracy, utraconej odzyskać nie możemy, jeno wielką pracą i gorzką pokutą" (ks. Józef Krukowski, „Nauki katechizmowe", s. 365).

Dzięki pokucie tonący w poczuciu niemocy i nędzy surowiec ludzki odzyskuje na krótko blask łaski i wolności od ciężarów. Kontakt z aparatem magii, zmysłowe niejako muśnięcie zaświatów przywraca nadzieję i ciągle niknącą pewność.

"Chrystianizm nie jest czystym objawieniem ducha: chrześcijanizm to objawienie Boga w kształcie widzialnym, człowieczym... zasadniczej sakramentalnej istocie chrystianizmu odpowiada fakt, że jego poszczególne łaski i błogosławieństwa obleczone są również w formy widzialne... Sakramenta chrześcijańskie, jako czynniki nieodzowne, są od samego początku uzupełnieniem istoty chrystianizmu" (K. Adam, op. cit., s. 27).

"Pokuta jest cnotą przez którą zadosyć czynimy Bogu za zniewagi grzechowe, wynagradzamy w miarę sił za grzechy i niszczymy w sobie następstwa grzechowe. Pokuta niweczy siłę grzechu, gładzi karę... Bóg chce szczerego, pokornego, połączonego z żalem wyznania grzechów" (O. T. Pesch, op. cit., t. I, s. 211).

Poprzez pokutę i skruchę łamiący się wyznawca odzyskuje znowu moc wytrwania. Im bardziej szczerze i wylewnie to uczyni, tym lepiej. "Winowajca, okryty wszelką hańbą i zawstydzeniem, cóż powiem?... zgrzeszyłem. Panie, zgrzeszyłem; zmiłuj się nade mną... czegóż bardziej wymagasz od winnego i nędznego grzesznika, jak żeby się skruszył i upokorzył za grzechy swoje? W prawdziwej skrusze i pokorze serca rodzi się nadzieja przebaczenia, uspokajają się trwogi sumienia, odzyskuje się straconą łaskę, ubezpiecza się człowiek od przyszłego gniewu Bożego..." (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 52, 3).

Drugi sposób oddziaływania magii Chrystusowej polega na totalnym upowszechnieniu problematyki wspakultury krzyża poprzez dotarcie jej symbolu, zawierającego centralną ideę chrześcijaństwa, do każdego odruchu każdego wyznawcy w każdej chwili. Inaczej mówiąc chodzi tu o liturgizację życia. Symbolem chrześcijaństwa jest znak krzyża. Zadanie zostanie spełnione, gdy w każdej chwili każdy członek Kościoła jako oś swego czucia, myślenia i postępowania będzie miał ideę symbolizowaną przez krzyż.

Do tego, aby każdy odruch ludzki obracał się wokół osi, którą tworzy krzyż, potrzeba uczestniczyć w nabożeństwach jako misteriach, gdzie rozpamiętywa się mękę Chrystusa i jego ofiarę. Gdy symbol życia przenika życie duchowe, słabnie niepewność i rozproszenie wewnętrzne wyznawców.

Stąd też udział w nabożeństwach jest tak ważny.

"Kościół święty nakazuje wysłuchać Mszy św. w niedzielę i święta, ponieważ przez ofiarę Mszy św. składamy Panu Bogu najwyższą cześć, do czego szczególniej jesteśmy obowiązani w dni święte...

Wysłuchać Mszy św. w niedzielę i święta jest obowiązany każdy katolik" („Katechizm religii katolickiej", 1945 r.).

Bardziej apodyktycznie zaleca to św. Ignacy: "Kto nie przebywa w pobliżu ołtarza, pozbawia się chleba żywego... Kto więc nie uczęszcza na wspólne zgromadzenia, unosi się pychą..." („Do Efezjan", 5, 2, 3).

Rozpamiętywanie życia Chrystusa prowadzi najpewniej do wejścia na właściwą drogę. Na tej drodze chwiejący się znajdują jasny drogowskaz: "Kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności (J 8, 12) mówi Pan. Oto są słowa Chrystusa, którymi nas upomina, abyśmy naśladowali życie i czyny Jego, jeśli się chcemy oświecić prawdą, a pozbyć się wszelkiej ślepoty serca. A więc rozpamiętywanie życia Jezusa niech będzie główną szkołą naszą" (Tomasz á Kempis, op. cit., I, 1, 1).

Na tym też polega ogromna rola wychowawcza liturgii. "Kościół jest przede wszystkim instytucją wychowawczą... Cała opieka duchowa, którą nas Kościół od kolebki otacza: nauka wiary, Sakramenta, nabożeństwa, wszystko to do tego zmierza celu, aby nas wychować na dobre dzieci Boże... W tej wielkiej pracy wychowawczej liturgia ma wyznaczone pierwszorzędne miejsce, można pójść dalej i śmiało powiedzieć nie tylko pierwszorzędne, ale pierwsze miejsce" (ks. J. Woroniecki, op. cit., s. 169).

Nasilenie magii liturgicznej jest jednym z głównych środków pokonywania oporów, które wyznawca napotyka w pracy transmisji zewnętrznej i wewnętrznej. Gdy wydaje się mu, że nie potrafi już dłużej wytrzymać męki transformacji na coraz wyższe szczeble "cnót", uporczywa magia skojarzeń podciąga go, wyrównuje kierunek pragnień i woli. Jego współudział polega na kroczeniu torem narzuconych mu skojarzeń myślowo-emocjonalnych. Tu mamy miejsce na modlitwę. Modlitwa to włączanie swej woli w łożysko już gotowych sformułowań, prowadzących przez łańcuchy myśli i korytarze skojarzeń ku postaci Chrystusa jako pomostu "tam".

"Modlitwa według św. Jana Złotoustego jest w rzeczy samej bronią najpotężniejszą do zwyciężania nieprzyjaciół duszy. Ona jest skarbem niewyczerpanym, który zawiera niezmierne bogactwa; ona jest źródłem i zarodkiem wszelkiego dobra" (ks. J. Mach, op. cit., I, s. 102).

Gdy utrzymamy się w łożyskach modlitwy, tym samym utrzymujemy naszą wolę w automacie świętości. Stąd jej ogromna rola stabilizująca nastrój duszy niezbędny dla utrzymania pionu wspakultury Chrystusowej.

"Powinniśmy pilnie dążyć do stanu duszy... modlitwy Pańskiej: Ojcze nasz: Skoro więc wyraźnymi słowy wyznajemy, że Bóg i Pan wszystkiego świata jest ojcem naszym, to chyba On naprawdę ze stanu niewolników przybrał nas Sobie za synów; więc zaraz dodajemy: 'któryś jest w niebiesiech', abyśmy pamiętali, że to życie na ziemi jest wygnaniem, które nas daleko oddala od Ojca naszego. Powinniśmy więc uciekać stąd z obrzydzeniem, a śpieszyć raczej z największą tęsknotą do owej krainy, gdzie bawi Ojciec nasz. Nie dopuszczajmy więc niczego, co by nas uczyniło niegodnymi tego powołania..." (Jan Kasjan, op. cit., IX, 18).

W tym ujęciu modlitwa jest rozpaczliwą autosugestią dekadenta, który na podstawie magii założeń dogmatycznych usiłuje utrzymać siebie w podhalucynacyjnym stanie "wiary".

"Modlitwa jest dla duszy, według zdania Ojców Kościoła, tym, czym deszcz jest dla zasiewów, czym mur obronny dla miasta, czym maszt dla okrętu, czym woda dla ryb, czym słońce dla natury" (ks. J. Mach, op. cit., t. I, s. 103).

Ażeby zorientować się, czym jest modlitwa, należy pobieżnie zastanowić się nad jej intencjami.

Weźmy Skład Apostolski i prześledźmy, jakie skojarzenia i postawy emocjonalne powinien on wywoływać u modlącego się. Skład Apostolski zawiera 12 części, czyli artykułów wiary. 1. Wierzę w

Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, 2. i w Jezusa Chrystusa Syna Jego Jedynego, Pana naszego, 3. który się począł z Ducha Świętego, narodził się z Maryi Panny, 4. umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion, 5. zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał, 6. wstąpił na niebiosa, siedzi po prawicy Boga Ojca Wszechmogącego, 7. stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych, 8. wierzę w Ducha Świętego, 9. święty Kościół Powszechny, Świętych obcowanie, 10. grzechów odpuszczenie, 11. ciała zmartwychwstanie, 12. żywot wieczny. Amen.

Wyraziście widzimy tu tendencję do uczynienia idei centralnej krzyża kręgosłupem wszelkich odczuć i poruszeń psychiki. Gdy się to udaje, wówczas łatwiej przebiega ewolucja wewnętrzna człowieka w automacie świętości. W umyśle ogarniętym podnieceniem podhalucynacyjnym słabną siły odśrodkowe i łatwiej jest przejść uciążliwą mękę przemiany od utrapienia do "miłości", od niej do "nadziei", a stąd dotrzeć na szczyt "wiary", gdzie dusza już obcuje z bóstwem.

Ale dla słabego i nędznego wspakulturowca nawet takie dawki magii nie są wystarczające. Pragnie on kontaktu z zaświatem, a więc z Chrystusem, w bezpośredni, zmysłowy sposób. Tym jest kontakt za pomocą organu trawiennego. Zjada więc "ciało" i "krew" Chrystusa w sakramencie "komunii świętej". Uzasadnienie otrzymujemy proste i szczere: "...Zmysł bowiem i myśli serca człowieczego skłonne są do złego od młodości swojej, a jeśli to lekarstwo Boże nie przychodzi w pomoc, człowiek w coraz gorsze zło wpada. Święta Komunia odciąga od złego, a umacnia w dobrym" (Tomasz á Kempis, op. cit., IV, 3, 3).

Trawiąc "ciało" i "krew" Chrystusa Pana, ma wyznawca słodkie uczucie pewności, że teraz to już wszystko w porządku. Przydałyby się może jeszcze tylko cuda. Na nie oczekuje stale. Jest pod opieką zaświatów i nie powinien przejmować się niczym, co należy do tego świata. Oczekiwanie na interwencję "stamtąd", na "cud boski", na "natchnienie ducha św.", na "sprawiedliwość boską", na takie lub inne objawienia, przeznaczenia, proroctwa, to stała cecha środowisk przeżartych przez wspakulturę.

Za pomocą automatu świętości Chrystus i chrześcijaństwo chcieli odwrócić kierunek rozwojowy życia na globie ziemskim. Niepodobna powstrzymać się od najwyższego zdumienia, podziwu dla genialności i perwersyjności pomysłu Chrystusowego. Ażeby to uwypuklić, moglibyśmy w nieskończoność mnożyć wypowiedzi samych chrześcijan, wielkich i małych, dawnych i dzisiejszych, w całości pokrywające się z naszymi wywodami.

O tym, czy jakiś system teoretyczny jest prawidłowy lub nie, rozstrzyga jego zdolność wyjaśniania szeregu faktów w sposób powodujący przyrost mocy sprawczej, rozumianej jako zarys możliwej akcji, wyzwalającej nowe siły, dzielność itd. Sądzimy, że nasz wykład tym wymogom odpowiada, chociaż z pewnością nie znajdzie uznania u wyznawców wiadomych "prawd".

Rozdział XI. Zniszczenie Kultury antycznej przez chrześcijaństwo.

1. Prachrześcijaństwo

Ażeby zrozumieć chrześcijaństwo na tle historii, trzeba mieć ogólne perspektywy historiozoficzne, ugruntowane na zasadach panhumanizmu. Możemy je tu podać w skrócie. A więc najpierw fundamentalne założenie: osią dziejów ludzkości jest zmaganie się panhumanizmu z wspakulturą.

Wszystko inne nosi charakter pochodny. Uprzytomnijmy sobie, że historia człowieka na globie ziemskim dopiero się rozpoczyna. Znajdujemy się w końcowej fazie doniosłego doświadczenia, które stanowi wprowadzenie do nowego rozdziału historii. Mówiliśmy już, że człowiek taki, jakim go znamy, jest "człowiekiem natury", w tym rozumieniu, że rodzi się i dojrzewa obdarzony organem geniuszu człowieczego; praca tego organu w jego ciele wyraża się w stałym napięciu motorycznym woli tworzycielskiej, która nie ma jednak prawidłowej przekładni na dzieło ewolucji tworzycielskiej. Wskutek tego człowiek natury to istota ułomna. Nie wiemy właściwie

nawet, jakie rysy charakteryzowałyby człowieka, gdyby on był w pełni sobą, czyli w kondygnacji kulturowej.

Możemy się tylko domyślać na podstawie stylu, który reprezentują żywoty wielkich twórców i bohaterów. Od niezliczonych stuleci znamy człowieka tylko jako istotę natury. Ułomność człowieka natury jest przyczyną niezmiernych cierpień. To powodowało, że ludzkość dążyła do przezwyciężenia tej formy istnienia.

Przezwyciężenie człowieka natury w zasadzie może być dokonane tylko w jeden sposób: przez pełne uruchomienie ewolucji tworzycielskiej świata, wyzwolenie panhumanizmu. Jak już mówiliśmy, człowiek powoli do tego dojrzewa. Dziś dopiero stawiamy pierwsze hipotezy co do naszego panhumanistycznego posłannictwa. Zapoczątkowanie tego dzieła z pełną świadomością będzie epokową rewolucją człowieczą. Na rzecz jej możemy już dziś pracować, szkic niniejszy ma służyć przyśpieszeniu jej nadejścia.

Ludzkość porwała się już raz ku torowaniu drogi do panhumanizmu. Około trzech tysięcy lat temu w kilku punktach globu możemy stwierdzić wyraźną krystalizację ognisk kulturowych, skierowanych na panhumanizm. Są to ogniska kultury naturalistycznej, o wysokim spiętrzeniu emocjonalnym. Mniej więcej w tym samym czasie krystalizuje się świadomość panhumanizmu w Chinach, Indiach, Iranie i Europie. Widzimy tam napięte doznanie panteizmu ewolucyjnego, woli pełni życia i woli mocy. Jednaką tęsknotą do sprawczej mocy i kultury pałają systemy taoizmu w Chinach, hymny Rigwedy w Indiach, normy Zoroastra i wyobrażenia religijne żywotnych plemion greckich, germańskich, słowiańskich. Nie udało się jednak stworzyć systemu pojęć i systemu społecznego, który pozwoliłby przeistoczyć napięcia w codzienną aktywność każdego człowieka.

Warunki do tego dojrzewają dopiero dziś. Po okresie bezowocnych poszukiwań przyszło znużenie.

Człowiek natury, zdobywając się na najwyższe napięcie, w końcu stracił nadzieję, że do panhumanizmu potrafi się podnieść. I wówczas to zrodziło się zwątpienie najgłębsze, które doprowadziło do poszukiwań we wręcz przeciwnym kierunku. Była nim idea pozbycia się, wyizolowania geniuszu człowieczego. W ten sposób został wykreślony kierunek marszu ku wspakulturze. Zdecydowanie sformułował go Budda gdzieś w 530 r. p. n. e. Był to znak zdecydowanego załamania się prób wyjścia ku panhumanizmowi. Rozpoczęła się era wspakultury, trwająca do naszych dni.

Era wspakultury to kilka wielkich epidemii: buddyzm, braminizm, chrześcijaństwo, islam.

Rozwijały się one na podłożu ludzkim, które powstawało z rozkładu prób naturalizmu, o których mówiliśmy. Rozkład ten wszędzie przybierał formę "intuicyjnej konspiracji wspakultury". Szerokie masy, cierpiąc pod ciężarem rozkładających się konstrukcji światopoglądowych, a następnie i społeczno-materialnych, wchodziły w labirynt wspakulturowego sprzysiężenia.

Około dwóch tysięcy lat temu intuicyjna konspiracja wspakultury panuje już powszechnie w dołach społecznych basenu śródziemnomorskiego, szczególnie Małej Azji. Jeśli chodzi o szyfrowany język tej konspiracji, to pochodził on z trzech źródeł. Najpierw z Indii, gdzie upowszechnił się już buddyzm. Przybywał stamtąd w szatach mglistego mistycyzmu. Rychło zapłodnił on proroków starohebrajskich i wpływał na styl objawień Starego Testamentu. Niezależnie zaś od tego odbywał się rozkład w kulturze starożytnej Grecji, zapoczątkowany przez Sokratesa. On to sprawił, że geniusz grecki nie potrafił przeciwstawić się nawale wspakultury w kręgu późniejszego imperium rzymskiego.

Podboje Aleksandra Wielkiego spowodowały, że intuicyjna konspiracja wspakultury jako podstawowy czynnik świata antycznego otrzymała dodatkowy bodziec, przyśpieszający jej dojrzewanie - przemieszanie się pojęć i wyobrażeń wspakulturowych z trzech ognisk, o których mówiliśmy. Tak powstaje zjawisko "hellenicyzmu". Zwracam uwagę, że istotnym fundamentem

hellenicyzmu jest rozwój intuicyjnej konspiracji wspakultury, dojrzewającej jako wynik załamania się prób ludzkości wyjścia ku panhumanizmowi. To czynnik zasadniczy. Jego dojrzewanie przyśpiesza tylko fazę hellenicyzmu. Hellenicyzm w istocie swej jest tylko upowszechnieniem się różnych sformułowań tych samych pierwiastków wspakultury. Szczególną rolę odgrywają tu teorie filozoficzne sokratyków: spirytualizm Platona, moralizm Pyrrona, nihilizm Epikura i stoików, personalizm i wszechmiłość cyników, hedonizm cyrenaików. Tam, gdzie na czoło zaczyna się wysuwać magizm starohebrajskiego spirytualizmu, hellenicyzm przechodzi w nową fazę, którą nazwiemy prachrześcijaństwem. Prachrześcijaństwo w tym ujęciu oznacza stan umysłów szerokich mas, podminowanych intuicyjną konspiracją wspakultury, tyle że w tym luźnym zgrupowaniu pierwiastków psychika ogółu przechyla się ku magii spirytualizmu. Ewangelie dają świadectwo o wielkim rozprzestrzenieniu się intuicyjnej konspiracji wspakultury w masach świata antycznego.

Gleba była już dojrzała do przyjęcia ziarna Chrystusowego. Masy żyły już pragnieniem ucieczki w jakiś inny świat, gdzie nie będzie cierpień zatruwających życie, a poza tym dręczył je "grzech", wewnętrzny rozstrój emocjonalny, na którym później rozwinie się moralizm. Gdy więc zjawiał się Jan Chrzciciel, mówiąc: "Czyńcie pokutę... wtedy wychodziła do niego Jerozolima i wszystka Judea, i wszystek kraj około Jordanu. I byli chrzczeni... spowiadając się z grzechów swoich..." (Mt 3, 1, 6).

Intuicyjna konspiracja wspakultury jako produkt żywiołowego rozkładu posiadała też znamienną jej cechę: neutralizowanie się dynamiki poszczególnych pierwiastków dzięki przeciwieństwom kierunków parcia. To właśnie znamionowało prachrześcijaństwo. Ani rozłożone masy, ani żaden dekadent z osobna nie mogli dać sobie rady z rozbieżnymi tendencjami w podziemiach swej psychiki. Dzięki temu prachrześcijaństwo nie może wydobyć się na zewnątrz, wystąpić ze zwartym światopoglądem, systemem zespalających norm, zdolnym do obalenia władającego światem człowieka natury w postaci takiego lub innego państwa, zwróconego do świata. Podziemia intuicyjnej konspiracji w całym imperium rzymskim łakną wskazówek, jak mają zestroić sprzeczne tendencje rodziny pierwiastków wspakultury, pragną wspólnego mianownika dla norm postępowania, odpowiedzi na pytanie: co czynić? Ten, kto przeniknie opary podziemia i zestroi rozbieżne tendencje w jeden rytm, otwierający tym samym świat do ekspansji wspakultury, będzie wytęsknionym "objawicielem".

2. Lawina Chrystusowa.

Intuicyjna konspiracja wspakultury wzbierała zapewne już długo, lecz wiele przemawiało za tym, że w kręgu imperium rzymskiego nieprędko będzie ona mogła opuścić swoje podziemie psychiczne. Zmienił to do gruntu wynalazek Chrystusowy. Zainstalowanie "automatu świętości" wyzwala taką potęgę, że runąć musiała równowaga świata antycznego. Być może wpływ totalnych wspakultur z Indii w jakiś sposób wpłynąłby na tok wypadków w Europie, ale sądzić należy, że stałoby się to ze znaczniejszym opóźnieniem.

Pomysł automatu świętości zrodził się u Chrystusa dosyć nagle, gdyż ruszając w świat, by go instalować, nie miał on przemyślanego planu. Uderzające, że nie przyszło mu na myśl, by potraktować swój pomysł jako coś, co ma zastosowanie w całym świecie. Wprawdzie wypowiedział on zdanie: "idźcie i nauczajcie narody", jednak właściwie jego praca dotyczy narodu żydowskiego. Automat świętości pierwotnie przeznaczony był dla Żydów. Wobec tego, jako objawiciel woli zaświatów, musiał się stać synem Jehowy i mesjaszem żydowskim. Z niecierpliwym pośpiechem, właściwym każdemu wynalazcy, chce Jezus uszczęśliwić przede wszystkim swych ziomków. Ażeby jednak automat świętości zainstalować, trzeba mieć władzę polityczną. Korzystając z jej pomocy zbuduje się Kościół, czyli instytucję, która będzie stosować wynalazek wobec każdego członka społeczności żydowskiej. Ale na drodze do władzy stoją stare instytucje, które stawiają opór. Rozpoczyna się walka. Prawem walki jest użycie siły. Chrystus próbuje ją skupić w swoim ręku. Najpierw więc stara się podporządkować sobie nacjonalizm mas żydowskich, tęskniących do samodzielności politycznej. W tym celu ogłasza się spodziewanym "mocnym mężem Jehowy", prościej nawet - jego synem. Oprócz tego usiłuje włączyć do swych szeregów ruch społeczny ubogich warstw - ebionim - dążących do reform ustrojowych. Tak więc Chrystus wprzęga do swego

wozu trzy konie pociągowe. Zasadniczą siłą jest intuicyjna konspiracja wspakultury. Ją to właśnie zamierza Chrystus uczynić podmiotem historii. Do takich rzesz są skierowane słowa: "Aleć wam powiadam prawdziwie: są niektórzy z tych co tu stoją, którzy nie ukuszą śmierci, aż oglądają królestwo Boże" (Łk 9, 27).

Ażeby jednak uzyskać sukces polityczny, należy apelować do sił całkiem innego pokroju.

Przemawia więc mesjasz: "zaprawdę powiadam wam, że wy którzy pójdziecie ze mną... będziecie siedzieć na dwunastu stolicach, sądząc dwanaście pokoleń izraelskich" (Mt 19, 28). Wielu Żydów tak właśnie pojmuje "mesjasza". Wobec tego o stanowiska, i to wysokie, upominają się z góry.

Matka Zebedeuszowych synów tak oto przemawia do Chrystusa: "Rzecz, aby siedzieli ci dwaj synowie moi, jeden po prawicy twojej, a drugi po lewicy w królestwie twoim... Ale Chrystus odpowiadając rzekł: Nie wiecie o co prosicie" (Mt 20, 21, 22).

Trudno mu się przyznać wyraźnie, że królestwo jego nie jest z tego świata, jak to czyni gdzie indziej, gdyż utraciłby w ten sposób z szeregów swoich tych, którzy chcą potęgi, znaczenia Izraela, i miejsca dla siebie w tej przyszłej wspaniałości.

Tak samo musi postępować Chrystus z ruchem "ebionim", wprzęgając jego dążenia ekonomicznopolityczne do utwierdzania wspakultury. Deklaruje zatem wspólnotę z ruchem "ebionim", podkreśla, że: "cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili" (Mt 25, 40), ale cóż, kiedy ubóstwo "tu" jest raczej cnotą, gdyż przybliża zrozumienie prawd wspakultury, dlatego ubóstwo raczej winno być pielęgnowane, nie zaś likwidowane, jak chcieliby tego bojownicy reform społecznych.

Próba wypłynięcia na fali nacjonalizmu i ruchów społecznych zawiodła, a elementy dekadenckie nie dały się poruszyć w dostatecznej mierze. Apel do nacjonalizmu ze strony "mesjasza", a więc mocnego męża Jehowy, który ma osłaniać naród w ciężkich chwilach historii, patrioci żydowscy traktują jako podstępną, nieuczciwą demagogię. Na naradzie kapłanów ocenia się akcję Chrystusa następująco: "Jeśli go tak zaniechamy, wszyscy weń uwierzą i przyjdą Rzymianie, i zabiorą nasze miejsce, i naród" (J 11, 48).

Wobec tego wniosek narzuca się sam. Wykłada go Kajfasz w takich słowach "...lepiej dla was, aby jeden człowiek umarł za lud, a nie cały naród zginął" (J 11, 50). Oburzać ich musiała demagogia człowieka, który ogłosiwszy się wysłańcem Jehowy, w momencie gdy toczy się walka o być lub nie być narodu, chce wziąć władzę, by całe życie nastawić na osiągnięcie "tam", rezygnując tym samym z bardzo konkretnego "tu". Była to właściwie droga do samobójstwa zbiorowego, znajdująca żywy oddźwięk w intuicyjnej konspiracji wspakultury.

Do podobnego konfliktu doszło z ruchem "ebionim". Dążył on do poprawy stosunków społecznomaterialnych i sprzeciwiał się wtłoczeniu go w łożysko abnegacji jako drogi do cnót pokory i miłości. Na tym właśnie tle doszło do rozbratu z Judaszem. Tak więc w decydującym momencie opuściły Jezusa te siły, które on włączył do swego dzieła. Zwycięsko wkraczający do Jeruzalem, witany okrzykami tłumów, staje się nagle Chrystus ściganym przestępcą, chociaż te partie ewangelii są nieznane. Ostatecznie pucz się nie udał. Chrystus politycznie przegrał. Automat świętości nie został zainstalowany. Pierwotna idea Chrystusa - zainstalowanie automatu świętości tylko w ramach narodu żydowskiego - nie udała się. Chrystus zginął na krzyżu. Odpadli sprzymierzeńcy: nacjonalizm i "ebionim". Pozostała nieliczna grupka wspakulturowców, która wypróbowała już na sobie działanie wynalazku Chrystusowego. Nie pozostawało nic innego, jak ruszyć w szersze środowisko, pogańskie. Klęska polityczna Chrystusa wśród Żydów pozwoliła na radykalne sformułowanie doktryny. Zerwane zostały więzy krępującej tradycji i zaródź totalnej wspakultury krzyża musiała stanąć pod własną flagą. Dzięki oderwaniu się od problematyki żydowskiej idea Chrystusa mogła być zredagowana w sposób skrajny, bezkompromisowy. Pochodzenie doktryny stało się już tylko obrazową symboliką, służącą ułatwieniu wykładu: "całe

Pismo Boże, uprzednio napisane, dla zwiastowania przyjścia Pańskiego zostało napisane, i cokolwiek po tym przez pismo podano i przez pismo stwierdzono, to wszystko Chrystus opowiada" (św. Augustyn, „Początkowe nauczanie religii", IV).

Odtąd chrystianizm zwraca się do pogan, gdyż: "...Bóg nie ogląda się na osoby, ale w każdym narodzie ten, kto się go boi, a czyni sprawiedliwość, jest mu przyjemny" (Dz Ap 10, 34, 35). Jest to zrozumiałe, że "...Żydowie... napełnieni zazdrością... sprzeciwiali się temu, co Paweł powiadał. A Paweł i Barnabasz... rzekli: Wamci najprzód musiało być opowiadane słowo Boże; ale ponieważ je odrzucacie, a sądzicie się być niegodnymi żywota wiecznego, oto się obracamy do pogan... A słysząc to poganie radowali się..." („Dz. Ap." 13, 45-48).

Świat antyczny stawał się terenem ekspansji wynalazku Chrystusowego. Było to ułatwione, gdyż intuicyjna konspiracja wspakultury obejmowała już całość imperium. Gorączka zaszczepiona przez sokratyków trawiła kulturę antyczną. W samej Grecji "Wszyscy Ateńczycy i cudzoziemscy goście niczym inszym się nie zajmowali, tylko powiadaniem lub słuchaniem nowin" („Dz. Ap." 17, 21).

Wszędzie też nauka znajduje zwolenników. Do swego łożyska ściąga ona wątki starszych schorzeń.

W pierwszym rzędzie sokratycy zasilają pączkujący Kościół. Stwierdza się, że "Platon... tak filozofował, że zbliżył się ku prawdzie" (Laktancjusz, „Epitome", XXXVII). Św. Justyn, filozof z powołania i zawodu, wychodzi z założenia, że chrześcijaństwo jest filozofią, i to filozofią jedynie prawdziwą. W jego przekonaniu między nauką najznakomitszych filozofów pogańskich a chrześcijaństwem nie ma sprzeczności zasadniczej. "Tak wyznaję, jestem chrześcijaninem, ale nie dlatego nim jestem, jakoby nauka Platona zgoła odmienną była od nauki Chrystusowej, tylko dlatego, że niezupełnie jest do niej podobna, jak i wszystkich innych stoików, poetów, czy wreszcie pisarzy". Gdzie indziej zaś powiada: "W niektórych rzeczach zgadzamy się z poważanymi przez was poetami i filozofami, i tylko w niektórych kwestiach mamy twierdzenia lepsze, Boga godniejsze, które my tylko sami dowodami poprzeć możemy" (św. Justyn, „Apologia"; Wstęp).

Spuścizna dekadentów sokratycznych jest przyjęta z aplauzem. Wykłada się "...zapatrywania prawie wszystkich filozofów, których sława przeważnie na tym polega, że o jednym Bogu, chociaż pod wielu nazwami uczyli, aby każdy mógł wierzyć, że albo teraz chrześcijanie są filozofami, albo filozofowie już wtedy byli chrześcijanami" (Minucjusz Feliks, „Octavius", 20, 1).

Filozofia rozkładającej się Grecji służy do podmurowania "prawdy". Wyrzuca się z niej natomiast jej jądro - istotne osiągnięcia, na których oprze się myśl ludzka po przezwyciężeniu czadu Chrystusowego w najnowszych czasach. Choroba dostosowuje do swoich potrzeb wszystko:

"Filozofia jest niewątpliwie dobrem, bardzo wielkim i cennym w oczach Bożych, bo ona jedna prowadzi nas i zbliża do Boga... Każdy przeto człowiek powinien filozofować i to właśnie uważać za najważniejsze... wszystkie inne sprawy stają się pożytecznymi i uwagi naszej godnymi, o ile wypływają z filozofii; od niej zaś oderwane i związku z nią pozbawione są podłe i niegodne, by się nimi zaprzątać" (św. Justyn, „Dialog...", 2, 1).

Pierwsze gminy wśród pogan szybko się rozwijają, błyszcząc cnotami, które muszą hipnotyzować podminowane środowisko. "A wszyscy, którzy uwierzyli, byli pospołu, i wszystkie rzeczy mieli wspólne. A osiadłości i majętności sprzedawali, i udzielali ich wszystkim, jako komu było potrzeba.

A na każdy dzień trwając zgodnie w Kościele i chleb łamiąc po domach, przyjmowali pokarm z radością i w prostocie serdecznej; chwaląc Boga i mając łaskę u wszystkiego ludu" („Dz. Ap." II, 44-47).

Wszystko się rozkłada, upadają nawet zwykłe zainteresowania dla zdobycia środków na utrzymanie. O jakimś postępie produkcji czy usprawnieniach nie ma mowy. Sprzedaje się, co się ma, i dzieli, aby mniej się zajmować marnym światem. Gdy zbraknie dóbr, cierpią nędzę z radością i uciechą.

"Wstrzemięźliwość, jakby fundament jaki, przed wszystkim innym w duszy zaszczepiają, a potem wznoszą innych cnót budowanie. Pokarmu ani napoju żaden z nich do ust by nie wziął przed zachodem słońca, sądzą bowiem, że filozofowaniu powinno światło przyświecać, ciemności zaś okrywać powinny potrzeby cielesne. Przeto owemu zajęciu dzień poświęcają, tym zaś sprawom krótką tylko część nocy. Niejedni z nich, którzy płoną większym mądrości pragnieniem, tylko co trzeci dzień myślą o pożywieniu. Inni znowu z takim uniesieniem radości i wesela żywią się mądrością, która im podaje swe nauki obficie i szczodrobliwie, że prawie jeszcze raz tak długo wstrzymują się od jedzenia i co sześć dni zaledwie kosztują pożywienia koniecznie potrzebnego" (Filon wg Euzebiusza, „Historia kościelna", s. 73).

Mamy tu opis transmisji zewnętrznej. Rzucili wszystko, a teraz muszą znosić z radością udręki głodu. Im bardziej są wycieńczeni, tym więcej udręk, które przeistaczają się w cnoty pokory i miłości. Prowadzi to pośrednio do zaniechania najprostszych zadań i obowiązków. Wszyscy rozumieją dobrze słowa "zbawiciela" o nietroszczeniu się o dzień jutrzejszy.

Im bardziej rozwija się chrześcijaństwo, tym bardziej kurczy się i niknie to, co stanowi cywilizację antyczną. Odwrotność proporcji - oto reguła. Automat świętości pokazuje swoje możliwości. I oto miliony jednostek, na różnych szczeblach drabiny społecznej, przełamują się wewnętrznie. O ile dotąd byli to żołnierze, urzędnicy, filozofowie, rzemieślnicy, chłopi, niewolnicy, włączeni w rytm cywilizacji antycznej, to od poddania obróbce w automacie świętości stają się już tylko wyznawcami Chrystusa. Wychodzą z intuicyjnej konspiracji, zrzucają swoje brzemię: ten niecha swoich obowiązków urzędnika, ów przestaje być żołnierzem, oficerem, filozofem, nauczycielem, rzemieślnikiem. Każdy zwycięża pokusę marności doczesnych w ten sposób, że jego funkcje zawodowe w organizmie cywilizacji antycznej odpadają, zanikają, łamią się. Wprawdzie te bezimienne miliony są jeszcze na swoich stanowiskach, ale uprawiają już nieświadomie włoski strajk, systematyczny sabotaż. Jest to właśnie niewidoczny, lecz decydujący proces niszczenia substancji cywilizacji. Energia życiowa milionów odwraca się od cywilizacji, a staje się siłą napędową automatu świętości. W tym kierunku nastawia się wytrwałość, "męstwo" i cierpliwość mas antycznych. Automat świętości ogarnia nieuchwytne obszary duchowe i przerabia je na entuzjazm "wiary". Im więcej go widzimy w świecie antycznym, tym słabsza się staje ekonomika, bierniejsze społeczeństwo, wątlejsza podstawa państwa. Rak Chrystusowy wyżera krew imperium rzymskiego, produkując szeregi biernych sabotażystów, nie pojmujących, czego od nich ktoś się jeszcze spodziewa, gdy oni wszak dążą do cnót i dobra.

"Cały czas od rana do wieczora poświęcają ascezie. Czytają bowiem księgi święte i metodą alegoryczną zagłębiają się w filozoficzne dociekania" (Euzebiusz, Historia kościelna, II, 17). Nie troszczą się o nic, tylko się modlą i cieszą utrapieniami. "Weselcie się zawsze w Panu... Pan blisko jest. O nic się nie troszczcie, ale w każdej modlitwie i błaganiu z dziękowaniem niech prośby wasze znane będą Bogu" (św. Paweł, „Do Filipian", 4, 4-6).

Nieubłaganie kruszy się świat antyczny, zapada w bagno, na powierzchnię natomiast wypływa utajona dotąd treść wspakulturowa. Zwalcza ona i spycha z powierzchni to, co jest jej przeciwieństwem, człowieka natury z jego namiętnościami i porywami. Upowszechnia się co innego. "Wszelka gorzkość i gniew i zagniewanie, i wrzask i złorzeczenie niech będzie odjęte od was wraz z wszelką złością. Ale bądźcie łaskawi jedni względem drugich, miłosierni, odpuszczając jeden drugiemu..." (św. Paweł, „Do Efezjan", 4, 31, 32).

Następuje coraz powszechniejsze odwracanie wszelkich wartości. "Ale wybrał Bóg głupstwa świata, aby zawstydził mądrych, i słabych świata Bóg wybrał, aby zawstydził mocnych" (św. Paweł, „Pierwszy list do Koryntian", 1, 27).

To, co było gangreną socjalną świata antycznego - niewolnictwo, upodlenie człowieka, nagle staje się ogniskiem najwyższych wartości. Im bardziej ktoś był poniżony, tym bardziej pasował do automatu świętości i tym więcej awansował. Niewolnictwo nabiera cech jakiegoś wybraństwa. Do niewolników zwraca się św. Piotr słowami: "Wy, rodzaj wybrany, królewskie kapłaństwo, naród święty..." I nie były to tylko pocieszenia nieszczęśliwych. Automat świętości idealnie pasował do stanu niewolniczego. Zło świata waliło na każdego niewolnika istną lawinę utrapień. Transmisja zewnętrzna szybko windowała go do najwyższych cnót. To samo z transmisją wewnętrzną. Mógł więc człowiek zdegradowany patrzeć odtąd z politowaniem na swych władców, z uciechą i radością znosząc baty i upokorzenia.

"Co to za radość było słyszeć, że prawda wyzwala, a niewola jest tam gdzie jest grzech. 'Kto jest od kogo zwyciężon, tego niewolnikiem i jest'. A kto zaś był więcej zwyciężon, jeśli nie ich panowie, oddani na łup tysiącznym namiętnościom. W obliczu tych ciężkich niewolniczych łańcuchów ich własne były lekkie. Nawet bat i tortury ciała były mniej bolesne z chwilą, gdy niewolnicy usłyszeli, że dusza nie doznaje przez nie żadnego upodlenia, owszem, że w nich jeszcze się uszlachetnia. Oto nauka, jaką głosił im św. Piotr: 'Słudzy, bądźcie poddani panom we wszystkiej bojaźni, nie tylko dobrym i skromnym, ale też i przykrym. Bo to jest łaska, jeżeli kto dla sumienia Bożego odnosi frasunki, cierpiąc niesprawiedliwie. Bo co to za chwała, jeśli grzesząc, a policzkowani będąc, cierpicie? A jeśli dobrze czyniąc cierpliwie znosicie, to jest łaska u Boga...'" (ks. C. Fouard, op. cit., s. 332).

Cała potęga rosnącej lawiny Chrystusowej kieruje się przeciw widomemu symbolowi cywilizacji antycznej, przeciw instytucji państwa. Zaświaty przeciwstawiają się kultowi tego, co jest przemijające, a symbolizowane przez złośliwe demony.

"Na niczym bowiem innym owym demonom nie zależy, tylko na tym by ludzi oderwać od Boga-Stworzyciela i Chrystusa... Tych co się od ziemi oderwać nie umieją, przygwoździli i wciąż silniej przygważdżają do rzeczy ziemskich i dzieł rąk ludzkich. Do tych zaś, co się wznoszą aż do wpatrywania się w rzeczy Boże, zbliżają się podstępnie i jeśliby nie zachowali zdrowego rozumu i życia czystego, a wolnego od namiętności, strącą ich w przepaść bezbożności" (św. Justyn, „Apologia", I, 58, 3).

Świat antyczny czuje zalew tajemniczej choroby idącej od dołów społecznych. Nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że spisek korzysta z ciężkiego kryzysu, który ogarnął cywilizację stworzoną przez człowieka natury, i że w wyniku tego kryzysu może pochłonąć ją całkowicie.

3. Upadek cywilizacji antycznej.

Rozprzestrzenianie się imperium rzymskiego w basenie Morza Śródziemnego zbiegło się z kryzysem naturalizmu, czyli kultury stworzonej przez człowieka natury. Ściślej moglibyśmy powiedzieć, że stworzenie tego imperium i całej cywilizacji śródziemnomorskiej dało w wyniku kryzys, o którym mowa. Człowiek natury, naprężając się do tego, by sięgnąć do pułapu panhumanizmu, musiał nie tylko tworzyć koncepcje filozoficzne, artystyczne i etyczne, ale i to, na czym one się opierają: strukturę społeczną i ekonomiczną. Okazało się, że środki, którymi się operuje, są zbyt ubogie. Ażeby utrzymać szczyty i je podwyższyć, musiano mobilizować siły u dołu, stosować metody najbardziej bezwzględne i rabunkowe. Nie pracowały wówczas jeszcze maszyny parowe i spalinowe motory. Siła pociągowa konia była wyzyskiwana w ten sposób, że zarzucano mu na szyję pętlę, która zaciskała się i dusiła go tym bardziej, im większy ciężar był do przewiezienia. Praktyczny uciąg konia wynosił nie więcej niż 70 kg. Wszak dopiero w X wieku wynaleziono dzisiejszy zaprzęg, dzięki któremu koń może swobodnie ciągnąć ciężar dziesięciokrotnie większy. Skutek był ten, że cywilizacja antyczna mogła budować swoje wyższe piętra tylko kosztem ludzi, kosztem nieludzkiej eksploatacji. Złoty okres Aten był możliwy dzięki temu, że 50 tysięcy Ateńczyków zajmowało się sprawami ogólnymi, mając pod sobą jako siłę roboczą 250 tysięcy niewolników. Takim kosztem osiągano wszystko. Nie mogło tego starczyć na długo. Rosła niewspółmierność rozporządzalnych środków w stosunku do celów i poczynań. W ślad za tym szło pełne zwątpienie, które rozkładało całą budowlę, kierując umysły ku wspakulturze.

Stało się to z imperium rzymskim. Jego budowa kładła się straszliwym ciężarem na masy społeczne, jednocześnie nie otwierając tych perspektyw, które były motywem całej akcji. Dogasanie świateł kierunkowych było więc początkiem kryzysu od góry do dołu. Wszędzie rozpoczęła się szerzyć intuicyjna konspiracja wspakultury. Objęła więc ona najpierw doły społeczne, masy niewolnicze. Stamtąd stopniowo przechodziła coraz wyżej. To było naturalne zaplecze dla chrześcijaństwa, gdy ono, zbrojne w wynalazek Chrystusowy, zrodziło się we wschodniej części imperium.

Po klęsce Chrystusa w Judei wyrzucone ono zostało poza nawias problematyki narodu żydowskiego. Kierując się tajemniczym instynktem choroby, usadawia się natychmiast w samym sercu imperium, w Rzymie. Już wkrótce po śmierci Chrystusa spotykamy w Rzymie naszych starych znajomych, św. Piotra i św. Pawła, z plejadą czołowych wyznawców. Zupełnie odruchowo powstaje idea Kościoła powszechnego, czyli plan owładnięcia aparatem państwowym po to, aby całą ludzkość imperium przerobić jako surowiec w automacie świętości. Rak wspakultury umiejscawia się przy sercu organizmu, zamierzając jego krew przerabiać na potworny wrzód, który się nazwie Kościołem katolickim. Gdy cała krew zostanie w ten sposób przeistoczona, skona cywilizacja antyczna, a na jej miejscu powstanie coś zupełnie innego: królestwo krzyża.

Od początku też spisek wspakulturowy jest nastawiony na bezwzględne niszczenie cywilizacji antycznej. Stosuje zalecenie mistrza: "Kto nie jest ze mną, przeciwko mnie jest, a kto nie zbiera ze mną, rozprasza" (Mt 12, 30).

Oznaczało to wojnę z państwem rzymskim i jego symbolem - państwowym kultem religijnym.

W Rzymie "...religia była instytucją państwową, wprowadzenie nowego kultu bez zezwolenia władz państwowych, rzeczą prawem wzbronioną... Władze rzymskie odznaczały się przecie jak najdalej sięgającą tolerancją wobec obcych religii, aczkolwiek ich urzędowo nie uznawały. Rzym je przyjmował gościnnie, wchłaniał je w siebie i stapiał z własnym kultem swoim. Wyjątek stanowiło chrześcijaństwo. Uważano je z początku za jedną z sekt tolerowanego judaizmu, ale już pod koniec I wieku zrozumiano, że to rzecz inna... Nowa religia... była skrajnie ekskluzywna... chrześcijaństwo wykluczało z bezwzględną stanowczością bóstwa urzędowe i religię państwową. W pojęciu prawnym był to ateizm" (św. Justyn, „Apologia”; Wstęp).

Śmiertelna walka z państwem jako naczelną formą cywilizacji to istotny cel chrześcijaństwa. Dąży ono do zniszczenia cywilizacji, do odwrócenia zainteresowań przynależnego jej człowieka. I to jest treść walki z "bałwanami", symbolizującymi kult państwowy. Dla ciemnych umysłów ta walka przedstawia się czasem w sposób groteskowy.

"Rozlicznych ofiar nie składamy, ani wieńców kwietnych nie splatamy ku czci bożyszcz, jakie ludzie sami utworzyli, w świątyniach poustawiali i nazwali bogami, ponieważ wiemy, że to istoty bezduszne i martwe...Toć wiecie sami... jak to artyści materiał obrabiają... Doskonale też wiecie, że artyści co te bóstwa tworzą to rozpustnicy... toć uwodzą nawet młode dziewczęta, które im w pracy pomagają. O zaślepienie. Ludzie rozwiązli mają tworzyć i urabiać bóstwa przed którymi wy na twarz padacie. Przekazano nam ponadto, że Bóg nie potrzebuje od ludzi żadnej ofiary materialnej, bo widzimy, że to On właśnie wszystko daje... mamy to głębokie przeświadczenie i wierzymy, że na tych tylko łaskawym spogląda okiem, którzy naśladują własne jego doskonałości: roztropność, sprawiedliwość, ludzkość..." (św. Justyn, „Apologia”, I, 9, 1).

Trudno znaleźć odpowiednik dla tej akcji w późniejszej historii. Negacja państwa, jego celów, jego symbolów, odbywała się pod hasłem odwrócenia się od wszystkiego. Był to bunt najbardziej skrajny, niszczycielski. Wyobraźmy sobie dziś, że ktoś nagle zaczyna postępować tak, jakby nic go nie obowiązywało - ani nakazy patriotyzmu, ani obowiązki społeczne, praca, płacenie podatków, służba wojskowa, dyscyplina obywatelska, dążenia ogółu itd. Ten ktoś uważa, że ważne jest tylko "tam", i wobec tego czynny wyraz pogardy dla wszystkiego, co jest "tu", stanowi dlań zasługę. Nic go nie interesuje oprócz tego, jak dokuczyć swemu otoczeniu przez bierną dezorganizację "zła

doczesności". Przyjmuje więc represje państwa jako dowód swej wyższości moralnej, a karę - nawet śmierci - z niemałym zadowoleniem, gdyż wie, że "prawdziwe życie" rozpocznie się "tam".

Zgodnie z tym konkluduje: "Jeśli przeciwnicy nasi wierzą, że śmiercią wszystko się kończy, i mniemają, że umarli zostają pogrążeni w znieczuleniu, tedy nam chyba dobrodziejstwo świadczą, bo nas wyzwalają z cierpień i nędzy życia obecnego" (tamże, I, 57, 3).

Jeśli tacy mają coś do zrobienia na tym świecie, to jest to jedynie dzieło zniszczenia cywilizacji antycznej i państwa (jako "zła") i doprowadzenia do tryumfu "prawdy". Po to jedynie żyją. Po to Chrystus zstąpił na świat. Tak wygląda odpowiedź poganom: "Mógłby który z was powiedzieć: 'sami się tedy wszyscy pozabijajcie, a wnet dostaniecie się do Boga i nam zaoszczędzicie kłopotu'. Odpowiem na to, z jakiego powodu tak nie postępujemy, i dlatego podczas śledztwa bez bojaźni czynimy wyznanie. Otóż nauka, którą otrzymaliśmy, powiada, że Bóg nie bez celu stworzył świat, ale uczynił to ze względu na rodzaj ludzki... Jeśli więc wszyscy sami sobie śmierć zadamy, tedy z naszej niewątpliwie winy ludzie by się nie rodzili i zabrakłoby zwolenników nauk Bożych... Podczas śledztwa zaś nie zapieramy się, bo mamy świadomość, żeśmy nic złego nie popełnili, a wiemy ponadto, że to rzecz miła Bogu" (tamże, II, 3, 2, 1).

Walka z państwem, negowanie wszystkiego, co z nim stało w jakimś pozytywnym związku, było drugą stroną doniosłego procesu, którego istota polegała na wżeraniu się raka wspakultury w krew i trzewia społeczeństwa rzymskiego. Odtąd przez wieki będzie trwało stałe wyrywanie energii życiowej z orbity kultury i zwracanie jej ku automatowi świętości. Pierwszy etap ku temu stanowi utwierdzenie cnoty pokory w umyśle zbiorowym. Druga strona zaś cnoty pokory to przeświadczenie, że oprócz sprawy zbawienia wszystko inne nie ma znaczenia. A tym "innym" jest cały świat cywilizacji antycznej. Za jednym zamachem łamie się więc kręgosłup antycznego stosunku do świata, który polegał na radości obowiązku wobec państwa, wobec zadań rozwojowych społeczeństwa. Wszystko to przestaje być ważne. Postępy "Słowa Pańskiego" oznaczały zanik woli budowania kultury, nauki, sztuki, zanik odpowiedzialności i odwracanie się od tego rodzaju marności. Pochód Chrystusowego wandalizmu, pełen starczego, patologicznego nihilizmu, toczył się jak fala niszczącego ognia. Posłuchajmy tryumfujących relacji apostołów, z których bije demoniczna radość niszczenia: "I wiele z tych, którzy się naukami niepotrzebnymi parali, zniósłszy księgi palili je przed wszystkimi, a obrachowawszy cenę ich, znaleźli tego pięćdziesiąt tysięcy srebrników. Tak potężnie rosło słowo Pańskie i wzmacniało się" („Dz. Ap.” 19, 19, 20).

Jednym z fragmentów tego potężnego wzrostu "Słowa Pańskiego" było zniszczenie największej biblioteki świata antycznego w Aleksandrii przez żarliwego patriarchę Teofila i tłumy pobożnych pustelników, którzy przybieżeli ze swoich pustelni, aby pognębić "doczesne zło". Na powstającym pustkowiu wyrastają gminy pobożnych wyznawców krzyża, oderwanych od wszystkiego, wszystkiemu obcych. "Ojczyzny swe zamieszkują, lecz jakby przybysze. Wszystko z innymi mają wspólne jako obywatele, a wszystko cierpią, jako podróżni. Każda obca kraina jest ich ojczyzną, a każda ojczyzna obca... Są w ciele, lecz nie żyją według ciała. Na ziemi przebywają, lecz są obywatelami nieba... gdy cierpią, cieszą się, jakby się odradzali" (Pseudo-Justyn, „List do Diogneta”, V).

Co się dzieje ze społeczeństwem, kulturą, państwem, to już nikogo nie obchodzi. Tak samo, kto tym państwem rządzi. Mogą to być barbarzyńcy z północy, z południa, tacy lub inni, zdziercy czy gwałciciele - czy to jest ważne? Czołowy przedstawiciel chrześcijaństwa, z pochodzenia obywatel rzymski, św. Augustyn - "...Jest przeświadczony, że sprawy świata raczej od Boga odwodzą niż do niego prowadzą, wobec tego... wydaje się mu ideałem usunąć się możliwie od gwaru świata, aby bez przeszkód móc się poświęcić Bogu. W tym kierunku podejmuje on ideał ewangeliczny... W rozwijającym się w tych czasach życiu zakonnym widzi on urzeczywistnienie tego ideału" (ks. F. Sawicki, op. cit., s. 58).

Teraz dopiero rozpoczyna działać automat świętości. Umysł już jest przygotowany na udoskonalenie osobowości w jego trybach. Przygotowanie zaś polega na przejęciu się pokorą. W pewnej chwili masy są "niewinne duchowo", gdyż nie przejmują się marnościami doczesności, a na

swoje "namiętności" włożyły kaganiec znieruchomienia. Do akcji wkraczają transmisje zewnętrzne, wewnętrzne i aparat magii. Upadek Rzymu jest klasycznym przykładem pracy Chrystusowego wynalazku. Gdy bowiem w społeczeństwie upowszechniły się cnoty pokory Chrystusowej, państwo przemienić się musiało w próchno, a w konsekwencji tego nieliczne bandy germańskie ruszyły na łupy, nie napotykając właściwie oporu. Kto miał Rzymu bronić? Wszak jednego potrzeba. Zbrakło kordonu cesarskich legionów, osłaniających granice, gdyż nie było czym ich uzbroić, za co utrzymać, bowiem wszyscy krzątali się wokół rzeczy ważniejszych. Rozmodleni katechumeni stają się więc przedmiotem łupu. Zdobywcy rabują, co się da, mężczyzn sprzedaje się w niewolę, kobiety się gwałci. A więc utrapienia? Tego właśnie potrzeba. Transmisje automatu świętości furczą w wytężonej pracy windowania ku coraz wyższym cnotom. Barbarzyńcy zdobywają Rzym i hulają w stolicy imperium. Według danych historycznych siły zbrojne zdobywców w 410 r., pod wodzą Alaryka, nie sięgają 10 tysięcy żołnierzy. Tym więcej łupów na każdego. Św. Augustyn wraz z całym światem chrześcijańskim mocno boleje. Ale nad czym? Nad tym, że uprowadzeni w niewolę chrześcijanie mogą być pozbawieni opieki religijnej. Posłuchajmy: "...mówią, wielu chrześcijan w niewolę tamże uprowadzono. Okropne zaiste nieszczęście, jeżeli mogli być uprowadzeni w jakie miejsce gdzie by Boga swojego nie znaleźli. Pismo św. i w takiej dolegliwości nas ukaja" („Państwo Boże", I, 14).

Potem nastąpił straszny głód. A więc zdaniem św. Augustyna świetna okazja do praktykowania cnót. Jak już pisaliśmy, korzyści z tego są podwójne: część pomarła z głodu, a więc czysty zysk, a drudzy zaprawili się w cnocie wstrzemięźliwości, co też jest cnotą niemałą. Utrapień coraz więcej, a więc i powodów do radości dla duszy pobożnej. Pod naciskiem tych boleści uzacnia się dusza, idzie poprzez szczeble miłości ku cnocie nadziei, a tam gdzieś w cięższych jeszcze uciskach rozkwita cnota wiary i doznanie bliskości Chrystusa. Jakże śmieszne są wówczas szyderstwa niedowiarków i pogan z wiary chrześcijan, którym rzekomo potężny ich Bóg żadnej pomocy w chwilach ciężkich nie zesłał, a dopuścił, że wszystkie chrześcijanki, tak czułe na punkcie swej czystości płciowej, zostały zgwałcone przez żołdactwo germańskie. Tak oto odpowiada im mąż święty, znający wagę cnoty pokory: "Sądzą, że chrześcijan wielkim okrywają zawstydzeniem, gdy przesadzając ich niewolę, wywołują sprośności, nie tylko na zamężnych niewiastach i pannach, ale i niektórych dziewicach zakonnych spełnione... Połóżmy za niewątpliwą zasadę, że cnota, mocą której człowiek żywot sprawiedliwy prowadzi, z siedliska duszy członkom ciała panuje, i że przez działanie świętej woli uświętobliwia się ciało. Dopóki więc wola jest niezachwianą, cokolwiek kto w ciele lub z ciałem uczyni, nie jest winą cierpiącego, który tego bez własnej winy uniknąć nie może" (tamże, I, 16).

Nie ma się czym przejmować. "O wy wierne służebnice Chrystusa. Nie miejcie życia waszego w obrzydzeniu jeżeli czystość wasza stała się igrzyskiem nieprzyjaciół. Macie wielkie i prawdziwe pocieszenie, jeżeli pewne sumienie macie, żeście nie przyzwoliły grzechom tym, którym dopuszczone było ubliżyć waszemu wstydowi" (tamże, I, 28).

Oczywiście, niektóre niewiasty pobożne były trochę zaskoczone takim typem utrapień, które z kolei mają pobudzać do cnót. Musiał i na to odpowiedzieć święty mąż: "A więc pytacie, czemu to było dopuszczone? Wysoka jest Opatrzność Stwórcy i Rządcy świata: niezbadane sądy Jego i niedościgłe drogi Jego. Ale także zapytajcie się szczerze sumienia waszego, czyliście się też z tej czystości, wstrzemięźliwości albo wstydliwości za zbytnio nie pyszniły, a w ludzkich pochwałach nie smakując tegoż dobra nie zazdrościły drugim? Nie posądzam was... Wszelako jeżeli wam odpowiadam, że tak jest, nie dziwujcie się, żeście to postradały..." (jw.).

Opatrzność utrapień nie skąpi. Na Rzym walą bandy rabusiów ze wszystkich stron. Oto więc powód do radości dla dusz doskonalących się coraz bardziej. "Pewnym jest, że człowiek rodzi się dla sprawiedliwości; przeto sprawiedliwy musi podlegać cierpieniom, by ćwiczył się w cnocie, w którą jest wyposażony. Cnota bowiem jest wytrwałością w nieszczęściach. Rozkoszy będzie unikać jak zła; majątkiem gardzić będzie, ponieważ jest znikomy; a jeżeli go posiadać będzie, rozdawać będzie, by nieszczęśliwym przyjść z pomocą; o zaszczyty ubiegać się nie będzie, ponieważ są krótkie i przemijające; nikomu krzywdy nie uczyni; jeżeli jej dozna, nie odpłaci; złodzieja swej własności ścigać nie będzie... ni męczarnią, ni śmiercią, nie da się nikomu oderwać od Boga. Do tego może

dojść, że taki będzie żył w niedostatku, upokorzeniu, wśród obelg, albo nawet wśród męczarni..." (Laktancjusz, „Epitome", XXXIV).

Okazji do ćwiczeń w cnotach nie brak, a raczej coraz więcej. Zło naciska na tryby automatu świętości, dając wspaniały bodziec ku coraz wyższym wzlotom ducha chrześcijańskiego. Dbać więc należy o to tylko, by dusze idące po szczeblach pokory, miłości i nadziei nie zatraciły perspektyw, by utrzymały się w transmisji popychającej je coraz wyżej na drabinie cnót, by nie uległy pokusom.

"...Bardziej obawiajmy się, aby owieczki Chrystusowe przez miecz duchowej niegodziwości nie były zabijane na duszy, niż na ciele przez miecz żelazny. Bardziej obawiajmy się, aby przez zanik wewnętrznego poczucia nie zginęła czystość wiary, niżby kobiety nie doznały gwałtownej hańby na ciele. Albowiem gwałtem nie bywa naruszona wstydliwość jeśli jest w sercu zachowana; a nawet cielesna czystość nie bywa skażona, kiedy osoba cierpiąca nie nadużywa dobrowolnie swego ciała w hańbiący sposób, lecz bez zgody znosi to, czego się druga osoba dopuszcza" (Posydiusz, „Żywot św. Augustyna", XXX, 7).

W czasach gdy na terenach dawnego imperium hulały bez przeszkód konne hufce Attyli, wzywał św. Leon Wielki wyznawców do uzacniania duchowego. "Dla osiągnięcia rzeczy niebieskich gardźcie rzeczami ziemskimi, podjęcie bowiem krzyża jest rozbiciem pożądliwości i wytępieniem wad, usunięciem próżności i wyzbyciem się wszelkiego błędu... Niech w górę wzniesionych umysłów nie ściągają ziemskie pożądliwości, niech wybranych do rzeczy wiecznych nie zajmują rzeczy przemijające... niech wierni tak tę doczesność przebiegają, by wiedzieli, iż są pielgrzymami na tej dolinie świata" („Kazania", XX, 5; XXI, 5).

Poprzez walkę z pożądliwościami, z grzechem wewnętrznym, dążyli pobożni mężowie ku szczytom. Wkrótce Egipt zaludnił się pustelnikami tak dalece, że brakło dla nich miejsca.

Urzędnicy, wojskowi, ludzie różnego stanu podążali na pustynię. Jeden z takich, św. Antoni pustelnik: "Na pustyni głębokiej, pustki stare pełne wężów i żmijów nalazłszy, w nich się zamknął: towarzysza sobie zjednawszy, aby mu chleba i wody raz w pół roku przynosił... Przemieszkał tam dwadzieścia lat, gdy im dalej, tym więcej słynął" (P. Skarga, op. cit.).

Zobaczmy, jak rysuje się upadek Rzymu w umyśle św. Augustyna, jednego z jego sprawców: "Cóż takiego w klęsce owej (zburzenie Rzymu przez Alaryka w 410 r., przyp. aut.) wycierpieli chrześcijanie, co by się im na pożytek nie obróciło, skoro tylko w duchu wiary nad tym się zastanawia?" („Państwo Boże", I, 9).

Raczej rozbrzmiewa tu ton zadowolenia i słusznej dumy. Praca automatu świętości dzięki klęskom politycznym, spadającym na Rzym, była bardziej owocna, gdyż one właśnie utrzymywały go w ruchu, jednocześnie intensyfikując jego wydajność, zapewniając postęp "prawdy" i jej wyraźne zwycięstwo. Nad czym? Otóż to właśnie. Pokonane zostało "zło", czyli diabelstwo doczesne - cywilizacja antyczna. Od wewnątrz, od najgłębszych poruszeń psychiki zwykłego człowieka została wyżarta treść, na której się opierały cywilizacja i państwo. Wyrósł za to do olbrzymich rozmiarów wrzód wspakulturowy - automat świętości, wokół którego puchła budowla Kościoła Chrystusowego. Imperium rzymskie musiało więc runąć w proch, gdyż zanikły siły, na których się opierało. Rozkładanie się go, widziane w etapach upadku ekonomicznego, w sklerozie społecznej, łamaniu się aparatu administracyjnego, w cezaryzmie, niezdolności do obrony granic, plądrowaniu przez bandy germańskie całego terytorium itd. to nic innego jak tylko odwrotna strona zwracania się mas ku rzeczom "ważnym". Im bardziej to zyskiwało na powszechności, tym szybciej upadało państwo.

Społeczeństwo antyczne nie pojmowało, na czym polega cykl chorobowy. Nie należy się temu dziwić, skoro wykład w tej pracy o istocie choroby, po dwu tysiącach lat, dla wielu wyda się nie do przyjęcia. Broniło się, kierowane jedynie ślepym odruchem. Najlepsi cesarze, jakich wydał Rzym, rozpaczliwie chwytali się ostatniego środka, jaki mieli - represji policyjnych. Trajan, Marek Aureliusz, Dioklecjan raz po raz próbowali za pomocą ognia i żelaza powstrzymać rozwój raka, niszczącego trzewia imperium. Masom opanowanym przez straszny zabobon, buntującym się

przeciw cywilizacji, usiłowali wszczepić minimum lojalności wobec państwa. A jak to przyjmowało chrześcijaństwo?

"Za czasów zbrodniczych protektorów bałwochwalstwa, ogłoszono po miastach i wsiach bezbożne edykty przeciw pobożnym chrześcijanom, skutkiem czego zmuszano ich do składania ofiar marnym bożyszczom" (Akta męczeństwa św. Justyna). W liście do Trajana pisze Pliniusz: "Nie tylko miasta, ale osady i wsie, zalała tego przesądu zaraza..." "Warstwy wyższe odnosiły się do chrześcijan z lekceważeniem i pogardą. Było to w ich oczach nędzne pospólstwo, pogrążone w mrokach strasznego jakiegoś zabobonu; była to zabroniona przez państwo sekta straceńców, gromada ordynarnych spiskowców, tłum zbrodniarzy, co się kryje w zaułkach i światła unika" (św. Justyn, „Apologia"; Wstęp).

Tak też było w istocie. Nieubłagana choroba zżerała społeczeństwo i kulturę. Automat świętości skutecznie przetrawiał umysły. Posłuchajmy prefekta, skazującego św. Justyna na ścięcie: "Prefekt zwraca się do Justyna... Jeśli cię ubiczują a potem głowę ci zetną, czy wierzysz, że dostaniesz się do nieba? Justyn odpowiedział: żywiąc nadzieję, że posiądę dary Jego, jeśli tu przecierpię. Wiem przecie, że wszyscy, co takie właśnie życie wiedli, mają zapewniony charyzmat Boży, aż do końca świata wszystkiego... A zatem przypuszczasz, że wstąpisz w niebiosa, by jakąś nagrodę odebrać? Justyn odpowiedział: to nie jest przypuszczenie, ale wiem i mam zupełną pewność. Prefekt rzekł: a więc przystąpcie wszyscy razem i złóżcie bogom ofiarę... jeśli nie usłuchacie, pójdziecie na męki... Justyn odpowiedział: To nasze pożądanie cierpiąc męki dla Pana..." („Akta męczeństwa św. Justyna").

Opinia starożytnych o chrześcijaństwie jest słuszna w tym, że widzi w nim degenerację, nie pojmuje jednak praw, które tej degeneracji otwierają dostęp do serca cywilizacji. Mówi więc o chrześcijanach poganin Cecyliusz w utworze Minucjusza Feliksa: "Toż oni zebrawszy z najniższych mętów społecznych jednostki mniej uświadomione i kobiety łatwowierne, już z natury swej skłonne do upadku, tworzą gromady ordynarnych spiskowców, którzy... zbrodni tworzą przymierze" („Octavius", 8, 3).

Dwa światy, absolutnie obce sobie - kultura i wspakultura. Żadna argumentacja nic tu nie daje.

Zasady tkwią u podstaw pojmowania sensu i wartości życia. Zastosowanie wynalazku Chrystusowego wyniszczyło wewnętrzną treść cywilizacji antycznej. Jej miejsce zajął Kościół - instytucja powołana do wieczystego uświęcania ludzi poprzez amputowanie w nich grzechu pierworodnego. Edykt Konstantyna w Mediolanie w 313 r. potwierdza zwycięstwo krzyża. Jak dalece nie orientowano się, co to wszystko znaczy, świadczy sam edykt: "Już z dawien dawna, biorąc pod rozwagę, że wolności religii ograniczać nie należy, lecz swobodę zajmowania się sprawami bożymi pozostawić trzeba przekonaniu i woli każdego z osobna, według jego własnego uznania, wydaliśmy rozporządzenie, by i chrześcijanie swej sekty i swej religii wiarę zachowali...

Gdyśmy tedy szczęśliwie Ja, Konstantyn Augustus... zastanawialiśmy się nad tym, co służy dobru i korzyści państwa, postanowiliśmy... przyznać chrześcijanom, oraz wszystkim innym, wolny wybór wyznawania religii, jaką by chcieli..."

Oczywiście dla umysłowości wspakulturowca rzeczy te przedstawiają się inaczej: "Każde społeczeństwo stoczone było przez grzech pierworodny... To właśnie spotkało cesarstwo Rzymskie... gdyby nie pojawienie się chrześcijaństwa, doprowadziłoby całe społeczeństwo do ostatecznej zguby" (ks. E. Bougaud, „Credo", s. 160).

Półtora tysiąca lat wstecz św. Augustyn myślał zupełnie tak samo, gdyż prawdy wspakultury są odwieczne. Zabawne natomiast są interpretacje przyczyn. Jak wiadomo, Germanowie plądrując Rzym, wiedzieli, że udaje się im to dzięki sabotażowi chrześcijańskiemu wobec własnego państwa.

Uważali więc chrześcijan za swoją "piątą kolumnę" nie dociekając, dlaczego tak jest. Otaczali więc ją swoją opieką, a po zdobyciu Rzymu Alaryk nakazał oszczędzać chrześcijan, wstrzymując żołdaków specjalnym rozkazem od zabijania tych, którzy się schronią do świątyń krzyża. Resztę tępili jako rzymską, pogańską, jedyną siłę, która stawiała opór. Jak to ocenili sami chrześcijanie - posłuchajmy św. Augustyna. To, że Germanowie oszczędzają chrześcijan, przypisał, ni mniej, ni więcej - cudownej woli Bożej i widomej opiece Chrystusa Pana, który w nadprzyrodzony sposób osłania swoich wyznawców. W kościołach schroniło się też wielu pogan, ratując swoje życie. I oto co z tego wyszło: "Tylu ocalało, którzy teraz chrześcijańskiej religii uwłaczają, i klęski które rzeczpospolita wycierpiała składają na Chrystusa, dobro zaś, jakim jest życie, przy którym ich barbarzyńcy przez cześć ku Chrystusowi (w kościołach) zamiast Chrystusowi naszemu, nieodmienności losu swojego przyznają; gdyby zaś cokolwiek rozumem się rządzili, owe przykrości i udręczenia od nieprzyjaciół wyrządzone, boskiej by Opatrzności przypisać powinni, która zwykła skażone obyczaje ludzi wojnami czyścić i ścierać, sprawiedliwe i chwalebne życie człowieka tego rodzaju dolegliwościami uprawiać... to zaś, że ich gdziekolwiek dla Chrystusa albo w miejscach Imieniu Chrystusa poświęconych, które dlatego najobszerniejsze wybrano, aby w nich tym większe pomieściło się i ocalało mnóstwo, barbarzyńcy skądinąd srodzy, wbrew zwyczajom wojny oszczędzili, to by chrześcijańskiej religii przypisać powinni... pod to Imię rzetelnie się garnąc dla ujścia kary ognia wiecznego, pod które wielu się podszyło celem uniknięcia zguby obecnej..." („Państwo Boże", I, 1).

W ferworze apologetycznym tak oto święty mąż wywodzi: "Niech wykażą nam... gdzie by zdobywcy nieprzyjaciele tych oszczędzili, co do świątyń bogów swoich uciekli, albo gdzie by wódz barbarzyńców przykazał, aby nikogo nie tknięto, który w tej lub owej znaleziony był świątyni" (tamże, I, 2).

A to samo ujmuje też inaczej: "Wszelkie zatem spustoszenia, morderstwa, rabunki, pożogi, plagi, które w ostatniej klęsce Rzym dotknęły, obyczaj wojny wyrządził. To zaś co się w nowy wcale sposób stało, iż srogość barbarzyńców tak niezwykle się złagodziła... to imieniu Chrystusa, to chrześcijańskim czasom przypisać należy. Ktokolwiek tego nie widzi jest ślepy; ktokolwiek widzi a nie dziękuje Bogu jest niewdzięczny..." (tamże, I, 7). "Albowiem, wprawdzie dopuścił Bóg, że Rzym został zdobyty przez barbarzyńców (410 r.) ale takich, co wbrew zwyczajom dotychczasowych wojen, wszystkich chroniących się w miejscach świętych przez szacunek dla religii chrześcijańskiej oszczędzali" (tamże, V, 23).

Jak wiemy, siły zbrojne Germanów hasających po imperium rzymskim były śmiesznie nikłe.

Wandalowie, ruszając z Hiszpanii na podbicie całej Afryki, mieli liczyć razem z rodzinami, kobietami i dziećmi ok. 80 tysięcy głów. Według późniejszych obliczeń liczba ta jest stanowczo zbyt wielka. Mężczyzn zdolnych do noszenia broni mogło być zaledwie kilkanaście tysięcy. A pomimo to zdobywali olbrzymie terytoria, rojne milionami mieszkańców. Zrozumiemy to, gdy uświadomimy sobie, że "piąta kolumna" krzyża była już wtedy przy władzy. Nawet św. Augustyn musiał niemoc państwa jakoś wytłumaczyć. Winę za to zrzucił, jak należało się spodziewać, na resztki prześladowanych, ukrywających się pogan: "Niechże swoich bogów oskarżają za tak ciężkie klęski ci, co dla naszego Chrystusa niewdzięczni są za jego dobrodziejstwa" (tamże, III, 31).

Na rumowiskach cywilizacji antycznej zapadały mroki krzyża.

Rozdział XII. Istota ładu średniowiecznego w Europie.

1. Spreparowanie spuścizny antycznej.

Zwycięstwo chrześcijaństwa nad cywilizacją grecko-rzymską jest jednocześnie zakończeniem antycznego okresu historii i rozpoczęciem tego, który nazywamy średniowieczem. Wypłynięcie chrześcijaństwa oznaczało wydobycie się na powierzchnię starczego nihilizmu, przezwyciężenie porywu wieczystej młodości panhumanizmu ku pełnemu wyzwoleniu ewolucji tworzycielskiej.

Grecy dokonali genialnego wynalazku, który nazywa się indywidualizmem. Wynalazek ten jednak nie zdążył nabrać rozmachu życiowego, gdy świat antyczny pogrążał się w kryzys, z którego Europa podniosła się dopiero po tysiącu lat. Jak już pisaliśmy, cywilizacja grecko-rzymska nie potrafiła utrzymać się na pułapie panhumanizmu pomimo wielkiego wysiłku, który w tym celu przedsięwzięła. Wypracowując jednak koncepcję indywidualizmu, zdobyła się jednocześnie na poważne osiągnięcia w szeregu dziedzin.

Wspaniały wysiłek twórczy greckich myślicieli i artystów stworzył nurt myśli i dążeń zestalonych w różnych instytucjach tej epoki. Jednocześnie zostały rozbudowane instytucje ciągłości tradycji, które gdzie indziej nazwaliśmy ideomatrycą. Każda grupa wytwarza instytucje, za pomocą których młode pokolenia przejmują tradycje grupy i je kontynuują. Na pewnym szczeblu rozwijają się one w zespół urządzeń, czyli ideomatrycę obiektywną. To właśnie zostało poważnie rozbudowane w cywilizacji grecko-rzymskiej. Były to instytucje norm moralno--światopoglądowych, wychowania społecznego, świadomości grupowej, sztuki i literatury, a oprócz tego organy myśli i nauki. Zostało też rozbudowane samo państwo z jego aparatami.

Jak to wykazywaliśmy w poprzednim rozdziale, cały ten dorobek, dopóki służył cywilizacji antycznej, był systematycznie niszczony przez wzbierającą falę krzyża. Negowano z zasady wszystko. Jaki był stosunek do cywilizacji, poza tym, co już zostało powiedziane, ilustrują wypowiedzi Tertuliana, ojca teologii katolickiej: "Co jest wspólnego między filozofem a chrześcijaninem, między uczniem Grecji a uczniem nieba? Przyjacielem błędu a jego wrogiem? Co mają wspólnego Ateny i Jerozolima, Akademia i Kościół? Od czasu Chrystusa nie odczuwamy już więcej żadnej ciekawości, i nie potrzebujemy badań od czasu Ewangelii".

Chrześcijaństwo, wychodząc z podziemi intuicyjnej konspiracji, ziało nienawiścią do wszystkiego, co geniusz antyczny stworzył. Manifestowało swą obcość i, ustami Tertuliana, podkreślało biegunowe przeciwieństwo stanowisk. "Syn Boga został ukrzyżowany. Umarł Syn Boga – to całkiem wiarygodne, gdyż jest to niedorzeczne. Został pogrzebany i zmartwychwstał, to pewne, gdyż jest to niemożliwe" (Tertulian, „De carne Christi", s. 5).

W początkowych fazach rozrastania się ta wrogość była szczególnie paląca, gdyż negacja stanowiła podstawowy odruch. Niszczono wszystko. Sytuacja zmieniła się dopiero po opanowaniu państwa.

Wówczas odgrywać rozpoczyna rolę to, co nazywamy "perwersyjnym instrumentalizmem wspakultury". Wytwory kultury, o ile one są już czymś obiektywnym, mogą być wszak użyte jako narzędzia do zwalczania tych, którzy "zło" kultury stwarzają. Państwo uważa się za dzieło szatana, ale gdy to państwo jest już opanowane, niektóre jego aparaty i funkcje nadają się do utwierdzenia i upowszechnienia wiary świętej. Aparat administracyjno-represyjny może być spożytkowany do sterroryzowania pogan i niedowiarków, zapewniając tryumf "prawdy". Dorobek filozofów, po odpowiednim przesianiu, nadaje się do propagandy "filozofii Chrystusowej", której własny system pojęć jest wszak nader ubogi. Nie wszystko należy niszczyć, gdyż nawet Kościół, nastawiony na doprowadzenie mas do "automatu świętości", potrzebuje jakiejś administracji, skarbowości, policji, szkół publicznych itd. Oczywiście wszystko musi być skierowane na wiadomy cel. Całość tej operacji polega na tym, by przyjąć organy, które społeczność antyczna stworzyła dla forsowania cywilizacji, i skierować pracę tych organów do utrzymywania wspakultury. Znaczy to spożytkować dorobek już stworzony nie do dalszej jego rozbudowy, lecz do utwierdzenia wspakultury.

Utwierdzać wspakulturę znaczy to wygasić ogniska postępu cywilizacyjnego, gdyż tylko wówczas wspakultura może zdobyć grunt w duszach ludzkich. Perwersyjny instrumentalizm miał szczególną doniosłość na polu kultury duchowej. Chrześcijaństwo, usadowiwszy się w siodle, dąży do opanowania narzędzi kultury w ten sposób, że podrzuca im kukułcze jajo wspakultury jako wyłączną świadomość. Sztuka i literatura antyczna była wielkim streszczeniem tego, co czuł i myślał człowiek antyczny o sobie i świecie. Chrześcijaństwo nie odrzuca literatury i języka.

Adaptuje je do swoich potrzeb, ale przedtem robi czystkę, która powoduje, że do naszych rąk doszły tylko nikłe ułamki wielkiej kultury antycznej. Z ogromnego dorobku płodnej epoki do naszych czasów dotarło w sumie tylko 20 (dwadzieścia) małych tomików - a więc jedynie półeczka, choć sama biblioteka aleksandryjska liczyła 400 tysięcy dzieł. A w tych dwudziestu tomikach, ocalałych z czystki, w przeważającej mierze znajdziemy wypowiedzi tych, którzy tak lub inaczej mogli być wykorzystani dla wsparcia krzyża. To, co chrześcijaństwo przejęło, było już wyprane z wszelkich zdrożności. Podobnie postąpiono z nauką w ogóle. Wyrzucono, a więc pogrążono w niepamięci wszystko, co z ewangelią nie było zgodne, i tak powstało "trivium" i "quadrivium" nauczane w szkołach chrześcijańskich. Podobnie przesiano spuściznę szkół filozoficznych i historię. Co zrobiono z naukami społeczno-etycznymi, można nie mówić. W każdej z tych dziedzin jądrem stać się musiały treści chrześcijańskie. Co z tym nie było zgodne lub nie dało się spreparować, musiało zginąć. "Sposób, w jaki chrześcijaństwo rozprawiało się z kulturą tej epoki dowodzi, że od samego początku posiadało ono wyraźnie określony charakter i swą własną postawę życia. Przejmuje ono niejedno z zewnątrz, ale ujawnia delikatne wyczucie tego, co jest pokrewne jego istocie, a co obce" (ks. F. Sawicki, op. cit., s. 6).

Pod przewodnictwem duchowym św. Hieronima w IV wieku spreparowano kulturę antyczną w ten właśnie sposób. W następne wieki przeszły treści tylko poszczególnych pierwiastków wspakultury - personalizm, wszechmiłość, moralizm, nihilizm, spirytualizm. Taką też stała się idea imperium powszechnego.

2. Święte cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego.

Spreparowanie cywilizacji antycznej w ten sposób, że zniszczona została i pogrążona w zapomnieniu jej dusza, było tylko częścią dzieła dokonanego przez rewolucję chrześcijańską. Jak już pisaliśmy, pracowite podgryzanie fundamentów antyku miało ten skutek, że runęło państwo i do Rzymu rozpoczęły pchać się na rabunek bandy Germanów. Nastąpiło swoiste zjednoczenie ludów imperium z różnymi plemionami germańskimi, które przesiedlają się do Włoch, Afryki, Hiszpanii, aby eksploatować potomków twórców "pax Romana" i rządzić nimi. Plemiona germańskie, liczące po kilka lub kilkanaście tysięcy głów, usadawiają się w prowincjach liczących miliony mieszkańców jako warstwa władców. Dawni Rzymianie zajęci są sprawami ważniejszymi, bo uzacnianiem duszy i udręczaniem grzesznego ciała, i dlatego dalecy są od grzechu pychy, czyli zdrożnej chęci oporu wobec barbarzyńskich zdobywców. Z pobożną pokorą podlegają każdej władzy, dają się traktować jak niewolnicy, ich kobiety zostają zgwałcone itp., itd. Germanowie są jedynym aktywnym elementem politycznym. Walczą, zdobywają, rządzą, ale stykając się z resztkami wspaniałej przeszłości podejmują jej wątki, wchodzą w rolę dawnych władców rzymskich. I tu wpadają w straszliwą zasadzkę. Elementowi germańskiemu, szukającemu nowych zadań, chrześcijaństwo przedstawia swoje cele jako rzekomą kontynuację idei uniwersalnego imperium. Trzeba się wczuć w rolę Germanów: chcą działać, coś budować.

Odtworzenie blasku dawnego imperium wydaje się im godnym zajęciem. Chrześcijaństwo przenosi na nich swoją szczepionkę światopoglądową i w ten sposób wytycza kierunek ich dążeń. Nastąpiło niezmiernie doniosłe zdarzenie historyczne: Germanowie zostali zakażeni wspakulturą edycji krzyża, ale w ten sposób, że przejęli jej cele zewnętrzne, weszli w rolę narzędzia. Pobożni mieszkańcy Włoch, przejęci "prawdą", ustami jednego z wybitnych mężów chwalą wyroki Opatrzności, które sprawiły, że coraz więcej Germanów podąża na rabunek do Rzymu, wskutek czego istnieje szeroka możliwość pouczenia ich o wzniosłości nauki ewangelicznej. Jak dobrze, że imperium runęło, gdyż w przeciwnym razie dzikusy nie mogłyby rozerwać kordonu legionów na granicy i barbarzyńcy siedzieliby w swych lasach na północy, pozbawieni "Słowa Pańskiego". Germanów pociągały perspektywy zdobyczy, władzy, ale oprócz tego ciekawość ujrzenia z bliska resztek potęgi rzymskiej, ognisk, gdzie wytwarzała się technika wojenna, administracja potężnego ongiś imperium. Tego szukali. Przybywając na miejsce spotykali się z Rzymianami jakże różnymi od tego, co o nich myśleli na podstawie dawnych doświadczeń. Nie wiedzieli oni i nie mogli pojąć, że chrześcijanie w Rzymie byli tak odlegli od starych Rzymian jak niebo od ziemi.

I tu się rozpoczyna doniosła mistyfikacja chrześcijaństwa. Występuje ono wobec Germanów jako kontynuator dawnych, świetnych tradycji Rzymu. Germanowie mogą nawiązać do podziwianych tradycji tylko przez ręce reprezentantów chrześcijaństwa. Należy zrozumieć doniosłość oszustwa dziejowego, gdyż tylko wówczas pojmiemy, co się stało w następnych wiekach. Chrześcijaństwo mówiło Germanom: chcecie przejąć tradycje i zadania Rzymu? Droga do tego bardzo prosta: przyjmijcie chrzest święty. Tak też się stało. Dla chrześcijaństwa było samo przez się zrozumiałe, że wszystko winno służyć prawdzie krzyża. Jeśli Germanów spalał głód wielkich czynów, to czyż może być wznioślejsze zadanie niż upowszechnienie krzyża w świecie? Wszak tyle jeszcze ludów grzęźnie w błędach, a tak łatwo je sprowadzić na właściwą drogę, gdy się uda przepuścić je przez automat świętości. Niezbyt się do tego palą, ale mając siłę ramienia germańskiego można je do tego zmusić, wtedy "brutalna" siła stanie się narzędziem wyroków Pańskich. Wszak nawet imperium rzymskie rosło tak, jakby miało służyć ułatwieniu propagandy ewangelicznej. Patrząc na to, co się stało, każdy wyznawca krzyża czuł utajoną celowość historii. "Albowiem Boskiemu dziełu najbardziej odpowiadało, by wiele królestw złączonych było pod jego panowaniem, i by przepowiadanie ewangelii miało łatwy dostęp do narodów, zostających we władaniu jednego państwa. To zaś państwo, nie znając sprawcy swego wzrostu - gdy prawie wszystkim przewodziło narodom - służyło błędom wszystkich narodów; i zdawało mu się, że wielką posiadło religię, dlatego że nie odrzucało żadnego fałszu. Stąd też o ile uporczywiej było przez diabła skrępowane, o tyle dziwniej zostało uwolnione przez Chrystusa... św. Piotr przeznaczony został do objęcia stolicy cesarstwa rzymskiego, aby światło prawdy... mogło skuteczniej, od samej głowy promieniować na cały świat" (Leon Wielki, op. cit., IV, 3).

Zadanie przejmowane przez Germanów od środowiska, którym władali, było pełnym przeciwieństwem ich odczuć tego, co uważali za najwyższe wartości. Podejmowali się jednak tego zadania, gdyż otwierało im ono perspektywy dla ich świeżej energii, możliwości działania, zmagania się z przeciwnościami. Co było u kresu, nad tym się nie zastanawiali. Młodzieńczy dynamizm świeżych ludów zostaje zaprzęgnięty do realizacji dzieła polegającego na uczynieniu chorymi wszystkich ludów Europy, poddaniu ich władztwu wspakultury krzyża.

Cała Europa stawała się polem do rozszerzania "winnic Pańskich". Germanowie przystosowali się do nowej roli, rozszerzyli chorobę krzyża na cały kontynent. Byli do tego powołani przez fakt, że dzięki sytuacji zdobywców nie ulegali trującemu urokowi mistyki chrześcijańskiej, a jednocześnie cele polityczne chrześcijaństwa - stworzenie imperium uniwersalnego - przyjmowali jako swoje.

Nie będąc tknięci rozkładem wspakulturowym, podejmowali się uczynić chorobę normą obowiązującą w całej Europie. Tak rodzi się koncepcja "Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego".

U podstaw tej koncepcji znajdujemy dwie perwersje. Pierwsza z nich polega na spreparowaniu cywilizacji antycznej w ten sposób, że udało się nabrać Germanów na ideę jej kontynuacji, druga zaś - to wprzęgnięcie żywotności tychże Germanów do upowszechnienia i utwierdzenia starczości wśród młodych ludów kontynentu. Wspakultura krzyża jest bowiem śmiertelnym wrogiem zarówno ducha antycznego, jak i prymitywnej świeżości i młodości Germanów. A jednak posługuje się jednym i drugim. Różne układy sił w taki sposób zostają włączone w system narzędzi krzyża, że żywotność, wykwitająca z geniuszu człowieczego, zostaje spożytkowana do wyniszczenia tegoż u reszty ludów Europy. Dzięki wypracowaniu metod perwersyjnego instrumentalizmu wspakultury abnegacja świata znalazła narzędzie dla swego totalnego rozpowszechnienia się. Święte Cesarstwo Rzymskie zostaje zdecydowanie użyte do tępienia naturalizmu u ludów, które nie przeszły jeszcze w stadium choroby, i to przy pomocy tych, którzy byli zdrowi, a jednocześnie uzbrojeni w dorobek równie nadużytej cywilizacji antycznej, w którym idea imperium i instytucje państwowe odgrywały szczególną rolę.

Koncepcja Świętego Cesarstwa Rzymskiego, korzystająca z ogólnych wzorów imperium antycznego, opierała się na zbieżnych dążeniach dwóch podstawowych sił: Kościoła i Niemców.

Pod względem geopolitycznym zarówno Kościół, jak i państwo cesarzy germańskich dąży do podobnych celów. Co pragnie osiągnąć Kościół? Chce on poddać wszystkie ludy Europy swojej władzy politycznej, aby złamać kręgosłup naturalistycznej kultury tych ludów i doprowadzić je do stanu moralnego, jaki został utrwalony w masach dawnego państwa rzymskiego. Owładnąwszy nimi politycznie, spreparuje on mechanizmy ich tradycji - ideomatrycę - w ten sposób, że pokolenia będą jednolicie urabiane według ewangelicznego wzoru. Ideomatryca jako fabryka psychiki zbiorowej będzie odtwarzać stale tylko umysłowość chrześcijańską. Trzeba więc wytępić inne wierzenia, nie dopuścić do Europy innego pretendenta wspakulturowego - islamu. Ale do tego potrzebne jest krzepkie narzędzie wykonawcze, władza polityczna zdolna do złamania każdego oporu. W umyśle każdego chrześcijanina układa się taki właśnie plan akcji, na którym oprze się struktura średniowieczna. W zewnętrznej płaszczyźnie tego samego chce każdy członek bojowych drużyn germańskich. Dążą oni do zdobyczy, do radości zmagań i zwycięstwa, do poszerzania zasięgów łupieżczej mocy. Świat rysuje się dla nich jako pole zdobyczy. Miecz otwiera wszystko.

Miecz daje ziemię, niewolników, bogactwo, poczucie wolności mężnemu, chcącemu żyć dostojnie człowiekowi.

Dążenia Kościoła i Germanów w znacznej mierze się uzupełniają. Kościół chce wykastrowania ludów Europy, nasycenia ich wspakulturą. Drogą do tego jest systematyczny gwałt i bezwzględne władztwo nad nimi. Tego samego chcą wojownicy germańscy, zwróceni do zdobyczy, podbojów.

Wytępienie tradycji z wspakulturą niezgodnych jest równoznaczne z zepchnięciem ludów na poziom życia sprawiający, iż prawdy Chrystusowe muszą się wydawać szczególnie pociągające. To poziom właściwy masom żyjącym w stanie niewolnictwa, upadku, nędzy. Takimi są ludy podbite, podległe wyzyskowi i bezprawiu. Będą one na pewno dobrymi chrześcijanami, gdyż do nich są skierowane błogosławieństwa "odkupiciela". Jednocześnie są to dążenia zdobywców germańskich.

Jako zdobywcy, muszą oni spychać ludy na poziom niewolniczy, czyniąc je pokornymi i uległymi, wolnymi od grzechu "pychy". Godzi się to zapamiętać, gdyż to wyjaśnia nam pozytywny stosunek Franków, Gotów, Longobardów do chrześcijan, gdy sami byli jeszcze poganami. Z doświadczenia wiedzieli oni, że tam, gdzie są chrześcijanie, nie ma oporu. Opór stawiały tylko elementy o tradycjach starorzymskich. Popierali więc gdzie mogli swoją "piątą kolumnę", co św. Augustyn uważał za szczyt boskiej opieki nad wyznawcami krzyża.

Zbieżność dążeń Kościoła i Germanów stworzyła więc kręgosłup ładu średniowiecznego – Święte Cesarstwo Rzymskie. Krystalizuje się on szybko od VI wieku, by w pełni wystąpić na widownię jako uniwersalna monarchia Karola Wielkiego. Wspólne pole zadań papiestwa i cesarza splata oba układy sił, tak obce sobie w swej istocie. Ład średniowieczny będzie trwał tak długo, jak istnieć będą wspólne zadania i wiążąca je praktyka. Wymiary wspólnego pola zadań są następujące: opanowanie rozbieżnych tendencji w łonie plemion germańskich i włączenie ich w szeregi wykonawców ładu średniowiecznego; obrona przed naporem islamu; organizacja Europy i skierowanie jej życia na ideały Chrystusowe; wdrążenie automatu świętości w życie mas; ekspansja na tereny pogańskie wschodniej Europy, zaludnione przez Słowian.

Przewaga ideoświadomościowa chrześcijaństwa sprawia, że wżera się ono w strukturę ładu średniowiecznego jako jego naczelna wizja. Pod jej presją formują się instytucje średniowiecza, a więc władza cesarza, feudalizm, rycerstwo, ustrój stanowy. Żywioł germański trwał w tym układzie jako skupiona energia wyładowująca się w czynie, organizacji, lecz pozbawiony był własnej świadomości. Mógł działać, walczyć, zdobywać, organizować, oczywiście w imię Chrystusa.

Dlatego też istnienie tego jakościowo odrębnego żywiołu nie jest wyraźnie zaznaczone w historii średniowiecza. Na zewnątrz zawsze występował papież, biskup, pokorny święty w rodzaju Bernarda, ale siłą wykonawczą był przeważnie opętany "pychą" cesarz i krzepki rycerz. To sprawiło, że słabizna wspakultury w tej epoce nabrała znamion dynamiki i rzutkości. Dzięki niej starcza skleroza i marazm wykazywały czasem żywość nieomal młodzieńczą.

3. Ład średniowieczny.

Dopiero w średniowieczu chrześcijaństwo pokazało swoje pełne możliwości. Miało do dyspozycji ramię świeckie cesarza i państwa, mogło więc swobodnie stawiać cele i zadania, mniej już troszcząc się o środki, których skwapliwe użycie było punktem ambicji cesarza, królów i całego państwa. Ten podział funkcji stanowił wykładnik przyjętej zasady, że życie doczesne jest drogą do zaświatów. Wszystko musi być skierowane ku nadprzyrodzoności, a przyrodzoność ma za zadanie ten marsz wszelkimi siłami forsować, gdyż istnieje ona tylko dla nadprzyrodzoności. Nigdy więcej nie miała wspakultura krzyża takich możliwości nadania życiu swego piętna jak w średniowieczu.

Wszystko podlegało jej dyspozycjom, wszystkie instytucje kształtowały się pod jej przemożnym wpływem.

Średniowiecze podejmuje myśl św. Augustyna, że naczelnym celem jest doskonałość moralna jednostki, uzyskiwana przez pełne wyrzeczenie się świata. Idea amputacji geniuszu człowieczego była postawiona z całą otwartością i z uporem realizowana. Postulat "uduchowienia" podkreślano poprzez godzenie się z wszystkimi konsekwencjami, które stąd wynikają - nawet z uwzględnieniem absolutnego celibatu wszystkich, czyli wygaśnięcia rodzaju ludzkiego. I tak św. Augustyn (a za nim wszyscy wielcy święci) - "Z całą stanowczością odpowiada, że chrześcijaństwo zna tylko jedną doskonałość jako ideał dla wszystkich... Życie w świecie i życie w klasztorze nie są wcale odmiennymi typami doskonałości, to są tylko dwie różne drogi wiodące do tego samego celu.

Droga wyrzeczenia się prowadzi wprawdzie pewniej do celu... jednak wyrzeczenie się jest wyższą formą i Augustyn skłania się przecież do uznania wyboru życia światowego za objaw mniejszej gorliwości moralnej... Wyraża on np. pragnienie, aby wszyscy pozostali bezżennymi bez względu na niebezpieczeństwo wygaśnięcia rodzaju ludzkiego. Gdyby rzeczywiście do tego doszło, to byłby to jego zdaniem znak, iż... ma się zakończyć bieg dziejów" (ks. F. Sawicki, op. cit., ss. 60, 61).

Mamy tu odpowiedź niezliczonym fałszerzom historii, którzy próbują zatrzeć właściwe oblicze średniowiecza i narzucić sugestię, że czasy nowożytne "wynikają" z ewolucyjnego rozwoju. Ducha tej epoki wyraża lepiej Tomasz á Kempis ze swoim skrajnym nihilizmem i abnegacją: "Nie jaki bądź nabytek albo rozmnożenie dóbr ziemskich, lecz raczej pogarda ich i zupełne wyrwanie ich z serca i precz odrzucenie wielce służy do uzyskania najwyższego dobra" („O naśladowaniu Chrystusa", 27, 3). Wszystko winno służyć zbawieniu duszy. Trudności, które się nastręczają, usuwa siła państwa.

"Średniowiecze kształtowało naturę ludzką według typu cywilizacji sakralnej, opartej na przekonaniu, że wszystkie instytucje ziemskie wszystkimi swymi siłami i całą swą istotą powinny służyć Bogu, Jego sprawom tzn. realizacji królestwa Bożego... Średniowiecze... marzyło o takim zjednoczeniu świata, żeby Cesarz... był najwyższą władzą świecką, tak, jak papież reprezentuje duchową jedność Kościoła" (J. Maritain, op. cit., s. 20).

Na państwo i cesarza spada brudna praca organizowania elementów materialnych Kościoła. Kościół sam - to kontemplatywny wysiłek duszy, w męce dźwigającej się ze szczebla na szczebel automatu świętości.

"Św. Tomasz rozróżnia dwa ogólne typy: życie czynne (vita activa) i życie kontemplatywne (vita contemplativa)... Co do tego, który rodzaj życia zasługuje na pierwszeństwo, wypowiada się Tomasz bez wahania za życiem poświęconym rozmyślaniu... Dlatego też... w stanie doskonałości ustanie życie czynne i ustąpi miejsca kontemplacyjnemu" (ks. F. Sawicki, op. cit., s. 121).

Nim jednak do tego dojdzie, należy uporządkować życie wiernych w płaszczyźnie przyrodzoności.

Trzeba najpierw ustalić zasady, według których będzie ono organizowane. To ogromna dziedzina pracy myślowej. Dąży się tu do wykończenia myśli św. Augustyna o harmonii wiary i

rozumu, czyli zgodności objawienia z umysłem ludzkim. Z kolei podejmują się teologowie wyłożenia prawd wiary objawionej językiem filozofii, a św. Tomasz z Akwinu bierze się do udowodnienia, że "wiara" jest tylko wyższym stopniem poznania.

"Jak długo scholastyka jest w pełni rozwoju, przeważa duch syntezy. Przez przetwarzanie i szczególną wykładnię, przez łagodzenie i wyrównywanie, także przez częściowe wyłączanie i ograniczanie udaje się zespolić to co rozbieżne" (tamże, s. 81).

Są to wszystko elementy, za pomocą których utwierdza się rząd dusz. Wykorzystując spreparowaną starożytność, opanowuje się do gruntu ideomatrycę średniowiecza. Wyniszcza się wszelkie ślady kultury okresu pogańskiego. System norm moralnych staje się całkowicie chrześcijański.

Powiązania z naturalizmem tępi się za pomocą miecza i stosu ogniowego. Ten sam los spotyka język, tradycję ustną, świadomość historyczną grupy, instytucje inicjacji, czyli wychowania społecznego. Wystarczy przypomnieć, jak przerobiono świadomość historyczną, która na wstępie stała się monopolem Kościoła. W krajach pogańskich zanikła pamięć o przeszłości pogańskiej, i to tak dalece, że nie wiadomo, co było przedtem. Co się działo w Polsce przed rokiem 966? Wysiłek ten, prowadzony z uporem i konsekwencją, miał oderwać ludy Europy od ich przeszłości, a wdrożyć im zasady wspakultury krzyża. I to zostało dokonane. Odtąd pokolenia były urabiane przez władczą treść krzyża. Rewolucja o niezmiernej doniosłości historycznej została przeprowadzona równie skutecznie jak w świecie antycznym.

Następnie otwarły się możliwości gruntownego uświęcenia mas średniowiecza. Najpierw więc wdrażano w masy cnotę pokory, przyuczano znosić nędzę i braki. Już zacny Jan Kasjan sformułował tezę o zgubności dążenia do jakiegokolwiek dostatku, a nawet zwykłej sytości. Bieda jest dobrym pancerzem chroniącym przed poduszczeniami szatana.

"Jeżeli zarobek jednego miedziaka może zaspokoić potrzeby naszego ciała, a my chcielibyśmy się wysilać i mozolić nad zwykłą miarę, byle zyskać dwa lub trzy miedziaki... wówczas w rzeczach dla nas dostępnych okazywalibyśmy świeckie namiętności i żądze... Jawne doświadczenia stwierdzają, że nie dzieje się to bez poduszczenia czartowskiego" (Jan Kasjan, op. cit., IX, 5, 6). Teraz dopiero może być uruchomiona turbina utrapień. Istny potok nieszczęść zalewa człowieka średniowiecza: bieda, głód, epidemie, zdzierstwo, nieustanne wojny itd. Tym samym jest okazja do praktykowania cnót. Najpierw więc pokory, następnie miłości. Z kolei przechodzi taki nieszczęśnik zwykłą transformację i dostrzega świt nadziei - nagrodę "tam" za utrapienia doczesne. Oczywiście, potem gorącym sercem łączy się z "ukrzyżowanym". Prawidłowo więc przechodzi szczeble transmisji, łkając z rozrzewnienia: "Często i ciężko grzeszyłem przeciwko Tobie; słusznie powstaje na mnie wszelkie stworzenie. A przeto słusznie należy mi się zawstydzenie i pogarda... I dopóki się tak nie usposobię, abym chętnie pragnął być wzgardzonym i opuszczonym od wszelkiego stworzenia i za nic zgoła mianym, dopóty nie będę mógł ani się ustalić i uspokoić wewnątrz, ani być oświeconym w duchu, ani zupełnie połączyć się z Tobą" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 41, 2).

Pobieżna nawet znajomość historii wieków średnich potwierdza, że w takim nastroju żyły całe narody. Transmisja zewnętrzna sprawnie wciągała masy społeczne w swoje magle, wyciskające przywary i niegodziwości, czyniąc człowieka coraz bardziej uduchowionym, łaknącym ucieczki z tego strasznego świata.

Z równą skutecznością działała transmisja wewnętrzna. Kościół doprowadzał człowieka do najgłębszego rozdarcia wewnętrznego, każąc mu ugnębiać grzeszne namiętności. Wstępem do tego było pobudzenie uczucia nikczemności i lichości własnej. Człowiek obciążony grzechem nie może nie czuć się winnym i nędznym. Dlatego też średniowiecze obfituje w takie epidemie psychiczne jak powszechne szczekanie, gdyż wszyscy się czują podłymi psami, zasługującymi tylko na psi los.

Rozdziera ich niepokój i poczucie własnej nicości, ugruntowanej na skażeniu niepojętym grzechem, skąd rodzi się westchnienie umęczonej duszy: "A gdybyś doszedł do zupełnej pogardy

siebie samego, wiedz, że wtedy opływałbyś w taką obfitość pokoju, jaką tylko w tym ziemskim wygnaniu mieć można" (Tomasz á Kempis, op. cit., III, 25, 3).

Wiele tu jest do zrobienia, trzeba umorzyć świadomie grzech we własnym ciele, zdusić odruchy krwi. Idzie tym torem czołowy święty średniowiecza, Bernard: "Przez ciągłe posty, czuwania i niewygody, tak dalece miał osłabione zdrowie, że nie mógł trawić żadnego pożywniejszego pokarmu i wnet po wzięciu wyrzucał... Resztę czasu przepędzał na modlitwie, czytaniu i rozmyślaniu... Zwykł on mawiać do tych, którzy przybywali w celu wstąpienia do klasztoru: 'Jeżeli chcecie żyć z nami życiem wewnętrznym, zostawcie ciała, które ze świata przynosicie, za drzwiami tego progu: dusze same niech tu wchodzą, bo ciało nic nie pomaga'" (św. Bernard, „Pisma"; Przedmowa).

Bodziec grzechu wewnętrznego pobudzał do czynów prowadzących ku cnocie miłości, nadziei i wiary. Oto święta Małgorzata, królewna węgierska, opisana z zachwytem przez wielu pobożnych pisarzy: "Szaty jej podlejsze były nad inne i grubsze. Płótna żadnego nie używała. Przez cały wielki post nigdy się nie przewłóczyła i innych też czasów bardzo rzadko, robactwu się nie bardzo sprzeciwiając, dla którego czasem inne jej się strzegły siostry, które gdy mówiły jej, aby wyprać szaty dała, odpowiedziała im: Niech ciało moje dla Pana mego, Jezusa Chrystusa robacy jedzą.

Siedem lat mając, włosiennicę nosić poczęła... Miała do tego obręcz żelazną na ciele, którą ściskała się, a na noc pas ze skóry jeżowej. Prosiła czasem, aby jej ramiona wiązano powrozami konopnymi, które by się w ciało wpiły, a mękę zadawały; w trzewikach niejakie goździki miała, które by ją chodzącą dolegały..." itd., itp. (P. Skarga, op. cit.).

Napęd grzechowy utrzymuje w ruchu automat świętości. Potężnie rozbudowana magia ułatwia pracę transmisji, napędzanej złem świata i złem wewnętrznym. Wielu jednak chce ten sam cykl zintensyfikować w celi zakonnej. Stąd też średniowiecze roi się od zakonów, w których dusze spragnione świętości ze szczególną pasją usiłują amputować zło geniuszu człowieczego. Podstawą są teorie ascezy Jana Kasjana, które w naszych analizach zajmują należne miejsce. Na niej oparł się zakon św. Benedykta. "Reguła św. Benedykta (um. 543) przepisuje codziennie czytanie Rozmów Kasjana. Art. 42 brzmi: zakonnicy o każdej porze roku, po wieczerzy niech zaraz usiądą wspólnie, a jeden niech czyta Rozmowy. - Znaczenie Rozmów Kasjana było bardzo wielkie i to przez wieki.

Zakon Benedyktynów był jedynym zakonem Zachodu aż do wieku XIII (Cystersi powrócili tylko do pierwotnej surowej reguły benedyktyńskiej). On to wychowywał kler świecki i zakonny, on więc pośrednio i bezpośrednio prowadził ku Bogu tysiące dusz, pragnących doskonałości, on wychowywał inteligencję świecką, o ile taka istniała - sam zaś karmił się codziennym prawie czytaniem dzieł Kasjana" („Rozmowy"; Wstęp).

W zakonach cykl przemian psychicznych, wytwarzany przez stosowanie automatu świętości, był jeszcze bardziej brzemienny. Tam osiągano iście Chrystusowy produkt - człowieka tak wymaglowanego, że niemal pozbawionego organu, który zło geniuszu człowieczego w nim rodził.

Ale był to jednocześnie zdecydowany kaleka, o nienormalnym, bo wręcz chorobliwym cyklu fizjologicznym. Wystarczy przyjrzeć się galerii świętych, których ta epoka sporo stworzyła. Sami zboczeńcy. Oczywiście, wyznawcom krzyża sprawy te rysują się wręcz przeciwnie.

Godzi się jeszcze wzmiankować o specjalnej instytucji Kościoła w średniowieczu. Mamy tu na myśli inkwizycję świętą. Gdy się ma przed oczyma celową organizację Kościoła jako instytucji nastawionej na przepuszczanie grzesznego surowca przez automat świętości, to narzuca się uwaga, że inkwizycja jest organem koniecznym. Gdyby jej nie było, cała struktura Kościoła okazałaby się czymś ułomnym i chwiejnym. Skoro Kościół powstał dla dokonywania świadomej operacji na człowieku, rodzącym się wszak z niedopuszczalnymi obciążeniami grzechu pierworodnego, nie wolno dopuścić do tego, by zadanie o kosmicznej doniosłości mogło być mącone przez jakieś siły wewnętrzne. Herezje, aktywne wystąpienia szatana, rebelie przeciw uświęcaniu człowieka musiały się wydawać przestępstwem tak strasznym, że tylko bezwzględne represje mogły być odpowiedzią

na nie. Palenie na stosie heretyków, ateistów, czarownic było zatem czymś logicznym, wynikającym z naczelnego dążenia, które zrodziło ideę Kościoła.

Rozdział XIII. Chrześcijaństwo na przełomie ery nowożytnej.

1. Rozkład średniowiecza a Renesans.

Precyzja, z jaką został urządzony ład średniowiecza, jest zastanawiająca. Uderza to tym bardziej, że cały gmach średniowiecza spoczywał na gruzach przeszłości zgoła innej. Dwie zasadnicze siły - tradycja antyczna i żywotność Germanów - zostały nadużyte przez perwersyjny instrumentalizm wspakultury do utwierdzenia się w opornym świecie. Dopóki "pole wspólnych zadań" średniowiecza jest jasne i oczywiste dla każdego członka warstwy, na której się opiera Święte Cesarstwo Rzymskie, ład średniowieczny funkcjonuje bez większych zacięć. Podstawą zaś "pola wspólnych zadań" cesarstwa i papiestwa są zadania polityczne i militarne. Żaden przedstawiciel stanu rycerskiego nie ma wątpliwości, że trzeba przeciwstawić się nawale islamu, że należy nawrócić mieczem pogan w Europie, że powinno się zapewnić władztwo krzyża w duszach szerokich mas. W pewnym jednak momencie zadania te są z grubsza wypełnione. Islam wyrzucony z Europy, a krzyż, pomimo niepowodzeń wypraw krzyżowych, sięga nawet do Azji. Cała Europa ochrzczona i krzyż panuje wszechwładnie w duszach wyznawców po wytępieniu resztek tradycji pogańskiej. To samo zostaje zrobione zarówno w kręgu Kościoła katolickiego, jak i schizmatyckiego. "Pole wspólnych zadań", które spajało ład średniowieczny i dawało mu tak niezwykłą dynamikę, zostaje wyczerpane.

Odtąd rozpoczyna się kryzys średniowiecza. Nikt na razie nie może określić, co się zepsuło.

Gorliwcy nadal wskazują na "pole wspólnych zadań" i chcą je kontynuować do ostatka.

Uświadamia się, że są w Europie jeszcze pogańscy Prusowie i Litwini, że i chrzest innych narodów jest powierzchowny, a wobec tego kontynuować średniowiecze może zakon krzyżowy, gdzie żarliwa wiara Chrystusa potrzebuje dynamiki, męstwa i krzepkiego ramienia świeckiego. Niewiele to pomaga. Gnić poczynają podstawowe instytucje świętego cesarstwa. Samo podleganie władzy cesarskiej (instytucja chrześcijańskiego cesarza) budzi wątpliwości, gdy się zważy, że roztapia się we mgle uzasadnienie, dla którego cesarstwo powstało. Z kolei ten sam los staje się udziałem instytucji rycerstwa. Szlachetny bojownik o wzniosłe ideały wiary traci autorytet, gdyż coraz mniej ma okazji do bojowania o te ideały. Skoro tak, to i cały feudalizm: władanie ziemiami, miastami, tworzące podstawę pełnienia obowiązków rycerskich, ulega rozchwianiu. Gdy wszystko staje się płynne, rodzi się naturalna refleksja: co dalej? Energia żywiołu germańskiego, skupiona w Świętym Cesarstwie Rzymskim, jako "bezrobotna" szuka nowych zadań. I tu się rozpoczyna istna rewolucja.

Żywioł germański czuje swoją autonomiczność. Przestał być narzędziem, więc musi się zastanowić, czym jest.

Zaczyna się ruch umysłów, który doprowadza do stwierdzenia, że ideały Kościoła, którym się dotąd służyło, domagają się przemyślenia. Zwraca się uwagę również na to, że i spuścizna antyczna jest czymś jakościowo innym niż ideały Chrystusowe. W jakimś momencie dochodzi się do odkrycia, że dążenia ludzkie i tradycja antyczna są bliskie sobie, a jednocześnie obce chrześcijaństwu. Oba narzędzia wspakultury - tradycja antyczna i energia znajdująca się w służbie Kościoła – dochodzą do samowiedzy. Odkrywają swoje powiązania z panhumanizmem. W pierwszej fazie tej odbudowy samowiedzy nikt jeszcze nie podejrzewa, że chodzi tu o podważenie fundamentów chrześcijaństwa.

Dziecięco naiwna wyobraźnia kres swych dążeń widzi w odbudowie "prawdziwego" stylu chrześcijańskiego, zgodnego z "naturą ludzką". Uważa się, że Kościół Chrystusowy coś niecoś zniekształcił w proporcjach i dlatego należy, opierając się na Piśmie Świętym wrócić do właściwych proporcji. Stawia się cel powrotu do "naturalizmu" chrześcijańskiego. Nie bardzo się to udaje, i w

następnej fazie rozwija się już naturalizm mieszczański, zwrócony ku Staremu Testamentowi, jako bardziej odpowiadającemu jego aspiracjom. Nieubłaganie rozdzielają się elementy zdrowia i wspakultury. Z jednej strony pozostaje Kościół Chrystusowy, z którego wyłączają się robocze woły, z drugiej zaś - te woły, dochodzące stopniowo do samowiedzy poprzez poczucie obcości wobec ideałów Chrystusowych.

Tok tych przeobrażeń zostaje gwałtownie przyśpieszony dzięki wielkiemu prądowi Renesansu.

Wątpliwe jest, czy bez odrodzenia ideałów antycznej kultury ferment, który zarysowaliśmy powyżej, dałby jakieś trwałe wyniki. Renesans funduje podstawy światopoglądowe, które radykalnie podważają porządek średniowieczny. Na tych podstawach buduje się nowy pogląd na świat. Z niego zaś wykwita wielki rozwój sztuk pięknych, nawrót do przyrody, rosnący przedział pomiędzy teologią a filozofią, zwracającą się do wzgardzonego świata. Ścisłe metody rozumowania, wsparte o matematykę, zrywają więzi myśli i oddalają ją od spleśniałego systemu spekulacji wspakulturowych. Wyzwalające się siły geniuszu człowieczego rozrywają łańcuchy zastarzałej hipnozy, szukają dróg do uchwycenia myślowego wielkiego, wspaniałego świata i do wydajnej, organicznej syntezy.

Zwracając się do odległego antyku znajduje myśl ludzka wątek swej najgłębszej istoty człowieczej.

Odkrywa się, czym jest antyk, odsłaniają się nowe, nieznane perspektywy starożytności, jakże innej od tego, co o niej sugerowało chrześcijaństwo. Odtwarza się stopniowo epokowy wynalazek indywidualizmu, dokonany w starożytnej Grecji, a następnie pogrążony w rumowiskach cywilizacji antycznej. Ideę jednostki autonomicznej, świadomie dążącej do przeistaczania życia w swym kręgu, przyjmuje się od starożytnych. Na tym fundamencie buduje się nową syntezę "indywiduum sprawczego", dostosowaną do nowych okoliczności. Indywiduum sprawcze, przeniesione w nowoczesne warunki, nie jest już zwrócone wyłącznie do problematyki kultury duchowej. Terenem ekspansji stają się żywioły społeczno-organizacyjne i żywioły przyrody. Zahamowany w swym rozmachu ideał helleński odradza się i rozwija jako coś, co się nazywa cywilizacją zachodnią.

Odrzucenie kamieni grobowych panhumanizmu uwalnia umysł ludzki od perwersyjnego autorytetu "objawienia", daje swobodę samodzielnych poczynań, sprzyja kontynuacji ciągu kultury, przerwanego w swoim czasie w Grecji przez brzemienne wystąpienie Sokratesa.

Odtąd człowiek zwraca swoje spojrzenie w rozsnuwający się świat zewnętrzny. Podobnie jak i starożytni chce pełni życia, mocy, ale wierzy, że znajdzie to przede wszystkim w rozprzestrzenieniu swego władztwa nad przyrodą. Spekulacje co do istoty człowieka, jeśli nie prowadzą na stare manowce wspakultury krzyża, spychają uwagę ku otaczającej naturze. Praca w tym kierunku hojnie popłaca, dając poczucie wzrastającej pełni i mocy. Tak się zestala nowoczesny ideał człowieka.

Nowoczesny człowiek dąży do osiągnięcia swego posłannictwa, torując przepływ energii przez środowisko zewnętrzne. Pragnie on bodźce, wyzwolone z geniuszu człowieczego, przerzutować na świat materialny, podporządkować go sobie i uczynić uległym swej woli. Nowoczesne "indywiduum sprawcze" pragnie poczucia wolności, swobody, i w tym celu dąży do opanowania stosunków najbliższego środowiska rzeczowego. Wolność i pełnia życia to owładnięcie środowiskiem materialnym i społecznym, podporządkowanie go swej woli. Drogą ku temu jest wypracowanie metod opanowywania środowiska, wśród nich zaś podstawową rolę odgrywa nauka.

Nauka w odniesieniu do świata przyrody będzie techniką materialną. W odniesieniu do oporów społecznych - socjotechniką i gospodarstwem. Człowiek Renesansu, zwracając się ku światu zewnętrznemu, rozwijać będzie swoją ekspansję w płaszczyźnie techniki, gospodarstwa, socjotechniki i nauki. Majaki krzyża pozostaną w dali.

2. Protestantyzm.

Rozkład średniowiecza pozwolił wyzwolić się znacznym połaciom Europy spod całunu chrześcijańskiego. Uwolniły się prawie wszystkie narody germańskie. Stało się to po długich stuleciach błądzeń i walk. Ostateczny podział zestalił się po wojnie trzydziestoletniej. A i wówczas zerwanie z chrześcijaństwem nie było zupełne. Mamy na myśli protestantyzm. W naszym ujęciu protestantyzm nie jest już właściwie chrześcijaństwem. Ponieważ jednak zerwanie nie było całkowite, da to znać o sobie w dalszej przyszłości, gdy wyczerpie się bohaterski poryw, który protestantyzm stworzył.

Poza drugorzędnymi akcesoriami protestantyzm nie należy już do chrześcijaństwa. Jeśli ktoś ma odmienne zdanie, to w takim razie nie wiadomo, co jest chrześcijaństwem, do czego zaliczyć historię Europy w ciągu półtora tysiąca lat. Spróbujemy pokrótce udowodnić, jak dalece protestantyzm odchylił się od trzonu chrześcijaństwa i jego podstawowych instytucji.

Protestantyzm odrzucił podstawową ideę chrześcijaństwa: ideę świadomego poprawienia człowieka natury za pomocą amputacji zła geniuszu człowieczego. Nie ma chrześcijaństwa tam, gdzie rezygnuje się z kosmicznego zadania - naprawienia wrodzonej ułomności człowieka drogą doprowadzenia go do zbawienia poprzez zwalczanie grzechu pierworodnego, czyli uświęcenia osobowości. Całe chrześcijaństwo opiera się na pomyśle wynalazku Chrystusowego, który ma umożliwić przeistoczenie grzesznego człowieka w "naczynie Bogu miłe", promieniejące bezgrzesznością. Naprawić zepsucie pierworodne człowieka, czyli dokonać operacji uszlachetniającej na awangardowej formie bytu, oto tytaniczne zadanie, które przyświecało wszystkim wielkim organizatorom Kościoła i porywało ich. Jeśli odrzucimy ten "zakon globowy", nie ma tym samym chrześcijaństwa.

Kazuistyka będzie oczywiście negować to, co wyżej powiedzieliśmy, a sprzyja jej w tym wypadku chwiejność naczelnych pojęć w tej dziedzinie. Ale znajdzie się na to sposób. Operacja, o której mowa, czyli "zakon globowy" krzyża, jest do wykonania dzięki wynalazkowi Chrystusowemu - dzięki "automatowi świętości". Bez niego nie ma mowy o rewolucyjnym poprawianiu obciążenia grzechowego każdej osobowości. Jedno bez drugiego to coś w ogóle nie do pomyślenia. Występują zawsze razem. Z naciskiem więc podkreślamy, że protestantyzm, odrzucając naczelne powołanie chrześcijaństwa, musiał też odrzucić i narzędzie jemu służące - zanegować automat świętości. Tu sprawa jest jasna. Gdzie nie ma automatu świętości, nie ma chrześcijaństwa, gdyż bez tego wynalazku nie da się ono pomyśleć. Otóż wszyscy wiemy, że automat świętości został w całości odrzucony przez protestantyzm. O to toczyły się wojny religijne XVI i XVII wieku. Jako niepotrzebny balast wyrzucił protestantyzm wszystko to, co składa się na automat świętości, a więc zarówno transmisję zewnętrzną i wewnętrzną, jak i aparat magii.

Brzmi to tak paradoksalnie, iż musimy chwilę nad tym się zastanowić, tym bardziej że sami protestanci, stojąc na stanowisku, że słowo "chrześcijaństwo" oznacza to samo co "dobrze", z taką interpretacją nie zgodzą się chętnie. Pomyślmy więc chwilę, czy podstawowy element wynalazku Chrystusowego - transmisja zewnętrzna - jest przyjęty przez protestantyzm czy też nie. Znaczy to: czy potoki zła płynące przez świat są wykorzystane jako siła napędowa ku cnotom Chrystusowym?

Czy protestantyzm wziął do serca przykazanie Chrystusowe o błogosławieństwie ubóstwa, niesprzeciwianiu się złu, podążaniu ku utrapieniom, nędzy, chorobom, upokorzeniom jako czemuś, co uszlachetnia człowieka? Każdy wie, że jest inaczej. Ożywione protestantyzmem mieszczaństwo - w swoim bohaterskim okresie - wyznawało zasadę wręcz przeciwną: błogosławieni bogaci; bogactwo: pomyślność, powodzenie w interesach było świadectwem przymierza danej jednostki z Bogiem. Na tej podstawie została zbudowana pomyślność i wielkość gospodarcza krajów protestanckich, ich w XVII wieku ciągle rosnące bogactwo, co trwało aż do naszych dni. Świat protestancki stanowczo odrzucił kult ubóstwa, upatrywanie w nędzy znaku wyższości "moralnej".

Tym samym unieruchomił turbinę utrapień, która nadawała rozmach całemu szeregowi cnót. Bo skoro człowiek rezygnuje z cnoty pokory, skoro nie poddaje się fali zła, bijącej w niego udrękami

w postaci głodu, zimna, złości ludzkiej, chciwości, gwałtu - czy taki człowiek może wznieść się do cnoty miłości? Dla protestanta, żyjącego we względnym nawet dobrobycie, dążącego do zdobycia majątku, nie ma właściwie pola do praktykowania cnoty pokory i cnoty miłości. Pokora i miłość są to cnoty doskonale rozwijające się u istot podległych, zdeptanych, niewolniczych. Gdzież tu mogło być podobieństwo do etyki skrzętnych kupców, przedsiębiorców, precyzyjnych rzemieślników? A skoro nie przyjęło się udręk z nędzy wykwitających, czy można było się spodziewać, że w duszy "zmaterializowanej" zaświta brzask cnoty nadziei i wiary, że udręki zostaną skompensowane stokrotnie, i wobec tego tych udręk jako cennej waluty należy skwapliwie szukać? Cenną walutę udręk "tu" zdobywamy za pomocą specyficznych uzdolnień osobistych - cichości, rezygnacji, małych pragnień, unikania sprawności zawodowej, bezruchu itd. Są to dyspozycje wręcz przeciwne tym, które hodował protestantyzm, domagający się "skutecznego powołania zawodowego", dynamiki osobistej, precyzji pracy, zimnej kalkulacji rzeczowej, nastawionej na materialny sukces, gdyż to było dowodem łaski Bożej. Mamy tu pełne przeciwieństwo, krańcowe przeciwstawienie kierunków ewolucji.

Zupełnie podobnie wygląda sprawa transmisji wewnętrznej. Zdławienie zła wewnętrznego drogą rozniecenia bólu duchowego i uruchomienia w ten sposób przerzutu na miłość, nadzieję i wiarę chrześcijaństwo najlepiej przeprowadzało w matecznikach klasztorów. Jak wiemy, protestantyzm instytucji klasztorów w ogóle nie zna. Ten sam los spotkał magię liturgiczną. Msza święta przestała być "krwawiącym ciałem Jezusa", "nieustającą ofiarą cierpień krzyża" itd. Nie spełnia więc magia liturgiczna zadania "przypomnienia" udręk Chrystusowych, które wzmagają wydajność pracy transmisji zewnętrznej i wewnętrznej, pracy "automatu świętości". Biorąc rzecz całościowo - protestantyzm pozbył się prawie bez reszty wynalazku Chrystusowego, wszystkich jego subtelnych mechanizmów. Nic w tym dziwnego, gdyż odrzucił ideę, której ten wynalazek miał służyć.

To nie koniec następstw odwrócenia się od fundamentalnych instytucji krzyża. Skoro zanegowano kosmiczny cel chrześcijaństwa, a następnie i potężny wynalazek Chrystusa, nie do utrzymania się stała instytucja Kościoła. Odpaść musiało natchnione kierownictwo, instytucja kapłaństwa, która kierowała operacją naprawiania grzechu ludzkości, a tym samym i wszystkie atrybuty magii.

Rozwiało się zadanie - marsz od przyrodzoności do nadprzyrodzoności przez fabrykę przetwórczą, w której furczał automat świętości.

Wszystkie wątki prowadzą do fundamentów wspakultury, do pierwiastków. I tu odkrywamy, że protestantyzm w okresie swego złotego wieku nie posiadał właściwie oparcia w pierwiastkach wspakultury. Nie znajdujemy u jego podstaw ani personalizmu, ani moralizmu, ani nihilizmu, ani hedonizmu. Istnieje wiara - z pozoru więc spirytualizm. Ale podążanie "tam" odbywa się nie drogą wyrzeczenia się, kontemplacji, lecz poprzez czynną, wytężoną działalność. Spirytualizm protestantyzmu niewiele ma wspólnego z wspakulturą. Dopiero znacznie później, właściwie w naszych czasach, sugestie wspakultury rozpoczną przesączać się do kręgu protestantyzmu. To samo z "miłością" bliźniego. Nie nosi ona w protestantyzmie znamion chęci rozbrojenia "złych" mocy, lecz raczej cechuje ją aktywna solidarność z geniuszem człowieczym w innej jednostce, znajdującej się w kłopotach. Pomoc człowiekowi jako protestancka miłość bliźniego oznaczała wolę uchowania geniuszu człowieczego od zatracenia w ciężkich sytuacjach. A więc i tu pełne przeciwieństwo, gdyż "miłość chrześcijańska" to dążenie do zabicia geniuszu człowieczego, jako zła, w sobie i innych.

Rzecz jasna, że tak ostre przeciwieństwo stanowisk nie daje się utrzymywać stale. Hipnoza wspakultury zawsze wywiera swój zgubny wpływ, korzystając z przewagi wykończenia i potęgi zaplecza. Czy po tych pobieżnych uwagach może być uchowane mniemanie, że protestantyzm jest jeszcze chrześcijaństwem? Sądzimy, że raczej nie. A już zupełnie opaczna wydaje się myśl, że jest on wyrazem ewolucyjnego rozwoju chrześcijaństwa. Niektórzy stawiają sprawę tak, jakby pierwszą fazą tej ewolucji było chrześcijaństwo pierwotne, gdzieś do IV wieku, następnie miała nastąpić faza katolicyzmu, a w końcu trzecia faza - protestantyzm. Taki pogląd nie da się już utrzymać, z tym zastrzeżeniem, że mamy na myśli protestantyzm w jego bohaterskim okresie, a więc od połowy

XVII wieku do połowy XIX wieku. Później następuje niewątpliwie rozkład i powrót do takiego lub innego wspakulturowego doznawania bytu.

Protestantyzm w swym bohaterskim okresie nie ma u swych fundamentów pierwiastków wspakultury, wyjąwszy naleciałości spirytualizmu i wszechmiłości. Brak mu całkowicie personalizmu; zamiast tego mamy zdobywczy indywidualizm, który następnie stał się trwałą pozycją cywilizacji zachodniej. Brak też moralizmu. Protestantyzm uważał kontemplację za zajęcie zbyt łatwe, niegodne człowieka. Nie znajdujemy także nihilizmu i abnegacji, ani też hedonizmu, który dopiero ostatnio rozpoczyna się przesączać jako kierunek filozoficzno-społeczny.

Gdy to wszystko uwzględnimy, jasne się staje, dlaczego niemożliwe byłoby przyjęcie Chrystusowego "automatu świętości" i koncepcji Kościoła jako mistycznego "ciała Jezusowego", spajanego więzią magii liturgicznej. Wielu nad tym boleje. "Nie można zaprzeczyć, że na osłabienie życia religijnego ostatnich wieków wiele złożyło się przyczyn, ale bardzo poważną rolę między nimi odegrała tu przewaga pierwiastka indywidualistycznego w pobożności wiernych, przejawiająca się w upadku liturgii" (ks. J. Woroniecki, op. cit., s. 75).

Wspaniałość i blask cywilizacji zachodniej - to dzieło protestantyzmu. Ubogo na tym tle wypadają narody chrześcijańskie. Kapłani próbują ten stan jakoś wytłumaczyć: przyczynę upadku cywilizacyjnego upatrują w wyrzekaniu się "wiary" przez zrozpaczonych ostatecznie wyznawców.

A oto mamy dalszy ciąg tego rozumowania w odniesieniu do narodów protestanckich: "Uznając wielkość narodów protestanckich, i to w zakresie najszerszym, mamy wiele uwag... Naprzód to, że wielkość ową przygotowało nie co innego jeno sam Kościół. Przez tysiąc lat Anglia była katolicką.

Protestancką jest dopiero od trzech stuleci. Przez ciąg owego tysiąca lat ukształtowała się ona, nabyła tych rzadkich i cennych przymiotów, które ją czynią tak wielką... Wszystko co ma ona wielkiego, ma od Kościoła. To samo trzeba powiedzieć i o Stanach Zjednoczonych..." (ks. E. Bougaud, Kościół, s. 268).

Jest to argumentacja klasyczna, zawsze się powtarzająca: narody katolickie upadają dlatego, że w ostatnich czasach (XIX i XX wiek) zbyt wiele krytyki zwraca się przeciw "wychowawcy" tych narodów - przeciw Kościołowi świętemu, a niektóre narody, jak Francja, nawet wyizolowały Kościół z życia państwowego. Narody protestanckie zaś są wielkie, gdyż trzy wieki temu były jeszcze katolickie. Te żałosne argumenty są odruchem każdego wspakulturowca usiłującego obronić "wartości" przed atakiem "materialistów". Gdy jest szczery, wówczas odrzuca nonsensy tej argumentacji, stwierdzając starą prawdę, że utrapienia, nędza, uciski itp. są wykładnikiem nie niższości, lecz wyższości duchowej, zgodnej z nakazami objawiciela.

3. Rozprężenie Kościoła.

Wielkie przemiany, które nastąpiły po upadku średniowiecza i rozkładzie form politycznospołecznych, na których opierał się Kościół, nie wywołały żadnych istotnych przeobrażeń w samym Kościele. Dalekie cele przyświecające Kościołowi pozostały bez zmian. Nie zmieniła się podstawa Kościoła - automat świętości. Intencja Chrystusa i jego zasadniczy pomysł nadal pozostały kręgosłupem Kościoła katolickiego i takimi są po dziś dzień. Jako pewnik możemy przyjąć, że powyższe zasady nie ulegną zmianom i w dalszej przyszłości. Wszystko, cośmy pisali o chrześcijaństwie, stosuje się do jego dążeń dziś i jutro. Zasady jego są naprawdę "odwieczne". Kościół się nie zmienił. Ale wokół Kościoła zaszły zmiany bardzo istotne. Opisywaliśmy już bunt przeciw wspakulturze krzyża w postaci Renesansu, protestantyzmu i wreszcie tzw. cywilizacji zachodniej, zbudowanej na indywidualizmie. Tak więc na zewnątrz Kościoła, poza jego zasięgami politycznymi, wykrystalizowały się ogniska pracy cywilizacyjnej, które rozpoczęły rozwijać się gorączkowo, nabierając coraz większego rozpędu i dynamiki. Nie będziemy jednak zajmować się tymi ogniskami, gdyż są to rzeczy powszechnie znane, lecz zwrócimy uwagę na to, jak oddziaływały one na ludy znajdujące się w orbicie wpływów Kościoła. Sprawy prawosławia możemy tu

pozostawić na uboczu. Żywa dynamika twórczości cywilizacyjnej krajów spoza Kościoła oddziaływała niezmiernie silnie na życie w jego kręgu.

Obiektywne wytwory mają to do siebie, że na ogół łatwo się rozprzestrzeniają. Proces ten jest trudny do uchwycenia. Dzięki temu mogła powstać złuda o cywilizacji zachodniej obejmującej rzekomo całą Europę, gdy w rzeczywistości serce tej cywilizacji prawie całkowicie mieściło się wśród narodów protestanckich północno-zachodniej części naszego kontynentu. Płynęły one, te obiektywne wytwory, istną falą. Postępy nauk, pojęcia ogólne, wzrost dobrobytu, postęp techniczny i społeczny, nowe kręgi zainteresowań powstawały na określonym terenie, ale szybko były przejmowane przez resztę ludów, nawet najbardziej chrześcijańskich. Wszystko, co już jest gotowe, łatwo się przejmuje drogą zwykłego naśladownictwa. Zupełnie inna jest sprawa z ogniskami sił, które te dobra cywilizacyjne wytwarzają. Nie ma tu naśladownictwa, gdyż chcąc tworzyć, trzeba przejąć się tą samą pasją, namiętnością twórczą, a to wymaga oddania bez reszty, skupienia wszystkich sił duchowych osobowości ludzkiej.

Stwierdzamy więc sytuację następującą: z jednej strony narody opanowane przez Kościół Chrystusowy, wyznające ideę wyrzeczenia się i wolę uzacniania grzesznego człowieka poprzez stosowanie wynalazku Chrystusowego; z drugiej zaś - narody poświęcone budowie dzieła cywilizacji. Wynik twórczości cywilizacyjnej tych drugich w postaci obiektywnych dóbr oddziałuje z kolei na pierwsze. Wpływ ten jest mimowolny, a co ciekawsze, narody chrześcijańskie nie są zdolne mu się oprzeć. Również Kościół, mimo troskliwej opieki, którą roztacza, opierać się mu nie potrafi. Jesteśmy więc świadkami ciągłych przemian w życiu narodów chrześcijańskich i w życiu narodów sparaliżowanych przez pokrewne schorzenia - buddyzm, hinduizm, islam. Tak czy inaczej rozchodzą się na cały świat usprawnienia techniczne, wytwory przemysłu, typy zajęć, mody, zwyczaje itd. Wynalazek zapałek upowszechnia się tak samo jak pług żelazny, gazeta, żarówka elektryczna, rower, auto, kolej żelazna, ośmiogodzinny dzień pracy, pomadka do ust. Poziom życia nawet najbardziej zacofanych narodów orientuje się na poziom wyższy, dąży do wyrównania.

Proces ten zachodzi stale od kilku wieków. I godzi on stale w ideał życia skierowany ku nadprzyrodzoności, w dążenie do uświęcenia duszy. W każdej chwili proces ten osłabia wzgardę doczesności, odwraca od nadprzyrodzoności i przykuwa uwagę do spraw przemijających. A więc winien Kościół przeciwstawić się temu? Taki odruch jest naturalny, ale do niczego nie prowadzi.

Wyobraźmy sobie, że wyznawcy krzyża postanawiają oprzeć się fali cywilizacji i pozostać przy wzorach życia, które zestaliły się w epoce przełomu chrześcijańskiego starożytności i w średniowieczu. Realizuje się bez kompromisów założenie, że "jednego potrzeba" i dlatego należy gardzić doczesnością, tocząc walkę z przywarami ciała. Słowem - fabryka zbawienia duszy w pełnym ruchu, automat świętości furczy na wysokich obrotach, Kościół uruchamia aparaty obronne, aby nie dopuścić do zakłóceń w godziwym trybie życia wiernych.

Co stąd wyniknie? Otóż fragmentaryczne doświadczenia skłaniają do wniosku, że taka polityka musiałaby doprowadzić Kościół do katastrofy. Pomijam sprawę wojen religijnych. Niech spróbuje urzędnik, kolejarz, biuralistka, monter, robotnik w fabryce, kupiec choć na chwilę postępować według zaleceń ewangelii świętej, św. Pawła, Jana Kasjana, Tomasza á Kempis: będzie to oznaczało odrzucenie wypracowanych przez rozwój cywilizacji norm pracy, zwrot ku abnegacji. I w tejże chwili rozpoczyna się upadek bezmierny na wszystkich polach. Gdy prześledzimy tę myśl, okaże się, że wyznawcy krzyża muszą w każdej chwili stosować się do dyktatu życia formowanego przez cywilizację. A dyktat ten jest wszechobejmujący. Chrześcijanin, czymkolwiek się trudni, musi podciągać się do pewnego poziomu, gdyż w przeciwnym razie czeka go zguba. We współczesnym świecie nie ma miejsca dla uprawiania cnót chrześcijańskich. Niech robotnik, urzędnik, tramwajarz zechce ugnębiać swoje grzeszne ciało ostrym postem, nie dosypiać - słowem naśladować zbawiciela albo świętych średniowiecza, a straci posadę z powodu obniżenia wydajności pracy.

Każda próba "uduchowienia" rozbraja na odcinku pracy zawodowej i wyrzuca poza nawias.

Utrzymać się w rytmie można tylko przyjmując wszystkie normy cywilizacji, a więc higienę, racjonalne odżywianie, komfort itd. Kto usiłuje pofolgować "cnotom" - traci pozycję. Stosuje się to do jednostek, jak i całych narodów.

Kościół stanął przed wyborem: **a)** przeciwstawić się, **b)** pójść całkowicie na wyścig w pracy cywilizacyjnej albo **c)** dostosować się. Pierwsza droga prowadziła do katastrofy. Stosowano ją podświadomie na pewnych odcinkach. Wyniki były straszne - upadek, wyeliminowanie, zniszczenie. Druga droga była nie do przyjęcia, gdyż oznaczała rezygnację z zasad chrześcijaństwa: tą drogą właśnie poszedł protestantyzm. Pozostała więc tylko trzecia, przystosowanie. Polegało ono na tym, by przyjmować gotowe wytwory, obiektywne wzory i normy, lecz jednocześnie zachować wobec nich zasadniczą wrogość jako warunek utrzymania postawy krzyża - wzgardy doczesności.

Był to utajony sabotaż. Chrześcijaństwo zachowywało swoją naczelną zasadę - dążenie do nadprzyrodzoności, lecz chwilowo godziło się z cywilizacją. Wszystko jest marnością, pychą i utrapieniem żywota, ale skoro nie można inaczej, rezygnujemy z niektórych wyrzeczeń, zakładamy światło elektryczne, jedziemy koleją, pracujemy osiem godzin, obsługujemy maszynę w fabryce.

Gdy tylko można, używamy tych narzędzi do podtrzymania ducha Chrystusowego, a więc poczucia ich znikomości i ohydy. Obcą wówczas zostanie namiętność, która cywilizację stworzyła, obcym nurt życia, z którego to wszystko wyrasta. Będzie się przyjmowało wyniki, aby nie być zmiażdżonym. Osiąga się rzecz najważniejszą: osłonięcie totalnej wspakultury krzyża, opancerzenie zestroju emocjonalnego w tym świecie, w którym panoszy się błąd i niepojęte szaleństwo cywilizacji. Ponieważ cywilizację odbiera się tylko jako gotowe, obiektywne wytwory, ułatwiające pracę i wzmagające wydajność, opancerzona i chwilowo nieczynna dusza chrześcijaństwa nie może widzieć w tym nic innego, jak tylko zgubne przerosty i "obłędną pogoń zmysłowego materializmu".

W każdym bądź razie musimy się przystosować do tego grzesznego świata, zawiesić chwilowo zasadę "jednego potrzeba", wejść w nurt życia, poddając się jego normom, gdyż inaczej nie będziemy mogli wytrzymać tempa pracy, które, niestety, obowiązuje wszystkich. Trzeba się starać, by nie odrywało nas to całkowicie od pnia zasad Chrystusowych. Trzon musi być zachowany.

"Oczywiście całe życie powinno podążać ku celom etycznym, a wreszcie ku Bogu. Nie jest to jednak ani potrzebne, ani psychologicznie możliwe, w każdej sprawie zmierzać do najwyższego celu, a ze sprawami świata nie wiązać myśli naszych... Często bez naszej woli stajemy się przez czas jakiś więźniami rzeczy nas otaczających. Bez tego nie da się pomyśleć żadna intensywna praca... Jeśli świat stworzony ma nas do Boga prowadzić, to musimy mu poświęcić sporo uwagi.

Dlatego też dopuszczalne jest szukanie przyjemności dla niej samej... Nie jest konieczne dążyć we wszystkim wyłącznie do etycznego celu, nie jest również konieczne starać się przy każdej czynności utrzymać ten związek" (ks. F. Sawicki, op. cit., s. 58).

Tak mówi teolog. Są to ustępstwa wymuszone, chwilowe, taktyczne. Zasady chrześcijaństwa bowiem są niezmienne. Ale te ustępstwa, uczynione po to, aby zachować trzon wierzeniowy totalnej wspakultury krzyża, pociągają za sobą nie dające się uniknąć następstwa. Następstwa bardzo poważne. Pamiętajmy o założeniu: zasady wierzeniowe są utrwalone w duszach wyznawców; ci wyznawcy są jednak coraz bardziej wciągani w kierat codziennych funkcji, orientujących się na cywilizację wytwarzaną przez "zmaterializowane" narody północno-zachodniej Europy. Są rolnikami, robotnikami, kupcami, technikami itd., podciągającymi się do pewnego pułapu. Dążąc do utrzymania się na tym pułapie, muszą przyjmować normy życia najbardziej celowe i sprzyjające wydajnej pracy. Czynią to niechętnie, ale muszą. I wówczas rozpoczyna się dramat. Precyzja pracy, wydajność wysiłku, sprawność umysłu łączy się z dobrym odżywianiem, komfortem, higieną, a to wszystko unicestwia stan psychiczny i fizyczny człowieka najbardziej pasującego do automatu świętości.

Na tym torze ewolucji rozstraja się podhalucynacyjny stan umysłów, wycieńczenie ciała, zabiedzenie, które tak sprzyja prosperowaniu cnoty pokory i miłości. Przeciętny wyznawca nagle

stwierdza, że nie jest dostosowany do automatu świętości. Jego dyspozycje psychiczne, nabyte w trybie codziennego, zawodowego życia, oddalają go od tych dyspozycji, które są niezbędne dla "uzacniania" i "uszlachetniania" osobowości w automacie świętości. Im dalej, tym gorzej. Nie da się pogodzić nakazów wyrzeczeń i cnót z udziałem w zawodowej pracy, podciągającej się do ogólnego rytmu.

Zjawisko to wystąpiło już w XVI wieku. Pierwszym jego wyrazem był ciężki konflikt wewnętrzny w duszy wyznawców. Miał on różne formy. Podstawową formą tego konfliktu było doznanie skruchy i winy. Wtrącony pod przemożnym naciskiem w nurt obcych wpływów, wyznawca dochodził do stwierdzenia, że został tak zniekształcony w swojej istocie, tak dalece odchyla się od swego ideału, że nie jest w stanie praktykować cnót, które uważa za obowiązujące dlań. W każdej chwili postępowanie jego kłóci się z tym, co zostało mu wpojone jako piękne i godziwe. Popełnia on niezliczone przekroczenia, za które żałuje szczerze, wiedząc, że nadal będzie grzeszył.

Zjawisko skruchy jest czymś powszechnym w nowoczesnej historii Kościoła. Tam, gdzie jego zasady panują w duszy jednostek, musi zrodzić się rozszczepienie, gdyż te jednostki tak czy inaczej ulegają przemianom idącym od nurtu codziennego życia, które wyłączają je z praktyk religijnych, narzucanych przez autorytet Kościoła. Trudno pogodzić katechizm z duchem pragmatycznym, przenikającym życie ekonomiczne, polityczne, umysłowe, w którym każdy wyznawca bierze taki lub inny udział. Nie przemawia doń tak bezpośrednio magia obrzędów, mszy, komunii, jak to było w średniowieczu, gdy żył w podhalucynacyjnym stanie umysłu, oczekując na cuda, objawienia itp.

"Najwybitniejszym zjawiskiem w rozwoju życia religijnego ostatnich wieków jest przesunięcie punktu ciężkości pobożności wiernych niemal wyłącznie na praktyki czysto indywidualne. Kult społeczny Kościoła, przejawiający się w jego cudownej liturgii powoli odsunięty został na drugi plan, stracił swą żywotność i przestał być tym, czym być powinien dla pobożności wiernych, mianowicie szkołą i ożywczym źródłem" (ks. J. Woroniecki, op. cit., s. 74).

Ażeby wybrnąć z rozszczepienia, o którym mowa, rozwinęła się swoista instytucja skruchy. Przez pewien czas była ona czymś, co zastępowało automat świętości. Do mistrzostwa doprowadzili instytucję skruchy jezuici. Złe czasy nastąpiły, gdy doznanie skruchy poczęło słabnąć, a tym samym i wpływy zakonu jezuitów. Stąd był już krok do oziębłości religijnej, spłycenia odruchów i wrażliwości mas.

4. Jezuityzm.

Rozprężenia chrześcijaństwa nie można było powstrzymać. Potępiło ono zło świata, przeciwstawiło się mu poprzez wyrzeczenia, wytrwało przy ideach, którym Kościół służy. Cóż, kiedy tożsamy ze złem, potępiony świat wytworzył swoje ogniska poza Kościołem. Tam rozpoczął się proces budowania cywilizacji, a produkty tej cywilizacji poczęły następnie przenikać w obszar władania Kościoła. Gdy Kościół zbyt zdecydowanie przeciwstawiał się tym procesom, następowały klęski.

Niż cywilizacyjny był tym głębszy, im bardziej wyznawano "prawdy" krzyża. Wystarczy uprzytomnić sobie, że w XX wieku nie ma już ani jednego mocarstwa katolickiego. Zalew cywilizacji przesącza się różnymi drogami, dając w wyniku paraliż organów Kościoła, wyrażający się w tym, że wyznawcy nie mogli poddawać się obróbce w automacie świętości.

Pozostała jednak skrucha. Dziewczę w krajach katolickich ubierało się w modne sukienki, szło na dansing, opalało się w kostiumie kąpielowym na publicznej plaży, czyniło inne "rzeczy bezwstydne", ale potem bieżało do spowiedzi, wyznając w skrusze popełnione grzechy. Masy chrześcijańskie wchodziły w "grzeszny", potępiony świat, na stałe się w nim zadamawiały, ale czuły, że popełniają niegodziwość. Podobnie czuje pobożne dziewczę o sporym temperamencie, szczerze bolejące nad szeregiem swoich kochanków i nie kończących się przygód erotycznych.

Ponieważ z tym grzechem nie może się ono pogodzić, a jednocześnie wie, że stale go popełniać musi, usiłuje więc stworzyć podział na grzechy "większe" i "mniejsze". Będzie więc starało pohamować się w wybrykach zbyt lubieżnych, zadowolenia szukając w bardziej "normalnych".

Oczywiście, będzie starać się o pomoc ekspertów od grzechów, by straty moralne utrzymać na dość niewysokim poziomie. Pomoc tych ekspertów będzie posiadała niezmierną doniosłość.

Instytucja skruchy w pewnych okresach zastępowała pracę automatu świętości, który skazany był na wielkie ograniczenie. Dla mas chrześcijańskich moment skruchy stawał się czymś najważniejszym. Wchodziły one w "zło" świata coraz głębiej, czuły, że będą brnąć coraz bardziej i chciały w jakiś sposób uratować swoje dusze od wiekuistego potępienia. Ostra granica dzieląca od "zła" świata stopniowo traciła na wyrazistości. Zarysowały się "szczeble" zbrukania, naturalne, pozytywne, afirmatywne itd. Wszystko się rozpoczęło mieszać. Trzeba więc było stworzyć kodeksy przewinień, skalę porównawczą niezliczonych uczynków, intencji, słów, które wszystkie były w zasadzie przejawem tego samego grzechu, ale które musiały mieć odpowiedniki w skali pokuty, gdyż winowajca domagał się dokładnego oznaczenia swej winy. W ten sposób ratował on swoje permanentnie skruszone serce. Popełniał nieustanne przekroczenia, wiedział, że czynić to będzie stale, ale gotów był przyjąć karę za to, możliwie dokładnie wymierzoną, gdyż stanowiła ona warunek spokoju sumienia.

Na tym wyrosła potęga zakonu jezuitów. Doskonałość w ich rozumieniu polegała na tym, aby stale przełamywać ziemskie, przemijające perspektywy i kierować się ku najwyższym celom, ku zbawieniu. Nie jest to łatwe dla ludzi uwikłanych w sprawy tego świata. Zanurzając się w potoku codziennych spraw i ziemskich dążeń, zatraca się powiązanie z dobrem najwyższym. Musi więc istnieć instytucja, która się tym zajmie. Właśnie temu się poświęcali jezuici. Oni stworzyli zasady "probabilizmu" i mieli elastyczne kodeksy pokuty dla wszystkich przewinień, z łatwością kierując skruszonymi sercami. Ażeby to móc czynić, sami przechodzili specjalne szkolenie. Wstępem do doskonałości jezuickiej były słynne ćwiczenia św. Ignacego Loyoli. Ażeby ją posiąść, trzeba było najpierw uzyskać "wewnętrzną wolność" wobec wszelkich ziemskich rzeczy, namiętności i uczuć.

Adept jezuitów musiał być obojętny na wszystkie rzeczy stworzone, nie mógł bardziej pragnąć zdrowia niż choroby, bogactwa więcej niż nędzy, więcej czci niż upokorzenia, długiego życia więcej niż krótkiego. Gdy taką postawę wyrobił w sobie, mógł na to wszystko patrzeć od strony środków i instrumentów prowadzących do naczelnego celu: władztwa Kościoła jako drogi zbawienia człowieka od zła doczesności.

Jezuita o takim usposobieniu szedł w życie nurzające się w grzechu, a więc w potok cywilizacji, ruchu robotniczego, uniwersytetów, partii politycznych, związków zawodowych, spraw rodzinnych, erotycznych itd., z jednym zadaniem: jak to wszystko wykorzystać dla dobra Kościoła. Dźwignią zasadniczą było uczucie skruchy w sercach grzeszących. Należało nimi kierować tak, by trwałe grzeszenie dało w wyniku tryumf krzyża. Grzeszne środki miały zostać uświęcone przez szlachetny cel: znana zasada jezuickiego intencjonalizmu. Jezuityzm usiłował za pomocą zła i grzechu, któremu ulegał wyznawca krzyża, doprowadzić do tryumfu "dobra" i "prawdy", którym w bliższej perspektywie było utrzymanie się instytucji Kościoła wbrew naporowi wrogich sił. Było to klasyczne stosowanie zasad "perwersyjnego instrumentalizmu wspakultury". Na nim opierał się w swoim czasie pochód krzyża w starożytności, a następnie użycie Germanów do utwierdzenia ładu średniowiecznego. Teraz próbuje się tę samą zasadę zastosować wobec cywilizacji zachodniej, dążąc do wykorzystania jej dynamiki w celu wzmocnienia chwiejących się murów totalnej wspakultury krzyża. Przyjmując bodźce cywilizacji, usiłuje się je tak spreparować, by służyły do zahamowania ekspansji tejże cywilizacji.

Manewr był zakrojony na olbrzymią skalę. U jego podstawy mamy założenie, że napór zła kiedyś ustanie i wówczas Kościół okaże się zwycięzcą. Jak każdy system perwersyjnego instrumentalizmu, tak i jezuityzm mógł dawać pewne wyniki tylko w ograniczonym kręgu czasu i historii. Ponieważ dynamika cywilizacji zachodniej nie ustała, próby perwersji wspakulturowej w

stosunku do niej załamały się. Jezuityzm zostawił trwały ślad w Kościele, ale nie osiągnął swych celów.

5. Utajone zasięgi chrześcijaństwa.

Średniowiecze było złotym okresem chrześcijaństwa. Wzbierająca dynamika życia, znamienna dla nowożytnej historii, stopniowo podminowała władztwo chrześcijaństwa, usuwając podstawy dla idealnego praktykowania cnót pokory i miłości. W konsekwencji podważyło to możliwość pełnego stosowania Chrystusowego wynalazku. Kosmiczne zadanie, do którego został stworzony Kościół, poczęło się wydawać czymś dalekim, a bliższym celem stawało się utrzymanie samego Kościoła, zagrożonego w swoim istnieniu przez pęczniejący materializm i pychę żywota. W tym celu wykorzystane zostało uczucie skruchy, które wzbierało w sercach wyznawców, coraz bardziej oddalających się od ideałów wyrzeczeń. Zadanie to spełniał zakon jezuitów, który swoją metodę utrzymywania rządu dusz narzucił całemu Kościołowi. Lecz zgubne przerosty materializmu wzmagały się ciągle. Z czasem oddziaływanie ich stało się tak niszczące, że załamywać się poczęła podstawa skruchy. Rozszczepienie pomiędzy zasadami krzyża i pułapem, do którego musieli dociągnąć niektórzy wyznawcy, stawało się tak znaczne, że skrucha okazywała się bezprzedmiotowa. Wytwarzał się nowy typ chrześcijanina, który godził się z rozszczepieniem pomiędzy praktyką grzesznego w zasadzie stylu życia a zasadami krzyża. Oznaczało to stępienie żarliwości wyznawanych zasad, skoro wyrzuty sumienia z powodu zajmowania się "tym" światem nie popychały do dramatycznej skruchy i pokuty. Od początków XIX wieku dzięki industrializmowi wpływy cywilizacji rosną tak zdecydowanie, że zgłuszają uczucia rozdarcia moralnego. Masy pozostają nadal wyznawcami ideałów Chrystusowych, lecz jednocześnie stwierdzają, że rzeczywistość codzienna tak daleka jest od możliwości ich praktykowania, że zostaje tylko z westchnieniem pogodzić się z tym stanem.

Powstaje nowe zjawisko: zimnych, rozbrojonych chrześcijan. Odrywają się oni od organizmu Kościoła, gdyż praktyki religijne zmieniają się w więź bardzo wątłą. Lecz jednocześnie wyznają oni jego zasady, bolejąc nad tym, że muszą one pozostać tylko platoniczną deklaracją. W miarę upływu czasu masy zimnych chrześcijan stają się coraz powszechniejsze. Są one dalekie od uniesień religijnych związanych z automatem świętości, a również uczucie skruchy miało czas na to, aby się stępić i rozpłynąć.

Masy zimnych chrześcijan są utajoną potęgą wspakultury krzyża. Ich powiązanie z Kościołem z pozoru wygląda na nikłe. Stwarza ich co pokolenie nie Kościół, lecz to, co nazwaliśmy "ideomatrycą", czyli fabryka duchowa środowiska. Gdzie ideomatryca jest przesiąknięta chrześcijaństwem - zazwyczaj już w odległej przeszłości historycznej - tam bez ich świadomej woli dorastające roczniki przechodzą przez obrabiarki panujących norm moralnych, systemu wychowawczego, instytucji świadomości grupowej, literatury, języka, pojęć ogólnych, a w końcu szlifuje je ideomatryca psychologiczna, tj. pokolenie dojrzałe. Otrzymuje się zawsze taki sam produkt. Jest nim umysłowość uważająca za swoje własne "ja" normy personalizmu, wszechmiłości, spirytualizmu i nihilizmu. To chrześcijaństwo zimne, autonomiczne, niezależne od Kościoła, od jego organizacji, kleru, instytucji.

Ale właśnie ten typ umysłowości jest potężną siłą. Stanowi on utajone rezerwy Kościoła. Dopóki napór cywilizacji poprzez rytm codziennego życia nie daje się odeprzeć, rozbrojone masy chrześcijańskie biernie mu ulegają. Czatują na okazję, gdy będą mogły przejawić swoje upodobania i dyspozycje. Dlatego też chrześcijaństwo jest z pozoru czymś nieuchwytnym, przezwyciężonym, dalekim. Upiór przybrał kolor ochronny i bezwiednie czeka na bardziej odpowiednie dlań czasy.

Rozdział XIV. Wspakultura laicka.

1. Załamywanie się spirytualizmu.

Widzieliśmy, jak oddziaływała cywilizacja zachodnia na przemiany w łonie chrześcijaństwa.

Najpierw podważyła ona funkcjonowanie automatu świętości, a następnie wyziębiła skruchę pobożnych serc. I oto od wielkich miast, najbardziej podatnych na wpływy, rozpoczęła się szerzyć zmora metrykalnego chrześcijanina, przeżywającego zasady wiary w sposób nader blady. Nie odczuwał on nawet skruchy z powodu zejścia na bezdroża "zmysłowego materializmu", chociaż wyznawał zasady marności i nicości tego wszystkiego, co czynił i do czego dążył. Przy Kościele Chrystusowym utrzymywała go już tylko więź "wiary". Gdzieś na dnie duszy tliło się przekonanie o "tamtym" świecie i w ślad za tym idący łańcuch skojarzeń o marności tego, co jest "tu", o potrzebie uwolnienia się odeń, o zbawienności ubóstwa, błogosławieństwie cierpienia i "krzyży", zsyłanych przez wszystkowiedzącą "Opatrzność". Pomimo że wszystkie elementy tego szeregu wyblakły, całość jednak była jednolitym obrazem, logicznie zestalonym dzięki spoidłu "wiary".

Dopóki to spoidło nie zostało naruszone, całość obrazu mogła tracić na gorącości kolorytu, ale za to w jakimś sprzyjającym momencie miała dane do odzyskania dawnej żywości.

Znany był cykl ożywiania się tego obrazu: poszczególne jednostki w pełni sił odsuwały się na ubocze od żywego nurtu Kościoła, ale wracały tam na starość lub też pod wpływem niepowodzeń czy klęsk. Był to cykl przysłowiowy. Jego podstawy obejmowała obręcz spirytualizmu, utrzymująca Chrystusowy zestrój pierwiastków wspakultury. Nic więc dziwnego, że Kościół bronił "wiary", nawet jej promyka, z największą zapalczywością. Łaska wiary była skarbem wysokiej wartości, nawet w bardzo nie sprzyjających okolicznościach. Dzięki "wierze" logiczne stawały się wszelkie dalsze wnioski, które narzucały nihilizm, moralizm, wszechmiłość i personalizm.

Wprawdzie wyznawca utracił żarliwość ducha, nie poddawał się automatowi świętości ani uczuciu skruchy, ale mógł do tego w każdej chwili wrócić.

Wyznawca Chrystusowy platonicznie zgadzał się z opinią mężów światłych a pobożnych, że: "Kto chce być chrześcijaninem, musi mocną wolą zaprzeć się pierwiastka grzesznego w sobie, dobrowolnie znosić przeciwności życia i naśladować Chrystusa" (O. T. Pesch, op. cit., t. II, s. 16).

Stwierdzał jednak z żalem, że tej mocnej woli mu brak, co nie wykluczało, że może ją mieć kiedyś.

Nie wyrzekał się wiary, gdyż była ona dlań pancerzem w razie klęsk życiowych; wówczas bowiem osłaniał się przed załamaniem stwierdzeniem, że wszystko "tu" i tak jest marnością przemijającą.

Nie zawsze jednak to spoidło udawało się zachować. Z upływem czasu sprawy pogarszały się stale.

Napór cywilizacji zachodniej nie tylko nie ustawał, lecz się wzmagał. Coraz częściej obręcz "wiary" nie wytrzymywała i wówczas rozpoczynał się nowy rozdział dziejów wspakultury: kończył się zestrój pierwiastków skodyfikowany przez Chrystusa. Stwierdzał to każdy kapłan zatroskany o losy fabryki Chrystusowej. Po rozbrojeniu żarliwości Chrystusowej i wyłonieniu się mas zobojętniałych, chociaż czujących się jeszcze związanymi z Kościołem i jego celami, które stawały się coraz bardziej mgliste, napór "materializmu" w wydaniu cywilizacji zachodniej przebijał zasadniczą linię obronną totalnej wspakultury krzyża, a mianowicie "wiarę" w zaświaty. Tok życia i myślenia odwracał od "wiary", obalając tym samym dzieło Chrystusa.

"Zachodnioeuropejskie religie, wyznające Chrystusa, stanęły dziś w obliczu groźnego niebezpieczeństwa, które polega na tym, że nie tylko ten czy ów myśliciel, ile samo myślenie, nie wyłączając myślenia europejskich chrześcijan, świadomie odrzuciło ideę Boga..." (K. Adam, op. cit., s. 34).

Nastawienie na osiągnięcie wyników w wymiernym historycznie świecie i wola rozbudowy władztwa człowieka w stosunku do natury coraz silniej przenikały wszystko. Pragmatyczne myślenie stawało się normą obowiązującą, a tym samym podważającą zasady wspakultury. W

oczach zatroskanego dekadenta Chrystusowego sprawa ta rysuje się następująco: "Wszyscyśmy weszli w krąg myślenia i mamy w umyśle gotowe formuły, które bynajmniej nie doprowadzają nas do Boga, do Chrystusa - lecz przeciwnie, precz nas od Niego odwodzą... Zło głównie wynika stąd, że cała nasza struktura duchowa jest wykoszlawiona. Oczy zachodu przyćmiła mgła... Tak długo utkwione były wyłącznie w świat zjawisk zewnętrznych, że zmniejszyła się w nich możność przenikania sfer nadziemskich... Winę przypisać tu należy zasadniczej postawie człowieka „europejskiego" (tamże, s. 37).

Inny zaś z nie ukrywanym rozczarowaniem i niesmakiem stwierdza: "Gdziekolwiek Bóg jest w historii, tam widzimy, że jest opuszczonym przez stworzenie swoje. Jak gdyby istniała jakaś siła odpychająca, jakaś siła odrzutowa w Nim. On czyni przed sobą pustkę. Nie może sprawić, aby Go kochano, poznano, aby Weń wierzono. Wszędzie łatwizna równoważy Kościół, wesołe miasto, smutny Kościół. Ludzie woleliby stać się niewolnikami państwa niż zawdzięczać swobodę swoją Kościołowi. Bóg stoi po jednej stronie a świat po drugiej" (O. F. W. Faber, „Przenajświętszy Sakrament", s. 212).

Nie dał też wyniku perwersyjny instrumentalizm, usiłujący dorobek cywilizacji wykorzystać dla potwierdzenia "prawd". Wprawdzie stawiano tezę, że: "Wiara powinna pozostać normą całego naukowego badania, nic zaś jej przeciwnego nie może w nauce przyjść do głosu" (ks. F. Sawicki, op. cit., s. 19). W rzeczywistości jednak ewolucja potoczyła się w kierunku podważającym uświęcone zasady. Coraz powszechniejsze stawało się zjawisko zatracenia wiary. Zasadnicza linia obrony totalnej wspakultury załamywała się w umysłach wyznawców.

"Śmiało można powiedzieć, że obecny ustrój społeczny i gospodarczy stanowi dla ogromnej liczby ludzi niezmiernie wielką przeszkodę w trosce o to jedno, co jest konieczne, o zbawienie" (Pius XI, op. cit., s. 127).

Z chwilą gdy dążenie do zbawienia traciło swoją podstawę, rozpoczynał się niezmiernie ważny proces rozmontowywania hierarchii pierwiastków, jaką ukształtował Chrystus. Załamanie się wiary powoduje bowiem bezprzedmiotowość powiązania i kierunków nastawienia poszczególnych pierwiastków wspakultury. Nihilistyczny rozmach ugnębiania namiętności i grzesznych żądz straci swoje uzasadnienie, to samo dotyczy udręk jako waluty mającej obieg w niebie. Każdy pierwiastek wspakultury wypada z hierarchii i staje się wielkością autonomiczną. Pozostaje tęsknota dekadenta, potencjalnego spirytualisty, ale nie posiada on pewności, że "tam" naprawdę istnieje, a jeszcze mniej ma pewności, że droga Chrystusa, która i tak już jest mało uczęszczana, prowadzi w zaświaty. Nihilizm pozostanie sobą, z tym że odczuwać będzie tylko bezsens życia i "straszliwość" namiętności ludzkich. Personalizm i wszechmiłość, wyzwolone z Chrystusowej służby, ujrzą nagle, że perspektywy, które dla nich się otwierają, są mocno odmienne od podrzędnej roli w syntezie krzyża.

Uogólniając można podkreślić powrót każdego pierwiastka do swej "naturalnej", nie skrępowanej postaci, jaką staraliśmy się zarysować w pierwszych rozdziałach tej pracy. W ten sposób Chrystusowa synteza się kończy. Nie kończy się natomiast wcale wspakultura. Wspakultura trwa nadal, lecz powiązanie pierwiastków w hierarchii, którą nadał jej Jezus, nie wytrzymuje próby życia i musi ustąpić nowej. Nowy zestrój pierwiastków wspakultury jest jeszcze daleki od krystalizacji.

Znajdujemy się ciągle w początkach rozkładu chrześcijaństwa. Będzie on trwał jeszcze bardzo długo. Sądzić należy, że proces ten rozciągnie się na stulecia. Dziś możemy już określić, na czym on polega, co stanowi jego zasadniczą właściwość. Nazwać go moglibyśmy laicyzacją wspakultury, a produkt jego - "wspakulturą laicką". Również nadawałaby się do tego nazwa "wspakultury kadłubowej" lub też "bezdziejowego racjonalizmu", gdyż po odrzuceniu spirytualizmu twardym dnem pozostanie konkret biosomatyczny, żywe ciało.

Jeśli spojrzymy na całość rozwoju wspakultury, zauważymy kilka zasadniczych faz jej ewolucji historycznej. Pierwszą byłaby faza epidemiczna, obejmująca czasy Chrystusowe,

apostolskie. Po opanowaniu środowiska przeszła ona w fazę chroniczną, znaną ze średniowiecza. Rozkład fazy chronicznej otwiera widoki na fazę laicką. Epoka wspakultury da się więc ująć w trzech fazach ewolucji: **a)** epidemii wspakultur totalnych, **b)** chronicznego stanu, **c)** wspakultury laickiej.

Wszystkie syntezy wspakultury przechodzą tę samą drogę: buddyzm, hinduizm, chrześcijaństwo, islam. Wspakultura laicka pęcznieje wszędzie, chociaż w kręgu chrześcijaństwa ten rozwój postąpił najdalej. Żyjemy w jego początkach i dlatego trudno nam dostrzec jego zarysy. Będzie więc rzeczą interesującą wnikliwiej nań spojrzeć.

2. Rozwój totalnej wspakultury krzyża.

Wyłaniająca się z rozkładu chrześcijaństwa wspakultura laicka nie jest czymś całkowicie odrębnym.

To pierworodna córa totalnej wspakultury Chrystusowej i dlatego, chociaż zrywa ze znakiem krzyża, może być rozpatrywana jako dalszy ciąg chrześcijaństwa. Inaczej mówiąc: historia Europy i cywilizacji zachodniej pora się od początku z tym samym straszliwym skrzepem wspakulturowym, który wchodzi teraz w swoją trzecią fazę rozwojową, odrzucając sztandar Chrystusowy.

Wspakultura laicka wykwita zasadniczo z gleby chrześcijaństwa, korzysta z jego tysiącletniej pracy, jest jego kontynuacją, która dostosowuje się do warunków, uznając, że puklerz "wiary" będzie raczej ciężarem niż pomocą. Jak już mówiliśmy, chrześcijaństwo od początku starało się opanować mechanizmy przekazywania tradycji, czyli ideomatrycę. Udało się to mu w większości krajów.

Wszędzie tam ideomatryca jest przepojona treściami wspakulturowymi, to znaczy, że poszczególne pierwiastki wspakultury stanowią kręgosłup takich instytucji, jak normy etyczno-moralne, ideały wychowawcze, świadomość grupowo-historyczna, literatura, pojęcia ogólne. Każde pokolenie formuje się w tych obrabiarkach, z tym że w ostatnim stadium wykańczania profilu duchowego działają jeszcze wpływy cywilizacji zachodniej, dzięki czemu odpada baldachimek "wiary". I oto powstaje coraz powszechniej umysł połowiczny: chrześcijanin sceptyk, pozbawiony łaski wiary.

Błąka się on pomiędzy ewangelią a teorią ewolucji Darwina, Kościołem a pragmatyzmem, kultem "zbawiciela" a gospodarką planową.

Jak wiemy z doświadczenia, granica między chrześcijaństwem a wspakulturą laicką jest często przekraczana z obu stron. W masach społecznych krajów katolickich dają się zauważyć prądy nie tylko w kierunku laicyzacji, ale i prądy idące we wręcz przeciwną stronę. Przykładem tego mogą być stosunki we Francji, gdzie w ciągu dłuższego czasu odbywający się proces odchodzenia od wiary został gwałtownie zahamowany po drugiej wojnie światowej, a chrześcijaństwo odzyskało wiele straconych pozycji. Nie zmieni to jednak prawidłowości ogólnej, wyrażającej się we wzroście zasięgów wspakultury laickiej. W każdym razie możemy patrzeć na wspakulturę laicką jako na kontynuację tego cyklu, który opisywaliśmy w poprzednich rozdziałach. Pomimo różnic mamy ciągle do czynienia z historyczną falą, którą puścił w świat Jezus Chrystus. Nie dajmy się zwieść temu, że dalszy ciąg tej fali jest pozbawiony symboliki Chrystusowej.

Sami chrześcijanie mają wiele zastrzeżeń do wspakultury laickiej, co należy tłumaczyć brakiem perspektywy. Gdy się panowało niepodzielnie, najmniejsze ustępstwo na rzecz herezji wydaje się niedopuszczalne. Zmieni się to w przyszłości, gdy ujrzy się pełne przeciwieństwo wspakultury. Na razie przeważają urazy i niechęci wobec "zmysłowości" i "materializmu".

"W czasach obecnych zalewają nas fale materializmu... Chcemy koniecznie by człowiek był swobodny, niczym nie krępowany, aby rozum nad wszystkim królował, by ciało odzyskało swe prawa; zadowalając wszelkie wymagania wygody i dostatku, służymy tym samym swej zmysłowości.

Strzeżmy się tego chrześcijanizmu bez wiary, tej pobożności bez umartwiania; nie jest ona w duchu Ewangelii, a Jezus Chrystus jej nie zna" (ks. abp Pichenot, op. cit., s. 374).

Oczywiście dla Kościoła to "zbrukanie" wydaje się czymś, co musi minąć, gdyż będąc przeciwne "nadprzyrodzoności", z pewnością nie potrafi utrzymać się długo. "Koncepcja chrześcijańska, choć nie króluje od szeregu wieków cywilizacji, to jednak jest zawsze żywotna, bo odrzucona jest tylko, a nie unicestwiona. Zdaje się, że idea ta dziś właśnie mogłaby zapanować w naszej kulturze. Czy to się jednak spełni - nie wiemy... My ze swej strony powinniśmy pracować nad jej urzeczywistnieniem" (J. Maritain, op. cit., s. 35).

Zdaniem natchnionych mężów zło "zmysłowości" i materializmu musi minąć, pomimo przejściowych przewag nad ideą nadprzyrodzoności, gdyż prowadzi ludzkość do straszliwych klęsk, wyuzdania. "Na to opłakane zepsucie duchowe... jeden jest tylko skuteczny środek zaradczy: wyraźny i szczery powrót ludzkości do nauki Ewangelii" (Pius XI, op. cit., s. 133).

Jedyna droga uniknięcia okropności przesytu to powrót do prostoty i ubóstwa Chrystusowego. "Świat ginie z powodu przesytu. Nie może się też on odmłodzić inaczej jak przez ubóstwo w duchu. Najczęstsze złudzenie to przeświadczenie, że sprawy duchowe należy ratować przy pomocy środków najpotężniejszych w porządku materii" (J. Maritain, op. cit., s. 58).

Dlatego też Kościół będzie czekał na powrót dobrej koniunktury nawet przez wieki, gdy wie, że on jedynie posiada "skarby" dla ludzi, którzy zatracają swoje człowiecze posłannictwo, pogrążając się w dekadencji. Tacy w lot pojmują, że: "Doczesne życie, jakkolwiek cenne i pożądane nie jest jednak celem, dla którego urodziliśmy się, ale tylko drogą i środkiem, przeznaczonym do udoskonalania życia duchowego przez poznanie prawdy i miłości dobra" (Leon XIII, op. cit., s. 72).

Kościół więc pozostaje rezerwatem chrześcijaństwa w tym zbłąkanym świecie, wierząc, że tok przemian może się jeszcze radykalnie zmienić. "...Jedynie ono może przeciwstawić się skutecznie zbytniej trosce o rzeczy doczesne, która jest źródłem całego zła; ono jedno może ludzi, którzy jak olśnieni utkwili wzrok w rzeczach przemijających tego świata, oderwać od nich i ich oczy ku niebu skierować" (Pius XI, op. cit., s. 125).

Na razie jednak napór zła wzbiera nieustannie. Załamywanie się wiary powoduje rozstrój Chrystusowej hierarchii pierwiastków wspakultury. Pęknięcie spinającej klamry spirytualizmu daje światu dziwne widowisko przestawiania się hierarchii wartości. Co w tym najbardziej znamiennego, to wydobywanie się personalizmu i wszechmiłości z samego dna na czoło innych pierwiastków wspakultury. Dążenie do szczęścia fizjologicznego, rdzeń personalizmu i wszechmiłości, staje się dominującą tendencją wspakultury laickiej. W stosunku do chrześcijaństwa jest to rewolucja. Dobitnie ukazuje się przeciwieństwo dążeń wewnętrznych wspakultury. Skoro dążymy do szczęścia fizjologicznego, odrzucamy tym samym zakusy nihilizmu, a miraże szczęśliwości gdzie indziej stają się bezprzedmiotowe; słabnie moralizm. Odżywa natomiast hedonizm jako odruch bezodpowiedzialnej konsumpcji, beztroskiego używania dóbr, które ktoś stworzył w męce wytężenia. A tych dóbr jest dużo. Osiągnięcia cywilizacji wydają się suto zastawionym stołem, chodzi więc tylko o dorwanie się do niego.

Zmienia się zatem gruntownie rola personalizmu i wszechmiłości. W hierarchii krzyża ciała żywych ludzi spełniały zadania transformatorów; udręki i cierpienia, bijąc w te ciała, przeistaczały się w pobudki do cnót i doskonałości. Teraz natomiast ciała łakną szczęścia fizjologicznego i w tym dążeniu utrącają te normy, które stają na przeszkodzie, odrzucają więc resztki "wiary", pokutę, cichość, rozbijając tradycyjny układ wartości chrześcijaństwa, chociaż w zasadzie elementy pozostają te same. Pasterz owczarni widzi te przemiany w taki oto sposób: "Najgłębszą przyczyną tego odwrócenia się od prawa Chrystusowego w życiu społecznym i gospodarczym i wynikającego stąd odstępstwa wielu robotników od wiary katolickiej jest nieład w dziedzinie uczuć, smutne następstwo grzechu pierworodnego, który tak zakłócił piękną harmonię władz duszy ludzkiej, że człowiek odtąd łatwo ulega złym żądzom i skłania się bardzo ku przecenianiu znikomych dóbr tego świata nad niebieskie i wiecznotrwałe. Stąd owo nienasycone pragnienie bogactw i dóbr

doczesnych, które wprawdzie zawsze popychało ludzi do łamania przykazań Boskich i do deptania praw bliźniego, dziś jednak dzięki ustrojowi gospodarczemu szczególnie liczne sposobności upadku nastręcza ludzkiej słabości" (tamże, s. 127).

Przetasowanie pierwiastków wspakultury, z tym że dążenie ku szczęściu fizjologicznemu staje się dominujące, zdaje się Kościołowi strasznym nieszczęściem. Widząc zamieszanie we własnych szeregach, woła on o kontrakcję: "Właśnie teraz potrzeba dzielnych żołnierzy Chrystusa, którzy by wszystkimi siłami starali się uchronić ludzkość przed straszną katastrofą, której ulegnie, jeśli, odepchnąwszy naukę Ewangelii, pozwoli zapanować ustrojowi, który gwałt zadaje tak prawu natury, jak Bogu... Dlatego niczego nie należy pominąć, gdy chodzi o odwrócenie takiego nieszczęścia od ludzkości... Nie dopuśćmy, Czcigodni bracia i ukochani Synowie, do tego, by ludzie tego świata okazali się roztropniejszymi od nas, którzy z dobroci Boga synami jesteśmy światłości. Widzimy przecież jak synowie tego świata z ogromną starannością dobierają sobie i szkolą zdecydowanych zwolenników, aby za ich pośrednictwem szerzyć dzień za dniem swoje fałszywe idee we wszystkich warstwach społecznych i po wszystkich częściach świata" (tamże, s. 146).

Herezja laicka jest jednak zatwardziała w swych błędach. Nie ustępuje ona ze swych pozycji.

Opiera się ona na tak "oczywistym", fotogenicznym konkrecie, jak powłoka cielesna każdego "człowieka". Zgodnie z tym, co pisaliśmy o personalizmie i wszechmiłości, światopogląd wysnuty z ich "oczywistych" założeń okazuje się bardzo zwarty. "Człowiek" to istota dążąca do szczęścia fizjologicznego, jedynego, które może pojąć w ramach swych założeń, reszta to urojenia, "fantastyka", "przesądy".

Tak powstaje prąd, który przybiera nazwę wolnomyślicielstwa lub też racjonalizmu. Jako swoje przeciwieństwo przyjmuje on zarówno uroszczenia spirytualizmu, moralizmu, nihilizmu, jak i – co najważniejsze - problematykę panhumanizmu.

Synonimem wspakultury laickiej jest bezdziejowy racjonalizm. Nie odróżnia on spirytualizmu od ewolucji tworzycielskiej świata, chętnie wrzucając jedno i drugie do wspólnej szufladki pogardzanego "idealizmu" - o ile sam utożsamia się z materializmem dialektycznym.

Uparte dążenie personalizmu, wszechmiłości i hedonizmu do wysunięcia się na czoło zwalczających się pierwiastków wspakultury powoduje zabawne widowisko, polegające na zestaleniu się frontów walki pomiędzy nimi. Racjonalizm, czyli w tym wypadku pierwiastki biowegetacyjne wraz z hedonizmem, przyjmuje na siebie komiczne zadanie zwalczania swych braci - spirytualizmu, moralizmu i nihilizmu, o ile ci nie rezygnują z zamiaru doprowadzenia do tryumfu Kościoła. Walka o teren wpływów może być nieraz bardzo zacięta. Ostatnie dwa wieki są pełne ech walki pomiędzy niesfornymi członkami rodziny wspakulturowej. Ktoś nie zorientowany w istocie konfliktów mógł łatwo popełnić błąd, mniemając, że ma się tu naprawdę do czynienia z przeciwnymi zasadami. Że była to kłótnia w rodzinie, przekonywano się o tym dopiero wówczas, gdy w grę poczęły wchodzić kategorie naprawdę odmienne.

3. Światopogląd wspakultury laickiej.

U podstaw wspakultury laickiej znajdujemy więc zgrupowanie trzech pierwiastków: personalizmu, wszechmiłości i hedonizmu. Wspierają się one wzajemnie, dzięki czemu niedobory jednego są sztukowane przez resztę. Szczególnie pomocną rolę odgrywa hedonizm. W rezultacie jego bezodpowiedzialnego pasożytnictwa wszystko, co zostało stworzone przez rozwój cywilizacji, wydaje się przeznaczone do umilania konsumpcji. A że stworzono wiele, usposabia to personalizm i wszechmiłość do mniemania, że wreszcie ziści się marzenie o szczęściu fizjologicznym.

Przypomnijmy sobie, czym jest szczęście fizjologiczne dla personalizmu i wszechmiłości. Dobro to stan biernej niewinności, wolności od wszystkiego, odprężenia, swobody przebiegów procesów fizjologicznych - optimum ciepła, słońca, obfitość wyżywienia, beztroska pustota czystego trwania.

Szczęście kwiatów i motyli - oto jego streszczenie. Lecz ten ideał nigdy nie bywa osiągany z powodu ciągłego ataku zła, mącącego "dobro". Zło występuje w postaci złych popędów, niszczycielskich namiętności wewnątrz człowieka, i zła zewnętrznego, którym jest niegościnne środowisko i obiektywne zło społeczne w postaci wojen, wrogości ludzi. Zło wewnętrzne i zewnętrzne powoduje, że stan szczęśliwości fizjologicznej, do której bezdziejowiec tęskni wraz z całym żywym światem, nie może być przybliżony. Dlatego też zamiast wymarzonego szczęścia istota żywa doznaje tylko cierpienia. Lecz tu przychodzi z odsieczą pierwiastek hedonistyczny.

Widzi on wielkie osiągnięcia cywilizacyjne i kierując się swym pasożytniczym odruchem sądzi, że brak dóbr czy niegościnność środowiska fizycznego, w którym człowiek żyje, jest już do przezwyciężenia: po dokonaniu "rozsądnych" poprawek rozpocznie się używanie bez końca.

Wspiera on tu zasady etyczne wszechmiłości, dla której też nie istnieją prawa walki o byt, wykwitające z niedostatecznej ilości dóbr, czyli z niedorozwoju produkcji; "miłość" bowiem wierzy, że zło i cierpienia są spowodowane przez kierowanie się ludzi uczuciami innymi niż miłość; gdyby zamiast chciwości, nienawiści, walki, konkurencji, wydzierania dóbr stosowali "miłość", ilość zboża, mięsa, maszyn okazałaby się naraz tak duża, że "wszystkim by starczyło".

Personalizm, wszechmiłość i hedonizm widzą teraz jasno, że ich ideały mogą być urzeczywistnione. Toteż słabnie pierwotny odruch personalizmu, który w przeświadczeniu, że "zło" jest wszechpotężne, stosował maksymę "niesprzeciwiania się złu". Do głosu dochodzi hedonizm, który zgodnie ze swą zasadą bezodpowiedzialnej konsumpcji zło widzi w tym, że ludzie nie kierują się tylko motywem użycia, lecz jakimiś innymi jeszcze pobudkami. Te inne pobudki uważa on za zgubne. Oczywiście owe "inne" pobudki są właśnie bodźcem twórczości i produkcji, na której hedonizm chce pasożytować. To, co on uważa za przyczynę niedociągnięć, to są właśnie siły motoryczne postępu, i te właśnie chce on usunąć jako "zło".

Dochodzimy do paradoksu: wspakultura laicka chce urządzić doskonały świat, i w tym celu uważa za konieczne zlikwidować te siły, które utrzymują wytężoną produkcję i dynamikę gospodarczotechniczną.

Inaczej tę rzecz ujmując - wspakultura laicka chce pasożytować na postępie cywilizacji, lecz sądzi, że jeśli są co do tego przeszkody, to tkwią one w tym, co tę cywilizację stwarza i utrzymuje. Wyniki cywilizacji są dla niej "dobrem", ale aparat i siły, które to dobro stwarzają, są co najmniej podejrzane. Pragnie ona jabłek, ale nie cierpi jabłoni i tego wszystkiego, co z wysiłkiem hodowli jabłoni jest związane. Więcej nawet: jeśli dotychczas były trudności ze zdobyciem jabłek, to tylko dlatego, że zajmowano się jabłoniami. Gdyby tego nie czyniono, jabłek byłoby w bród.

Tak myśli wspakultura laicka, i pomimo całej groteskowości tego schematu myślenia inaczej być nie może. Różni się ona od totalnej wspakultury krzyża tym, że wierzy w usunięcie przeszkód przed szczęściem fizjologicznym "tu", nie zaś dopiero "tam". W tym punkcie chrześcijaństwo ma odrębny sposób widzenia rzeczy.

"Boleść i cierpienie stanowią dolę ludzką... żadna siła i żadna teoria nie potrafią wyrugować tych przykrości do szczętu z życia ludzkiego. Ci zaś, którzy zapewniają, że to potrafią, i którzy biednej ludzkości obiecują życie wolne od wszelkich boleści i trudu, natomiast pełne pokoju i trwałych rozkoszy, ci oszukują lud i przygotowują mu zasadzkę" (Leon XIII, op. cit., s. 45).

Wychodząc z takich założeń, chrześcijaństwo musi mieć odrębną koncepcję społeczeństwa. Celem społeczeństwa jest umożliwienie jednostce uzyskania szczęśliwości "tam" poprzez odpowiednią praktykę "tu".

"Doskonałość każdego społeczeństwa polega na dążeniu do celu dla którego powstało... Stąd odchylenie się od celu jest zepsuciem; powrót do celu uleczeniem" (tamże, s. 59). Wspakultura laicka natomiast pojmuje społeczeństwo jako wspólnotę jednostek nastawioną na uzyskanie szczęścia fizjologicznego już w tym życiu, gdyż w inne nie wierzy. O nich mówi Pius XI: "Stoi

naprzeciw nas obecnie świat, który w dużej mierze niemal w pogaństwo popadł z powrotem" („Qadragesimo anno”, s. 14).

Zwrócenie się do cywilizacji współczesnej jako narzędzia do osiągnięcia marzeń o dobrobycie, beztrosce i szczęściu kieruje jednak wspakulturę laicką ku problematyce historii. Patrząc na cywilizację jak na nakryty stół, trzeba jednak coś niecoś o tym stole wiedzieć. To stanowisko odmienne od chrześcijaństwa, dla którego historia, o ile nie potwierdzała "prawdy", była właściwie zawadą. Skoro historia cywilizacji wiąże się z ideałami wspakultury laickiej, narzucał się postulat wyjaśnienia tych powiązań. Szczególnie ważne wydawało się zagadnienie właściwej interpretacji dziejów, tak by koncepcje wspakultury laickiej wynikały z całego toku rozwojowego historii, potwierdzającej jej "prawdę". Wmontowanie ideałów wspakultury laickiej w nurt historii po to, aby wykazać zgodność ich z siłami tę historię stwarzającymi, narzucało się jako coś bardzo ważnego.

Takich koncepcji będzie coraz więcej.

Dzięki temu zostaną zarysowane koncepcje historiozoficzne wyrażające sens dążeń wspakultury laickiej. Już dziś wiele ogólnych pojęć o historii, cywilizacji, nasiąknęło treściami wywodzącymi się z wspakultury laickiej. W podobnym też kolorycie historycznym ukazuje się pojmowanie "zła" we wspakulturze laickiej. Dobro i zło muszą w jakiś sposób manifestować się w toku historii. Gdy słyszymy o przebrzydłej zaborczości, chciwości, ekspansywności tych lub innych kategorii historycznych, z całą pewnością możemy powiedzieć, że kryteria wspakultury laickiej stanowią tam utajone podłoże ocen. Łatwo poznać istotę współczesnych odruchów, trzon ich podstawowych wartości, gdy zbadamy, jak one określają to, do czego należy dążyć, co zwalczać.

W przeciwieństwie do chrześcijaństwa wspakultura laicka zawsze ubiera się w szatki nowoczesności, postępu, humanizmu. Ale za to ma taką samą postawę wobec podstawowych sił motorycznych cywilizacji. Wszystko, co wynika z panhumanizmu, ma przeciw sobie zarówno wspakulturę laicką, jak i totalną krzyża. Obie pałają szlachetnym oburzeniem wobec przejawów "dzikich namiętności", obcych prawdziwemu "humanizmowi" i "miłości człowieka". Znikają tu rozdmuchane różnice i wyłania się jednolity front pandekadentyzmu.

4. Zasięgi wspakultury laickiej.

Żyjemy dopiero w początkach krystalizacji ruchu wspakultury laickiej. Daleko jeszcze do zestalenia się jej oblicza. Stanie się ona jednak kategorią przyszłości. Dwie potężne siły sprawiają, że będzie ona coraz powszechniejsza. Jedną z tych sił jest uformowanie przez chrześcijaństwo tradycji większości społeczeństw w swym zasięgu tak, że środowisko społeczno-wychowawcze będzie tam, na podobieństwo fabryki duchowej, stale hodować umysły pokoleń na wspakulturową modłę; drugą siłę stanowi dynamika cywilizacji zachodniej, która swymi wpływami nie dopuszcza do tego, by dojrzewający umysł milionowych psychik został wyszlifowany do końca w łasce "wiary".

Bardzo pojemny jeszcze dzisiaj rezerwat "wiary" będzie się kurczył, w tym rozumieniu, że poszczególna jednostka w Hiszpanii, Polsce, Włoszech, Argentynie, Francji, Irlandii itd. w ostatnim stadium pasowania jej na "rycerza wiary" zostanie w szpetny sposób tej wiary pozbawiona. I tak coraz częstszym będzie zjawisko zdekompletowanego "chrześcijanina", bo pozbawionego "wiary".

W ślad za tym może pójść przystąpienie do obozu "racjonalistów". Ci zaś mogą się uzuchwalać do tego stopnia, że zechcą czasem przyśpieszać rozrost swej heretyckiej kaplicy, skupiając się pod sztandarami wojującego wolnomyślicielstwa lub nawet ateizmu. Kres tej ewolucji oznacza całkowitą dominację wspakultury laickiej w świecie "chrześcijańskim".

Katolicyzm liczy dziś formalnie około 400 milionów wyznawców, prawosławie około 200 milionów. Tyleż protestantyzm, o którym pisaliśmy, że w swoim bohaterskim okresie właściwie do chrześcijaństwa nie należał. Razem są to rezerwy wspakultury laickiej. Katolicyzm jest już mocno podminowany wskutek laicyzacji. Jeszcze dalej postąpił ten proces w prawosławiu. Jeśli chodzi o protestantyzm, to tam wyraźnie zaznacza się zjawisko rozkładu, polegające na wypadaniu z ewolucji

tworzycielskiej, w której brały udział mniejsze lub większe masy jednostek, i opadaniu ku wspakulturze laickiej. Obszar jej zwiększa się więc kosztem nie tylko totalnej wspakultury krzyża, ale i zestrojów twórczych kruszejących na pewnych odcinkach.

Godzi się zauważyć, że to samo, acz w wolniejszym tempie, zachodzi w reszcie świata, dotychczas pogrążonej w chronicznym stanie wspakultury. Rozstrój totalny wspakultur: buddyzmu w Chinach i na Malajach, hinduizmu w Indiach i islamu już się rozpoczął. Wszędzie tam powstają nowe rozlewiska wspakultury laickiej. Siła sprawcza tego procesu jest bowiem ta sama: cywilizacja zachodnia i jej wpływy, sięgające tam poprzez przedsiębiorstwa kapitalistyczne, plantacje, handel i wytwory Europy i Ameryki, pojęcia ogólne, idee i wzory życia. Procesu tego nie da się już powstrzymać. Przyszłość należy do wspakultury laickiej, co spowoduje ważkie zmiany, lecz nie tak zasadnicze jak te, które dojrzewają poza nimi, w łonie samej cywilizacji.

Rozbrojeni zimni wyznawcy krzyża i bezdziejowi racjonaliści - oto dwie odmiany wspakultury, wysuwające się na czoło w czasach współczesnych. Dzięki stuszowaniu jaskrawości swego opierzenia ideowo-moralnego obie te odmiany choroby podświadomie starają się podszywać pod ruchy stwarzające cywilizację. O tym należy stale pamiętać. Każdy ruch o pewnej dynamice twórczej ma po jakimś czasie w swych szeregach masy wspakulturowców z obu wyżej podanych szkół, a już wkrótce powstaje w jego łonie frakcja wspakulturowa, na swój dekadencki sposób interpretująca jego naczelne idee. Czyni to zupełnie odruchowo, szczerze, gdyż inaczej nie może.

Miliony wspakulturowców "zimnych" i laickich są utajonym balastem czołowych społeczeństw.

Ponieważ nie mają własnej, wyraźnej kodyfikacji ideologicznej, dają się wciągać w każdą formację do czegoś dążącą. I zawsze mamy ten sam przebieg dalszy: wspakulturowe pojmowanie celów, zasad, pojęć wyrażających dany ruch, próby zepchnięcia na wspakulturowe tory, a jeśli się to nie udaje od razu, stwarzanie frakcji. Jakiś demoniczny instynkt choroby sprawia, że każda taka frakcja uporczywie trzyma się werbalnej formy, czyli nazw, symbolów, określeń, słów danego ruchu, lecz z nieubłaganą konsekwencją wciska pod te formy swoje treści, zawsze się wywodzące z personalizmu, wszechmiłości i hedonizmu. Dotyczy to wszystkich form współczesnej kultury: filozofii, literatury, sztuki, pojęć naukowych, polityki itd.

Wspakultura jakby podświadomie wyczuwa słaby punkt w dzisiejszych formacjach, budujących na panhumanizmie. Wszystkie te formacje bowiem nie mają zestalonego szkieletu pojęć i ideałów naczelnych. Ewolucja tworzycielska świata nie jest jeszcze sformułowana jako światopogląd, idee wartości, ruch. Każda erupcja twórcza chwyta się na gorąco jakichś haseł, zasad, które przez pewien czas służą jako oparcie dla akcji. Ale już wkrótce fala ruchomego robactwa wspakulturowego edycji "zimnej" i laickiej oblepia daną erupcję i z zaciekłą konsekwencją wyżera tworzycielskie treści. Poprzez odruchową technikę frakcji wżera się coraz głębiej i po pewnym czasie mamy jeszcze jedną mumię, napełnioną dokładnie znanymi od tysiącleci treściami.

Podziwienie wzbudza w tym żywotność cywilizacji indywidualistycznej, która przez stulecia utrzymuje swój rozmach, ciągle potężniejący, w tym mrowiu upiorów żądnych krwi panhumanizmu. Jako szczególnie pouczający przykład historyczny można przytoczyć dzieje masonerii. W swym bohaterskim okresie to ruch zdecydowanie twórczy. Jest on forpocztą cywilizacji zachodniej, wywalczającej teren spod władania totalnej wspakultury krzyża. Gdy wessał w swoje szeregi wspakulturowców laickich, rozpoczęła się jego niepostrzegalna infekcja. Szereg frakcji stopniowo wypłukiwało pozytywne treści, nim w formach wolnomularstwa całkowicie zadomowił się znany nam upiór.

5. Kościół zbuntowanych.

Wspakultura laicka będzie odgrywać w przyszłości coraz większą rolę. Główną przyczyną tego jest jej dynamika, wynikająca z zadań, które ona podejmie się realizować. Totalna wspakultura

krzyża ograniczyć się musi tylko do protestów i ostrzeżeń, których niewielu słucha. Wspakultura laicka natomiast ma otwarte drogi do urzeczywistniania swego ideału - szczęścia na tym świecie.

Otwierają się przed nią widoki na raj ziemski, osnute na naiwnej wierze, iż da się on zrealizować.

Miliony umysłów pełne są oczekiwania, kiedy to wreszcie nastąpi. Stąd wypływa nastrój pewnej świeżości, entuzjazmu, a tym samym i dynamiki dążeń.

Znamy już zasady światopoglądowe wspakultury laickiej i treść rajskiego dobra. Omówimy szczegółowiej widzenie istoty "zła". Zgodnie z charakterem schorzenia złem w zasadzie jest panhumanizm i to wszystko, co człowieka wiąże z ewolucją tworzycielską świata. Dla personalisty, który wyrwał się z hierarchii wartości Chrystusowych, panhumanizm wydaje się w pierwszym rzędzie gwałtem i niewolą wobec "człowieka". Personalista pragnie spokoju, odprężenia, wolności od wszystkiego, a historia zmusza go do wielu obowiązków, które są "gwałtem i niewolą".

Wszechmiłość ten sam nacisk odczuwa jako niepojęte "okrucieństwo i złość" ludzką. Bo i naprawdę tylko złością i okrucieństwem można wytłumaczyć srogie sankcje, którymi państw i społeczeństwo zmusza pozahistorycznego "człowieka" do tego lub owego. Hedonizm zaś, patrząc na niezmierny mozół, trud budowania państw, imperiów, na walki, wojny, poprzez które stwarza się historię, i rozumując, że motywem działania może być jedynie konsumpcja, używanie, dochodzi do słusznego wniosku, iż tylko niepojęte szaleństwo zmusza ludzi do tego wszystkiego. Przez to szaleństwo tyle się cierpi, ono więc jest istotnym złem w świecie ludzkim. W tych właśnie kategoriach widzi dekadent napór panhumanizmu. Będzie on dlań zawsze gwałtem, okrucieństwem i szaleństwem. Nie ulega wątpliwości, że stół nakryto i zastawiono wspaniałymi daniami. Jeśli nie wszyscy do tego stołu mogą się dostać, to tylko dlatego, że istnieją siły zamącające beztroskie używanie - gwałt, okrucieństwo i szaleństwo.

Myśl, że bodziec tworzycielski, ukazujący się w postępie techniczno-produkcyjnym, społecznym, wywołuje twarda praca, wytężenie, pasja i namiętności organizatorów, wynalazców, nie ma dostępu do świadomości dekadenta. Wszystko się dzieje "samo". Jakiś automatyzm ewolucji rzekomo sprawia, że powstają pomysły techniczne, organizacyjne, budują się fabryki, miasta, a tylko gwałt, okrucieństwo i szaleństwo powodują, że dzieje się to wszystko z męczącym wysiłkiem, który dekadent odczuwa jako dotkliwy ból. Nie może on nigdy sobie skojarzyć, że to, co określa jako "zło", to są właśnie motoryczne siły postępu.

Osiągnąć raj ziemski można tylko drogą wyrugowania tego zła. Wtenczas pozostanie już tylko dobro i używanie bez kresu. Ale żeby zło wyrugować, trzeba je określić możliwie dokładnie, gdyż od tego zależy precyzja operacji. Gdy zsyntetyzuje się odczuwanie personalizmu, wszechmiłości i hedonizmu, zło przybiera jednolitą postać. Tworzą je: złośliwość i głupota ludzka, wadliwe funkcjonowanie społeczeństwa i wyzysk człowieka przez człowieka. Złość w człowieku jest czymś oczywistym dla dekadenta. To stare odczucie, na którym wyrosły wszystkie moralistyczne zapędy wspakultury. Natomiast wadliwe funkcjonowanie społeczeństwa często kojarzy się ze złem tkwiącym w samej istocie cywilizacji. Dekadentyzm tego kierunku z lubością zwraca się do wizji życia przedcywilizacyjnego, udowadniając, że zło idzie za cywilizacją. Gdy natomiast zło sprowadza do "wyzysku człowieka przez człowieka", sprawa staje się jasna i łatwa do rozwikłania.

Kierunek akcji zarysowuje się w zależności od tego, czym jest "zło". Gdy utożsamia się z nim głupotę i złośliwość człowieka, jako wyjście należy przyjąć odpowiednie wychowanie. Pewien kierunek wspakultury laickiej zdecydowanie nastawił się na wychowanie "nowego" człowieka, który w zasadzie mocno przypomina "starego" i dobrze znanego nam dekadenta. Hołdują mu sfery inteligenckie i intelektualne, czyniąc niemało hałasu w tej sprawie. Inny kierunek żąda reform społecznych, opartych koniecznie na miłości i wolności człowieka. Zbliża go to do dążeń indywidualizmu, tyle że po swojemu pojmuje "wolność". Poczesne w nim miejsce zajmuje akcja dążąca do wyrugowania podstawowego "zła", tj. wyzysku. Milionowe masy zlaicyzowanych dekadentów odruchowo czują, że zło to "wyzysk", i wszędzie go widzą. W rezultacie socjalizm jako

wielki ruch w świecie cywilizacji zachodniej został zainfekowany frakcjami wspakulturowymi, które nastawione są na likwidację zła u podstaw. Dążą więc do form ustrojowo-społecznych, w których tej szkarady nie będzie. Wspakultura laicka ze szczególną żarliwością włącza się w ruch robotniczy, usiłując narzucić mu swoje idee jako naczelne cele. Chce ona wyrugować "wyzysk", po czym spodziewa się nadejścia ziemskiego raju. Ażeby taki cel osiągnąć, należy użyć odpowiednich środków. I tu się pojawia kłopot. Środki, które poczyna się stosować, są mocno podobne do tego, co zwalcza się jako oczywiste "zło". Trzeba się więc pogodzić "przejściowo" z tym, że stosowane środki będą nieco zbliżone do tego, co się zwalcza. Ale u kresu, gdy usunie się ustrój oparty na wyzysku człowieka przez człowieka, odrzuci się i niegodziwe środki. Nawet państwo, jako narzędzie gwałtu, zostanie poniechane i skazane na zagładę. Wspakulturowe masy godzą się więc na przymus, na pewną surowość, na przejściowe "przerosty", które nieco mącą perspektywy raju ziemskiego, gdyż są to rzeczy chwilowe. W pełni prosperuje perwersyjny instrumentalizm wspakultury. Ażeby raj ziemski urzeczywistnić, trzeba stosować środki skuteczne, a więc równe w swojej wydajności tym, których używano w ustroju "wyzysku".

Masy dekadentów laickich stają się stopniowo niewolnikami własnego dzieła. Chcąc usunąć "zło", zdobywają się na środki, które wprowadzają to samo "zło" do ich Kościoła tylnymi drzwiami.

Próbują oni czasem wyzbyć się zła w ten sposób, że odrzucają funkcje, które ono spełnia, ale wówczas rozpoczyna się katastrofalny rozstrój, a jedyna przed nim ucieczka sprowadza się do wznowienia tych funkcji. Dekadent chętnie odrzuca obcy jego psychice motyw dyscypliny, odpowiedzialności, wysiłku dla dzieła, gdyż to jest zło, ale wtedy wyłania się nędza, brak środków utrzymania itd. Wyjście więc znów oznacza pogodzenie się ze "złem". Jesteśmy jeszcze dalecy od chwili, gdy cykl ten będzie można uważać za zamknięty. Czeka na nas jeszcze wiele doświadczeń, nim ten wywód znajdzie swoje potwierdzenie w rzeczywistości historycznej.

Wspakultura laicka, zdeterminowana co do charakteru swej "wiary", coraz bardziej skupiać się będzie w "Kościół zbuntowanych", dążących do stworzenia ziemskiego raju. W zależności od określenia, czym jest zło, i sposobu jego likwidacji, powstaną i rozwiną się odmiany Kościoła zbuntowanych. Każda z nich musi przebyć swoje etapy rozwojowe. Podobnie jak i we wspakulturze totalnej, linię postępowania wytyczać będzie utajona intuicja schorzenia, nie poddająca się żadnej logice lub świadomości. Będzie więc posiadać swoje wyznania, kodyfikacje wartości, utajony szyfr, zrozumiały dla swych wyznawców, tak jak to było w chrześcijaństwie. Lecz na zewnątrz rozpocznie się krystalizacja ogniska świadomości, panującego nad całym cyklem. To może wpłynąć na jego przebieg w historii.

Rozdział XV. Przezwyciężenie wspakultury.

1. Postulat rewolucji człowieczej.

Analiza istoty chrześcijaństwa domaga się uzupełnienia krótkimi chociażby uwagami, dotyczącymi sposobu jego przezwyciężenia. Skoro zdajemy sobie sprawę z koszmaru choroby, narzuca się naturalne pytanie: jak się jej pozbyć? Odpowiedź do pewnego stopnia przesądzają założenia, które były punktem wyjścia teorii chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo, jak i pozostałe totalne wspakultury, wykwitało z prób przezwyciężenia zmory, którą jest człowiek natury - człowiek taki, jakim go w każdej chwili widzimy. Postrzegamy go jako ułomnego, gdyż organ geniuszu człowieczego, wytwarzając w ciele ludzkim żywioł emocjonalny, nie ma możliwości prawidłowego i pełnego przerzutu energii na ewolucję tworzycielską świata. Energie emocjonalne, nie mogąc się wyrazić w pełnym, sprawczym czynie, forsującym posłannictwo człowiecze, przyjmują postać eksplozywną, zdezorganizowaną, czyli tzw. namiętności, które się stają źródłem udręki dla człowieka natury. Ktoś nazwał je "grzechem pierworodnym" i rzucił ideę zwalczania go. Technika realizacji tej idei rozwinęła się w systemy buddyzmu, chrześcijaństwa, hinduizmu, islamu.

Zlikwidować wspakulturę krzyża i jej pierworodne dziecię naiwne, czyli wspakulturę laicką, możemy tylko wówczas, gdy usuniemy podstawę na której one wyrosły: człowieka natury.

Człowiek taki musi być przezwyciężony, gdyż wraz z jego ułomnościami pozbędziemy się i upiornej choroby, która tylko na nim pasożytuje - wspakultury. Znaczy to podnieść życie do pułapu panhumanizmu, a więc pułapu, na którym wszystkie bodźce geniuszu człowieczego są włączone w dzieło budowania naszego posłannictwa. Jest to otworzenie perspektyw na ewolucję tworzycielską świata, w którą będziemy włączeni każdym włóknem naszej psychiki. Pełne wmontowanie geniuszu człowieczego w proces rekonstrukcji ładu naturalnego świata, stworzenie przekładni przekazujących każdy bodziec energii emocjonalnej dziełu kultury, ukaże nam dopiero, czym jest człowiek. Właściwie bowiem nie umiemy udzielić takiej odpowiedzi, gdy patrzymy na to, co nas otacza. Pewną wskazówką są postacie wielkich twórców i bohaterów. Czymś podobnym będzie człowiek na pułapie pełnego włączenia w ewolucję tworzycielską świata.

Gdy potrafimy osiągnąć pułap panhumanizmu i na nim się utwierdzić, przezwyciężymy za jednym zamachem "zwykłego" człowieka natury i jego kosmicznego pasożyta - wspakulturę tej lub innej edycji. Ale wznieść się na ten pułap to tytaniczne zadanie. Człowiek porwał się już raz na nie w swej historii. Skończyło się straszliwym załamaniem, na czym pasożytowały epidemie wspakultury aż do naszych czasów. Wiele rzeczy w międzyczasie zmieniło się na korzyść panhumanizmu. Dziś możemy się podjąć zadania z szansami na sukces. Olbrzymie to zadanie. Spełnienie jego oznaczałoby dokonanie rewolucji człowieczej.

Pojęcie "rewolucja człowiecza" domaga się krótkiego omówienia. Pełne życie, prawdziwie ludzkie, zaistnieć może tylko wówczas, gdy napięcia woli tworzycielskiej w naszym "ja" znajdują przekładnie, dzięki którym całą energię naszej osobowości będą mogły przeistaczać w ciągły proces twórczy. Inaczej mówiąc: "rewolucja człowiecza" polega na wypracowaniu takiego systemu kultury, w którym życie ludzkie zgodnie ze swym napięciem kierunkowym stanie się w każdej chwili twórcze i bohaterskie.

Na tym poziomie doznania panhumanizmu przestają być już tylko stanem psychicznym, ale przemieniają się w misterium rodzenia się nowej postaci bytu. Odczucie panteizmu ewolucyjnego, wola pełni życia i wola mocy stapiają się w jedność stwarzania kultury. Każda jednostka w mniejszej lub większej mierze będzie musiała brać udział w tym misterium, dzięki czemu dostępne jej się staną uczucia dotychczas znane tylko nielicznym twórcom i bohaterom. Wtenczas dopiero ujrzymy w pełni, czym jest naprawdę istota człowiecza. Zapewne też cała przeszłość ukaże się nam w dziwnym świetle, wraz z jej upiorem wspakulturowym. Elementy do rewolucji człowieczej widzimy wokoło siebie; czujemy napór bodźców w psychice ludzkiej, który bezradnemu, upadłemu "człowiekowi" jawi się w postaci "grzechu pierworodnego"; zgadujemy możliwości naszego umysłu w postaci skromnych na razie, w gruncie rzeczy, osiągnięć technicznych; widzimy świat żywiołów, życzliwie gotowy do obróbki i przetworzenia; zachwycają nas nieogarnione perspektywy przeistoczenia bytu w arcydzieło kultury. Złączyć to wszystko w taką syntezę, w której praca każdego człowieka będzie wpadała w celowy rytm, jak uderzenie palców wirtuoza w klawisze fortepianu, oto treść rewolucji człowieczej. I wówczas dopiero życie ludzkie będzie "normalne", gdyż do tego normalnego pułapu jesteśmy stworzeni od początku jako gatunek człowieczy.

2. Możliwości przełomu ku panhumanizmowi.

Wydaje się, że dojrzeliśmy już do tego, by dokonać uzupełnień w porządku naturalnym i zdobyć należny nam pułap. Próby dokonane w starożytności, które opisywaliśmy jako system taoizmu w Chinach, wedyzmu w Indiach, Zoroastra w Iranie, naturalizmu greckiego, germańskiego, słowiańskiego, nie powiodły się z powodu ubóstwa środków. Prymitywizm w kulturze duchowej, organizacji i technice nie pozwolił na rewolucję człowieczą. Sprawa ta przedstawia się dziś zupełnie inaczej. Możliwości realizacyjne w sferze organizacji społecznej i techniki są nader pokaźne. Największe trudności można wyczuć w sferze kultury duchowej. Zastarzałe tradycje wspakultury odgrywają szczególną rolę. Szanse na powodzenie rewolucji człowieczej są jednak duże. Zamierzenie to nie udało się w starożytności z powodu trudności tkwiących w podłożu materialnym. Człowiek dostojny, twórczy, jaki zrodził się w antycznej Grecji, pozostał kwiatem na bagnie, gdyż aby on mógł trwać, musiało kilku innych ludzi zejść na poziom bezdusznych zwierząt pociągowych. Świat kultury w tej epoce mógł rozwijać się tylko na karkach mas ludzkich. Była to

sprzeczność usunięta dopiero w epoce maszynizmu. Stalowi niewolnicy wzięli na swoje barki nieznośne brzemię. Dzięki temu może dziś powstać idea wspólnoty tworzącej, w której człowiek, przełamując się wewnętrznie, może wejść na poziom świadomego realizowania swego posłannictwa.

Niepostrzegalnie odbywający się postęp doprowadził dziś do tego, że wszystkie pola, na których przejawia się działalność człowieka, mogą być scalone i kierowane zgodnie z planem zadań wspólnoty tworzącej. Jeśli więc zrodzi się mit świadomego budowania historii i jako świadomość wywalczy on miejsce w umysłach jakiejś grupy geograficzno-historycznej, wówczas świadomość ta potrafi wyzwoloną energię grupową skierować na wszystkie odcinki swego życia, kontrolując jej przebiegi zgodnie ze swymi celami. Warunki dokonania rewolucji człowieczej z grubsza są już dojrzałe.

Główne trudności skupiają się w kulturze duchowej. Sformułować ideę rewolucji człowieczej, nadać jej kształt, a więc utrwalić w pojęciach i symbolach artystycznych, dostatecznie chwytliwych dla umysłów dziś jeszcze związanych wczorajszym, ułomnym widzeniem świata, to pierwsze trudne zadanie. Nie mniej brzemienne jest drugie: określenie dostatecznie wyrazistych norm etycznych, regulujących niezmiernie złożone życie wspólnoty realizującej zadania przełomowego okresu. Rozwiązanie tych trudności zadecyduje o tym, kiedy się przełom powiedzie.

W kulturze duchowej musi być dokonany wynalazek polegający na stworzeniu systemu "wiązalników energii emocjonalnej", umożliwiających jednostce wydźwignięcie się i utrzymanie na pułapie panhumanizmu. Stoimy wobec postulatu stworzenia systemu światopoglądowego i etycznego, który każdej jednostce pozwoli żyć na twórczym, pełnym napięcia poziomie, a to w ten sposób, że jej czyny najbardziej codzienne świadomie i wyraźnie będą wynikały z najwyższych celów. Oczywiście pociąga to za sobą konieczność przebudowy wszystkich dziedzin ludzkiego życia.

Najpierw jednak musi zjawić się idea nowego stylu życia, stwarzająca widoki na rekonstrukcję idącą ku panhumanizmowi. Taka idea musi objąć wszystko i dlatego nazywamy ją ideą wspólnoty tworzącej. To pozwoli na stabilizację woli tworzycielskiej, żyjącej w podniesionym nastroju spełniania się posłannictwa człowieczego. Powstaje taka atmosfera religijna, którą my, ludzie żyjący na niższym poziomie, mało znamy.

Atmosfera moralna wspólnoty tworzącej zakreśli ramy, w których przebiegać powinno życie godziwe. Dopóki w jej rytmie człowiek jako element składowy utrzymuje się bez trudu, oznacza to zgodność napięć woli tworzycielskiej, harmonię i piękno. Dzięki temu maleje niebezpieczeństwo opadania pełni wewnętrznej, na czym pasożytuje wspakultura. Wspólnota tworząca jest jakby szkieletem chroniącym żywioł emocjonalny w człowieku od nagłych wahnięć i spadków. Najmniej przejawia się to niebezpieczeństwo w okresie młodości i wieku męskiego, wzrasta zaś w miarę starzenia się organizmu. Na tym fenomenie polega cały pomysł wspakultury, która powzięła ideę całkowitego i świadomego pozbycia się żywiołu emocjonalnego w człowieku. Człowiek żyjący we wspólnocie tworzącej neutralizuje to niebezpieczeństwo. Może on zachować swoją młodość emocjonalną trwając przy normach moralnych i normach postępowania wspólnoty tworzącej.

Moglibyśmy wówczas mówić o "wieczystej młodości" duchowej człowieka.

Wydźwignięcie się na poziom życia duchowego wykluczający zrezygnowane westchnienie o "marności nad marnościami" będzie oznaczało nie tylko wieczystą młodość duchową, a więc i zwalczenie upiora wspakulturowej starczości, ale i w pierwszym rzędzie utorowanie dróg dla normalnej działalności życiowej, która poprzez technikę i organizację wzniesie materialne podstawy nowego ładu świata.

3. Technika pokonania upiora wspakultury krzyża.

Istotą rewolucji człowieczej jest więc taki układ, w którym bodźce geniuszu człowieczego mają swobodę przerzutu na świat żywiołów. Pełna wolność tworzycielska - oto jej naczelny wykładnik.

W warunkach wolności tworzycielskiej każdy bodziec emocjonalny, nie napotykając oporów, będzie mógł przeistaczać się w pragmatyczne działanie, w twórczy sposób oddziałując na posuwanie się naprzód posłannictwa człowieczego. Tak należy pojmować szczęście ludzkie.

Wówczas nie będzie rzecz jasna mowy o "zgubnych namiętnościach", gdyż swobodny ich przebieg stanie się źródłem najgłębszej radości życia.

Wolność tworzycielska ukaże nam dopiero w pełnym świetle, czym jest człowiek, dziś istota raczej nieznana. Wolność tworzycielska stanowi całkowite przeciwieństwo wolności wspakultury.

Wspakultura chciała uwolnić się od geniuszu człowieczego i jego kierunków życia, wolność tworzycielska oznacza zaś usunięcie zapór przed nim właśnie. Nurtem wspakultury krzyża było oderwanie się, ucieczka, zaprzeczenie, tu zaś - konstruowanie, łączenie, budowanie. Wolność tworzycielska może się przejawić w układzie, którego elementy są dziś rozstrojone i rozproszone właśnie przez wspakulturę. Trzeba ten układ dopiero montować. Najpierw zaś trzeba mieć jego wizję: naczelne pojęcia złączone w mit panhumanizmu, czyli mit świadomego budowania historii, swego człowieczego posłannictwa.

Podstawą mitu świadomego budowania człowieczego posłannictwa musi być zestalenie idei panhumanizmu. Idea panhumanizmu, światopogląd wyrażający naszą tworzycielską istotę i jej perspektywy ogólne, winna się stać kręgosłupem koncepcji historii. Pisaliśmy już o tym w pierwszym rozdziale niniejszego szkicu. Sformułowanie idei rekonstrukcji ładu naturalnego świata jako treści posłannictwa człowieczego to dopiero wstęp. Faktem społecznym, zwykłym zjawiskiem winien się stać człowiek przeżywający normy, o których mówimy. Pomijając bohaterów, takie zjawisko uznaje się za coś niepospolitego, wyjątkowego. Każdy przeciętny człowiek, jeśli chodzi o jego bagaż ideowo-pojęciowy i moralny, jest produktem danej ideomatrycy, a następnie stosunków społeczno-produkcyjnych. Te dziedziny winno się przebudować w myśl założeń panhumanizmu.

Człowiek w roli świadomego twórcy swego posłannictwa musi ideę panhumanizmu uczynić rdzeniem ideomatrycy i stosunków społeczno-produkcyjnych. Każde następne pokolenie będzie więc czuło i widziało świat w kategoriach wynikających z idei panhumanizmu.

Ażeby to dzieło przeprowadzić, należy stworzyć ruch umysłowy i społeczny, który ideę panhumanizmu wyhoduje i rozwinie poszczególne sektory do takiego poziomu, by ona następnie mogła w rewolucyjny sposób opanować i przekształcić starą ideomatrycę. Rewolucji w przybliżonych rozmiarach dokonała dotąd tylko wspakultura totalna, w Europie – chrześcijaństwo.

Takie zadanie daje się już ogarnąć umysłem. Możemy stworzyć teorię rewolucji kulturowej, na której oprze się przyszła rewolucja człowiecza, która oczywiście wszystkie proporcje dzieła musi znakomicie powiększyć. Ale i to jeszcze nie wszystko. Wewnętrzne zorganizowanie emocjonalne i pojęciowe przyszłych mas nie jest wystarczające. Wytyczanie kierunku energii psychicznej łączy się najściślej z prawidłowym zastosowaniem energii czynu. Bodziec psychiczny poprzez czyn powinien w jakiś sposób wpłynąć na żywioły przyrody, przekształcając je w dzieło kultury. To problem ustroju społecznego i ekonomicznego, zdolnego przyjąć bodźce i przekształcić je w nowe energie. Nie ma tego zagadnienia w ogóle we wspakulturze, gdzie powstrzymanie się od czynu, odejście od materialnego świata rozwiązuje wszystko. Wielki świat żywiołów społecznych i przyrody zewnętrznej jest dla panhumanizmu tym, czym instrument muzyczny dla muzyka. Bez klawiatury ładu naturalnego nie ma muzyki ewolucji tworzycielskiej świata. Mit tworzenia historii łączy więc w sobie zarówno koncepcję kultury duchowej, jak i społecznej i materialnej. Ten sam bodziec tworzycielski winien przebiegać przez osobowość człowieka jako normy, pojęcia i wyobrażenia organizujące jego energię emocjonalną, by następnie wyrazić się w celowym, pragmatycznym działaniu i ostatecznie przybrać kształt dzieł materialnych, w których jest zaklęta moc kultury. Formują one świat instrumentarium, służący z kolei, jako związana już i korna energia, do wprowadzenia nowego, spotęgowanego cyklu wyzwalania energii emocjonalnej, społecznej i materialnej.

Cywilizacja zachodnia jest brzemienna ideą wspólnoty tworzącej. Można tę ewolucję przyśpieszyć.

Ale obok tego mamy jeszcze inne zagadnienie - jak rugować upiora krzyża już dziś, przygotowując jego zniszczenie jutro. Praktycznie blisko już i do tego. Gdy więc odbywa się ruch ku wypracowaniu idei wspólnoty tworzącej, nie wolno zaniedbywać prac sprzyjających likwidacji schorzenia, które - od tysięcy lat zagnieżdżone - potrafi stawić jeszcze poważny opór.

W tym celu najpierw winno się oddzielić świat wspakultury od kultury. Dzięki perwersyjnemu instrumentalizmowi chrześcijaństwo umiało zatuszować swoje starcze, upiorne oblicze tak dalece, że może się wszędzie przemycać, zwodząc naiwnych. Chodzi bowiem o wygranie na czasie.

Doprowadzić należy do tego, by wspakultura i kultura wystąpiły jako dwa przeciwne obozy. Stąd wynika postulat doprowadzenia do regularnej walki światopoglądowej. Chrześcijaństwo będzie tego unikało wszelkimi sposobami. Walka światopoglądowa pozwoli wydzielić chrześcijaństwo i pochodne wspakultury, laicką w szczególności, w obóz wrogów panhumanizmu.

To ogromnie ułatwi dalsze etapy.

Wyodrębniając postawy, łatwo już będzie dokonać analizy historycznej, wyjaśniającej uwiąd katolickich narodów. Jednolity system pojęć wykaże prawidłowość wszechstronnego upadku Polski, Hiszpanii, Włoch, Irlandii, Portugalii, Ameryki Południowej itd. Dopiero na tym fundamencie rozpocznie się praca konstrukcyjna, czyli refleksja nad drogami wyrugowania choroby i uzdrowienia narodów. Będą to już problemy rekonstrukcji kultury danych narodów, a więc świadomej przebudowy ideomatrycy obiektywnej i psychologicznej. Odpadną więc wszystkie złudy wyłapywania jakichś "błędów" w realizowaniu, a myśl i praca zwrócą się do podstaw samej rzeczy.

Byłoby rzeczą wskazaną stworzenie centralnej instytucji kierującej tymi pracami, tak jak to w swoim czasie stało się na skalę międzynarodową z instytutami przeciwrakowymi czy przeciwgruźliczymi. W każdym razie mamy otwarte szerokie perspektywy. Potrzebny jest teraz upór, konsekwencja i wytrwałość myśli.

Skorowidz osobowy
(pominięto postacie boskie, biblijne i mityczne):

Strony w spisie treści i w skorowidzu odnoszą się do wydania książkowego.

Abelard (1079-1142), franc. filozof i teolog 123
Adam Karl (1876-1966), niem. teolog; ”Istota katolicyzmu”, Poznań 1930 116, 153, 202
Alaryk (370-410), król Gotów 169, 171, 173
Albertus Magnus (1193-1280), doctor universalis, dominikanin, słynny scholastyk 123
Aleksander Wielki Macedoński (356-323 p.n.e.) 158
Ambroży, św. (IV w.), bp Mediolanu 53
Antoni, św. (III/IV w.), pustelnik egipski 122, 171
Archelbejusz, pustelnik 90
Ariusz (III/IV w.), prezbiter w Aleksandrii 124
Arystoteles (384-322 p.n.e.) 123
Attyla (+453), król Hunów 35, 170
Augustyn, św. (354-430) passim
Bass 147
Batiffol Pierre, ks.; ”Badania z zakresu historii i teologii pozytywnej”, z V wyd. franc. przełożył ks. Jan Piotrowski, Warszawa 1911 116
Benedykt z Nursji, św. (V/VI w.), założyciel klasztoru na Monte Cassino w 529 r. 184
Bernard, św. (1090-1153), opat z Clairvaux, propagator drugiej krucjaty 37, 50, 59, 73, 82, 87, 92, n, 111, 141, 181, 184

Besson Franciszek Mikołaj (1821-1888), franc. bp, kaznodzieja i historyk; ”Bóg-Człowiek”, Wilno 1882, 1901 31, n, 45, n, 63, 132
Borowski A. (1884-1968), ks. prof.; ”Teologia moralna”, Włocławek 1945 36, 63, 65, 74, 85, 123, 125, 136
Bougaud Louis Emile (1823-1888), bp; ”Credo”, Warszawa 1910 i Poznań 1925-1932, w zbiorze: ”Chrystianizm i czasy obecne”, 5 tomów 81, 83, 113, 116, 145, 151, 173, 192
Budda (VI/V w. p.n.e.) 29, 71, 158
Cecyliusz 172
Cyprian, św. (III w.), bp Kartaginy 122. 144
Darwin Charles Robert (1809-1882) 204
Deharbe Joseph, S. J. (1800-1871), niem. dydaktyk religii. Jego katechizm, przetłumaczony na język polski, był w powszechnym używaniu we wszystkich trzech zaborach. W katechizmie Deharbe'a, opracowanym przez jezuitę M. Morawskiego i wydanym we Lwowie w 1890 r., dwa ostatnie przykazania Dekalogu mają brzmienie następujące: ”9. Nie pożądaj żony bliźniego twego; 10. Ani domu, ani sługi, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest”. Natomiast katechizm ks. dra Cz. Piotrowskiego w XIX wydaniu z 1967 r. ma już taką redakcję: ”9. Nie pożądaj żony bliźniego twego; 10. Ani żadnej rzeczy, która jego jest”, 31, 35, 63, 119, 147
Didon W. O. (1840-1900), dominikanin; ”Jezus Chrystus”, z XX wyd. franc. przełożył bp H. P. Kossowski, Warszawa, tom I - 1891, tom II - 1892 109, 119, 142
Dioklecjan (286-305) 171
Dionizy Areopagita, św.; domniemany autor powstałego anonimowo w Aleksandrii ok. 500 r. zbioru pism, oznaczany zwykle jako Pseudo-Dionizy Areopagita (Areopag - wzgórze w Atenach, miejsce zebrań rady o uprawnieniach gł. sądowniczych) 116
Dominik, św. (1170-1221), Hiszpan, założyciel dominikanów w 1220 r. Zakon stał się organem inkwizycji. Jego nazwa: Ordo fratrum praedic. = O. P. 87
Epikur (341-270 p.n.e.) 29, 159
Eutyches (V w.), archimandryta, czyli opat klasztoru w Konstantynopolu 124
Euzebiusz z Cezarei (ok. 260- ok. 339), ojciec historii Kościoła 87, 163, n
Faber Frederick William (1814-1863), ang. oratorianin; ”Przenajświętszy Sakrament”, Brody 1911 46, 54, 72, 129, 203
Filon z Aleksandrii (ok. 20 p.n.e. - ok. 40 n. e.), filozof chrześcijański 163
Fouard Constant, ks.; ”Początki Kościoła. Św. Piotr i pierwsze lata chrześcijaństwa”, z VIII wyd. franc.; Piotrków 1908 122, 165
Franciszek z Asyżu, św. (1182-1226) 22, 29, 86, 99
Freud Zygmunt (1856-1939) 84
Gandhi (1869-1948), zwany Mahatma = cudotwórca 39
Gordiusz, św. 92
Heraklejdes z Pontu (IV w. p.n.e.), filozof i historyk 100
Hermas (I/II w.), autor apokalipsy, tj. objawienia pt. „Pasterz” 39
Hieronim, św. (347-419), wyd. ”Biblii łacińskiej (Vulgata)” 89, 177
Ignacy Antiocheński, św. (I/II w.), bp 56, 82, 87, 129, 131, 133, 153
James William (1842-1910), amer. filozof 126
Jan Chryzostom, czyli Złotousty (347-407), doktor i ojciec Kościoła, patriarcha Konstantynopola 130, 154
Jan Kasjan (IV/V w.), opat z Massilii (Marsylia), autor ”Collationes Patrum = Rozmowy (konferencje) z ojcami” passim
Justyn, św. (II w.) 71, 93, 100, 114, 162, 165, nn, 172
Karol Wielki (768-814) 35, 138, 180
Katarzyna Sieneńska (XIV w.) 53, 87, 132
Klemens; tzw. ”Pierwszy list Klemensa”, autorem był jakiś prezbiter, I w.; tzw. ”Drugi list Klemensa”, autor nieznany, II w. 71, n, 77, 115, 145
Konstantyn Wielki (306-337) 172
Krukowski Józef (1828-1900), ks. prof.; ”Katechetyka katolicka...”, Kraków 1877 152
Laktancjusz (III/IV w.), apologeta chrześcijaństwa; ”Epitome = Streszczenie” 71, n, 106, 109, 162,170
Leon I Wielki, św. (IV/V w.), papież 53, 56, 90, 106, n, 131, 170, 178

Leon XIII (1878-1903), papież 35, 41, 70, 104, 205, 209
Liguori Alfons, św. (XVIII w.), założyciel redemptorystów 53, 75, n, 110, 119, 133
Loyola Ignacy, św. (1491-1556), założyciel jezuitów 198
Mach Jos, T. J.; ”Skarb kapłana czyli Zbiór głównych rzeczy jakie kapłan powinien znać, aby uświętobliwić samego siebie i uświętobliwić drugich”. Przez Wiel. Ojca Józefa Mach T. J. oryginalnie w języku hiszpańskim ułożony. Tłumaczony na francuski przez X. Abla Gaveau. Z franc. na polski przełożył X. J. Kwiatkowski, Kraków 1886, tom II 116, 130, 132, 136, 152, 154, n
Mahomet (ok. 570-632) 29, 71
Małgorzata, św., królewna węgierska 184
Marek Aureliusz (161-180) 171
Maritain Jacques (1882-1973), franc. filozof w 1906 przeszedł na katolicyzm, głosił neotomizm; ”Religia i kultura”, Poznań 1937 61, 67, 121, 139, 182, 205
Minucjusz Feliks (II/III w.), rzym. apologeta chrześcijaństwa 162, 172
Nestoriusz (IV/V w.), patriarcha Konstantynopola 124
Nietzsche Fryderyk Wilhelm (1844-1900) 17
Orygenes z Aleksandrii (185-ok. 254), ojciec teologii chrześcijańskiej. Będąc nauczycielem w szkole żeńskiej i chcąc być wolnym od pokus seksu, własnoręcznie się okastrował. Wziął dosłownie zalecenie Jezusa 87, 146
Paweł, pustelnik 90
Pesch Tillman, S. J. (1836-1889), ”Chrześcijańska filozofia życia”, wyd. II, Kraków, t. I - 1930, t. II, - 1931. "Jeden z największych myślicieli współczesnych" - tak pisze o nim Encyklopedia Kościelna, Warszawa 1893 37, n, 56, 103, 111, 131, 139, 141, 145, n, 153, 202
Pichenot, ks., abp; ”Ewangelia Eucharystii - nauki wygłoszone w katedrze w Sens”, wyd. II, Poznań 1914, wyd. III tamże, b. r. w. 57, 66, 89, 91, 104, 128, 149, 152, 205
Piotr Lombardus (XII w.), bp Paryża, magister sententiarum 123
Pirron z Elidy (376-286 p.n.e.) 62, 159
Pius XI (Achilles Ratti, 1857-1939), papież 60, 138, 203, 205, n, 209
Platon (427-347 p.n.e.) 138, 159, 162
Pliniusz Młodszy (II w.) 172
Polikarp , św. (II w.), bp Smyrny 52, 85, 93
Posydiusz (IV/V w.), biograf św. Augustyna 170
Pseudo-Justyn, hipotetyczny autor Listu do Diogneta 168
Sawicki F. (1877-1952), ks. dr; filozof, teolog; ”U źródeł chrześcijańskiej myśli”, Katowice 1947, 45, 73, 138, 144, 168, 177, 181, n, 195, 203
Sereneus, pustelnik 90
Skarga Piotr (1536-1612), jezuita 87, 92, 147, 171, 184
Socyn (Sozzini Faustus, 1539-1604), twórca unitaryzmu 124
Sokrates (469-399 p.n.e. 100, 123, 158, 188
Szymon Słupnik Starszy, św. (389-459) 22, 147
Teofil (385-412), patriarcha Aleksandrii 168
Tertulian (ok. 155-220), ojciec Kościoła 175, n
Thullie Kazimierz (1885-1957), ks. dr; katecheta lwowski 152
Tołstoj Lew (1828-1910) 29, 39
Tomasz á Kempis (1380-1471), jego dzieło ”O naśladowaniu Chrystusa” doczekało się w Polsce już siódmego wydania passim
Tomasz z Akwinu, św. (1225-1274), doctor angelicus 37, 123, nn, 137, 182
Trajan (98-117) 171, n
Wawrzyniec, św. 168
Wichert Michał Ignacy (1733-1802), jezuita, dr teologii; ”Nauki katechizmowe...”, Kalisz 1780-81, t. I-III 31, 63, 87, 107, n
Woroniecki Jacek (1878-1949), dominikanin, prof. i rektor KUL; ”U podstaw kultury katolickiej”, Poznań 1935 125. 154. 192. 196
Zoroaster (VII w. p.n.e.), reformator religijny w Persji. Szereg szczegółów z obowiązującej biografii Jezusa ma swe odpowiedniki w legendarnym życiorysie Zoroastra: narodzenie z dziewicy, pokłon dzieciątku, zamach na jego życie przygotowany przez perskiego Heroda, kuszenie przez szatana itd. 17, 158, 216

Spis treści:

(Strony w spisie treści i w skorowidzu odnoszą się do wydania książkowego)

Przedmowa. 5

Rozdział I. Problem chrześcijaństwa.

1. Zagadka istoty człowieka. 9
2. Człowiek, jakim go widzimy. 16
3. Ucieczka w labirynt kosmicznego schorzenia. 18
4. Istota wspakultury. 21
5. Chrześcijaństwo jako utajona wspakultura. 24
6. Drogi rozszyfrowania istoty chrześcijaństwa. 26

Rozdział II. Personalizm chrześcijański.

1. Personalizm jako pierwiastek wspakultury. 28
2. Światopogląd personalizmu. 33
3. Etyka personalizmu. 35
4. Instytucje personalizmu. 39

Rozdział III. Wszechmiłość chrześcijańska.

1. Geneza pierwiastka miłości chrześcijańskiej. 42
2. Światopogląd "miłości". 44
3. Etyka miłości. 48
4. Wynalazek błędnego koła utrapień. 53

Rozdział IV. Moralizm krzyża.

1. Istota moralizmu chrześcijańskiego. 58
2. Światopogląd moralizmu. 61
3. Etyka moralizmu. 63
4. Instytucje moralizmu. 65

Rozdział V. Spirytualizm chrystusowy.

1. Spirytualizm jako pierwiastek wspakultury. 68
2. Światopogląd spirytualizmu chrześcijańskiego. 70
3. Etyka spirytualizmu. 74
4. Instytucje magii chrześcijańskiej. 77

Rozdział VI. Nihilizm i hedonizm w chrześcijaństwie.

1. Nihilizm jako pierwiastek chrześcijaństwa. 80
2. Światopogląd nihilizmu chrześcijańskiego. 82
3. Etyka nihilizmu chrześcijańskiego. 85
4. Instytucje cierpienia w nihilizmie. 89
5. Pierwiastek hedonistyczny w chrześcijaństwie. 91

Rozdział VII. Przełomowy wynalazek Jezusa Chrystusa.

1. Intuicyjna konspiracja wspakultury. 94
2. Wynalazek Jezusa Chrystusa. 98
3. Automat świętości. 101
4. Ustalenie się doktryny chrześcijaństwa. 106

Rozdział VIII. Idea kościoła.

1. Idea marszu ludzkości od przyrodzoności do nadprzyrodzoności. 113
2. Instytucja Kościoła jako zastosowanie praktyczne automatu świętości. 117
3. Niż cywilizacyjny. 120
4. Uformowanie pełnej doktryny krzyża. 121

Rozdział IX. Organizacja Kościoła.

1. Nadrzędny organ akcji dziejowej chrześcijaństwa. 127
2. Stan kapłański. 129
3. Zrzeszenie dążących do zbawienia. 131
4. Rząd dusz. 133
5. Perwersyjny instrumentalizm. 136

Rozdział X. Mistyka chrześcijańska.

1. Uzacnianie przez błędne koło utrapień. 140
2. Pokuta i ofiara jako transmisja wewnętrzna. 145
3. Magia Chrystusowa. 150

Rozdział XI. Zniszczenie kultury antycznej przez chrześcijaństwo.

1. Prachrześcijaństwo. 157
2. Lawina Chrystusowa. 159
3. Upadek cywilizacji antycznej. 165

Rozdział XII. Istota ładu średniowiecznego w Europie.

1. Spreparowanie spuścizny antycznej. 175
2. Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. 177
3. Ład średniowieczny. 181

Rozdział XIII. Chrześcijaństwo na przełomie ery nowożytnej.

1. Rozkład średniowiecza a Renesans. 186
2. Protestantyzm. 188
3. Rozprężenie Kościoła. 192
4. Jezuityzm. 196
5. Utajone zasięgi chrześcijaństwa. 198

Rozdział XIV. Wspakultura laicka.

1. Załamywanie się spirytualizmu. 201
2. Rozwój totalnej wspakultury krzyża. 204
3. Światopogląd wspakultury laickiej. 207
4. Zasięgi wspakultury laickiej. 210
5. Kościół zbuntowanych. 212

Rozdział XV. Przezwyciężenie wspakultury.

1. Postulat rewolucji człowieczej. 215
2. Możliwości przełomu ku panhumanizmowi. 216
3. Technika pokonania upiora wspakultury krzyża. 218

Skorowidz osobowy. 221

TOPORZEŁ, Wrocław 1997
Wydanie I

Redaktor: Zdzisław Słowiński
Lektor konsultant: Antoni Wacyk
Korektor: Zbigniew Adamski

ISBN 83-85559-25-6
Wydawnictwo TOPORZEŁ
50-950 Wrocław 2
skr. poczt. 81
Wrocław 1997